

Sat-Okh, Yackta-Oya

FORT NAD ATHABASKĄ

WPROWADZENIE

Kraina jest ogromna. Na rozległych obszarach, u jej południowych granic, rozłożyła się bezkresna puszcza - gęsty, mieszany, pierwotny las.

Na jego najbardziej na południe wysuniętym skraju króluje kasztan o miękkich, zielonych liściach i biało-różowych kwiatach, tworzących wiosną zawieszony wysoko, utkany jak gdyby z puchu, kobierzec. Rozłożyły się tu cztery gatunki potężnego dębu i drzewa tulipanowca o kwiatach wydzielających wiosną i latem słodką woń. Mieszają się z nimi drzewa i delikatne krzewy oczaru, dopiero zimą obsypane herbaciano-zielonkawymi kwiatami, a także dwupienne drzewa sassafrasu o wydłużonych liściach, żółtozielonych kwiatach i oszałamiającej woni. Ich kora i korzenie jeszcze do dzisiaj używane są przy wyrobie perfum, olejków, kremów i kadzidła.

Tu i ówdzie strzela do góry niebotyczna hikora - orzesznik, której wierzchołki sięgają prawie stu metrów wysokości, a pień jest tak gruby, że po to, żeby go objąć, potrzeba niekiedy kilku mężczyzn. Hikora to najtwardsze drzewo żyjące kilkaset, a jak twierdzą niektórzy, nawet ponad tysiąc lat.

W wilgotnych dolinach w wielkiej obfitości występują skupiska cukrowego klonu, dającego wiosną gęsty, słodki syrop. Puszcę w tym rejonie porasta wielkolistny buk oraz czerwony cedr. Rosną żółte brzozy, lipy, czarny jesion i sosna. Nieco bardziej na północ pojawiają się całe połacie porośnięte tym cennym drzewem. Jest tu sosna czerwona i sosna Banksa, a także pospolita wejmutka. Coraz częściej spotkać można choinę, kanadyjską.

Południową część puszczy tworzą lasy z przewagą czerwonego i czarnego świerku. Wygląd puszczy zmienia się.

W kierunku północnym zanikają stopniowo większe skupiska drzew liściastych - coraz liczniej

zaczynają pojawiać się świerki, jodły, w tym jodła balsamiczna, i sosny. Są jeszcze brzozy i osiki. Ale mieszany dotychczas las zostaje wyparty przez wiecznie zielony szpilkowy bór, w którym niepodzielnie już króluje jodła, świerk i sosna oraz tworzący niezbyt wysokie zagajniki amerykański modrzew. Rzadziej ukazuje się brzoza. Majestatyczny, szpilkowy bór ciągnie się na północ i północny zachód tysiące kilometrów.

Daleko, tam gdzie wiosną suną klucze dzikich gęsi, u swych północnych granic, las staje się uboższy. Stopniowo zanikają niebotyczne jodły i świerk, giną potężne pnie białej i czarnej brzozy, karłowacieje sosna i wierzba.

Coraz częściej pojawiają się niskie, splecione zarośla, rozległe torfowiska i łąki. Nieprzebyta i zda się bezkresna puszcza przechodzi stopniowo w rozległą monotonną tundrę pokrytą kobiercem nisko-piennego bagna, bażyn, dębika i różnorodnych krzewinek. Cały obszar pokrywa cienka warstwa mchu i dzikich porostów.

Jeszcze dalej na północ brunatno-zielony, zwarty kobierzec ustępuje miejsca rzadkiej, arktycznej wiechlinie, śniegowej kosmatce i skalnicy, ginących coraz częściej pod wieczną zmarzliną i śniegową pokrywą dalekiej, arktycznej tundry. Skąpa roślinność wychyla się spod niej nieśmiało, na krótko, w okresie, gdy słońce zawieszona nad horyzontem ogrzewa odrobinę cienką, wierzchnią warstwę gruntu. Tryskają źródła, szemrzą strumyki i bystre potoki; ciemny kobierzec rozkwita na chwilę tysiącem barw i kolorów; pojawia się polarny mak, ale wkrótce wszystko ścina groźne tchnienie północnego wiatru.

Nadchodzi mróz. Temperatura spada do czterdziestu, pięćdziesięciu stopni. W lodowym uścisku tężeją rzeki i strumienie; lustro jezior i powierzchnię ziemi na wiele miesięcy przykryje twarda warstwa śniegu. Słońce zniknie za horyzontem. Nadejdzie długa, lodowa noc.

Cała kraina jest niewyobrażalnie wielka i dzika. Od południa - w rejonie liściastych i iglastych lasów - ogranicza ją rzeka i Zatoka św. Wawrzyńca, północny skraj Wielkich Jezior, dalej na zachód gubi się w gąszczu tysięcy rzek, potoków, strumieni i jezior, by poprzez jeziora Leśne i Winnipeg przeciąć pas wielkiej prerii, przeskoczyć wysoko wypiętrzony łańcuch górski i opaść raptownie ku Oceanowi Spokojnemu.

Od zachodu obszar ogranicza Pacyfik i długi, ostry, niedostępny łańcuch Gór Skalistych Kanady oraz podstawa Alaski.

Od północy i wschodu granicę wyznaczają setki wysp spływających szerokim pasem ku wschodnim wybrzeżom Zatoki Hudsona i półwyspu Labrador.

Bez mała połowę tej wielkiej, liczącej prawie dziesięć milionów kilometrów kwadratowych krainy, której obszar jest prawie trzydziestokrotnie większy od obszaru Polski i większy od całych Stanów Zjednoczonych wraz z Alaską, pokrywają lasy i puszcze, w których, przed przybyciem białego człowieka w te strony, żyją niezliczone ilości zwierząt.

Mieszka tam w wielkiej obfitości czarny niedźwiedź baribal, żyje wspaniały, największy na kontynencie okaz jeleniowatych - jelen wapiti.

Niezbadane, głuche ostępy leśne, mroczne mateczniki i moczary zajmuje łos amerykański i łos olbrzymi oraz leśny ren karibu. U wodopojów i lizawek solnych, w pobliżu ścieżek innych zwierząt, na swą zdobycz czatuje największy drapieżnik puszczy - stalowszara puma, zwana niekiedy kuguarem, a przez wczesnych białych osadników i myśliwych również amerykańskim lwem. Na łatwy łup czyha drugi drapieżnik - ryś. Niekiedy, chociaż rzadko, podczas wyjątkowo upalnego lata, zapuszcza się w te odległe rejony jaguar-wielki amerykański tygrys, żyjący zwykle znacznie dalej na południu, drapieżnik, którego futro noszą najbardziej dzielni wojownicy Azteków w dalekim Meksyku.

W dzikich ostępach leśnych, w pobliżu tysięcy jezior, wzdłuż potoków i strumieni żyją miliony bobrów, wyder, szczurów piżmowych, nutrii, jeżozwierzy i ursonów. Pośród gałęzi drzew przemykają czarne i rude wiewiórki. Z dziupli starego, spróchniałego drzewa swój spiczasty pysk wysuwa ciekawie, chociaż ostrożnie, szop pracz. Są tu gronostaje, kuny i norki, a także lisy w trzech odmianach: rude, błękitne i srebrne. Jest wreszcie rosomak i podobna do borsuka taksidea. Są szare wilki, długouche zające leśne, skunksy i oceloty, a także zające białe zwane przez amerykańskich myśliwych białymi królikami.

W wąwozach i jarach Gór Skalistych samotny żywot pędzi szary niedźwiedź grizzly, o którym mrozące krew w żyłach opowieści snują tysiące myśliwych, podróżników i pisarzy.

Dalekie, mroźne obszary tundry i wyspy Archipelagu Arktycznego oraz północny Labrador zamieszkuje niedźwiedź polarny, zając bielak i renifer. Żyją morsy i foki, a na obszarach tundry - woły piżmowe.

W rozległym pasie prerii od wiosny do późnej jesieni ciągną ogromne stada bizonów. Wokół nich krąży preriowy wilk biały. Roją się pieski stepowe i kojoty.

Zachodnie wysokie góry zamieszkuje owca gruboroga i biała, oraz długowłosa koza śnieżna, ale są tam i inne zwierzęta Kanady; łos, jelen, górski bóbr i setki innych.

Bogaty jest świat ptaków. Żyje w nim sowa polarna, miliony sztuk liczące stada wędrownego gołębia, gęsi, kaczki i nury wodne. Są sójki, dzięcioły i wrony, a także piegże - północne zwiastuny wiosny. W gąszczu krzewów co chwila rozlega się głos dzikiego indyka lub pisk pardwy. Wśród wysokich wrzosowisk i traw gnieździ się głuszec, bażanty i kuropatwy oraz głuszce dwuczube. Są przedrzeźniacze, jarząbki i sowy w dziesiątkach odmian, a także setki innych ptaków, których nie sposób wyliczyć.

Czasem, niczym wypuszczona z łuku strzała, przetnie powietrze smukły cień sokoła. Wysoko w przestworza wzniesie się majestatycznie ogromny orzeł białogłowy. Zawisnie na nieboskłonie, lecz swym wszystko widzącym okiem nie dostrzeże krańców tego bezkresnego królestwa.

Potężne rzeki, jeziora, tysiące strumieni i potoków roją się od długich szczupaków i muskieleńców, dorodnych pstrągów i lipieni, ogromnych ilości atlantyckiego, srebrnego i jeziorowego, dochodzącego do kilkudziesięciu kilogramów - kanadyjskiego łosia o pachnącym, różowym mięsie, wielkiego, szlachetnego jesiotra, twardołuskiego, ale smacznego okonia, płoci, siei czy wreszcie tłustego węgorza.

Cała kraina to niezmiernie i nieprzebrane królestwo zwierząt, ptaków i ryb. Jak wielkie musiało to być królestwo w czasach, gdy biały człowiek nie postawił jeszcze swej stopy na tej ziemi?

Czy przed pojawieniem się na kanadyjskiej ziemi białego człowieka zwierzętom nic nie zagraża; czy nikt i nic ich nie niepokoi? Ależ nie! Mają swych wrogów. Na łosia, jelenia, karibu, zająca polują zwierzęta drapieżne - lis, wilk, ryś czy puma, polują także ludzie - Uhnishenahbag - jak nazywają sami siebie. Biali, pieczętując pomyłkę Kolumba, nazywają ich Indianami i nazwa ta pozostaje do dzisiaj.

Indianie w krainie tej żyją od wieków - od ośmiu, dziesięciu, a niektóre plemiona prawdopodobnie od prawie dwudziestu tysięcy lat. Nie jest ich wielu. Może dwieście, może dwieście pięćdziesiąt tysięcy rozproszonych szeroko na ogromnych przestrzeniach. Żyją w dolinie św. Wawrzyńca i nad Wielkimi Jeziorami. Zajmują rozległe przestrzenie wokół jezior Winnipeg, Athabaska, Wielkiego Jeziora Niewolniczego i Wielkiego Jeziora Niedźwiedziego, aż hen po Alaskę, żyją w pasie zachodnich prerii i wysokich Górach Skalistych, na Labradorze i nad Pacyfikiem...

Nie stanowią jednego narodu. Podzieleni są na około dwieście różnych plemion, z których każde mówi innym językiem. Niektóre języki są do siebie podobne i mogą być połączone w większe grupy. Grup takich jest kilka. Do największych należą: algonkińska, athapaskijska, eskimoska, siouańska i salisz.

Na niezmiernym obszarze różne są plemiona, różne języki, różne prawa i obyczaje, zupełnie inne wierzenia, a i ludzie różnią się od siebie wyglądem, ubiorem, wzrostem, rysami twarzy czy odcieniem skóry. Zdarza się, że plemiona żyjące po dwu stronach wąskiego potoku mówią tak różnymi językami jak angielski i chiński, kierują się zupełnie innymi prawami, żyją inaczej, używają różnych przedmiotów, narzędzi, naczyń, wierzą w różne duchy.

Wszystkie zajmują się myślistwem i rybołówstwem. Większość z nich w związku z tym to plemiona wędrownie. Jedynie niektóre, te zajmujące niezbyt szeroki pas południowych puszczy w dolinie św. Wawrzyńca i wąskie rejony nad Wielkimi Jeziorami, pokarm zwierzęcy uzupełniają niekiedy ziarnem dziko rosnącego ryżu lub - jak Irokezi - zajmują się również uprawą kukurydzy, dyn. czy fasoli.

Inne, te położone bardziej na północ i zachód, prócz mięsa dzikich ptaków i zwierząt spożywają jadalne korzenie, dziko rosnące jagody, orzechy i żołądź.

Najliczniejszymi spośród nich są Odżybueje. Zamieszkują ogromne obszary puszczy na

północnym skraju Wielkich jezior: szerokim pasem rozprzestrzeniają się na zachód - w kierunku jeziora Winnipeg i jeszcze dalej, na wielką prerię. Dzielą się na kilka wielkich odgałęzień, do których należą Odżybueje z rejonu Jeziora Górnego, Missisauga z wyspy Manitoulin, Ottawa z okolic Georgian Bay.. Potawatomi. Tereny położone dalej na zachód zajmują Odżybueje Równin.

Na północ od plemion odżybuejskich jeszcze szerszym dłuższym pasem okalającym południowo-zachodnie wybrzeża Zatoki, Hudsona. sięgającym na wschodzie od jeziora Mistassini, po środkową część zachodniej prerii, daleko jeszcze za jezioro Winnipeg i rzekę Athabaskę. zajmując ogromny obszar kraju, mieszkają plemiona Cree. Cree to nazwa wymyślona przez białych. Mieszkańcy tych ziem sami siebie nazywają Kenishtenog - niekiedy Maskegon lub Swampy Cree. Ich północną, zresztą często zmieniającą się granicę, wyznacza rzeka Eastman, przebiegająca równoleżnikowo w pobliżu rzeki Churchill, wpadającej do Zatoki Hudsona.

Są blisko spokrewnieni ze swymi algonkińskimi, południowymi sąsiadami. Mówią podobnym językiem, zajmują się myślistwem, rybołówstwem, zbierają leśne jagody i korzenie. Ich broń, podobnie jak u Odżybuejów, stanowią luk. strzała i oszczep opatrzone najczęściej kamiennym grotem lub drzazgą z kości. Posługują się kamiennym toporem i ciężką maczugą, i broń ta służy im zarówno w walce, jak i na polowaniu. Poza częścią, która zajmuje zachodnią prerię, wszystkie pozostałe grupy tego plemienia żyją głęboko w puszczy, w pobliżu jezior i rzek. Mieszkają w jednorodzinnych wigwamach pokrytych korą brzoźową lub świerkową; na północy zaś tam gdzie brzoza występuje rzadziej i jest znacznie mniejsza - w wigwamach pokrywanych coraz częściej skórą łosia czy karibu.

Podobnie jak ich południowi sąsiedzi pędzą koczowniczy tryb życia. Latem, w poszukiwaniu zwierzyny, setki kilometrów przemierzają w swych lekkich, śmigłych kanu; zimą wędrują dziesiątki, niekiedy setki kilometrów pieszo, posługując się śnieżnymi rakietami, ułatwiającymi poruszanie się po grubej warstwie białego, głębokiego śniegu. Muszą wędrować. Zdarzają się bowiem całe długie okresy, kiedy w jakimś rejonie brakuje zwierzyny i trzeba szukać innych terenów łowieckich.

Jeszcze dalej na północ, tam gdzie potężny szpilkowy bór ustępuje stopniowo miejsca sięgającej skraju arktycznego oceanu tundrze, żyją Chipewyan. Ich południowe granice wyznacza rzeka Churchill - północne giną w obszarach bezkresnej tundry. Podobnie jak ich wszyscy północni i zachodni sąsiedzi należą do athapaskijskiej rodziny językowej. Łowieckie tereny na zachodzie, poprzez rozległą puszcę, tysiące potoków i strumieni, setki rozlewisk i jezior, sięgają rzeki i jeziora Athabaska, opierają się o rzekę Niewolniczą, a w pewnych okresach nawet o południowe brzegi Wielkiego Jeziora Niewolniczego.

Zimą, gdy stada karibu, łoś i jeleni chronią się w zacisze gęstych borów, w których łatwiej znaleźć pokarm - Chipewyan polują w lasach. Podczas miesięcy ciepłych przenoszą się często do tundry - polują na renifery, woły piżmowe, które dziś już zupełnie wyginęły, i na inne liczne, mniejsze zwierzęta.

Wzdłuż zachodniej granicy Chipewyan oraz zachodnich granic Cree - posuwając się z południa na północ - spotykamy plemiona Blackfoot, których nazwa pochodzi od barwionych na czarno mokasynów, dalej Sarsi - „Niedobrzy” - mówiący również jednym z dialektów athapaskijskich, Beaver - Bobry - zajmujący obszary w widłach rzek Smoky, Peace i Athabaska. Właściwa nazwa Bobrów brzmi Tsattine.

Między jeziorem Athabaska a Wielkim Jeziorem Niewolniczym żyją Slave - „Niewolnicy”, którzy sami siebie nazywają Etchaottine: jeszcze bardziej na północ - plemiona Dogrib i Yellowknife. Na zachodzie i północy, w Górach Skalistych i na Alasce, żyją dziesiątki innych plemion, których nie sposób tu wyliczyć.

W warunkach, jakie stwarza ostry, mroźny klimat i surowa przyroda, pędzą prymitywny żywot pierwotnych myśliwych i traperów, których jedyne zajęcie to łowy i walka o utrzymanie własnych lub zdobycie obcych, lepszych terenów łowieckich. Polowanie to zajęcie trudne, wymagające rozlicznych umiejętności i znajomości otaczającego świata, wymagające fizycznej siły, zręczności, wytrzymałości i nieodłącznie pomocy duchów, które należy usposobić przychylnie, by do wytropionej zwierzyny pozwoliły podejść na odległość umożliwiającą skuteczny strzał z łuku lub rzut oszczepem.

Przychylność duchów potrzebna jest, żeby myśliwy w ogóle mógł odnaleźć trop zwierzyny, by nie zszedł z wybranej przez siebie ścieżki, nie ugrzązł w topielisku, nie złamał przypadkowo ręki czy nogi. co w dzikiej, bezludnej okolicy, z dala od pomocy przyjaciół równa się śmierci. A potem, gdy już upoluje łosia czy karibu, jego mięso, skórę i rogi musi na swych barkach przenieść do obozu odległego o kilka - nierzadko kilkadziesiąt kilometrów. I nie wolno zostawić mięsa. Mogłyby się obrazić duchy zwierząt, a poza tym mięsa nigdy nie jest za dużo. Trzeba zabrać wszystko po to, by nakarmić swoją rodzinę, ale również inne, te, których mężczyźni mieli tym razem mniej szczęścia i z polowania wrócili z pustymi rękoma.

Zwierząt jest dużo, ale są ostrożne. Podejść na trzydzieści, czterdzieści kroków, by pewnie wypuścić strzałę, nie jest łatwo. Nim się podejdziesz, trzeba odnaleźć trop, podążać nim niekiedy wiele mil. nie zgubić go. Nie zawsze strzała czy oszczep zabijają od razu. Niekiedy zraniona sztuka ucieka jeszcze wiele kilometrów, czasem cały dzień lub jeszcze dłużej.. Pościg pieszo, przez dzikie ostępy jest bardzo wyczerpujący. Zranione zwierzę należy dogonić i dobić; w przeciwnym razie stanie się łupem wilków lub innych drapieżników, a myśliwy, mimo iż stracił wiele sił i czasu, do obozu wróci tym razem z pustymi rękami. Młodzi, silniejsi wytrzymują głód. Starsi, schorowani, słabsi, będą musieli umrzeć. Z powodu prymitywnej broni głód i głodowa śmierć są częstymi gośćmi w wigwamach.

Wiosną i latem jest łatwiej. Brak zwierzęcego mięsa można zastąpić mięsem ptaków i ryb - w ostateczności jagodami lub korzonkami, ale zimą?... Zwierzęta są wprawdzie wtedy słabsze, zostawiają na śniegu widoczny ślad. o wiele łatwiej je wytropić, ale gdy pod stopami ma się

skrzypiący śnieg, znacznie trudniej podejść na dogodną do strzału odległość. Polowanie, ciągle polowanie jest koniecznością. Jedynie ono zapewni dostateczną ilość pokarmu, tylko ono daje potrzebne futra i skóry.

Mężczyźni polują więc wszyscy, ale zabijają tylko tyle zwierząt, by zaspokoić potrzeby rodziny, grupy, plemienia. Nie niszczą i nie tępią niepotrzebnie zwierząt. I jest tak od dawna, od niepamiętnych czasów. Zwierzęta dając się zabijać, karmiąc i odziewając liczne plemiona Uhnishenahbag, zasługują na wdzięczność, szacunek, na miłość człowieka. Bez nich nie istniałby i on.

Ale oto nadchodzi pierwsza połowa szesnastego wieku - rok 1534. Na południowy kraniec wielkiej krainy - nad rzekę św. Wawrzyńca przybywa pierwszy biały człowiek, człowiek zza Wielkiej Wschodniej Słonej Wody. Jest to Jacques Cartier. Lecz Indianie nie wiedzą kim jest ani w jakim celu przybył do ich krainy. Nic nie wiedzą o misji, jaką obdarzył go daleki, zamorski monarcha Francji - znalezienia zachodniej drogi do Indii i Katalju. Nie wiedzą, że biały przybysz marzy o odkryciu złota i srebra, drogich kamieni, delikatnych, wzorzystych tkanin, pachnidła i przypraw korzennych, kadzidła i wonnych olejków.

Bładolicy przybysz nie zapuszcza się zbyt daleko na zachód. Bada jedynie wewnętrzną część zatoki. Wraca jednak w roku następnym i tym razem płynie pod prąd wielkiej rzeki. Pierwsza osada, jaką spotyka, to irokeska wioska Stadacona. Tam u stóp wyniosłego, ciemnego masywu skalnego każe rzucić kotwice statków. Zabiera kilku członków załogi i przy pomocy łodzi wiosłowych płynie jeszcze dalej na zachód, by po niecałych dwu tygodniach dotrzeć do drugiej indiańskiej wioski Hochslaga - tam, gdzie w przyszłości powstanie potężne miasto Montreal. Nie odważa się jednak płynąć dalej. Rzeka jest bardzo bystra, prąd wody nadzwyczaj szybki, niebezpieczny. Po obu brzegach rozpościera się bezkresna puszcza. Przypłył tu jeszcze raz prawie sześć lat później.

Na odległym o tysiące mil francuskim dworze króla Franciszka I, składając sprawozdanie ze swych wypraw, nie może pochwalić się wielkimi sukcesami. Nie znajduje wszak ani zachodniej drogi do dalekich baśniowych krain Wschodu, nie odkrywa wielkich królestw, bogatych miast ani złotem kąpiących świątyń, jakie prawie pół wieku wcześniej odkryli i zdobyli hiszpańscy konkwistadorzy na Yukatanie, w Meksyku i Peru. Kraina, do której dotarł, jest uboga. Jej ziemie pokrywają dzikie, niezmierzone lasy i zamieszkują dzicy, prymitywni ludzie. Monarcha Francji nie interesuje się tym. W latach, które nadchodzą, jego królewski umysł zaprzętają inne, ważniejsze sprawy. Nową ziemią interesują się jednak francuscy rybacy z Normandii i Bretonii. Rokrocznie wypuszczają się na dalekie połowy wokół wybrzeży Nowej Fundlandii i Labradoru. Z wielomiesięcznych wypraw przywożą solone śledzie, tłuste wątlusze, dorodne łososie, niekiedy także wysoko cenione jesiotry, wielkie homary stanowiące ozdobę królewskiego i magnackich dworów. Coraz częściej ze swych wypraw przywożą skóry i futra fok, niedźwiedzi, wyder, łosi, lśniące, cudowne futra bobrowe, które u amerykańskich wybrzeży skupują od tamtejszych Indian Micmac, Malecite, Naskapi lub zabierają

„dzikim” Bethoukom z Nowej Fundlandii. Indianie handlują chętnie, za wyszczerbiony nóż, żelazny toporek, starą, zardzewiałą strzelbę płacą stosami futer. Oplacają się połowy, oplaca czysto wymienny - jeszcze na razie skromny - handel. Rybacy, a z czasem nie tylko oni, interesują się nim coraz bardziej.

Odzywają wspomnienia pierwszych wypraw Cartiera. Musi jednak minąć przeszło pół wieku od czasu jego pobytu nad Zatoką św. Wawrzyńca, by odświeżona o nich pamięć nabrała żywszych kolorów.

Jest początek siedemnastego wieku. Samuel de Champlain - syn szypra z małego francuskiego portu Brouage, już w czasie swej pierwszej wyprawy, w której uczestniczy jako królewski kartograf, odkryje w dolinie św. Wawrzyńca prawdziwe królestwo futrzane.

W roku 1608, w miejscu gdzie przedtem istniała indiańska wioska Stadacona, kładzie podwaliny pod miasto Quebec i na szeroką skalę organizuje handel futrzany, w tym głównie skup futer bobrowych, szczególnie cenionych w Europie.

Indianie, głównie plemiona algonkińskie i Huroni, przyjmują go przyjaźnie i chętnie. Wszak od kilku dziesiątków lat handlują po trosze z francuskimi rybakami.

Biali francuscy kupcy, którzy napływają teraz, przywożą nad rzekę św. Wawrzyńca nieporównanie cenniejsze ładunki - wspaniałe rzeczy. Mają przede wszystkim broń palną, która z odległości dwa lub trzy razy większej niż strzała z łuku powala pewnie największego niedźwiedzia lub łosia. Posiadają twarde, ostre, nie łamiące się noże, wykonane z błyszczącego jasnego metalu, nie tak kruche i tępe, jak indiańskie noże kamienne, rogowe, wykonane z rzecznych muszli czy zwierzęcej kości. Z dalekiej, zamorskiej ojczyzny przywożą z sobą żelazne, ostre groty do strzał i oszczepów oraz z tego samego metalu wykonane toporki. Mają żelazne i miedziane kociołki do gotowania strawy, cienkie igły i nici, różnobarwne koraliki i kolorowe, łatwe w użyciu farby, którymi znacznie łatwiej można ozdabiać myśliwskie bluzy, legginy i mokasyny.

Ale biali nie dają tych rzeczy za darmo. Żądają za nie futer, i to dużo. Za jedną strzelbę trzeba zapłacić wiązką futer bobrowych tak grubą, jak długa jest cała strzelba. Jednak posiadanie strzelby zapewni nie spotykana poprzednio pomyślność w czasie polowania. Warto więc zapłacić tyle, ile żądają kupcy.

Indianie na wymianę mają tylko futra. Muszą więc podwoić, a może potroić wysiłki w polowaniu; muszą zabić bardzo dużo zwierząt, znacznie więcej niż poprzednio, żeby mieć coraz więcej futer na wymianę.

Na północ, południe i zachód, tysiącem wodnych szlaków i wąskich, ledwo widocznych śródleśnych ścieżek, mkną powtarzane z ust do ust oszałamiające wieści o białych przybyszach, o ich cudownej broni, żelaznych naczyniach i ozdobach.

Daleko na wschód, za Wielką Słoną Wodę, do Francji - płyną żaglowce z pierwszymi

ładunkami futer. Wśród europejskich dworów, domów i kantorów kupieckich, indywidualnych kupców, pozbawionych ziemi angielskich chłopów - wieści o bogactwach futrzanych, o wielkich obszarach żyznej ziemi, o bogatych w wartościowe drewno lasach - rozchodzą się coraz szerszym echem. Podniecają ciekawość, rozpalają wyobraźnię, fascynują, napełniają nadzieją.

Do Nowego Świata popłyną więc osadnicy poszukujący ziemi, rzemieślnicy, purytanie, kwakrzy i kupcy. Pierwsi - głównie z Anglii, początkowo także z Holandii. Drudzy - kupcy - popłyną z Francji, Anglii, Holandii i Szwecji.

Wzdłuż atlantyckiego wybrzeża Ameryki Północnej, w wąskim nadmorskim pasie powstanie dziesiątki, wkrótce setki osad. Najdalej na północ wysuną się kolonie Plymouth, Pensylwania, Nowy Amsterdam - późniejszy Nowy Jork. Ale nie przekroczą doliny św. Wawrzyńca, gdzie Francuzi wraz ze swymi algonkińskimi i hurońskimi przyjaciółmi dobrze pilnują futrzanych interesów. Wprawdzie angielscy i holenderscy kupcy pójdą jeszcze trochę dalej i usadowią się w niewielkiej odległości od granic francuskiej Kanady, tuż poniżej zbiegu rzek Mohawk i Hudson, i kupieckie kantory otworzą w forcie Albany - ale początkowo nie dotrą dalej. Będą kupowali futra od pięciu plemion irokeskich - od czasów Champlaina wrogo nastawionych wobec Francuzów, od plemion Munsee, Sokoki, Pennacook i innych, żyjących bardziej na południe, ale swych przyjaciół Irokezów nigdy przecież nie będą pytać, jak dużą część tych futer przechwytyują od Huronów, Werno, Erie, Neutrals czy Tionontati (Tobacco). Ładunki najwyżej nie dotrą do Quebecu, Trois Rivieres czy Montrealu. Dotrą za to do Albany i dalej na południowy wschód do angielskich i holenderskich kolonii.

Handel futrzany przynosi ogromne zyski. Interesy idą coraz lepiej. Londyńscy, amsterdamscy i paryscy kupcy żądają coraz więcej futer. Kupcy z Plymouth, Albany, Nowego Amsterdamu, Montrealu i Quebecu żądają coraz więcej futer od Indian. I na futra te nie czekają z założonymi rękoma na miejscu. Na zachód i północ, na południe ruszają całe wyprawy - przeważnie francuskie.

Kraj jest dziki. Na północ, zachód i południe rozciągają się bezkresne, nieprzebyte bory, trzęsawiska, mroczne, zdradliwe bagna i moczary. Przez pierwotną puszcze wiją się tysiące rzek, potoków i strumieni. Pośród wysokopiennych borów srebrzą się ogromne rozlewiska, wielkie i małe jeziora usiane tysiącem wysp i wysepek. Jedyne drogi to niebezpieczne drogi wodne. Rzeki, żeglowne strumienie pełne są przeszkód, wodospadów, bystrzy, zdradliwych progów i wirów. Żyją tu ludzie, Indianie, niekiedy przyjacielscy - sprzedający białym futra - niekiedy dzicy, wrodzy - polujący na skalpy. Mimo iż nie wydają się być zbyt liczni, są prawie wszędzie. Najczęściej pojawiają się tam, gdzie nikt się ich nie spodziewa.

Badanie kraju odbywa się więc powoli. Jest trudne, uciążliwe, niebezpieczne, zwłaszcza że ani biali, ani Indianie nie wiedzą jak wielki, jak rozległy jest to kraj. Toteż pierwsze wyprawy francuskich kupców są ostrożne, niezbyt dalekie, niedługie.

Na południe od rzeki św. Wawrzyńca docierają do długiego, wąskiego jeziora, które na cześć

odkrywcy zostanie nazwane Jeziorem Champlaina. Na jego południowych krańcach akcję swej słynnej powieści „Ostatni Mohikanin” umieści James Fenimore Cooper.

Następne wyprawy podążą szlakiem zachodnim w górę Ottawy, miną wyspę Alumette, jezioro Nipissing, dotrą do Zatoki Georgian na północno-wschodnim krańcu jeziora Huron. Rozpoznają i zbadają krainę Huronów, jeziora Simcoe i Kawartha.

Założyciel Nowej Francji i jej pierwszy gubernator - Samuel de Champlain - szlakiem tym dotrze daleko na południe do jeziora Oswego, któremu znacznie później biali nadadzą nazwę Ontario oraz do jeziora Oneida, na południowym zapleczu największych wrogów Nowej Francji - Irokezów.

Wyprawy późniejsze skierują się szlakiem rzeki św. Wawrzyńca, zbadają północne wybrzeża jeziora Huron i okalające je rejony, podążą dalej na zachód i południe wzdłuż Missisipi i Illinois, odkryją jeziora Michigan i Erie. Późniejsze poznają Jezioro Górne oraz krainę leżącą między nim a daleko na północnym wschodzie położoną Zatokę Hudsona.

Minie przeszło sto lat od czasu założenia miasta Quebec, kiedy szlakiem rzeki Ottawy, północnym skrajem Wielkich Jezior, poprzez Rainy River, Rainy Lakę i Jezioro Leśne, francuscy kupcy dotarli do jeziora Winnipeg, a następnie na południowy zachód i południe do wielkiej zachodniej prerii w krainie Dakotów i Mandanów.

Każda z tych wypraw pozwala poznać coraz dalsze zakątki kraju, każda-przynosi pełniejszą wiedzę o jego bogactwach - na razie futrzanych, o zamieszkujących rozległą ziemię ludziach. Każda następna idzie dalej i dalej, przecierając i wytyczając szlaki i ścieżki dla innych.

Wzdłuż tych szlaków - głównie wodnych - powstają forty pełniące prócz obronnych również funkcje handlowych posterunków i faktorii.

W odległe zachodnie i północne puszcze, daleko na południe zapuszczają się pojedynczy kupcy i handlarze. Coraz głębiej, w samo serce bezkresnych borów, w najbardziej odległe rejony futznanego królestwa, docierają towary białych - bogactwa, których Indianin nie wyrzeknie się już nigdy.

Całe wielkie plemiona, które do tej pory polowały, by żyć, które stanowiły nieodłączną część przyrody, współistniejące z nią w harmonii i przyjaźni, korzystające z jej darów jedynie dla zaspokojenia własnych, niewielkich potrzeb, rozpoczynają tępienie wszelkich zwierząt, nie tylko na swoje potrzeby, ale dla kupienia rzeczy, które mogą sprzedać im biali. Zabijają więc bezlitośnie zwierzyne, by za futra i skóry zdobyć strzelbę, proch czy ołów na kule, żelazne ostrze do tomahawku, nóż czy toporek, koraliki, farby, wstążeczki; setki innych bezwartościowych świecełek dla przybrania stroju, takich które podnoszą prestiż, dodają powagi i znaczenia, zaświadczają o bogactwie ich posiadacza, a tym samym stają się wyznacznikiem jego rangi w grupie, zaspokajają ambicje i nigdy nie gasnące marzenia o sławie drzemiące w piersi każdego Indianina.

Kiedyś sława i poważanie zależały od osobistej odwagi, siły, powodzenia w łowach,

dzielności w walce, mądrości czy rozważli. Teraz coraz częściej decydują o nich nowa strzelba lub większa niż u innych ilość koralików, perkalu czy wełnianych koców. Rzeczy tych trzeba zdobyć jak najwięcej.

Od kul, stalowych grotów i sideł, żelaznych toporów giną zwierzęta na Labradorze; topnieje niczym śnieg na wiosnę nieprzebrana dotąd ilość bobrów w dolinie św. Wawrzyńca. W pobliżu osiedli białych i kupieckich faktorii zmniejsza się liczba norek, piżmaków, gronostaj, skunksów i rysiów. Nie jest bezpieczna nawet wiewiórka, a i wilk odchodzi w odległe, bardziej bezpieczne strony.

Wzrasta za to ilość futer dostarczanych do kupieckich faktorii i handlowych posterunków. Zamorskie don y handlowe robią coraz lepsze interesy. Kto wie, czy zyski w handlu futrami są mniejsze niż te, które Hiszpanie osiągają z eksploatacji kopalń złota w Ameryce Środkowej?

Płyną więc do Nowej Francji, do kolonii angielskich w Ameryce Północnej coraz większe ładunki europejskich towarów - na zaopatrzenie kolonii, w coraz większej ilości także na wymianę z Indianami za futra. I coraz większy udział w niej stanowi alkohol.

Dzicy piją chętnie; łatwo się do alkoholu przyzwyczajają. Wkrótce nie będą mogli już bez niego żyć. Handlowe transakcje załatwia się z nimi znakomicie właśnie przy pomocy wody ognistej.

Między kupcami wzmaga się rywalizacja o futrzany rynek. Do konkurencji między północnymi koloniami angielskimi a francuską kolonią w Kanadzie dołącza potężny, nowy rywal - Hudson Bay Company.

Prawie całkowicie na własną rękę pracują francuscy „gońcy leśni”, których za czasów gubernatora Fronteiaca jest już w Kanadzie około pięciuset. Nie mieszkają w Montrealu ani w Quebecu; żyją z dala od osad białych mieszkańców, w głębi puszczy i borów, na rozległych równinach i w dalekich górach zachodnich. Zakładają rodziny wśród Odżybuejów, Cree, Dakotów, Sarsi czy Mandanów. Z czasem sami upodabniają się do dzikich mieszkańców tej bezkresnej krainy. Są twardzi, zahartowani wśród niebezpieczeństw, nieustępliwi. Nie uznają nad sobą żadnej władzy. Chcą być wolni, tak jak Indianie, niezależni, chcą zdobyć pieniądze, a pieniądze najłatwiej zdobywa się handlując futrami. Kupują je od Indian - to wiadomo. Komu sprzedają?... Czy kupcom z Montrealu, Albany, Plymouth, Bostonu, czy też dostarczają do York lub Moose Factory nad Zatoką Hudsona - do Hudson Bay Company? Bywa różnie. Ryzyko, niebezpieczeństwo, bo i Indianie rywalizują i walczą między sobą - to chleb powszedni. Jedna pomyłka, nieostrożny krok, chwila nieuwagi - i życie gaśnie. Ale zarobek ńęci. Warto zaryzykować. Ryzykują więc wszyscy. I ci, którzy wiozą towary, i ci, którzy wiozą futra. Nie ma litości w tej walce. Każdy ma swych sojuszników i wrogów.

W kantorach kupieckich, handlowych magazynach, odległych faktoriach zagubionych wśród puszczy i borów, wśród „dzikich Indian”, na szlakach, którymi płyną towary i futra - wszędzie tkwią szpiedzy rywalizujących stron. Czy tylko biali? Nie! Również Indianie. Czasem łowiecki sezon się nie uda. Może więc uda się napad, zasadzka na nie spodziewający się niczego transport? Kupcy nie pytają

o źródło. Bobrowe futro dostarczone przez znenawidzonego Minga czy Delawara ma taką samą wartość i cenę.

Nikt nikogo nie pyta, a przed zbyt dociekliwym okiem władz kolonii można się jakoś ustrzec. Dowodów osobistych jeszcze nie wymyślono; paszportów nie wydaje się. Zresztą czytać umie nie tak wielu. Wszak to dopiero początek osiemnastego wieku. Każdy więc jest tym, za kogo się podaje i co potrafi udowodnić siłą pięści, kulą czy nożem.

W tej grze, która nazywa się handlem futrzanym, często traci się skalpy. Tracą je biali i Indianie. Czy przed przybyciem w te rejony białych nie skalpowano? Ależ tak! Indiańscy wojownicy zawsze brali skalpy innym indiańskim wojownikom. Dodawało to sławy, szacunku, poważania wśród współbraci. Teraz też biorą, ale nie tylko od Indian. Biorą nie tylko Indianie. Sojusznicy Francuzów zdejmują skalpy z angielskich głów. Sprzymierzeńcy Anglików - z głów francuskich. Opłaci się. Białym opłaci się i skalpować, i płacić za skalpy dzikich, i za skalpy konkurencji. W ten sposób zostaje mniej pretendentów do indiańskiej ziemi.

Jeszcze do dzisiaj toczą się naukowe spory czy to purytanie, czy Ojcowie Pobożni ustalili jako pierwsi ceny za indiańskie skalpy. Oczywiście różne ceny. Najwyższe za skalp dorosłego wojownika, najlepiej wodza, który nie chce oddać białym swej ziemi i odejść z niej. Nieco niższe za skalp kobiety. Najniższe za skalp dziecka od lat ośmiu. Młodszych widocznie nie opłacało się skalpować. Tylko czy na pewno?...

Indianie odpłacali tak jak potrafili - najczęściej przy palu męczarni.

Zostawmy jednak te drażliwe sprawy, zwłaszcza że wraz z upadkiem Nowej Francji, co nastąpiło w roku 1760, i zawładnięciu Kanadą przez Anglików, przestano wypłacać premie za skalpy białych, chociaż jeszcze w sto lat później płacono za indiańskie.

Kiedy francuska Kanada upadła, skończyła się era dominacji francuskiego handlu futrzanego w dolinie św. Wawrzyńca. Forty i faktorie, kupieckie kantory od Quebecu po jezioro Winnipeg objęli kupcy angielscy. Wprawdzie ekspansję ich na krótko w latach 1763-64 przyhamował Pontiak - wojownik plemienia Ottawów, który skupił wszystkie plemiona algonkińskie z rejonu St. Lawrence i Wielkich Jezior, i rzucił je do walki przeciwko Anglikom. Nie zmieniło to jednak biegu dziejów ani nie wywarło większego wpływu na futrzany handel. Tyle tylko, że Indianie, którzy zostali uzależnieni od kupców - już tylko angielskich - za wszystko musieli płacić wyższe ceny. Zapłacili też cenę najwyższą, tracąc bezpowrotnie swe ojczyste ziemie. Odeszli dalej - na zachód i północ, i będą odchodzili coraz dalej, aż w końcu biali zapędzą ich do rezerwatów.

W tym samym czasie Hudson Bay Company obejmująca z tytułu przywileju królewskiego z roku 1670 ogromny obszar kraju na południe i zachód od Zatoki Hudsona, zwany Ziemią Ruperta i nie wchodzący w skład angielskiej kolonii w Kanadzie, czując zagrożenie od południa, ze strony tym razem angielskich kupców z Montrealu i Quebecu oraz działających daleko na zachodzie i północnym

zachodzie indywidualnych francuskich i angielskich kupców i gońców leśnych, tworzących coraz liczniejszą i bardzo szeroko rozproszoną rodzinę Nor'Westersów, poszukuje usilnie nowych rejonów swej aktywności.

W latach 1769-1772 Samuel Hearne bada z jej ramienia obszary położone na północ i północny zachód od Zatoki Hudsona, rejony wokół rzeki Niewolniczej i Wielkiego Jeziora Niewolniczego. Rzeką Coppermine dociera w głąb ziem eskimoskich - do wysp Archipelagu Arktycznego. Kupcy z Hudson Bay Company rozszerzają sieć swych posterunków handlowych i rejony skupu futer daleko na zachód i północ.

Ale NorWestersi - Ludzie Północno-Zachodniego Szlaku - mają oczy szeroko otwarte. Wiosną roku 1774 Aleksander Henry, montrealski kupiec, wraz z Peterem Pondem i braćmi Frobisher osiągają rzekę Saskatchewan i Cumberland House - pierwszą stałą, śródlądową placówkę Hudson Bay Company, założoną przez Hearne'a rok wcześniej.

Wiosną roku 1775 Henry oraz bracia Frobisher handlują z północnymi Indianami znacznie dalej na północ, i nad rzeką Churchill zakładają własną faktorię kupiecką. Tam słyszą od Indian o rzekach i jeziorach położonych jeszcze dalej na zachód i północ - o potężnej rzece Peace, Niewolniczej i Athabascie, w których rejonie ma się znajdować nie naruszone dotąd, nowe, wielkie królestwo futrzane. Na wschodnim zapleczu tego królestwa rozwija się coraz silniejsza, sięgająca po nowe tereny Hudson Bay Company.

Ludzie Północno-Zachodniego Szlaku są rozproszeni. By oprzeć się silnej, bezwzględnej, nie przebierającej w środkach konkurencji Hudson Bay Company, w roku 1784 tworzą w Montrealu własną wielką kompanię handlową - North West Company.

Z jej ramienia. 3 czerwca 1789 roku, Aleksander Mackenzie opuszcza placówkę kompanii nad jeziorem Athabaska; bada rejony wzdłuż rzeki Niewolniczej i Wielkiego Jeziora Niewolniczego, a następnie Wielkiego jeziora Niedźwiedziego. Nawiązuje przyjazne stosunki z plemionami Yellowknife, Slave, Dogrib, Satudene, Mountain, Hare i wieloma innymi.

Dwie potężne kompanie handlowe - Hudson Bay Company i North West Company stają do bezkompromisowej walki o opanowanie królestwa futrzanego na ogromnym terytorium Kanady.

Do rywalizacji o zyski z tego handlu dołączają setki indywidualnych kupców, pośredników, różnych niebieskich ptaków, a także kompanie ze Stanów Zjednoczonych - wielka Ohio Company i North West Fur Pacific Company.

Tam gdzie trwa owa bezlitosna i bezkompromisowa walka, w samym sercu kanadyjskiej kniei, w miejscu gdzie wody swe łączą potężna Athabaska, rzeka Peace i Wielka Rzeką Niewolnicza - spletają się losy uczestników tej walki - handlarzy futer - bohaterów niniejszej książki.

Yackta-Oya

ROZDZIAŁ I

Przebrzmiały echa ostatniej wojny, która w Nowym Świecie zakończyła się klęską Francji. Z Quebecu, Montrealu i Trois Rivieres odeszły francuskie władze wojskowe i cywilne. W fortach rozsianych wzdłuż doliny św. Wawrzyńca oraz wokół Wielkich Jezior miejsce dotychczasowych oddziałów zajęły garnizony angielskie.

Zapadły w północne i zachodnie puszcze plemiona indiańskie, biorące udział w wielkiej wojnie Pontiaka, kładąc przed odejściem swe podpisy na haniebnych traktatach pokojowych wymuszonych przez zwycięzcę. Na traktatach tych znalazł się, między innymi, podpis Wielkiego Wilka - wodza Szawanezów oraz sławnych wodzów Delawarów: Shingasa i Serce Żółwia. Jako ostatni postawił swój znak - znak Czarnej Wydry - wódz Ottawów.

Wielu kupców francuskich, niepewnych dalszego losu, wróciło do swej dawnej zamorskiej ojczyzny; część, która nie miała gdzie już wracać, przyjęła pracę u nowych właścicieli faktorii i w placówkach handlowych, część wreszcie powędrowała na zachód tworząc szeroko rozproszoną rodzinę indywidualnych handlarzy futer, żyjących latami wśród puszczy i prerii, między wolnymi i nie ujarzmionymi przez białego człowieka plemionami Indian.

Wrota do królestwa kanadyjskiego handlu futrzanego, o które od blisko dwu stuleci toczyła się twarda, nieustępliwa wojna między zamorskimi potęgami - Francją i Anglią - stały otworem przed kupcami angielskimi.

Od północy, z Ziemi Ruperta, na której potężne posterunki handlowe Hudson Bay Company założono ponad sto dwadzieścia lat temu, płynął na zachód nieprzerwany potok towarów, w zamian za które kupcy i handlarze otrzymywali od Indian ogromne ładunki futer. Niekiedy futra te skupowali lub zdobywali w różny sposób u NorWestersów.

Od południa szeroką ławą, mimo formalnych zakazów, na kanadyjskie obszary wlewali się poprzez nie ustaloną ściśle granicę kupcy Stanów Zjednoczonych - młodego państwa, które dzięki pomyślnemu zjednoczeniu trzynastu kolonii miało dość siły, by uniezależnić się od Anglii i zagrozić nowej, nie okrzepłej jeszcze kolonii angielskiej w Kanadzie, zresztą znacznie słabszej pod względem liczby zdolnych do noszenia broni.

A handel futrzany przynosił ogromne zyski. Mimo iż kupcy Hudson Bay Company oraz nowo powołanej w Montrealu North West Company i Ohio Company ze Stanów Zjednoczonych wywodzili się z tej samej, dawnej ojczyzny, leżącej na niewielkiej wyspie w pobliżu Starego Kontynentu, mówili tym samym językiem i wierzyli w tego samego Boga, interesy ich były sprzeczne, a rywalizacja o zyski w futrzanym handlu równie twarda i bezlitosna, jak niedawne wojny z Indianami i Francuzami.

Istnieli wszakże Indianie - ci pokonani znad Wielkich Jezior lub wyrzuceni ze swych ziem nad Atlantykiem, którzy z rozpaczą, ale i głuchą nienawiścią do białej rasy w sercu, odeszli w rejon doliny

Ohio, za górną Missisipi i Missouri, i ci, żyjący z dala od potęgi białych - zajmujący ogromne obszary kanadyjskiej kniei na północ od Zatoki Hudsona aż po bezleśne obszary tundry, rejony wokół jeziora Athabaska i Wielkiego Jeziora Niewolniczego, i dalej na zachód aż po Góry Skaliste, niezależni, wolni, swobodni, dzielni, uznający jedynie surowe prawa przyrody i odwieczne zwyczaje swych ojców.

Ci Indianie potrzebowali białych i jeszcze nie obawiali się ich. Kupowali strzelby, proch i ołów na kule, żelazne noże, ostrza na wojenne topory i żelazne groty do strzał i oszczepów. Od białych kupców dostawali jeszcze coś. Mocny napój - wodę ognistą, która, koła ból, wyzwała odwagę, przenosiła duszę wojownika w krainę duchów i sprawiała, że spożywający ją stawał się równy najpotężniejszym. Biali kupcy dostarczali cennych rzeczy potrzebnych również kobietom Indian - różnobarwnych koralików do ozdabiania ubrań, igieł i nici, farb do barwienia odzieży, ciepłych koców, perkalu i sukna, soli, mąki, kaszy, naczyń metalowych, potrzebnych do gotowania, a trwalszych od wyrobów z kory brzoźowej.

Były to wspaniałe rzeczy, za które Indianie płacili stosami futer bobrowych oraz innych zwierząt futerkowych, od których roły się okoliczne bory, doliny rzek i jezior.

Biały handlarz docierał wszędzie. Toteż wymiana odbywała się czasem w obozowisku Indian, czasem w prymitywnie skleconej faktorii lub innym przygodnym miejscu, i najczęściej nie była to wymiana uczciwa.

Władze kolonii bądź kupieckie kompanie próbowały niejednokrotnie ujednoczyć ceny za dostarczane Indianom towary. Jednakże po wyeliminowaniu francuskiej konkurencji angielscy kupcy przeważnie nie przestrzegali zaleceń swych władz i stosowali ceny wyższe od rzeczywiście obowiązujących.

Oszukiwano więc Indian na każdym kroku; dochodziło do sporów, kłótni, utarczek, a tam gdzie rum pojawiał się w większej obfitości - niejednokrotnie do krwawych dramatów.

Rosła wzajemna nieufność i wrogość. Według odwiecznych praw plemiennych każda krzywda wymagała zemsty, zemsta wywoływała odwet i w końcu handel stał się tym zajęciem, w którym chwila nieuwagi lub braku czujności mogła kosztować życie.

Z rzadka więc w dalsze rejony zapuszczał się pojedynczy biały handlarz czy myśliwy; tym bardziej że w kraju tak rozległym i dzikim, w którym sama przyroda i surowy klimat stwarzały tysiące niebezpieczeństw, najmniejsza przygoda lub przypadkowe zejście ze znanej ścieżki, bez wsparcia czy pomocy przebywających w pobliżu kilku oddanych i dzielnych towarzyszy, mogła zakończyć się tragicznie.

Toteż gdyby w miejscu, któremu za chwilę poświęcimy nieco uwagi, znalazł się zupełnie przypadkowo jakiś przygodny obserwator, musiałby odczuć niemałe zdziwienie, jeżeli wręcz nie zaskoczenie.

Zza zakrytego w tej chwili ścianą gęstego boru zakrętu rzeki wysunęło się, walcząc z przeciwnym prądem, niewielkie indiańskie kanu sporządzone z kory brzozy.

Kłęczący w jego tylnej części wiosłarz, przed którego oczyma ukazał się długi, prosty odcinek białej kipieli, głębiej zanurzył wiosło, kierując swoją wążką łódeczkę wprost w spienione fale. Jego uważny wzrok nieomylnie dostrzegał zdradliwe mielizny, ukryte tuż pod powierzchnią odłamki ostrych skał, wystające z wody kamienie i głębokie zdradliwe wiry. Trzymał się nieco bliżej prawego brzegu, przy którym prąd wydawał się silniejszy, ale za to mniej było przeszkód. Wiedział zresztą, że bystrza skończą się niezadługo i za następnym zakrętem, gdzie woda rozlewa się szerzej, prąd jej osłabnie. Nie zmniejszał więc wysiłku i cał za całem piął się w górę rzeki.

Nie zwracał specjalnej uwagi na otaczający go krajobraz, chociaż rzucane od czasu do czasu spojrzenia wzdłuż zalesionych brzegów kazały domyślać się, że nie lekceważy tego, co mogą kryć nadbrzeżne zarośla i ciemne ściany puszczy, z której, głuszone przez wodną kipieli, nie docierały najmniejsze odgłosy.

Jeszcze kilka silnych ruchów ramion, niewidoczny prawie pod powierzchnią głaz, który łódka ominęła cudem, i szeroka, spokojna, przezroczysta toń.

Przygięte w wysiłku ramiona wyprostowały się: szybki oddech stopniowo nabierał spokojniejszego rytmu, napięte mięśnie rozluźniły się nieco. Uniesioną z lekka głowę i odsłonięty kark owiewał przyjemnie niezbyt silny, rześki wiatr wiejący z zachodu. Poprzez gąszcz splątanych wysoko w górze potężnych konarów prześwitywały skrawki jasnego nieba.

Okolica wydawała się dzika i bezludna, a schodzące się nad rzeką ściany wielkiego lasu potęgowały jeszcze wrażenie dzikości. i wrażenie to nie było złudne. Bowiem rzeka, na której ujrzeliśmy podróżnego, znajdowała się w samym sercu kanadyjskiej kniei, prawie o tysiąc mil na zachód od Fortu Churchill, i stanowiła jeden z licznych wschodnich dopływów jeziora Athabaska.

Kim był wędrowiec, skąd płynął, jakimi szlakami kierował swe kanu, dokąd zmierzał i dlaczego znalazł się sam w tym odludnym miejscu? Jaki był cel jego wyprawy i wreszcie dlaczego nie przyłączył się do jakiejś liczniejszej grupy, zapewniającej minimum bezpieczeństwa w niezbadanych regionach? Dlaczego wreszcie wybrał nikomu chyba nie znany dziki szlak, pozostawało zagadką.

Mimo iż przyklęknął na jedno kolano, by łatwiej kierować swą łódką, wydawał się dosyć wysoki. Jego pewne, stanowcze ruchy, zręczność i swoboda, z jaką posługiwał się krótkim wiosłem, ukazywały gibkość postaci i naturalny wdzięk. Bawełniana, gruba koszula, bluza z dobrze wyprawionej, miękkiej skóry łosia, gładko przylegająca do ramion i piersi, przepasana szerokim skórzanym pasem, nie krepując ruchów uwydatniała jedynie grę mięśni i siłę ich właściciela. L! prawego boku, w prostej grubej pochwie zwiisał długi myśliwski nóż zakończony prostą drewnianą rękojeścią, ozdobioną u samego końca rzeźbą imitującą głowę jakiegoś zwierzęcia. Nogi i uda okrywały obciste legginy¹ z jeleniej skóry ozdobione po bokach kolcami jeżozwierza. Stopy tkwiły w

miękkich mokasynach sięgających powyżej kostek i drobny ten szczegół wskazywał, iż podróżny przybywał z daleka, z innych stron.

Sądząc po tym zewnętrznym, krótkim opisie można by go wziąć za Indianina, za przedstawiciela jednego z licznych szczepów Chipewyan. na których terenie znajdował się, ale przypuszczenie to należało natychmiast odrzucić. W stroju podróżnego i jego wyglądzie brakowało istotnego szczegółu. Na jego szyi nawet najbardziej bystry obserwator nie dopatrzyłby się woreczka z lekami, z którym Indianin nigdy się nie rozstawał. Twarz o rysach surowych, pociemniała od wiatru i dymu obozowych ognisk, nie należała do rdzennego mieszkańca tej ziemi. A poza tym szaroniebieskie oczy wyraźnie wskazywały na przedstawiciela rasy białej. Ciemne, z lekka falujące włosy i bujny zarost, którego prawie zupełnie pozbawieni są Indianie, nie pozostawiały w tym względzie żadnych wątpliwości. W jakim był wieku? Pewnego rodzaju swoboda i zręczność ruchów, brak siwizny, kazały domyślać się w nim człowieka, któremu lata jeszcze nie ciążyły.

Wpłynąwszy teraz w bardziej spokojny nurt, więcej uwagi zwracał na mijany krajobraz. Głęboka ciemny bór pozostawił za sobą przynajmniej o milę. Kilkaset jardów przed sobą widział rozległą łąkę, a za nią luźno rozrzucone modrzewiowe kępy. Poruszając cicho, bez szmeru wiosłem uważnie przesuwał wzrok od jednej do drugiej.

O tej porze dnia, w pobliżu wody, w każdym niemal miejscu mógł spodziewać się jakiejś grubszej zwierzyny, a świeżego mięsa potrzebował już od paru dni. Zdobyć go uniemożliwiła mu trwająca prawie przez tydzień wiosenna nawałnica. Sądził więc, że dziś, kiedy ustały potoki deszczu i uspokoił się wicher, z łatwością zaspokoi swoje potrzeby.

Odruchowo spojrzął na leżącą u nóg strzelbę. W razie potrzeby wystarczyło sięgnąć ręką. W polu widzenia nic się jednak nie poruszało. Pchnął więc nieco silniej czółno i przez kilka minut nie zwracał uwagi na otoczenie. Nawet stadko dzikich gęsi, które nagle poderwało się w pobliżu, nie przyciągnęło jego wzroku.

Wprawdzie leżący dotąd spokojnie na dziobie łodzi duży, bury pies poruszył się i z widocznym wyrzutem popatrzył na swego pana, uznał jednak, że zdobycz niewarta zachodu i spróbował ponownie zająć w miarę wygodną pozycję w łódce. Raz jeszcze pogonił wzrokiem za ginącym w oddali stadkiem ptaków i jakby zeszywniał. Chwilę trwał w bezruchu, po czym wolno począł obracać pysk w kierunku, w którym płynęli i skąd nadlatywała jakaś słaba, nieuchwytna, ale niepokojąca woń. Pies widocznie znał ją, gdyż nim przepłynęli dalsze kilkanaście jardów, sierść na jego grzbiecie zaczęła podnosić się ostrzegawczo.

Wioślarz znalazł widać dobrze swego towarzysza, bo kilkoma szybkimi i cichymi ruchami skierował łódkę do brzegu i wsunął ją ostrożnie pod gęstwinę nadbrzeżnego listowia. Nie ujawniał jednak niepokoju. Nawet nie sięgnął po broń. Patrzył uważnie na zachowanie psa. W końcu pogładził go lekko i jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki sierść na karku zwierzęcia opadła - nadal

jednak trwał w bezruchu, z nosem wyciągniętym w stronę nadlatującego wiatru. Jego powiew niósł zapach. Który pies sygnalizował swoim zachowaniem, i zapach ten nie należał do zwierzęcia. Gdzieś tam, w górze rzeki, znajdowali się ludzie i pies ostrzegał przed nimi.

Podróżny przez chwilę ważył coś w myśli; w końcu sięgnął po strzelbę. Zimnym, spokojnym spojrzeniem zlustrował najbliższe otoczenie i szepnął cicho: - Ness!

Pies jak wąż prześliznął się między listowiem i zaszył w modrzewiowej gęstwinie. Nie było go kilkanaście sekund, lecz gdy ukazał się ponownie na skraju zarośli i zatrzymał, jakby w oczekiwaniu na swego towarzysza, mężczyzna bez szmeru opuścił łódkę i lekko zgięty podążył tropem swego czworonożnego przewodnika.

I dopiero teraz można było dokładnie przyjrzeć się jego postaci. Musiał mierzyć dobre sześć stóp. Szerokie bary i wąskie biodra oraz lekkość i sprężystość ruchów potwierdzały przypuszczenia o jego młodym wieku, a ostrożne, ciche ruchy wskazywały na bogate doświadczenie mieszkańca puszczy. Gdy sunął tak/poprzez gęstwinę obserwując ruchy psa, mimo że przesuwiał się szybko między drzewami, pod stopami jego nie zaszeleścił najmniejszy liść, nie trzasnęła najdrobniejsza gałązka.

W pewnym momencie, gdy powiał nieco ostrzejszy wiatr, wchłonął głębiej jego woń i zrozumiał. Wiatr niósł powiew dymu, ale nie była to woń miłego obozowego ogniska. Gdzieś w zakamarkach podświadomości zamigotało dawne, niejasne wspomnienie..

Dym mógł dolatywać tu z odległości co najmniej kilkuset kroków. Nie osłabiając czujności przyśpieszył i po chwili przez modrzewiowy las zamajaczyła jaśniejsza przestrzeń. Sunęli teraz wolno, aż znaleźli się na skraju zarośli.

W niewielkim, pozbawionym drzew wgłębieniu, prawie tuż nad brzegiem rzeki, dymiły zgliszcza kilku szałasów, lecz nie one przyciągnęły wzrok podróżnego. To, na czym zatrzymało się jego spojrzenie i przy czym znieruchomiało, to kilka ciał spoczywających wokół szałasów. Ich nieruchomość, dziwaczna pozycja w jakiej się znajdowały oraz inne widoczne ślady, nie pozostawiały cienia wątpliwości, jakie zdarzenia musiały się tu rozegrać.

Myśliwy dotknął ponownie karku zwierzęcia i szepnął:

- Ness, uważaj - po czym sam zaszył się w gęstwinie drzew. Gdy wynurzył się kwadrans potem po przeciwnej stronie, tuż nad rzeką, gwizdnął krótko.

Swą długą strzelbę trzymał niedbale w ręku i uważnie obserwował ślady widoczne nad samą wodą. Zostawił je i skierował się ku środkowi kotlinki. Nie zachowywał żadnej ostrożności - snadź uznał, że nie grozi mu niebezpieczeństwo. Na leżących zdawał się nie zwracać na razie najmniejszej uwagi. Ze wzrokiem utkwionym w ziemię penetrował za to każdy skrawek gruntu wokół tłącego się jeszcze obozowiska. Nie ominął żadnej kępki trawy, żadnej zgniecionej gałązki - nie przepuścił najmniejszego śladu. Gdy wreszcie przeszukał całą kotlinkę i otaczające ją zarośla, zbliżył się do

leżącego najbliżej zarośli ciała i pochylił nisko. Leżącym był rosły, barczysty Indianin o martwej, pozbawionej wyrazu twarzy. Śmierć musiała zaskoczyć go w czasie snu. Cios zadany obuchem topora zmiażdżył cały tył czaszki. Nie wiedział, kiedy zginął. W pobliżu szałasów leżało jeszcze trzech, - zabitych w podobny sposób. Piąty otrzymał nożem cios prosto w serce. Kilkunastoletnia z wyglądu dziewczynka została po prostu uduszona, o czym świadczyły sine znaki od palców na jej szyi. Jeszcze jedna Indianka - może matka, której zwłoki w połowie strawił ogień - w zaciśniętej dłoni trzymała garść rudych zmierzwionych włosów. Jej również topór rozplatał głowę.

Po dokładnym obejrzeniu zgliszcz raz jeszcze, podszedł do pierwszych zwłok i niczym pies obwąchiwał długo odzież leżącego. W końcu wstał i pokiwał ze zrozumieniem głową. Skórzana bluza cuchnęła wódką. Tu wydawało się być wszystko jasne. Prócz Indianki i dziecka pozostali byli pijani. Byli pijani do nieprzytomności. Inaczej sprawa nie poszłaby tak łatwo. Wrócił w miejsce, od którego rozpoczął poszukiwanie i raz jeszcze przebadał najdrobniejszy szczegół, tam gdzie stawały poprzednio łodzie i skąd napastnicy odpłynęli w górę rzeki. Nie znalazł jednakże odpowiedzi na dręczące go pytanie. Jeżeli istniały jeszcze jakieś ślady, zmył je prąd wody.

Patrząc z zamyśleniem w czystą przezroczystą toń, drgnął lekko i przykucnął. Tak, tuż obok miejsca wyłobionego przez dziób łodzi połyskiwało coś. Zanurzył ostrożnie rękę i w chwilę potem na mokrej dłoni matowym, żółtym blaskiem zaślniła niewielka, dosyć ciężka grudka. Obejrzał ją uważnie i jakaś niejasna myśl ściągnęła jego ostro zarysowane czarne brwi. W oczach zaślniły zimne błyski. Wiedział już, dlaczego śmierć poniosło tylko tych siedmioro. Dwoje pozostałych przy życiu - tego był pewien - posiadało złoto i jeśli napastnicy powzięli podejrzenie, że dwójka ta może znać miejsce, gdzie znajduje się cenny kruszec - nie mogli pozbawić ich życia.

Raz jeszcze wrócił do zmasakrowanych zwłok i tym razem przetrząsnął ich skąpą odzież. Jednakże bez rezultatu. Broń zabrano albo wyrzucono do rzeki, nie usiłował więc nawet jej szukać.

Nie oglądając się więcej za siebie ruszył szybko z powrotem, tam gdzie pozostawił łódź. Kurek strzelby był w tej chwili spuszczonej. W tej stronie, gdzie wiatr roznosił zapach dymu, nie mógł spodziewać się żadnej zwierzyny. Jakiejś przypadkowej zasadzki nie obawiał się również. Ness przeczesywał zarośla pięćdziesiąt jardów w przodzie, a nos i instynkt nie zawodziły go nigdy.

Gdy dotarli do kanu, myśliwy spojrzał na niebo i pomyślał, że do południa pozostało jeszcze około dwu godzin. A więc tamci wyprzedzali go o pół dnia drogi. Wiedział, że przed zachodem słońca nie doścignie ich, nawet gdyby się spieszył. A jeżeli pojadą nocą? Tak... rzeka na przestrzeni wielu mil płynęła spokojnie. Nie groziły im na tym odcinku żadne niespodzianki.

Z dna łódki wyjął ciężko wypchaną torbę i wyciągnął ostatnie dwa kawałki suszonego mięsa. Było to niewiele, ale coś. Jeden położył przed pyskiem psa, drugi wziął sobie. Mięso było twarde, trzeba było je żuć kawałkami.

Gdy w pół godziny później mijał miejsce niedawnego dramatu, nie spojrzał nawet w tym

kierunku, chociaż zapach zwęglonych zwłok drażnił go jeszcze przez jakiś czas. Był to właśnie zapach, który wyczuł poprzednio, a który pamiętał od bardzo dawna.

Pies ponownie leżał na dziobie kanu z nosem skierowanym na zachód.

Podróżny wiosłował równo i spokojnie, a że prąd był coraz słabszy, posuwali się znacznie szybciej. Krajobraz nie zmieniał się wiele. Iglasty las ciągnął się tu dziesiątkami mil; raz zbliżał, raz nieco oddalał od rzeki. Gdzieś wyłaniały się małe polany porośnięte kępami mizernego jeszcze o tej porze roku maku. Niekiedy sosna ustępowała miejsca drzewom świerkowym. Nad samą rzeką, w bagnistych miejscach, pojawiały się kępy olch lub niska rosochata wierzba. Od czasu do czasu jaśniała biel potężnych pni brzozy. Wokół było mnóstwo dzikiego ptactwa, kaczek, łabędzi, czapli, dzikich gęsi, czarnych żurawi. Od czasu do czasu na powierzchni wody pojawiał się zarys nura lub wąski łeb piżmoszczura.

Po południu niemal oko w oko stanęli z przepięknym jeleniem wapiti, ale myśliwy nie sięgnął po strzelbę. Wprawdzie w zasięgu ręki spoczywał również łuk i kołczan pełen długich, pierzastych strzał o żelaznych grotach, lecz i ta pokusa została odrzucona. Na widok rudego liniejącego lisa, który niebacznie wychylił spiczasty pysk z nadbrzeżnych zarośli, nie zareagował nawet Ness, mimo że po skąpym śniadaniu jego duży żołądek domagał się solidnej porcji świeżego mięsa. Zdawał się rozumieć przyczynę pośpiechu, z jakim parli do przodu i prawie nieporuszenie trzymał nos zwrócony w stronę wiatru. Było już dobrze po południu i słońce przesunęło się daleko na zachodnią stronę nieba, gdy wysunął pysk i kilkakrotnie wciągnął mocniej powietrze. W parę minut później uniósł się lekko na przednich łapach i postawił krótkie spiczaste uszy, znamionujące niewątpliwą domieszkę wilczej krwi. Sierść jego jednak nadal gładko przylegała do grzbietu. Ci co płynęli w przodzie, musieli być jeszcze daleko.

Mężczyzna prawie bez przerwy wiosłujący od świtu coraz wyraźniej uświadamiał sobie malejące szanse doścignięcia ich przed nocą. Tam, czego był pewien, każdą z łodzi pchały do przodu dwie pary ramion, i chociaż ciężar tych łodzi był nieco większy niż jego, jednak nie równoważyło to wysiłku. Znajdował się w gorszej sytuacji i zdawał sobie z tego sprawę. Spojrzał na ginące za wierzchołkami drzew ostatnie promienie słońca i zwarł mocniej szczęki.

W godzinę później zrobiło się zupełnie ciemno. Nie przestawał jednak wiosłować. Na wyskrzzone niebo wypłynął miedziany księżyc; powiało chłodem. Noce bywały o tej porze roku zawsze chłodne. Księżycowa poświata ułatwiała jednak widoczność. Nie zwalniał więc tempa żeglugi. Chłodu prawie nie odczuwał. Nie odczuwał też zbyt zmęczenia. Jego mięśnie i ścięgna wytrzymywały, jak wiedział, znacznie więcej. Na wspomnienie jakiegoś zdarzenia uśmiechnął się do siebie. W księżycowym blasku załśnił rząd równych białych zębów i twarz ożywiła się na chwilę, po czym ścięła znów w surową, nieodgadnioną maskę. W miarę upływu nocy coraz częściej pojawiały się na niej oznaki zadowolenia. Pościg zbliżał się nieuchronnie do końca.

W chwilę po wschodzie słońca pies warknął ostrzegawczo. Od pewnego czasu zresztą sygnalizował wyraźnie niepokój.

Rzeka biegła tu łagodnym łukiem skręcając na północny zachód. Brzeg był dość stromy i urwisty. O kilkaset jardów od miejsca, w którym przymocował łódź, w górze rzeki snuło się wąskie pasemko dymu.

A więc śniadanie... Poczuł głód skręcający mu kiszki. Nie sięgał po strzelbę. Tym razem ujął łuk i przerzucił przez plecy kołczan ze strzałami. Poprawił nóż i sprawdził, czy gładko wychodzi z pochwy. W dwu susach znalazł się na brzegu. Okolicę z rzadka porastały jałowce i pojedyncze modrzewie. Spod skąpej roślinności wyzierały pokryte wilgotną rosą lśniące głazy, zwały kamieni i ostrych, poszarpanych skał.

Teren stwarzał idealną możliwość, by podkraść się cichutko pod obozowisko śledzonych. Po chwili patrzył z odległości nie większej niż 30 kroków na tych, za którymi podążał bez przerwy przez blisko pół dnia i całą noc.

Pod osłoną kilkunastostopowej wysokości skalnego bloku płonęło niewielkie ognisko, nad którym na stożkowo ustawionych żerdziach kołysał się kawał dziczyzny. W pobliżu ognia oparci plecami o ścianę skały siedzieli trzej mężczyźni. Rudy brodaty olbrzym około pięćdziesiątki patrzył leniwie w ognisko; po jego prawej stronie, dotykając nieomal stopami żaru, odpoczywał mężczyzna o gęstej czarnej brodzie, ubrany w gruby łosiowy kaftan; po lewej, % podwiniętymi nogami, obcinając z gałęzi gruby kij, na który widocznie zamierzał nadziać leżącą obok gęś, siedział trzeci - chyba najmłodszy, o długiej szczurzej twarzy i rozbieganych oczach. Byli dobrze uzbrojeni. Poza krótkimi strzelbami opartymi w tej chwili o skałę, za pasem każdego z nich tkwiły po dwa pistolety o długich lufach, noże, a u dwu pierwszych toporki o krótkich rękojeściach. Ten o szczurzej twarzy zamiast toporka miał tomahawk.

W odległości 10 jardów od ogniska, ze związanymi rękami i nogami, leżała dwójka młodych Indian. Chłopak mógł mieć około dwudziestu - może dwudziestu dwu lat; dziewczyna nie więcej niż siedemnaście. Leżeli bez słowa, z nienawiścią wpatrując się w twarze tych trzech, którzy po chwilowym milczeniu podjęli przerwana rozmowę.

Rudy, który widocznie był przywódcą, pokazując leżących stwierdził z przekonaniem:

- A ja ci mówię, Joe, że oni znają miejsce, skąd pochodzi złoto. - Słowa te były skierowane widocznie do mężczyzny o szczurzym wyglądzie, bo ten potrząsnął przecząco głową.

- Nie wierzę. Billy. To szczeniaki. Zostali wysłani - tak jak mówią - do faktorii Jonesa po proch i kule, a ponieważ w czasie tej cholernej zarazy myśliwi nie polowali i nie mieli futer, dali im na wymianę złoto. Wiedzą, że lubimy żółty metal. Może im dali wszystko.

Rudy lub Billy, jak go nazwał kompan, wysypał na dłoń zawartość irchowego woreczka i medytował nad czymś.

- Nie. Oni wiedzą. To złoto zostało wydobyte niedawno, i to gdzieś w tych stronach. Są tu tysiące strumieni, a kraj nieznan. Złoto może być wszędzie i ty dowiesz się od nich, gdzie ono jest. Znasz ich język. A jeśli się nie dowiesz - tu przymrużył znacząco oko - to udział twój przepadł i w skórach, i w tym - wskazał na wyciągniętą dłoń.

Joe odłożył patyk.

- Słuchaj, Billy, grasz nieuczciwie. Umowa była inna. Cofnij to, co powiedziałeś.

- Nie muszę, Joe. Werner - tu wskazał na milczącego do tej pory towarzysza - zgadza się ze mną. Zresztą wczoraj okazałeś się mięczakiem i nie było to pierwszy raz. Daję ci więc ostatnią szansę. Albo ją wykorzystasz, albo kwita ze spółką.

Ten, do którego zwrócone były słowa, ścisnął mocniej nóż i usiłował przybrać na twarz uspokajający wygląd. Wprawdzie tamtych było dwóch, ale on miał broń w ręku.

- Ależ, Billy - skrzywił się w jakimś grymasie mającym imitować uśmiech i obrócił nieznacznie w stronę Rudego - jasne, że z nimi pogadam, i to po naszymu. Już idę. - Udając, że usiłuje wstać, oparł się na lewym ręku i pochylił nieco do przodu. Prawa tymczasem, uniesiona w górę, pchnęła z wężową szybkością. Ostrze nie dotknęło jednak piersi olbrzyma - uderzyło z trzaskiem o skałę.

Rudy, wyglądający trochę niedźwiedziowato, musiał przeżyć niejedną taką przygodę. Widząc złe błyski w oczach sprowokowanego kompana, wykonał błyskawiczny unik i niczym stalowymi kleszczami chwycił rękę uzbrojoną w nóż i zmiażdżył ją w swym uścisku. Jednym ruchem wykręcił do tyłu i odginał do góry, aż trzasnęła kość. Po czym uniósł jeszcze wyżej i starannie wbił nóż w zgięte przed sobą plecy. Z satysfakcją patrzył na drgające w przedśmiertnych skurczach stopy.

Werner zarechotał hałaśliwie:

- Należało mu się już od dawna, a skoro chciał nas oszukać i kombinował z tym dzikusiem - niech idzie do „krainy wiecznych łowów”. Zresztą zdaje się, że już poszedł. Popatrzył chwilę na nieruchome zwłoki, schylił się, wyciągnął nóż z pleców leżącego i odpiął jego pas. Podniósł zwłoki i odciągnął kilka kroków za skalny załom. Wykonawszy tę czynność popatrzył wyczekująco na Rudego.

- No co, pogadamy z dzikimi?

Rudy skinął głową. Werner podniósł się spod skały i podszedł do leżących.

- No jak, czerwona skóro, namyśliłeś się?

Twarz Indianina pozostała nieruchoma, gdy odpowiedział łamaną angielszczyzną:

- Uhmik¹ powiedział tej bladej twarzy, która już jest martwa, wszystko.

- To powtórz to jeszcze raz - tylko po angielsku, nie znam twojego parszywego języka.

- Uhmik jest z plemienia, które umarło tej zimy. Zostało tylko kilku. Uhmik jedyny myśliwy.

Inni to kobiety, dzieci i czarownik. Od czarownika Indianin dostał żółty metal na proch i kule dla

kupca

Jonesa, nie wie nic więcej.

- A kiedy spotkałeś tamtych czerwonoskórych?

- Dwa dni temu. Oni też szli do faktorii, z futrami - tu głową wskazał wymownie na wyładowane kanu. - Uhmik i siostra dołączyli do nich. Razem lepiej.

Rudy obrócił się w stronę nadchodzącego Wenera, który trzymał w ręku tomahawk Toego.

- No i co?

Ten wzruszył tylko ramionami.

- Czerwonoskóry nic nie wie. Oni nie potrafią kłamać. Trzeba z nim skończyć - wskazał oczyma na tomahawk. - A z dziewczyną możemy się chyba trochę zabawić, zanim pošlemy ją do Krainy Przodków. - Z tymi słowy odsunął się nieco na bok.

Werner podszedł bliżej i pochylił się nad skrupowanym jeńcem.

- Czy czerwona skóra nie boi się umrzeć? Twarz Indianina tchnęła pogardą, gdy odparł:

- Uhmik nie obawia się śmierci. Chciałby zginąć w walce, ale skoro jest związany, może zginąć także z ręki parszywego psa; nie zadrzy mu powieka, a duchy ojców przyjmą go z radością.

- A więc idź między duchy swych ojców - biały postąpił jeszcze pół kroku i wznosił tomahawk.

W tym samym momencie ostry świst przeszył powietrze i pierzasta strzała przebiła krtań białego. Stał jeszcze chwilę z wzniesioną w górę ręką chwiejąc się na słabnących nogach, aż runął z łoskotem na ziemię.

Rudy dwoma skokami dopadł skały, porwał strzelbę, padł za najbliższym głazem i wypalił w miejsce, z którego wypuszczono strzałę. Jego małe, paciorkowate oczka przeczesywały przypuszczalne miejsce, w którym ukrywał się wróg. Najmniejszy jednak dźwięk nie mącił ciszy. Jedynie od czasu do czasu w płonąym ognisku trzasnęła jakaś sucha gałązka.

Znajdował się w niedobrej sytuacji - nie wiedział, kim był jego przeciwnik. Jedna strzała, a więc zapewne jeden dzikus; diabli jednak wiedzieli, ilu ich w rzeczywistości mogło się kryć w pobliżu.

Do faktorii Jonesa było chyba ze trzydzieści mil, a tu nie mógł pozostać. Gdyby napastnik dostał się na skałę za jego plecami, co w tym miejscu było możliwe, nie miałyby żadnych szans. Jedyna droga, to droga przez nadrzeczne zarośla. Aby się do nich dostać, musiał jednak przebyć przynajmniej dwadzieścia jardów. Myśląc o tym nabijał szybko strzelbę. Łodzie, futra i woreczek ze złotem przepadły, to jasne, na szczęście broń miał przy sobie. Przyłożył ucho do ziemi i znieruchomiał. A więc tak - miał rację, ktoś się piął z tyłu na skałę. Nie tracąc więcej ani chwili, z kocią zręcznością zaczął zsuwać się pod osłoną głazów w dół, ku rzece. Jeszcze parę sekund i zniknął w nadbrzeżnych szuwarach. Po odejściu jakichś stu jardów przebrnął po pas w lodowatej wodzie na drugą stronę rzeki

i puścił się biegiem. Gdy po kilku minutach pozostawione na skalistym podłożu ślady mokrych stóp osuszyło słońce, zatoczył ponad dwumilowej długości luk i pomaszerował na południe. Faktoria Jonesa leżała nieco bardziej na zachód, ale po zastanowieniu wolał ją ominąć.

Tymczasem na skalnej skarpie, którą na chwilę opuściliśmy, sytuacja nie uległa żadnej zmianie. Przynajmniej pozornie. Jedyne Indianin, który do tej pory leżał na prawym boku, obrócił się na lewy i przyłożył ucho do ziemi.

Instykt i ledwo słyszalny zza załomu urwiska szmer ostrzegał go wyraźnie o grożącym niebezpieczeństwie. Wprawdzie przed chwilą długa pierzasta śmierć uratowała mu życie, ale czy uratowała, czy też tylko przedłużyła je trochę? Ten kto ją wysłał, nie pokazywał się jeszcze, chociaż był w pobliżu.

Szmer za skałą spotęgował się. Rozległo się głośnie sapanie i przed oczy leżącego wytoczył się duży niedźwiedź.

W tym samym momencie z pobliskiej kępy wysunął się jak błyskawica pies. a za nim myśliwy. Był bardzo blisko, o kilka kroków od leżącego, ale niedźwiedź był bliżej. Wspiał się na tylne łapy i szedł z groźnym pomrukiem wprost ku leżącej postaci. Był tuż. Myśliwy zrozumiał, że nie zdąży. Stał w miejscu. Podniósł błyskawicznie luk i strzała ugrzęzła głęboko w piersi zwierzęcia. Za chwilę w to samo miejsce podążyła druga. Niedźwiedź ryknął straszliwie i zwrócił się ku nowemu wrogowi. Ten nie miał już czasu na napięcie cięciwy. Odrzucił luk i chwycił rękojeść noża - jednocześnie krzyknął ostro:

- Ness!

Pies, który na moment zatrzymał się przed ryczącą bestią, skoczył do przodu, cudem przemknął pod potężną łapą i wczepił się w grzbiet niedźwiedzia. Gdy ten na moment obrócił pysk do tyłu, myśliwy stał już u jego boku i długą klingę z rozmachem wbił między żebra. W następnej sekundzie poczuł ostre pazury rozrywające mu pierś i ramię.

Zacisną! zęby - pchnął drugi i trzeci raz. Pękł jak struna ryk zwierzęcia i ogromna bestia, wydając ostatnie tchnienie, runęła z łoskotem na ziemię.

Myśliwy wyszarpnął klingę i nie wycierając jej, podszedł do leżącego Indianina. Chwilę patrzył w jego spizowane rysy. Pochylił się i dwoma ruchami przeciął więzy na jego rękach i nogach. Uczynił ruch, jak gdyby chciał podejść jeszcze do leżącej dziewczyny; widać jednak zabrakło mu sił, bo napięte dotąd mięśnie nagle zwiotczały, pochylił się i osunął bezwładnie na skalisty grunt.

Indianin stał już na nogach. Podniósł leżący obok tomahawk i szybko uwolnił dziewczynę. W chwilę potem obydwójce klęczeli u boku nie dającego znaku życia wybawcy. Indianin wyjął z jego zacisniętej ręki nóż i szybko rozciął bluzę, po czym przyłożył ucho do piersi. Słuchał uważnie i szybkimi, delikatnymi ruchami palców dotykał po kolei rozoranych pazurami niedźwiedzia miejsc na krwawiącej silnie piersi. Dłużej zatrzymał się przy poszarpanej głębokiej ranie pod lewym

obojczykiem.

- To od kuli. Biały żyje. chociaż duch opuścił go na jakiś czas. Niech Shesheeb nazbiera ziół leczących rany i przyniesie je tutaj.

Dziewczyna jak ptak sfrunęła ze wzniesienia i w parę minut później, zdyszana, z pełną tykwą wody w jednej i wiązanką traw w drugiej ręce, wróciła znad rzeki.

Indiański chłopak tymczasem przeniósł białego pod nawis skalny, uprzątnął gdzieś oba trupy i w jedno miejsce zgromadził broń. Teraz klęczał przy rannym i ciął jego łośiową bluzę na równe długie pasy. Gdy uporał się z tym, starannie obmył wodą brzegi ran. Obłożył pierś myśliwego żółtawymi listkami przyniesionej rośliny i zręcznie zacisnął na niej pocięte przed chwilą pasy. Przez cały czas towarzyszył mu pies, który teraz dopiero zbliżył pysk do twarzy swego pana i zaczął lizać ją swym długim jasnoróżowym ozorem.

Indianin tymczasem podszedł do leżącego niedźwiedzia.

- O Kezha Muhquah, najpotężniejszy ze wszystkich zwierząt, jakie stworzył Kezha Muhnedoo. O Muhquah, najmędrzy i najsilniejszy władco puszczy, który nie boisz się ani watahy wilków, ni drapieżnego rysia, ani płowego kota. Przebacz człowiekowi o bladej skórze, który musiał cię zabić, i wybacz także psu, który ciebie zaatakował. Oni pragnęli uratować życie Uhmika i jego siostry Shesheeb. Musieli uratować im życie, by Uhmik mógł wrócić do obozu swych braci i przynieść im proch i kule, bez których dzieci, kobiety i starcy pomarliby z głodu. Biały człowiek nie może cię przeprosić za zadane rany i śmierć, bo sam jest ranny, a duch jego udał się na poszukiwanie szlaku zachodzącego słońca. Ale Uhmik widział, jak dzielnie i mądrze walczyłeś; słyszał twój bojowy głos, który grzmiał jak ryk pioruna. To był głos, przed którym drżą wszyscy twoi wrogowie. Uhmik opowie swym braciom i siostram o twej waleczności, i że zginąłeś w walce jak dzielny wojownik. Uhmik pozostanie przyjacielem twego ducha i przyjacielem twoich braci na zawsze. O wielki Muhquah, Uhmik pragnie być tak dzielny i silny jak ty, dlatego zje kawałek twojego serca, w którym nigdy nie zamieszkał strach. Pokrzepi się także mięsem twoich łap, które z łatwością wrywały drzewa z korzeniami. A wtedy twoja siła i odwaga oraz twój duch pozostaną na zawsze przy Uhmiku.

Skończywszy tę przemowę młody Indianin zapalił wilgotną gałąź i kiedy zaczęła dostatecznie dymić, czterokrotnie przesunął nią nad łbem zwierzęcia, a następnie schylił przed nim nisko głowę i przed pyskiem niedźwiedzia położył szczyptę tytoniu.

Wierzył, że duch niedźwiedzia nie będzie się gniewał na niego i wybaczy mu, gdyż kiedyś po śmierci zostaną przyjaciółmi.

Chwilę się zastanowił, po czym uczyniwszy magiczny znak nad ciałem zabitego zwierzęcia, przystąpił szybko do zdzierania skóry. Czynił to z wprawą doświadczonego myśliwego i po upływie krótkiej chwili niedźwiedź był oprawiony, a co lepsze kawały mięsa wraz z łapami i potężnym łbem umieszczone w łodzi.

Tymczasem dziewczyna zdążyła poznać do łodzi całą broń zabitych i różne przedmioty, jakie mieli przy sobie. Zdjęła z nieprzytomnego nadal białego myśliwego jego kołczan ze strzałami i wraz z łukiem podała bratu.

- Weź, on teraz nie może sam się bronić. Oddasz mu, gdy wróci do niego jego duch.

Indianin spojrzał wymownie w stronę łodzi, gdzie leżała broń zabitych, ale Shesheeb pokręciła przecząco głową.

- To jego zdobycz wojenna.

Uhmik skinął głową i wziął z rąk dziewczyny podaną broń.

Zdjął z ogniska gotową pieczeń, odkroił przynajmniej dwufuntowy kawał i podał siostrze.

, Spojrzał na psa, podzielił swoją część na połowę i zawołał miękko: - Ness! - Pamiętał imię, jakim biały nazywał swego towarzysza.

Zwierzę uniosło się i podeszło do Indian. W oczach jego zamigotały żółte światełka. Przez moment zaledwie popatrzył na wyciągniętą ku niemu rękę, odwrócił się jednak i ułożył na powrót obok swego pana.

Dziewczyna przestała jeść i swój kawał pieczeni zawinęła w kawałek wyprawionej skóry.

Bez słowa podeszli do leżącego i unieśli go z ziemi. Ranny jęknął głucho, pies warknął groźnie, ale łagodny głos Indianina uspokoił go snadź, gdyż więcej nie protestował. Rozumiał widocznie, że tych dwoje nie ma złych zamiarów.

W parę minut potem, gdy rannego umieszczono wygodnie na stosie futer, a pies przycupnął u jego głowy, Indianie powiązali rzemieniem oba kanu i Uhmik zepchnął je na wodę. Wraz z Shesheeb zajęli miejsce w pierwszym. Zręcznymi ruchami wiosel skierowali się na środek rzeki i szybko pomknęli wraz z prądem - w powrotną drogę.

Po przepłynięciu pewnej odległości pies szczeknął głośno raz i drugi. W jednej chwili w ręku Indianina znalazł się napięty łuk. Pies tymczasem stanął w chwiejnej łódce i wyraźnie pokazywał nosem brzeg. Bystry wzrok młodzieńca szybko wyłowił ukryte kanu. Podpłynęli. Na dnie ukrytej łodzi spoczywała strzelba i inne przedmioty należące widocznie do białego, gdyż obwąchujący je pies parokrotnie machnął ogonem. U boku swego pana przywarował spokojnie dopiero wtedy, gdy trzecią łódź przymocowano obok tamtych.

Prąd wody stawał się coraz szybszy, lekkie kanu mimo ładunku mknęły coraz prędzej.

Indianie nie przerywali szaleńczej jazdy, a chłopak, który znał tu każdą przeszkodę, przemykał śmiało przez bystrza, porohy i mielizny, jak po spokojnej toni jeziora. Jedynie od czasu do czasu obracał głowę w kierunku nieprzytomnego białego, a w oczach jego widać było niepokój.

Nie zatrzymali się ani razu. Przez trzy dni i noce trwała ta szaleńcza jazda po coraz szybciej płynącej rzece. Czwartego dnia rankiem, gdy siły ich były już na wyczerpaniu, Indianin skierował łodzie w koryto wąskiej, płytkiej rzeki i po niecałej mili wypłynęli na niewielkie jezioro lejkowatym

ujściem. Przecięli jego północny kraniec, wąski przesmyk i znaleźli się na spokojnej tafli drugiego, kryształowo czystego oczka. Nad brzegiem biegła grupka dzieci, dalej w głębi, między drzewami widniało kilkadziesiąt stożkowatych wigwamów.

Na krzyk malców nad brzeg jeziora wypadło ze trzydziestu mężczyzn. Uhmik uniósł do góry wiosło.

W parę chwil potem mężczyźni wyciągnęli na brzeg kanu.

Uhmik wyszedł chwiejąc się na nogach, poszukał wzrokiem wodza, podszedł do niego, obrócił się w stronę czółen i powiedział:

- Ta blada twarz to przyjaciel. Dwa razy uratował życie Uhmika i Shesheeb - co rzekłszy, kompletnie wyczerpany osunął się na ziemię.

Starzec rzucił kilka słów i dwaj mężczyźni podtrzymali młodzieńca i wnieśli go do obszernego, większego od innych, wigwamu.

I znów padło krótkie polecenie i trzech silni, półnaczy wojownicy zdjęli ze stosu futer bezwładne ciało białego i wnieśli je do drugiego wigwamu. Pies powłócząc nogami wczołgał się za swym panem.

Shesheeb, która spała kilka godzin w ciągu ostatniej nocy i zachowała nieco więcej sił, stała cicho w otoczeniu kobiet, patrząc z lękiem na opadającą zasłonę, za którą zniknął bury pies.

ROZDZIAŁ II

Cienie kładły się z wolna po zachodniej stronie nieba. Wysoko w górze ciągnęły na północ klucze dzikich gęsi. Ich donośny głos długo jeszcze dobiegał z oddali, choć lejących ptaków nie było już widać. Blisko wioski, z szumem skrzydeł, w nadbrzeżne szuwary zapadały stada kaczek. Obozowisko Indian ogarniała wieczorna cisza.

W wigwamie Szarego Niedźwiedzia na miękkich skórkach siedziało w milczącym kręgu kilkunastu wojowników. Ich pokryte wytatuowanymi¹ znakami i pocięte bliznami ran surowe twarze tchnęły godnością i spokojem. Święta fajka obeszła krąg i wróciła do wodza. Ujął ją w obie dłonie, uroczyście wznosił do góry i oparł o drewniany trójnóg.

Teraz dopiero spojrzał poważnie na stojącego nieruchomo młodzieńca¹! powiedział:

- Mów, synu! Rada starszych pragnie wiedzieć, dlaczego nie wypełniłeś powierzonego ci zadania. Wojownicy chcą poznać przyczyny.

Młodzieniec uniósł głowę i poczuł na sobie przenikliwe spojrzenia wielu par oczu. Uniósł śmiało głowę i powiedział:

- Kezha Ogemah i wy, mądrzy wojownicy. Młody Bóbr nie będzie wypowiadał wielu słów.

Opowie wszystko to, co wie, a słowa jego będą proste i prawdziwe. Otwórzcie więc swe uszy i słuchajcie uważnie.

Po wyruszeniu z obozu wraz z Shesheeb, córką Maheenguna, przez sześć dni nasze kanu płynęło w górę Cichej Rzeki, aż do miejsca, które bracia moi nazywają Ucho Białego Zająca. Tam spotkaliśmy pięć Suszonych Skór², jedną ich kobietę i dziewczynkę. Byli z plemienia obozującego latem nad Misquah Seebee³, a wśród nich znajdował się Ostry Nóż, któremu Szary Niedźwiedź uratował kiedyś życie.

Wieźli futra do białego kupca Jonesa, ale po drodze spotkali trzech białych handlarzy, wiozących towary potrzebne Indianom. Biali chcieli kupić za swe towary futra Indian. I zapłacili dobrze. Ostry Nóż zaprosił nas do ogniska i okazał szacunek memu ojcu. Poradził też, by Młody Bóbr i Dzika Kaczka nie płynęli dalej, lecz wymienili żółty metal, który mieli z sobą, na potrzebne im proch i kule, których biali handlarze mieli jeszcze dużo.

Młody Bóbr zaproponował więc białym wymianę, a oni włożyli do jego łodzi trzy beczki prochu i tyle ołowiu, że mógł go podnieść tylko silny myśliwy. Młody Bóbr był zadowolony.

Wtedy biali przynieśli ze swej łodzi duży garnek wody, która miała ostry zapach i powiedzieli, że w ich dalekim kraju, gdy dwaj kupcy są zadowoleni z wymiany, na znak przyjaźni i szacunku piją tę wodę, która jest potężnym lekiem i odstrasza wszystkie złe duchy.

Wody tej napił się Ostry Nóż i jego myśliwi. Wypił ją też Młody Bóbr. Woda miała straszliwą siłę magiczną; najpierw jak ogień paliła usta, język i żołądek, a potem uczyniła, że syn Szarego Niedźwiedzia czuł się potężny jak największy muhąuah w puszczy. I wszyscy wypili dużo małych żelaznych kubków tej wody. Potem Młody Bóbr nic już nie pamięta. Duch, który przynosi sen, usiadł na jego powiekach.

Gdy nastał dzień i Młody Bóbr zbudził się, był bardzo słaby, bolała go głowa i nie mógł patrzeć na światło. Ale mimo to oczy jego ujrzały wszystko. Chipewyan leżeli wokół szałasów zabici, zabita była także żona i córka Ostrego Noża,

Uhmik i Shesheeb leżeli związani. Biali śmiali się i coś mówili. Powtarzali często słowo „złoto” i chociaż słowa tego Uhmik nie znał, zrozumiał, że biali nazywają tak żółty metal.

Podnieśli Uhmika z ziemi, wrzucili do kanu i kazali wiosłować. W drugim kanu leżała związana Shesheeb. Jeden z kupców znalazł trochę język moich braci i powiedział, że jeśli Indianin nie będzie wiosłował, to oni zrobią wielką krzywdę Shesheeb. I Uhmik wiosłował od jednego wschodu słońca aż do drugiego, kiedy biali rozbili obóz. Oni byli uzbrojeni i mieli w swym kanu córkę Wilka.

W tym miejscu młody Indianin na chwilę przerwał swą opowieść, po czym krótko i jasno opisał to, co wydarzyło się później.

- Uhmik nie ścigał zabójcy o ognistych włosach. Wiedział, że jeżeli straci czas na pościg, biały człowiek, który jest teraz u czarownika, może umrzeć. Uhmik nie chciał i nie chce tego. Pomyślał, że

za złoty metal, którego nie zdążył zabrać zły kupiec o ognistych włosach, biały myśliwy, gdy wyzdrowieje, sprzeda moim braciom swoją wojenną zdobycz - towary białych napastników. Tak pomyślawszy,

Młody Bóbr i Dzika Kaczka zabrali łodzie białych handlarzy i wszystkie ich przedmioty, i nim przeszły trzy słońca - wrócili. Młody Bóbr źle uczynił, wierząc białym kupcom. Nie powinien pić ich potężnego leku. Uhmik skończył, a to co powiedział, może potwierdzić Shesheeb.

Płonące w środku kręgu ognisko rozbłysło na moment i oświetliło jasnym blaskiem surowe twarze wojowników i skupione w głębi sylwetki kilku kobiet. W najbardziej odległym kącie majaczyła niewyraźnie twarz Shesheeb i tylko jej czarne jak węgiel oczy błyszczały w świetle strzelających płomieni, niczym dwie wielkie gwiazdy. Młody Bóbr widział te oczy i serce jego забиło szybciej. Zmusił się jednak, by odwrócić wzrok i patrzył odważnie prosto w oczy Szarego Niedźwiedzia.

Wreszcie przemówił wojownik o pooranej bliznami twarzy i trzech piórach wpiętych we włosy. Był również wodzem, głos jego brzmiał cicho i spokojnie.

- Młody Bóbr popełnił błędy, wykazał jednak rozwagę i mądrość, chociaż nie mógł wykazać swej dzielności i męstwa. Ale i my, starsi i bardziej doświadczeni, też popełniliśmy błąd. Powinniśmy go ostrzec przed handlarzami spotykanymi po drodze i przed spożywaniem ishkoota-wahbo, którą biali dają za darmo tylko wtedy, gdy chcą oszukać naszych ludzi. Wilk próbował tej wody i wie, że powala najtęższego i najdzielniejszego wojownika. Młody Bóbr nie wiedział o tym i dlatego dał się oszukać. Powiedziałem.

Z najdalszego krańca wigwamu, niczym powiew wiosennego wiatru, dobiegło ciche westchnienie.

Następnie zabrał głos drugi wojownik i równie spokojnie jak Wilk powiedział:

- Gdyby Uhmik nie chciał wypić wody ognistej, biali handlarze powzięliby podejrzenie i zabiliby najpierw jego, a potem skrzywdzili Shesheeb i na pewno też zabili. Mój młodszy brat uczynił słusznie. Tak myśli Długi Tomahawk.

Trzeci z wojowników, noszący niebieską przepaskę na potężnym czole, przemówił stanowczym głosem:

- Młody Bóbr widział ze skalnej skarpy, jak ognistowłosy handlarz ucieka. Postąpił więc rozważnie, że nie udał się w pogoń za białym, lecz postąpił tak, by uratować białego myśliwego, który po dwakroć stanął w obronie życia jego i Dzikiej Kaczki. Czarny Bizon powiedział.

Następnie wojownicy przemawiali w podobnym duchu, przypominając wiele rozważnych czynów młodego Indianina.

Surowa twarz Szarego Niedźwiedzia rozpodgadała się, łagodniał wzrok. Gdy wszyscy wojownicy siedzący w kręgu rady wypowiedzieli swe zdanie, spojrział miękko na młodzieńca, którego

kochał i dla którego nie chciał być zbyt surowy, i zabrał głos jako ostatni:

- Wysłuchaliśmy słów wszystkich tu obecnych, najdzielniejszych i najbardziej szanowanych w pleminiu. Były to słowa jasne i zgodne, proste i sprawiedliwe. Młody Bóbr nie znając białych dał się im oszukać, ale białym dały się oszukać całe potężne plemiona naszych braci. Ottawów, Huronów, Sauków i Foksów, i wiele innych. Od czasów, gdy ojcowie naszych ojców ujrzeli białe twarze i zapragnęli ich strzelb i noży, prochu i kul, i wody ognistej, zarzucili sposób życia swych praocjów i stali się od białych zależni. Potrzebują coraz więcej ich towarów i coraz bardziej niszczą to, co daje im matka ziemia. Zabijają coraz więcej i więcej zwierząt, które niegdyś były naszymi braćmi. Zabijają ich coraz więcej, bo biali żądają coraz więcej futer bobra, łosia, jelenia, rysia i wydry. Zabili już tyle, że zwierzęta te pogniwały się na nas i odchodzą coraz dalej na północ.

Z naszych lasów odeszły już prawie wszystkie bobry. Jest coraz mniej łosi, karibu i jeleni, a nawet wydra i lis uciekają na nasz widok. Gdziekolwiek biali się pojawiają, tam Indianie, którzy dotąd byli przyjaciółmi i braćmi, chwytają za topory wojenne i maczugi.

I my, pragnąc zdobyć towary białych, na które potrzebowaliśmy dużo futer, skierowaliśmy broń przeciw pleminiu Bobrów i Chipewyan. Ale ojcowie nasi zrozumieli, że nie powinni walczyć ze swymi braćmi i odtąd zapanował pokój między nami.

Biali też walczą między sobą. Są źli i podstępni wobec wszystkich naszych braci, ale znajdują się wśród nich i inni. Biały, którego Młody Bóbr przywiózł do naszego obozu, nie zabił mojego syna, lecz ocalił mu życie. Może jest inny niż wszyscy biali, których widział Szary Niedźwiedź, a może jest taki sam. Nikt tego nie wie. Biały ten darował życie memu synowi i córce Wilka. Naraził swoje życie, chociaż mógł zabić wszystkich białych, a niedźwiedziowi pozwolić rozszarpać Uhmika i Shesheeb.

Młody Bóbr będzie więc starał się, by biały poznał naszą sprawiedliwość i wdzięczność.

Biały będzie żył i odzyska swego ducha. Teraz jest słaby, bo stracił dużo krwi, a od kuli, którą wyjął czarownik, zaczęło gnić ciało. Ale czarownik Grzmiący Róg zwrócił się o pomoc do Kezha Muhnedoo i otrzymał od niego potężne leki - potężniejsze od kuli i od pazurów niedźwiedzia.

Biały zostanie u nas. aż wróca mu siły, a syn mój i Shesheeb zapewnią mu wszystko do czasu, aż sam objawi nam swoją wolę.

Uhmik, jak wypowiedziała się rada starszych, nie postąpił jak niedoświadczony młodzik. I znów dwie gwiazdy zamigotały przed oczyma młodzieńca.

Narada była skończona. W parę chwil potem zapanowała żywa krzątanina. Kobiety wniosły kociołki pełne smakowicie pachnącej zupy i wielkie płaty pieczonego mięsa.

Do wigwamu schodziło się coraz więcej wojowników. Przyszedł Grzmiący Róg, który do tej pory odprawiał swe czary nad rannym i zajął miejsce obok Szarego Niedźwiedzia.

Shesheeb położyła przed nim kawał soczystej poledwicy z jelenia na dużym płacie z kory brzozonej.

Starzec spojrział z wdzięcznością na dziewczynę, gdyż zrozumiał, że przysmak ten zachował i specjalnie dla niego. Poglądził ją po ramieniu i uśmiechnął się.

- Grzmiący Róg widzi, że Dzika Kaczka pamięta o jego starym żołądku, który nie lubi już mięsa z żyłami. Będę musiał przed wigwamem Wilka położyć w najbliższym czasie tak dużą wiązkę skór bobrowych, jakiej nie położył przed wigwamem ojca dorosłej dziewczyny jeszcze żaden młody wojownik.

Wszyscy roześmieli się - Shesheeb ukryła się za plecami innych kobiet. Wiedziała, że to żart. Wszyscy wiedzieli, że czarownik, gdy nie rozmawia z Wielkim Duchem, lubi żartować, ale zlekła się trochę.

Był bardzo szanowany i cieszył się wielką sławą. Nie była pewna, co uczyniłby jej ojciec - Wilk, gdyby go spotkał taki zaszczyt. A co ona mogłaby uczynić? W piersi załopotano coś trwożnie. Lubiła starca i wiedziała, że on też ją lubi, ale zasiąść przy jego ognisku...? Na wszelki wypadek skryła się głębiej, za plecy starszych kobiet.

Uczta trwała długo, a kiedy się skończyła, czarownik szepnął parę słów Szaremu Niedźwiedziowi i skinął na Uhmika.

- Niech mój syn pójdzie ze mną. Musi czuwać przy rannym. - Uhmik w milczeniu podążył za starcem.

Gdy doszli do wigwamu i odchyłili jego zasłonę, pies warknął ostrzegawczo, ale stwierdziwszy, że ci dwaj nie zagrażają jego panu, zamilkł i zdawał się nie zwracać na nich uwagi.

Czarownik powiesił na kołku skórę okrywającą dotąd jego ramiona i legł ciężko na pościeli. Wiek i trudy dnia wyczerpały jego siły. Odpoczywał kilkanaście minut bez ruchu, w końcu zwrócił się do siedzącego na ziemi młodzieńca:

- Czy Młody Bóbr mówił białym handlarzom, gdzie znajduje się obóz Szarego Niedźwiedzia?
- Uhmik tego nie powiedział. Również Ostry Nóż nie mówił, gdzie znajduje się obóz jego braci.

- A czy mój młody brat mówił skąd ma żółte żelazo?

- Tak, syn Szarego Niedźwiedzia powiedział białym handlarzom to, co przed wyruszeniem w drogę kazał mu mówić Grzmiący Róg. Uhmik powiedział im, że jego plemię zostało zeszłej zimy zabite prawie w całości przez windigos¹, które przyszły w postaci czarnej śmierci. Nieliczni wojownicy, którzy przeżyli, trochę kobiet i dzieci. uciekło daleko ze stron, gdzie wieje ciepły południowy wiatr i gdzie jest wielka woda, nad którą wódz Ottawów rozstawiał kiedyś swe wigwamy. Młody Bóbr powiedział białym, że właśnie nad tą wodą jest żółte i czerwone żelazo; że z czerwonego metalu naród tam zamieszkały robi noże i wojenne topory. Powiedział też, że żółty metal jest za miękki i nie nadaje się do tego. Gdy biali dopytywali się, czy bracia Młodego Bobra mają dużo tego żółtego metalu, odpowiedział, że oddali wszystko co mieli, bo słyszeli, że biali ludzie mogą dać za to

proch i ołów na kule. Uhmik mówił to wtedy, gdy nie pił jeszcze wody ognistej. Potem, gdy pytali go pod skałą, powtórzył to samo.

- Czy mój młody brat wracając zatrzymał się gdzieś po drodze i może odpoczywał, czy mógł gdzieś zostawić ślady lub ścieżkę prowadzącą do ogniska swych braci?

- Uhmik nie zatrzymał się nigdzie, a na wodzie ślady nie zostają. Starzec myślał dłuższą chwilę, po czym zwrócił się do swego towarzysza:

- Młody Bóbr postąpił dobrze słuchając moich rad. Będzie kiedyś mądrym i wielkim wodzem. Niech teraz czuwa. Biały obudzi się o świcie. Niech jego oko padnie najpierw na twarz, której uratował życie. Wtedy Młody Bóbr obudzi mnie.

Skończywszy w ten sposób rozmowę nakrył się ogromną skórą niedźwiedzia i za chwilę oddech jego stał się równy i spokojny.

Wokół obozu krążyły czujne straże. Z głębi puszczy dolatywało dalekie pohukiwanie sowy. Nad ziemią rozpostarła swe szerokie skrzydła noc. Na posłaniu z ciepłych futer karibu jaśniejszą plamą odbijała się blada twarz rannego.

Młody Bóbr dorzucił parę suchych szczap do ogniska, przysunął się bliżej ciepła i utkwiał wzrok w postaci białego.

Ranny leżał nieruchomo, ale oddychał spokojnie. Zapewne spał; jego szeroka pierś podnosiła się i opadała równomiernie.

Rysy młodzieńca złagodniały, cieszył się, że ten obcy człowiek nie umrze, mimo iż należał do wrogiej rasy.

Nie musiał przecież walczyć ze swymi naturalnymi braćmi. Nie musiał walczyć z niedźwiedziem. Mógł tylko trochę poczekać i nawet po ucieczce ognistobrodego zabrać łodzie i odpłynąć. I ten pies. Indianie też mieli psy, ale inne. Wyciągnął ku zwierzęciu rękę i szepnął: - Ness. - Pies warknął i zjeżył sierść. Od tamtego zdarzenia nie tknął pokarmu. Wprawdzie z panem swym pozwalał czynić wszystko, ale ciągle przy nim czuwał. Był duży i silny, i bury jak wilk. Nawet gdy głód mu skręcał wnętrzności, nie reagował na żaden pokarm. Od czasu do czasu biegł nad brzeg strumienia i chleptał wodę, po czym szybko wracał. Teraz - gdy boki jego zapadły, sierść straciła naturalny połysk, a ślepia stały się krwistoczerwone, przypominał bardzo dużego, wygłodniałego przez zimowy post wilka. Uhmik nie bał się. Rozumiał duszę zwierzęcia. Pies nie spał - nie zmrużył oczu przez całą powrotną drogę; nie spał i w tej chwili. W blasku płomieni żółte ogniki drgały w jego dzikich ślepiach. Młodzieniec, mimo że nieraz przyszło mu stanąć oko w oko z groźnym zwierzęciem puszczy, po raz pierwszy uczuł nieprzyjemny dreszcz. Odruchowo sięgnął do boku, gdzie zwykle tkwił jego nóż, lecz ze smutkiem cofnął rękę. Pies atakując niedźwiedzia przecież stanął również w obronie jego życia i życia Shesheeb, Młody Bóbr nie mógłby go skrzywdzić.

Na wspomnienie córki Wilka ogarnął go jakiś dziwny nastrój. Przypominał sobie każdy

szczegól ich podróży, każde spojrzenie, a nawet gest dziewczyny. I w czasie dzisiejszej rady. Cały czas widział jej oczy, i to westchnienie ulgi, a może nawet radości, gdy ojciec jej powiedział, że Uhmik jest mądrym młodzieńcem. Myśli pomknęły wstecz. Przed oczyma pojawiały się coraz to inne obrazy z życia plemienia.- nawet te bardzo odległe. Pamiętał pierwsze wyścigi kanu, w których jeszcze jako zupełnie młody chłopak, mimo wszelkich szans na zwycięstwo, był dopiero drugi. Niewidoczny podwodny korzeń zatrzymał go na parę chwil, ale to wystarczyło, by jego rówieśnik - Orzeł - minął pierwszy linię mety. Liczyły się trzy miejsca, ale Shesheeb nie podeszła do Orła, który podobał się wszystkim dziewczętom. Podeszła do Uhmika. Widziała, jak jego łódź *coś* zatrzymało i właśnie jemu podarowała wyszywany pięknie pas z pochwą do noża. Unikała innych młodzieńców. Nie unikała jego; a może nawet starała się o to, by ją spotykał od czasu do czasu. Nazywano ją Dziką Kaczką. Miała w swych ruchach i zachowaniu coś z dzikiego, wdzięcznego ptaka. Myśli Młodego Bobra coraz szybciej biegły tym tropem; coraz nowe obrazy dziewczyny wylaniały się z pamięci. Aż wreszcie poczuł chłód i ujrzał, że przez uchyloną zasłonę otworu wejściowego sączy się świt.

Dorzucił drzewa do ognia i przyniósł z potoku kociołek świeżej wody, który zawiesił nad płomieniem. Gdy już go zamocował i zamierzał wyprostować swą pochyloną postać, uczył na karku kłujące szpilki. Jednocześnie zauważył jakąś nieuchwytną zmianę w otaczającej go atmosferze. Obrócił wolno głowę i ujrzał wpatrzony w siebie oczy rannego. I oczy te patrzyły przytomnie. Patrzyli tak na siebie dłuższą chwilę. Duch myśliwego powrócił do jego ciała. Uhmik podszedł do śpiącego czarownika i dotknął jego ramienia. Starzec miał widocznie lekki sen, bo uniósł się natychmiast i zbliżył do leżącego. Chwilę patrzył w jego twarz. Dotknął ręką czoła i ręki. Przyłożył ucho do piersi i długo nasłuchiwał. Wreszcie zwrócił się do swego młodego towarzysza i polecił:

- Niech Młody Bóbr przyniesie dużo ciepłej wody. - Sam wziął naczynie z kory brzoźowej pełne jakiejś gęstej cieczy i ostrożnie zdjął opatrunek z lewego barku białego. Obejrzał starannie ranę i umoczywszy pęczek czystego mchu w chłodnym roztworze, wpuścił parę kropel na ranę. Gdy płyn wsiąkł do środka, powtórzył tę czynność jeszcze trzykrotnie, po czym obłożywszy ranę lekko namoczonymi w ciepłej wodzie liśćmi drzewa, które jesienią nabierają czerwonej barwy, wprawnie założył opatrunek.

Następnie odkrył lewy poraniony bok białego i dokonał podobnych czynności. Co jakiś czas przerywał te dziwne zabiegi i mrucał obco brzmiące, dziwne zaklęcia, przesuwając nad ciałem rannego pęk orlich piór. Gdy skończył, podszedł do tyczki podtrzymującej płaty kory wigwamu, zdjął z niej tykwę sporych rozmiarów i powiedział do przyglądającego się jego czynnościom Uhmika:

- Unieś trochę jego głowę.

Gdy Młody Bóbr wykonał to polecenie, przyłożył tykwę do ust rannego i powiedział po angielsku:

- Pij!

Chory widocznie zrozumiał polecenie, bo choć z widocznym wysiłkiem, wypił bez sprzeciwu podany napój. Gdy skończył, głowa jego opadła ponownie na posłanie, a w parę chwil potem równy oddech świadczył, że zapadł w głęboki sen.

Nieomal w tej samej chwili rozległo się delikatne skrobanie w zasłonę zakrywającą wejście i Młody Bóbr wyszedł na zewnątrz. O krok od wejścia stała Shesheeb. W rękach trzymała sporządzoną z kory brzozonej misę dymiącej stawy, w której pływały kawałki tłustego mięsa. Jej świeżą, dziewczęcą twarz pokrywał lekki, delikatny rumieniec.

- Przyniosłam memu bratu i Grzmiącemu Rogowi nieco stawy. Pewno są głodni. A... a czy on odzyskał swego ducha? - wskazała Wymownie na otwór wejściowy.

- Odzyskał. Grzmiący Róg odprawił nad nim modlitwy odganiające złe duchy i biały śpi, Wysłannik Śmierci odszedł. Biały wróci do sił. Ale Dzika Kaczka musiała wstać bardzo wcześnie, by przygotować jedzenie?

- Shesheeb nie spała, wszak ma takie same obowiązki jak jej brat. Musi i chce je z nim dzielić.
- To mówiąc podała miskę młodzieńcowi. Oczy miała spuszczone, ale rumieniec na twarzy i szyi pogłębił się jeszcze. Podniosła z ziemi kawał surowego mięsa z kością i włożyła w rękę młodego wojownika, po czym pobiegła w kierunku wigwamu swego ojca i zniknęła za zasłoną.

Młody Bóbr stał parę chwil i patrzył na wdzięczną postać, po czym wszedł do wnętrza, postawił misę i wyciągnął surowe mięso w kierunku psa. Zwierzę ^podniosło się tym razem nadszpiewanie szybko, podeszło do młodzieńca i za chwilę gruba kość niczym suchy patyk trzaskała w jego potężnych szczękach. Szaman z młodzieńcem patrzyli na tę scenę z uśmiechem. Wielka porcja, jaką dla zwierzęcia przyniosła Shesheeb, zniknęła w żołądku psa z niewiarygodną wprost szybkością. I nim stary wojownik i Młody Bóbr przystąpili do posiłku, pies, z nosem dotykającym ręki swego pana, zamknął czujne dotąd ślepia i zasnął, chyba po raz pierwszy od czasu, gdy na dalekiej polanie rozegrała się dramatyczna walka.

W wigwamie nastała cisza. Po chwili Młody Bóbr, z łukiem w ręku i kołczanem pełnym pierzastych strzał, zniknął na wąskiej ścieżce wiodącej w głąb lasów. Z wigwamu Wilka biegło za nim spojrzenie dziewczęcych oczu.

Miejsce przed szałasem szamana zajęła Shesheeb. Bała się wejść nie wzywana do środka, ale wiedziała, że musi zastąpić nieobecnego przyjaciela.

Ujrzała go tuż przed zachodem słońca, jak wynurzył się z głębi boru dźwigając na zgiętych barkach poćwiartowane kawały jelenia i jego skórę. Nie szedł w stronę wigwamu, gdzie czekała. Nie przystanął przed szałasem swego ojca. Zmierzał wyraźnie w stronę wigwamu Wilka. Gdy przystanął przed nim, serce dziewczyny zatrzepotało jak skrzydła ptaka. Młody Bóbr zdjął z pleców największą część jelenia i zawiesił na żerdzi, tuż obok wejścia. Powiesił tam też skórę. Następnie kroki swe skierował w stronę domu ojca, gdzie powiesił drugą część upolowanej zdobyczy, z trzecią skierował

się w miejsce, gdzie siedziała dziewczyna.

Podszedł i patrzył na nią długo w milczeniu. Po czym opanowawszy wzruszenie przemówił spokojnie:

- Wiem, że Wilk bardzo kocha swoją córkę. Jeśli Shesheeb nie będzie żądała, by mięso przyniesione przez Młodego Bobra odesłał Szaremu Niedźwiedziowi, to Uhmik będzie polował dla jej ojca tak długo, jak tego zażąda.

Shesheeb spuściła oczy i szepnęła:

- Córka Wilka poprosi swego ojca, by nie odsyłał ani skóry, ani mięsa i aby czas, w którym Uhmik będzie zawieszał część swej zdobyczy u wejścia do naszego wigwamu, nie był zbyt długi.

Zdjęła pozostałą część zdobyczy z ramion młodzieńca, zawiesiła ją na gałęzi i powiedziała:

- Teraz Shesheeb pójdzie do swego ojca, a potem wróci i przygotuje posiłek.

Dni biegły szybko. Biały wracał do zdrowia. Jadł coraz więcej i w widoczny sposób przybywało mu sił. Często wychodził przed swą siedzibę i przesiadywał godzinami w coraz cieplejszych promieniach słońca. Zapadnięte policzki wypełniły się, pogrubiały mięśnie. Ruchy stały się bardzo sprężyste i pewne. Nie odzywał się jednak do nikogo i pozornie na nic nie zwracał uwagi.

Patrzył jednak uważnie. Najpierw zauważył swą broń i nienaruszony worek, które leżały obok jego posłania. Stwierdził, że w worku nic nie brakuje. Spostrzegł też, iż wszystkie rzeczy należące do trzech białych handlarzy poukładano równo w końcu wigwamu i nikt ich nie dotykał. Zrozumiał, że Indianie uważają to za jego łup wojenny. Nawet wiązki skórek bobrowych leżały nietknięte. Był więc zupełnie spokojny. Wprawdzie rana od kuli dolegała mu jeszcze trochę, ale i w lewej ręce z każdym dniem przybywało siły. Czuł jak nieomal z każdym dniem znikają z ramienia ślady niedowładu. Wygrzewał się więc na słońcu. Indianie zdawali się go nie widzieć. Znał prawa gościnności w różnych plemionach Cree i Odżybuejów, a także u innych Indian i wiedział, że zgodnie z tymi prawami, dokąd on nie przemówi, będą szanowali jego milczenie. Było mu to zresztą na rękę. Chciał najpierw odzyskać siły. Wiedział, że już przywykli do niego i nawet dzieci udawały, że go nie spostrzegają.

Niejednokrotnie siedząc w słońcu słyszał, jak starzec rozmawia z Młodym Bobrem lub innymi myśliwymi. Często mówiono o nim samym. Był niemal świadkiem wielu rozmów między Shesheeb a młodym Indianinem i z łatwością poznał ich tajemnicę. Znał losy plemienia, radości i smutki niemal każdej rodziny.

Dowiedział się, że plemię Szarego Niedźwiedzia wiele lat temu stanęło u boku Pontiaka. Należało do wielkiej rodziny Odżybuejów, czego zresztą łatwo domyślił się słuchając ich miękkiej mowy. Po przegranej wojnie Szary Niedźwiedź i jego bracia postanowili opuścić obszary, na których coraz częściej pojawiały się nowe blade twarze, inne od poprzednich i mówiące innym językiem.

Znaczna część plemienia zaszyła się w dzikie, niedostępne północne puszcze i połączyła ze

swymi braćmi Cree, których wodzem był właśnie Wilk. Obie-połączone grupy zajęły tereny na południowych krańcach łowieckich rejonów Chipewyan i tu pozostały.

Znał największy kłopot Indian - brak dobrej broni i amunicji. Bez tego polowania były trudne. Znał też nadzieje tych, którzy wrócili mu zdrowie i zachowując nieprzeniknioną jak zwykle twarz, w duchu się śmiał.

Zauważył, że Szary Niedźwiedź i Wilk oraz Grzmiący Róg cieszą się u innych dużym szacunkiem i autorytetem.

Pewnego dnia, siedząc wygodnie wsparty o pień sosny, o trzy kroki od gwarzących wesoło Shesheeb i Uhmika, i udając, że drzemie, słuchał ich melodyjnych głosów i powoli począł zapadać w leniwą drzemkę. Nadejście szamana na chwilę przerwało rozmowę. Gdzieś daleko na wschodzie rozległ się przytłumiony grzmot.

- To Uhnemeke¹ się gniewa - powiedział starzec. Dziewczyna skuliła się lekko i spytała nieśmiało:

- Czy Uhnemeke gniewa się na ludzi i czy pożera ich tak, jak pożerają windigos?

Starzec zamyślił się na chwilę, po czym odparł:

- Czasami Grzmot gniewa się i na ludzi, ale tylko wtedy gdy są źli, gdy nie przestrzegają praw ziemi i praw nieba. Na dobrych nie gniewa się i nie zabija ich; pomaga im często. Pomaga i nam, i wiele dobrego od niego otrzymujemy. Żyje od bardzo dawna. Nikt, nawet najstarsi nasi ojcowie i ojcowie naszych ojców nie pamiętają, od jak dawna. Jest już bardzo stary, ale kiedyś, kiedy był młody, dokonał wielkich czynów i przyniósł naszemu ludowi wiele radości.

- Opowiedz nam o tym - poprosiła Shesheeb.

Czarownik przymknął z lekka powieki i zamyślił się. Może wspominał dni własnej młodości, może przywoływał w pamięci jakieś odległe zdarzenia, a może modlił się do Wielkiego Ducha; w końcu zaczął mówić przytłumionym głosem:

- Dawno temu, tak dawno, że nie pamiętają tego największe i najstarsze drzewa w puszczy, całą ziemią rządziły cztery wiatry: Wiatr Północny, Wiatr Zachodni, Wiatr Południowy i Wiatr Wschodni. Każdy z nich rządził niebem i ziemią przez pewną część roku, który składał się z dwunastu księżyców, Najpotężniejszym z wiatrów był Wiatr Północny, toteż zabrał dla siebie aż dziewięć księżyców, podczas których zsyłał na ziemię mróz i śnieg tak wielki, że marzli ludzie i ich bracia i siostry - zwierzęta. Myśliwi w czasie wielkiego zimna i głębokiego śniegu nie mogli polować i często umierali na swych łowieckich ścieżkach. Umierały z głodu i zimna - bo myśliwi nie mogli zdobyć ciepłych skór - ich żony, matki i dzieci.

W czasie księżyców, w których panował Północny Wiatr - zwierzęta nie mogły znaleźć pokarmu pod grubą warstwą zmarzniętego śniegu i też często umierały z głodu. Było ich więc bardzo mało, coraz mniej. I ludzi było coraz mniej.

Północny Wiatr był bardzo zły. Mroził nawet drzewa w puszczy tak, że pękały z hukiem. Ponieważ ziemia zamarzała bardzo głęboko, nie mogły pić z niej soków żadne rośliny.

- Pozostałe trzy wiatry postanowiły zwołać naradę, żeby pomóc ludziom, roślinom i zwierzętom. Wiatry wiedziały, że każdy z nich z osobna jest słabszy od Wiatru Północnego, ale gdy zjednoczą się, będą od niego silniejsze.

Po długich naradach postanowiły użyć podstępu. Ponieważ wiedziały, że Wiatr Północny ma wszędzie swych wywiadowców, którzy donoszą mu o wszystkim, co dzieje się na ziemi i na niebie, wysłały do niego swych posłańców z bogatymi darami. Posłańcy stanąwszy przed lodowym obliczem gospodarza powiedzieli mu, że wiatry: Zachodni, Południowy i Wschodni, które nigdy jeszcze nie widziały krainy Wiatru Północnego, pragnęłyby złożyć mu wizytę, by lepiej poznać jego wielką moc i siłę, i opowiadać o niej na całym świecie o każdej porze roku..

Wiatr Północny, który był bardzo zarozumiały i chciał, by go wszyscy zawsze podziwiali i chwalili, przyjął łaskawie dary i wysłuchał posłańców. Zgodził się przyjąć zapowiedzianych gości i obiecał nawet, że na czas ich wizyty zamknie w podziemiach lodowej góry swego najwierniejszego pomocnika, którym był Mróz, tak by jego goście nie zamienili się w lodowe sople.

Gdy nadszedł czas wizyty, nadleciał nad lodową górę Północnego Wiatru Wiatr Zachodni i zakrył oczy wywiadowców gęstą mgłą. Wkrótce po nim, gdy poprzez mgłę nie było nic widać, przybył Wiatr Wschodni pod postacią ogromnej tłustej chmury. Jako ostatni nadleciał Wiatr Południowy, który przyniósł z sobą ciepło i słońce.

Gdy wszystkie trzy znalazły się nad siedzibą Wiatru Północnego, ciepło i słońce rozproszyły mgłę i ogrzały chmurę. Z chmury zaczęły spadać krople deszczu. Wtedy syn Wschodniego Wiatru, Uhnemeke, który do tego czasu ukryty był w środku chmury, wykazał swą czarodziejską moc i ze straszliwym rykiem uderzył w lodową górę.

Z chmury, która stała się tak wielka jak cała kraina Północnego Wiatru, spadały ogromne ilości ogrzanej słońcem wody. Wielka lodowa góra ogrzewana ciepłym deszczem zaczęła topić się, a Uhnemeke bez przerwy uderzał w nią swymi piorunami, które w końcu przebiły lód i wpuściły potoki deszczu do jaskini, w której przebywał zamknięty Mróz. Deszcz i ogniste strzały Uhnemeke zaczęły roztopiać jego zimną zbroję, a wraz z tym słabła jego moc.

Przez cztery pełne słońca z nieba płynęły potoki ciepłego deszczu i grzmiał Uhnemeke.

Wtedy Wiatr Północny straciwszy nadzieję na pokonanie swych potężnych przeciwników przyjął ich warunki i poddał się.

Wiatry Wschodni, Zachodni i Południowy zażądały, by rok został podzielony równo między wszystkich. I tak się stało.

Od tego czasu rok składa się jak dawniej z dwunastu księżyców, ale każdy wiatr panuje przez trzy księżyce.

Gdy kończy się okres panowania Wiatru Północnego, Uhnemeke oznajmia swym głosem nadejście Księżyca Dzikiej Gęsi - początek wiosny. I wtedy Mróz opuszcza ziemię, młoda trawa przebija się przez kobierzec starych liści, zaczynają krążyć soki w drzewach, lód opuszcza jeziora i rzeki, budzi się ze snu niedźwiedź, a dzika gęś wraca do północnego kraju. Zwierzęta przestają odczuwać głód i stają się coraz tłusciejsze. Ludzie radują się słysząc głos Uhnemeke, gdyż wiedzą, że przyniesie z sobą dobry, potrzebny wszystkim deszcz i ciepło.

Czarownik zamilkł, zmęczony opowieścią. Coraz grubsze i gęściejsze krople spadały na jego siwe włosy.

Zwrócił się do swych słuchaczy i wskazał im wejście do wigwamu. Następnie odwrócił się do rannego i dotknął jego ramienia. Myśliwy pokręcił przecząco głową. Wolał pozostać na deszczu.

W rozwarłe nozdrza wchłaniał ożywcze zapachy wiosny i czuł jak w ciało jego wstępuje dawna siła. Poprzez strugi ulewnego deszczu uśmiechał się do swych myśli. Słyszaną opowieść znał doskonale - słuchał jej wielokroć na południu u ognisk Odźybuejów i jeszcze dalej. Różniła się trochę od tej, którą opowiedział Grzmiący Róg. W tamtych występowała piękna dziewczyna, którą kochał jeden z synów Południowego Wiatru i uwolnił z lodowej krainy, ale jak mogła zawędrować tutaj? Cóż, puszcze były domem dla wielu; przemieszczali się w nich nie tylko pojedynczy ludzie - coraz częściej całe plemiona, i te znad Wielkich Jezior, znad Potomaku, Susquehanny i Delaware, znad Maume, a nawet z doliny Ohio. Wiedział o tym wiele. Wraz z nimi przemieszczały się legendy i wierzenia Indian. Zamyślił się głęboko i trwał tak w bezruchu do południa, gdy rozpogodziło się i słońce wysuszyło jego twarz i włosy.

Z wigwamu wyszli Grzmiący Róg i Młody Bóbr, w progu przycupnęła Shesheeb. Rzuciła na białego ukradkowe spojrzenia. Wydawał się jej coraz bardziej dziwny. Nie uciekał przed deszczem. Nie bał się grzmotu i nic nie mówił, tak jakby nie miał głosu. A może stracił głos? - zaniepokoiła się. Może jego duch jeszcze nie wrócił całkowicie? Gdy zastanawiała się nad tym, poczuła na sobie jego wzrok, który miał dziwną moc i przyciągnął jej spojrzenie. Trzymał je chwilę jakby na uwięzi; biały z wolna odwrócił głowę i wszedł do szałas, ale Shesheeb zrozumiała, że tym jednym krótkim spojrzeniem zajrzał jej do duszy i poznał jej myśli.

Nie pokazywał się do wieczora. Gdy weszła, żeby przynieść mu posiłek, patrzył na nią inaczej niż zwykle, ale nie potrafiła zrozumieć tej zmiany. Gdy zamierzała już odejść, zatrzymał ją nagle. Przemówił językiem jej plemienia i, chociaż język ten brzmiał bardziej twardo niż w ustach jej braci, był to jej język.

- Niech Shesheeb pozostanie jeszcze przez chwilę. Biały pragnie poprosić ją o coś. Niech córka Wilka nie dziwi się, że znam jej mowę. Nauczyłem się jej dawno u jej braci nad wielką zimną wodą, którą moi bracia nazywają Zatoką Hudsona.

Biały, którym przez tyle dni opiekowała się Shesheeb, wie, że dziś wieczorem ma się odbyć

narada jej braci w sprawie wielkiego polowania. Chce, by Shesheeb poszła teraz do Szarego Niedźwiedzia i powiedziała, że biały chce mówić z nim, z ojcem Shesheeb - Wilkiem, z Grzmiącym Rogiem i Młodym Bobrem.

Niech córka Wilka prośbę moją przekaże tak, by nie słyszeli jej inni i niech poza wodzem nikt nie dowie się, że biały zna mowę jej braci. Niech ci, których wymieniłem, przybędą zaraz. Biały będzie na nich czekał.

Dziewczyna skinęła głową.

- Shesheeb uczyni tak, jak jej kazałeś - po czym wysunęła się na zewnątrz.

W kilkanaście minut później do wigwamu weszli obaj wodzowie: Szary Niedźwiedź i Wilk, szaman oraz Młody Bóbr. Mimo pozornego spokoju i opanowania, twarze ich wyrażały niekłamane zaciekawienie.

Biały, jak nakazywał obyczaj, powstał na ich powitanie i poprosił, by usiedli.

Wiedział, że nie należy się spieszyć z rozpoczynaniem rozmowy. Indianie, a szczególnie Odzybueje i Cree, nie lubili tego. Nim się odezwał, przeczekał więc odpowiedni czas.

W końcu przemówił. Słowa, które wypowiadał, były proste i jasne. Nie używał podwójnego języka. Dzielił się swymi myślami. Przypominał dzieje dawne i czas obecny. Opowiedział o sobie i o nich. O tym co spotykało ich samych i ich braci z innych plemion.

W miarę jego słów twarze Indian tężały. A biały przekonywał, wyjaśniał swe myśli i zamiary, tłumaczył. W końcu zrozumieli.

Gdy skończył, Szary Niedźwiedź polecił odwołać wieczorną naradę i mające nastąpić nazajutrz polowanie.

Rozmowa w wigwamie szamana przeciągała się. Na niebie rozbłysły gwiazdy. Zza wierzchołków wysokich sosen wypłynął księżyc. Shesheeb nie doczekała się nadejścia Młodego Bobra. Gdy księżyc minął połowę nieba, Szary Niedźwiedź, Wilk i Uhmik rozstali się z białym człowiekiem.

* * *

W trzy tygodnie później jego kanu przybiło do małej zatoczki, nad którą leżała faktoria Jonesa. Właściciel kanu był sam. Nie towarzyszył mu pies. Nie miał też swego łuku i strzał. Wolał nie ryzykować. W łódce leżało kilka wiązek futer i trochę towarów na wymianę.

Gdy wpływał do zatoczki, przed chatą zbitą z drewnianych, nie ciosanych bali siedział kurząc fajkę mężczyzna w średnim wieku, o jasnych długich włosach i lnianej brodzie.

Zgodnie z przyjętymi tu zasadami, nie zmieniając pozycji, sięgnął, raczej dla formalności niż z istotnie odczuwanej potrzeby, po strzelbę. Ruch ten jednak nie wyglądał groźnie.

Przybysz wyciągnął na brzeg łódkę, niedbałym ruchem zarzucił swoją broń na ramię i zbliżył się do chaty.

Podszedł do siedzącego i pozdrowił go swobodnie.

- Czy to faktoria mister Jonesa?

- Tak, wędrowcze. Czy właśnie od pana Jonesa czegoś potrzebujesz? Bo jeśli tak, to masz go przed sobą. Mówiąc to brodacz odłożył strzelbę.

Przybyły skinął głową i wyciągnął rękę w powitalnym geście.

- Jestem Winter. Tak, właśnie tu chciałem trafić. Gospodarz mocno uściśnął wyciągniętą dłoń.

- Z daleka?

Winter z lekka rozprężył ramiona.

- Tak, z dosyć daleka.

- No, to chodź do domu. Pewno masz zaschnięte gardło i pusty żołądek.

Przybyły roześmiał się ukazując równą biel zębów.

- Uhm. Trafił pan, tak jak trzeba.

Weszli do obszernej izby. Gospodarz przysunął do czegoś w rodzaju stołu dwa ręcznie ociosane zydle, wyciągnął pękata butelkę rumu i dwa cynowe kubki.

Stuknęli się, jak dwaj starzy znajomi.

- Możesz sobie nalać, Winter. Ja tymczasem przygotowuję coś na ząb. - Spiżarnię musiał mieć dobrze zaopatrzoną, bo dosłownie w kilka minut przed przybyciem pojawiło się pół gęsi i cała góra zimnego mięsa. Nie dał się namawiać i w ciągu następnej pół godziny znacznie uszczuplił zapasy gospodarza, który zresztą z niemałym zdziwieniem obserwował, jak w żołądku tamtego znikają okazałe kęsy dziczyzny.

Wreszcie przybyły odsunął miszkę, wyciągnął kapciuch z tytoniem i starą fajkę z nieźle nadgryzionym cybuchem.

- No, od trzech dni po raz pierwszy przyzwoicie sobie podżarłem.

- Ale nie popiłeś!

Winter obejrzał butelkę i uśmiechnął się widząc puste dno.

- Piłem też. Na dzisiaj wystarczy, a chciałbym jeszcze trochę pogadać. Od początku wiosny jesteś pierwszym człowiekiem, z którym w rozmowie nie trzeba łamać sobie rąk. Wystarczy otworzyć gębę.

- Od początku wiosny powiadasz, to skąd wędrujesz? Jeśli to nie tajemnica - zastrzegł się.

- Znad Swan River koło Winnipegosis. Gospodarz gwizdnął przez zęby.

- No, to szmat drogi. North West Company? - dodał domyślnie.

-, Nie - Winter pokiwał przecząco głową. - Na razie wolny strzelec, ale może niedługo gdzieś się zaciągnę. Ma się rozumieć, jeśli będą dobre warunki - dodał chytrze.

Jones spojrzał wymownie przez otwarte drzwi w kierunku łódki i przymrużył znacząco oko.

- Widać, że nie jesteś niezaradny.

- To? - przybyły wskazał na wiązki skórek leżących w łodzi. - Spotkałem bandę Tsattine. Kupiłem za parę noży, trochę prochu, kul i starą strzelbę, no i trochę paciorków.

- Hm, Bobry. Daleko stąd?

- No... Będzie ze dwa tygodnie. Oni powiedzieli mi o faktorii Jonesa.

Gospodarz roześmiał się.

- Dobry jesteś. Zrobiłeś interes - dodał z westchnieniem żalu.

- Wyrezyłem ich tylko. Po co mieli się wlec tak daleko, skoro ja i tak zmierzałem w tym kierunku. Zresztą myślę, że nie będę się z tym włókł dalej. Chyba że faktoria Jonesa nie ma już nic na składzie, no... to wtedy trudno.

Gospodarz podniósł się i powiedział:

- Chodźmy. Nie martw się o skład.

Zeszli do łódki i zarzucili wiązki skórek na plecy. Winter zszedł jeszcze raz i zabrał resztę swego dobytku. Gdy wtaszczył się z tym do izby, Jones oglądał futra, po czym szybko je przeliczył.

- No, no - opłaciło ci się. Futra są dobre i dam dobrą cenę. Czy chcesz to załatwić zaraz, czy zatrzymasz się trochę?

- Chciałbym odpocząć dzień lub dwa. Interes możemy załatwić jutro. Jeśli, ma się rozumieć, nie wyrzucicie mnie?

Gospodarz parsknął śmiechem.

- Nawet gdybyś był z Hudson Bay Company, też nie wyrzuciłbym cię. Możesz się rozgościć na tej pryczy, koło pieca. Dzisiaj będziemy sami. Jutro powinni wrócić moi chłopcy, popłynęli rano czterdzieści mil w górę rzeki. Ściągają Chipewyan z zimowych polowań. Najlepszy czas na interesy. Mógłbyś trochę pozostać i pomóc. Zapłacę dobrze. Dla trzech, a właściwie dla dwóch, bo jeden ciągle musi być w faktorii - za dużo roboty.

Winter zastanawiał się przez parę chwil, po czym pokiwał przecząco głową.

- Nie. Jones. Mogę zostać najwyżej dwa, trzy dni i muszę jechać dalej. I tak już się spóźniłem.

Na lekko zdziwiony wzrok tamtego dodał:

- Jadę bez przewodnika. W połowie drogi zboczyłem trochę. Straciłem potem masę czasu, by odnaleźć szlak.

- A dokąd on prowadzi?

- Fort Chipewyan nad jeziorem Athabaska.

- No, to jeszcze wiele dni przed tobą.

- Właśnie... Mężczyźni umilkli.

- Stąd już droga prosta, chociaż dla samotnego ostatnio nie zawsze bezpieczna.

Winter spojrzął z zaciekawieniem.

- Tak - gospodarz pociągnął ze swej fajki spory haust dymu. - Od prawie dwu lat dzieją się tu

dziwne rzeczy.

- Dziwne?

- No... może i nie, ale wcześniej to się nie zdarzało, a przynajmniej od czasu, gdy Indianie zawarli między sobą pokój. Chyba że teraz

- znów się coś szykuje, chociaż nie ma właściwie żadnych oznak.

- A więc coś z dzikimi?

- I tak. i nie. Ot, chociażby przypadek, jaki wydarzył się prawie miesiąc temu - tu rozparł się wygodniej. - Parę tygodni temu banda Chipewyan przysłała posłańca, że są już po okresie łowów i za parę dni przyjadą z futrami. Znam ich od paru lat. I nawet się z nimi zaprzyjaźniłem; byłem zresztą kilka razy w ich wiosce. Gdy w oznaczonym czasie nie przybyli, za parę dni posłałem moich chłopców na spotkanie i wiecie co znaleźli?

- No?

- Najpierw dwu zamordowanych białych. Jeden zginął od indiańskiej strzały, drugi od pchnięcia nożem w plecy, a obok nich były resztki niedźwiedzia. Zginął też od strzał myśliwskich i noża. Ale to nie wszystko. Dwadzieścia parę mil niżej chłopcy znaleźli moich Indian. Sępy i wilki w połowie ich już pożarły. Śladów ani na lekarstwo. Padał deszcz i wszystko zmył. Niedawno przybyło stamtąd całe plemię ze skórami. Też nic nie wiedzą i nie rozumieją. Żyją dobrze z ich wodzem. Był pewien, że to nie Cree, a nigdzie w okolicy nie stwierdzono śladu ani Bobrów, ani Etchaottiine, ani Sekani czy Sarsi. Dzicy nie umieją czytać ni pisać, ale ślad drugiego Indianina wywąchają na milę. W tym wypadku nie znaleźli nic. Ani śladu po towarach białych. Musieli je przecież mieć z sobą; ani śladu po futrach zabitych Indian. W promieniu wielu mil przejrzelismy wszystko. I nic - najmniejszego znaku. Dziwne, co?

- Tak, dziwne. Czy zabitym zdjęto skalpy?

- Nie, i to jest najdziwniejsze. Gdyby sprawcami byli dzicy, zabraliby skalpy, a dziki skalpem zawsze się pochwali. Sprawa musiałaby się wydać, a tak, jak kamień w wodę.

Winter pokiwał głową.

- Macie rację, coś tu jest nie w porządku.

- Ha, gdyby tylko to. Podobne wypadki mamy tu od dłuższego czasu. Ja sam znam ze dwadzieścia. Znikają handlarze z dostawami towarów. Giną Indianie z ładunkami futer. Trupy się znajduje, ale nic więcej; po towarach i futrach ani śladu. O kilku takich wypadkach opowiadał mi przewodnik, który z Fortu Chipewyan przywoził mi ostatnio zaopatrzenie. W okolicy Athabaski tej wiosny zanotowano już dziewięć takich wypadków.

Winter pokiwał smętnie głową.

- Nie wiedziałem, że to takie zabawne strony. Pewno bym się zastanowił, czy to najlepszy dla mnie klimat. Ale dobrze, że mi o tym powiedzieliście. Będę trzymał bliżej strzelbę i spał trochę lżej.

Obydwaj mężczyźni uśmiechnęli się nieszczerze.

- Zresztą - gospodarz wzruszył ramionami - mnie jakoś nikt do tej pory nie zaczepiał, ludzie wiedzą, że strzelam dość dobrze, a ten domek, w którym teraz siedzimy, nie obawia się ani strzał, ani kul.

No i przeważnie jest nas trzech. Poza tym pod ręką mam zawsze parę nabitych strzelb i pistoletów. Będziemy więc mogli spać spokojnie.

Winter skinął głową. W jego szaroniebieskich oczach zamigotały lodowe błyski. Myślał nad czymś intensywnie. W końcu stwierdził jeszcze raz:

- Tak, dziwne jest to wszystko, ale może to tylko zwykły zbieg okoliczności. - Nie wydawał się jednak być przekonany nawet sam tym twierdzeniem.

Koło południa ściągnęła kilkunastoosobowa rodzina Cree z kobietami i dziećmi. Przywieźli sporo futer.

Rozpoczął się zwykły w tych warunkach targ, a ponieważ Jones znał ich język i zwyczaje, po kilku godzinach obie strony doszły do porozumienia i Indianie zaopatrzeni w strzelby, proch, ołów, sporą ilość sukna i perkalu, soli, mąki, grochu i fasoli, a także noże, toporki i kamień do szlifowania ostrzy, odpłynęli przed wieczorem.

Gospodarz przestrzegwał zasady, że przy handlu ani kropli rumu. Po zakończeniu transakcji dorzucił im jednak na podróż baryłkę alkoholu.

Winter nie wtrącał się do targów ani do rozmowy, a Jones zapytany przez jednego z Indian o nieznaną bladą twarz wyjaśnił, że biały brat udaje, się do Fortu Chipewyan. Nie zwrócił jednak uwagi na wymianę spojrzeń między pytającym a swym towarzyszem, ani na dziwny znak ręką zrobiony przez Wintera.

Indianin zresztą zadowolił się odpowiedzią handlarza i nie zwracał na drugiego białego żadnej już uwagi.

Po kolacji gospodarz porozwieszał kupione futra w przyległym do izby przewiewnym pomieszczeniu, zamknął od wewnątrz okiennice i zabarykadował drzwi. Powietrza i tak było dosyć, gdyż w ścianach pozostawały nie zasłonięte niewielkie okienka, mogące w razie potrzeby służyć za otwory strzelnicze.

Życzył swemu gościowi dobrej nocy i zdmuchnął świeczkę. W kilka minut później obaj pogrążeni byli we śnie.

Trudno powiedzieć, jak długo on trwał, w każdym razie musiało być już dobrze po północy, gdy Winter obudził się nagle. Gdzieś głęboko w podświadomości błysnęło ostrzegawcze światło. Instynkt podpowiadał, że nadchodzi niebezpieczeństwo. Nie poruszył się jednak, nie wstrzymał oddechu. Jego pierś unosiła się nadal równym rytmem. Z drugiego końca izby dobiegał również miarowy oddech. Zamamrotał coś niewyraźnie, jak człowiek głęboko uśpiony i przylgną! uchem do

szpary między dwoma ściennymi pniami. Oddychał nadal równo, słuch jednak skoncentrował się na tym co musiało dziać się na zewnątrz. Przez parę minut panowała niczym nie zmacona cisza. Wiedział jednakże, że cisza ta jest pozorna. W mrokach nocy czaiło się coś. Wstał bez szmeru i przez jeden z otworów ściennych zaczął obserwować otoczenie. Na pozór nic się nie działo, a jednak. O... tam nad wodą... Nie ulegało wątpliwości; do zatoki wpływały cicho jakieś łodzie. Już zamierzał zbudzić gospodarza, gdy nagle zeszytniał. W izbie panowała cisza; z drugiej pryczy nie rozlegał się już oddech. A więc tak. Tamten też miał czujny sen. Trudno... Musiał ryzykować. Podeszedł cicho do posłania gospodarza, nachylił się nad nim i szepnął:

- Wstawajcie, mamy nie zapowiedzianych gości. Tu dotknął palcem jego ust.

Gospodarz zrozumiał - napięte mięśnie dłoni trzymającej zdecydowanie rękojeść noża rozluźniły się. Ten, który go budził, nie był wrogiem. Szybko jak wąż ześliznął się z posłania i spytał również szeptem:

- Ilu?

- Nie wiem, trzy łodzie. Ich jest co najmniej kilkunastu. Obydwaj podeszli do strzelnic.

Noc nie była zbyt ciemna. Widzieli więc, jak nad wodą uwija się kilka niewyraźnych postaci.

Obserwowali je przez chwilę. Winter ponownie dotknął ramienia gospodarza.

- Czy jest jakieś wyjście na dach?

- Tak, po tej drabinie.

- Trzeba więc wziąć kilka strzelb i wejść tam. Z zewnątrz będzie lepiej widać.

Jones, który znakomicie znał każdy kąt swej izby, wetknął za chwilę w ręce Wintera parę długich pistoletów.

- Zatkniście za pas i weźcie jeszcze ze trzy strzelby.”

Sam uzbroił się podobnie. W minutę potem leżeli płasko na dachu.

Tymczasem cienie nad wodą zbiły się w ciasną grupę i nad czymś widocznie naradzały. Niczym daleki szmer potoku docierał tu ich szept, ale nie można było uchwycić nawet jednego głośniejszego słowa. W końcu jednak grupka rozproszyła się i pojedyncze postaci, niczym wilki na łowach, podsunęły się w stronę chaty.

Obydwaj mężczyźni naliczyli dwanaście osób. Nocni przybysze podsunęli się na odległość kilku kroków od domu i przycupnęli pod osłoną różnych nierówności gruntu.

- Pilnuj ich, ja zejść na dół - Jones tchnął w ucho swego towarzysza i zsunął się do izby.

Z grona nocnych gości wysunęła się jakaś ciemna postać. Przez moment zaśnił jej nagi, natarty tłuszczem tors. Indianin podpełznął do drzwi chaty. Uspokojony jednakże panującą ciszą, szybko przesunął się pod okno, potem pod drugie. Z kocią zręcznością, bezszelestnie okrążył budynek i znów przystanął pod drzwiami. Z wnętrza dolatywało przytłumione chrapanie. Widać gospodarz pogrążony był we śnie.

Nocny gość spróbował drzwi, potem cicho zbliżył się do grupki leżących nie opodal i szybko złożył im relację.

Sprawa nie musiała wydawać się prosta, skoro cała grupa odsunęła się od chaty i szybko wsiadła do łodzi. Zamknięte od wewnątrz drzwi zbite z grubych bali i tak samo zabezpieczone okiennice nie dawały szans na niespodziewany atak.

Winter zszedł cicho po drabinie i złożył broń na posłaniu.

Gospodarz uczynił to samo i usiadł obok niego.

- Odplynęli, ale pewno powrócą.

- Tak, wrócą rano i spróbują wywabić nas podstępem. Chodzi im o towary i futra, więc nie zaryzykują podpalenia. Zresztą nocą rzadko kiedy atakują, gdyż duchy poległych nie odnalazłyby w ciemnościach ścieżki do krainy przodków.

- Co więc zrobimy?

Mimo ciemności znać było, że tamten wzruszył ramionami.

- Cóż, poczekamy...

Rozmowa prowadzona była szeptem. Mężczyźni ustalali plan działania.

Świt rozproszył ciemności, gdy od strony wody dobiegło głośnie wołanie. Jones, który od paru chwil obserwował, jak rosły Indianin usiłuje wprowadzać do zatoczki duże puste kanu, uchylił niewielki otwór w środkowej części drzwi i ukazał swą zmierzwioną głowę.

- Czego potrzebuje mój brat? - rzucił w języku Cree, widząc z odległości kilkudziesięciu jardów wytatuowaną twarz wioślarza.

- Długi Nóż potrzebuje pomocy. Może biały brat zejdzie tu na chwilę.

- Nie mogę zejść, bołą mnie nogi, ale widzę, że mój czerwony brat jest silny i zdrow. Niech więc on przyjdzie, już otwieram drzwi.

Indianin wyciągnął czólno na ląd i skierował się w stronę chaty. Prócz noża u boku nie miał innej broni. Idąc rzucił dwukrotnie ostre spojrzenie na kępę wiklinowych gałęzi, leżących o jakies trzydzieści kroków z lewej strony od wejścia - tuż nad rzeką.

Jones tymczasem zamknął okienko i zaczął głośno zdejmować zamykającą drzwi ciężką żelazną antabę.

Odsunawszy ją uchylił wejście, tak że odsłonił tylko część postaci i skinął na dzikiego.

- Niech mój brat wejdzie.

Indianin chwilę się zawahał i spytał na pozór niewinnie.

- A dlaczego nie widać synów mego białego brata ani ich dużego kanu?

- Synowie popłynęli w górę rzeki. Niech mój brat wejdzie. Otworzy! szerzej drzwi cofając się w głąb słabo oświetlonej izby.

Potęźnie zbudowany tubylec wkroczył śmiało do wnętrza. Za ledwie jednak przekroczył próg,

gdy jego nieco powolne, ociężałe ruchy stały się szybkie jak ruchy dzikiego kota. Ręką sięgnął błyskawicznie po nóż. Wysunął nogę, jakby gotując się do skoku i zamarł. W rękę białego dostrzegł ciemny błyszczący kształt długiego pistoletu, którego lufa mierzyła w jego pierś.

To co nastąpiło w następnej sekundzie, stało się tak nagle, że biały został zupełnie zaskoczony. Indianin przysiadł gwałtownie, a ponieważ znajdował się jeszcze w progu, prysnął przez drzwi jak błyskawica, tak że pistoletowa kula przeszła nad jego głową.

Z gęstej krzewiny gruchnęła potężna salwa skierowana w drzwi, ale również o ułamek sekundy za późno. W momencie skoku czerwonoskórego Winter, który stał za drzwiami, pchnął je gwałtownie, toteż grzechot kul o grube bale nie uczynił na nim większego wrażenia. Spokojnie zakładał żelazną sztabę.

Jones tymczasem tkwił już przy bocznym otworze strzelniczym i walił w kępę. skąd padła salwa. I widać było, że chwilowe niepowodzenie nie wytrąciło go z równowagi. Opróżniwszy po kolei pięć strzelb, przysunął sobie następne i uważnie przeczesywał wzrokiem okolicę.

Tymczasem jego towarzysz usadowił się pod przeciwległą ścianą i pilnował tej strony chaty.

Po wymianie pierwszych strzałów zapadła cisza. Nie dał się jednak zwieść pozorom i jego wyćwiczony wzrok badał uważnie każdy krzew, drzewo i załamanie gruntu. Każdą najmniejszą osłonę. W końcu uwagę jego przykuł lekki ruch gałązki jałowca. Cofnął się o pół kroku w głąb izby. przyłożył strzelbę do ramienia tak, żeby lufa jej nie wystawała na zewnątrz i zamarł w oczekiwaniu. Gdy spod krzewu wychyłała na moment dzika wytatuowana twarz, spokojnie przycisnął spust. Nie musiał sprawdzać skuteczności tego strzału.

Rozglądając się dalej uważnie ponownie nabił strzelbę. Wolał nie ruszać pozostałych, mogły się przydać później.

Jones widocznie doszedł do podobnego wniosku, bo nie zwracając uwagi na dosyć gęstą strzelaninę również nabijał szybko opróżnione przed paru minutami strzelby. Załadował też starannie swój długi pistolet. Wiedział, że tylko przypadkowa kula mogłaby przedostać się do wnętrza.

Obserwował pilnie obłoczki dymu wytryskujące z zarośli i też spokojnie czekał.

W końcu podniósł błyskawicznie broń. Rozległ się huk, któremu zawtórował krzyk bólu w zaroślach.

- No, dostałem cię, czerwony diable - mruknął. W końcu ze skrajów lasu rozległ się donośny głos:

- Niech się biały podda i wyjdzie z chaty. Oszczędzimy mu życie. Jeśli nie usłucha, chatę spalimy wraz z nim.

Jones, gdyż do niego skierowane były te słowa, w odpowiedzi posłał kulę tam, skąd dochodził głos.

Znów po drewnianych balach zastukały pociski, a z pobliskich zarośli wyleciało kilka

płonących strzał.

Gospodarz widząc to wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Mogą te strzały ciskać do sądnego dnia. Wszystko jest mokre po deszczu i sam Uhnemeke nie jest w stanie tego spalić.

Winter odpowiedział mu również uśmiechem. Rzadka wymiana strzałów trwała prawie do południa.

Gość Jonesa strzelił w tym czasie jeszcze tylko dwa razy. Raz, nie był pewien; drugi raz trafił, ale chyba nie śmiertelnie. Gdy po kilkunastominutowej ciszy rozległ się ponownie z zarośli ten sam głos żądający poddania się, nastawił uszy i wsłuchiwał się pilnie w intonację słów. Tak, nie ulegało wątpliwości, że to nie mówił żaden przedstawiciel plemienia Cree ani Indianin z okolicznych plemion. Był to głos inny, głos przedstawiciela białej rasy.

Odpowiedź gospodarza była taka sama jak poprzednio. Tyle że w miejsce, skąd mówił niewidoczny napastnik, posłał kolejno trzy kule.

Nim przebrzmiało echo jego wystrzałów, gdzieś z głębi boru, w górze rzeki, doleciała odległa salwa.

Jones podskoczył do góry i zawołał:

- To wracają moi. Opróżnił szybko luty paru strzelb.

W zaroślach coś się poruszyło. Widać było, że napastnicy uciekają.

W dziesięć minut potem, na czele kilkunastu kanu wyładowanych futrami i przynajmniej połową setki Indian, uzbrojonych w łuki lub strzelby, wyskoczyli na brzeg dwaj rośli biali młodzieńcy.

Wysłuchawszy krótkiej relacji gospodarza miody wódz Chipewyan wydał szybkie rozkazy i ponad połowa jego ludzi zniknęła w zaroślach.

W kilka minut potem dwu z nich przyniosło zwłoki jednego z napastników. Był to ten sam, który rano pojawił się w składzie kupca jako pierwszy i którego trafiła kula Wintera. Mały okrągły otwór widniał dokładnie między nasadą nosa a nieco skośnie rozstawionymi oczami.

Wódz przybyłych obejrzał go uważnie, szczególnie długo i wnikliwie badał malowidło na twarzy. Długo oglądał łuk, strzały i mokasyny - wpatrywał się w ostre, spizowe rysy; w końcu orzekł krótko:

- To nie jest Cree, to wojownik z południa, z plemienia Czarnostopych.

- Czarnostopi - zdumiał się Jones. Indianin zaprzeczył gwałtownie i wyjaśnił:

- Tylko on Blackfoot. Pozostali nie. Kamienny Grot, chociaż nie ma jeszcze siwych włosów, wie, że Czarnostopi nie pozostawiają ciała swego towarzysza Wrogom. Gdy wrogowie oskalpują, duch zmarłego nie idzie do Krainy Przodków. Za życia i po śmierci jest niewolnikiem swego zwycięzcy.

- W takim razie kim byli pozostali napastnicy? Indianin wzruszył ramionami.

- Powrócą zwiadowcy - powiedzą - albo i nie.

Winter, który przysłuchiwał się tylko rozmowie, podziwiał w duchu przenikliwość dzikiego. Sam doszedł do podobnych wniosków chociaż nieco dalej idących. Zachował je jednak dla siebie.

Po kilku godzinach wrócili zwiadowcy. Ich wyjaśnienia były zgodne. Napastników było piętnastu. Jeden został zabity, jeden ciężko, dwu lżej rannych; odpłynęli z prądem w trzech kanu, które stały w dole rzeki. Czwarte zostawili w zatoczce.

Nie wiadomo do jakiego należeli plemienia. Po kształcie tu i ówdzie odcisniętych śladów stóp można było stwierdzić jedynie, że nie pochodzili z tych okolic.

Grupa, którą przyprowadzili synowie Jonesa, postanowiła zostać w okolicy przez kilka dni, co zresztą gospodarzowi było na rękę.

Wieczorem Kamienny Grot rozstawił strażę, które miały się zmieniać co dwie godziny.

Przy kolacji synowie Jonesa - Peter i Tom dziękowali Winterowi za pomoc, jakiej udzielił ojcu. Myśliwy słuchając tego uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Bronilem również własnego skalpu. A więc żadna zasługa. Zresztą ojciec obroniłby się sam. Ta forteca jest nie do zdobycia.

Młodzieńcy jednak nie zmienili zdania, a słysząc o uczynionej wcześniej propozycji ojca poczuli nalegać.

- Niech pan zostanie z nami! To dobry interes. Za parę lat będzie pan bogaty.

Jednak gość nie był przekonany.

- Nie, Tom. Dałem słowo, że będę w Forcie Chipewyan. Wspólnik liczy na mnie. Chcemy tam lub trochę dalej na zachód utworzyć nową faktorię. Wysłał już na pewno towary. Muszę się spieszyć. Pewno robię wam konkurencję?

Ojciec i synowie roześmieli się.

- Po tamtej stronie Athabaski nie zrobi pan nam konkurencji - stwierdził gospodarz. - A nawet po tej, też byśmy się jakoś zmieścili - dodał z uśmiechem. Podnieśli zgodnie kubki.

Skoro świt Winter wysunął się cicho z izby i poszedł do wodza Indian, który wybierał się na polowanie.

- Czy mój czerwonoskóry brat nie ma nic przeciw temu, by biały poszedł z nim na jelenia?

Indianin skinął głową. Po paru chwilach zagłębili się w las. Kilkunastu innych Indian wyruszyło w różnych kierunkach, w tym samym celu.

Po południu na niewielkiej polanie przed chatą Jonesa zapłonęło kilka ognisk, na których piekła się dziczyzna. Rejon obfitował w zwierzynę i dzikie ptactwo.

ROZDZIAŁ III

W forcie Winter stanął piętnastego maja. Zameldował się u dowódcy kilkunastoosobowego garnizonu, przedstawił upoważnienie do prowadzenia handlu futrami, wystawione przez angielskie władze w Montrealu. Na pytanie młodego porucznika wyjaśnił, że towarów ma na razie niewiele, ale jego przyjaciele dostarczą je przed zimą. Okres, jaki pozostaje mu do tego czasu, chciałby wykorzystać na rozejrzenie się w terenie i nawiązanie znajomości z Indianami. Pragnąłby się zorientować, jacy kupcy pozakładali w pobliżu faktorie handlowe i odwiedzić ich, gdyż nie chciałby - jak to określił - nikomu wchodzić w paradę. Nie wykluczał, że własną faktorię, gdy nadejdą towary, założy albo w górze rzeki Peace, gdzie rejon obfituje w zwierzęta futerkowe i gdzie podobno żyje kilka plemion zajmujących się myślistwem, albo bardziej na północ - w dół rzeki Niewolniczej, w kierunku Wielkiego jeziora Niewolniczego. Wspomniał mimochodem, że ma indiańskiego przewodnika, znającego dość dobrze okolicę.

Wysłuchawszy nowo przybyłego porucznik Brent - gdyż takie nazwisko nosił dowódca fortu - zapoznał go pokrótce z sytuacją.

- W forcie założyło faktorie pięciu kupców: Andrew Clay i Robert Perry z North West Company oraz Thomas Locke, John Rutter i Charles Mathiew, niezrzeszeni - wyjaśnił z pewną powściągliwością. - Każdy zatrudnia po kilkunastu handlarzy i wojażerów, którzy z reguły przebywają wśród Indian w odległych regionach, pojawiając się tu najwyżej raz, dwa razy do roku z futrami i po nowe zaopatrzenie; najczęściej wiosną, gdy rzeki stają się żeglowne, no i jesienią, by pobrać towary na zimę na wymianę z Indianami. Andrew Clay mieszka tu z żoną. Pozostali też mają kobiety, ale to Indianki. Coś w rodzaju służących - chociaż w tej służbie rodzą się również dzieci. Wyjątkiem jest Clay.

Handel idzie, a właściwie szedł dobrze do pewnego czasu. Od dwu sezonów coś się zmieniło. Przepadło trochę transportów z towarami, i to jak kamień w wodę. Od czasu do czasu zdarzają się napady. Nie tu, ma się rozumieć - trochę dalej - w promieniu osiemdziesięciu, stu mil lub jeszcze dalej. Gina w nie wyjaśniony sposób Indianie, giną biali.

Właśnie mnie przysłano tu, bym zrobił porządek i zbadał sprawę. Ale co może zrobić kilkunastoosobowy oddział żołnierzy?

Przysłano nas zeszłego lata. Od wiosny wysyłam patrole. Ale - machnął ze zniechęceniem ręką - teren jest ogromny. Dookoła lasy, bagna, moczary, tysiące rzek i jezior. Można błędzić po nim miesiącami, a ukrywać się przez całe lata. No, a poza tym trzeba by zatrudnić przynajmniej kilku dobrych zwiadowców. Tylko skąd na to wiać środki? Gdyby zechcieli dołączyć się kupcy, no, to może jakoś... ale oni też mają swoje małe tajemnice. Pan pewno również.

Winter spojrzał z zaciekawieniem.

- Oczywiście rum - wyjaśnił porucznik. - Oficjalnie wolno go mieć do własnego użytku, ale

niestety tylko oficjalnie, bo po każdym nadejściu większej partii futer, czasem kilku, a czasem kilkudziesięciu Indian, którzy je przywieźli, chodzi pijanych. Wszyscy twierdzą potem, że wypili po pół kubka.

Winter roześmiał się.

- No, to rzeczywiście, panie Brent, ma pan sporo kłopotów. Ja rumu nie mam, nawet baryłki. Wiem jednak, że bez rumu nie ma handlu. Tak zresztą mówią ci z Hudson Bay i North West Company. Zresztą na razie nie powinien pan mieć ze mną kłopotów. Nie rozpocząłem jeszcze handlu, a poza tym sam pewno będę miał trochę zmartwień.

Na pytające spojrzenie Brenta wyjaśnił:

- Muszę przede wszystkim rozbić jakiś wigwam. W kraju gdzie moskitów jest więcej niż szpilek na gałęziach świerku, trudno nocować pod gołym niebem, a poza tym, jak zauważyłem, ruch w forcie jest dość duży. Kręci się tu również sporo Indian. Wprawdzie skarbów z sobą nie przywozłem, ale te trochę towarów – szczególnie broń - muszę jakoś zabezpieczyć. Postawienie byle jakiej budy, dającej się jakoś zamykać, potrwa co najmniej dwa tygodnie.

Porucznik ze zrozumieniem pokiwał głową. Rozważał coś już od dłuższej chwili.

- Hm... Jeśli rzeczywiście nie zamierza pa, panie Winter, wchodzić w kolizje z prawem, to może mógłbym jakoś panu pomóc w tym pierwszym okresie. W baraku, w którym mieszkają żołnierze, jest wolna jedna izba przeznaczona na magazyn. Na razie nie zajęta. Dokąd nie zagospodaruje się pan jakoś lub nie znajdzie czegoś bardziej odpowiedniego, może pan ją objąć w posiadanie. Winter z wdzięcznością wyciągnął rękę.

- Dziękuję, poruczniku. Postaram się nie nadużywać pańskiej gościnności. Brent machnął ręką.

- Sierżant wskaże panu kwaterę. Gdy zabezpieczy pan swoje bagaże, proszę do mnie na kolację. I myślę, że znajdzie się jakaś niewielka baryłka.

Roześmieli się obydwaj. Gdy gość opuścił izbę, porucznik zamyślił się. Przybysz sprawiał wprawdzie dosyć sympatyczne wrażenie - był zresztą niewiele starszy od Brenta - ale te jego oczy; wiało z nich lodowatym chłodem, no i ręce. Mimo pozornie szczupłej sylwetki musiał być bardzo silny. Uścisk jego ręki porucznik czuł jeszcze w tej chwili. Przybył, jak twierdził, z Montrealu, a to była piekielnie daleka droga na siły jednego człowieka. I mimo całej bezpośredniości i swobody w zachowaniu, ani razu nie wymienił trasy podróży. No cóż, może wyruszył jeszcze w ubiegłym roku i gdzieś po drodze przezimował? Dokument zezwalający na prowadzenie handlu, który okazał, nosił datę maja roku minionego. Porucznik postanowił jednak wyjaśnić ten drobiazg przy kolacji.

Gdy w kilka godzin później siedzieli przy otwartych, ale szczelnie zasłoniętych moskitierami oknach, popijając herbatę z rumem, Brent zrećźnie naprowadził rozmowę na trudy dalekiej podróży i zagadnął znienacka:

- No, ale pan musiał niezłe się spieszyć. Z Montrealu to kawał drogi?

Winter, który już w czasie pierwszej rozmowy spodziewał się podobnego pytania” ze znakomicie udanym zdumieniem zawołał:

- Z Montrealu? Ależ, poruczniku, musiałbym ścigać się chyba z wiatrem. Tak, z Montrealu wyruszyłem jeszcze w ubiegłym roku. Zimą przeczekałem częściowo nad Swan River, a następnie w faktorii Owensa nad Saskatchewan. Wyruszyłem wiosną - jeszcze była kra na rzece.

- Skąd pan wytrzasnął w takim razie tego Chipewyan jako przewodnika? Przecież to nie ich tereny?

Gość uśmiechnął się.

- Daleko stąd. Po ostatniej epidemii ospy różne grupy, a nawet pojedyncze rodziny, rozproszyły się dosyć szeroko. Można ich spotkać wszędzie, nawet na południu, koło Winnipegu, podobnie jak Cree. Kiedyś panu opowiem tę historię.

- A jak pan się z nim porozumiewa?

- Trochę przy pomocy znaków rąk, które tu wszyscy znają, trochę w języku Cree. Chłopak zna go dość dobrze.

- I pan, panie Winter, również? - porucznik postanowił zmusić swego gościa do odsłonięcia chociaż częściowo przyłbicy.

- Tak, handlowałem przez parę lat na zachód od Winnipegosis z tamtejszymi Cree z prerii. Musiałem się nauczyć. Ci tutaj używają trochę innego narzecza, ale język jest ten sam.

Brent skapitulował.

- Nie jest pan więc nowicjuszem - stwierdził.

- Chyba nie, chociaż tutejsze warunki są trochę inne niż tamte, teren nieznan, no i klimat. Zdaje się, że zimy nie należą tu” do najprzyjemniejszych?

Porucznik pokiwał smętnie głową.

- Rzeczywiście. W styczniu temperatury sięgały do dziewięćdziesięciu stopni¹, a podobno bywa jeszcze gorzej. Na szczęście było co jeść, no i zawsze jest czym palić. Drewna nie brakuje:

Pogawędka przeciągnęła się do późna w nocy. Rankiem przewodnik nowo przybyłego zniknął, a Winter odwiedził po kolei wszystkich kupców. Najdłużej zatrzymał się u Ruttera. Widocznie porucznik nie czynił tajemnicy z wczorajszej rozmowy, bo wszyscy, z grubsza rzecz biorąc, znali i jego podróż, i zamiary, a Rutter zaprosiwszy go na szklaneczkę wprost przystąpił do sprawy, jego zdaniem najważniejszej.

- Panie Winter, słyszałem, że zamierza pan pozostać dłużej w naszej okolicy. Teraz czeka pan na nadejście towarów. Kiedy ich się pan spodziewa?

Gość rozłożył bezradnie ręce.

- Trudno to określić dokładnie, ale myślę, że w drugiej połowie października; może nawet na

początku listopada. W każdym razie przed zamarznięciem rzek. W przeciwnym razie będą dopiero na wiosnę.

- Dużo łodzi?

- Do Grand Portage miały być trzy czterotonowe. Dalej już normalne kanu.

- A więc ma pan przed sobą co najmniej cztery miesiące; a może znacznie więcej. Co pan zamierza robić w tym czasie?

Winter opróżnił szklaneczkę, sięgnął po kapciuch z tytoniem i starannie nabił fajkę.

- No cóż. Zamierzałem się rozejrzeć trochę. Odwiedzić Indian gdzieś w rejonie Jeziora Niewolniczego, a jeśli zdążę, to i w górę rzeki Peace.

Rutter pokręcił głową z dezaprobatą.

- To nic nie da. Do dzikich trzeba jechać z towarami lub sprowadzić ich tu po towary. Inaczej to tylko zwykła strata czasu. Kiedy dzisiaj przed południem Brent mówił mi o pańskich zamiarach, pomyślałem od razu, że nie zna pan ani tutejszych stron, ani tutejszych Indian. Całą tę dzicz trzeba poznać tu. Teraz jest najlepszy czas. Skończyli zimowe łowy, wyprawili futra i przypływają właśnie tutaj - pojedynczo lub w większych grupach, nieraz z całym przychówkiem. Tu powinien ich pan zobaczyć. Tu oni poznają pana. A dziki ma pamięć. Kupca, i to dobrego kupca, jeśli raz zobaczy, zapamięta na całe życie. Powinien pan zostać i zająć się handlem, wtedy najłatwiej o kontakty i dobre znajomości.

Winter nie wydawał się przekonany, chociaż rada nie była zła.

- Może i dobrze pan radzi, ale jest pewna trudność. Żeby zostać i rozpocząć handel, trzeba mieć sklepik, a w sklepiku trochę towaru. Oczywiście towaru trochę mam, natomiast ze sklepikiem gorzej.

Kupiec zastanowił się przez chwilę. W końcu jakby z ociąganiem rzucił:

- No, a gdybym pana przyjął do spółki, ma się rozumieć z takim udziałem, jaki ma pan w tej chwili - dodał wyjaśniająco. - Mam z Indianami dobre stosunki, toteż i handel idzie nieźle. Pan otrzyma sprawiedliwie swoją część w futrach. - Tu ściszył poufale głos. - Towary akurat mi się kończą. Dostawa przyjdzie za kilka dni - może za tydzień. Tymczasem moglibyśmy handlować razem.

Winter wydawał się jeszcze nie zdecydowany.

- Muszę zbudować jakiś szałas. Nie mogę siedzieć wiecznie na oku porucznika. Człowiek nie ma wtedy żadnej swobody - dodał dwuznacznie, patrząc jednocześnie z zainteresowaniem na młodą indiańską dziewczynę przechodzącą akurat przed drzwiami.

- Hm. Teraz jestem sam - wyjaśnił Rutter - moi chłopcy znajdują się w różnych stronach, a dom jest obszerny. Gdy ściągają, robi się trochę ciasno, ale tylko na parę dni. - Tu wskazał małą chatkę, stojącą tuż nad brzegiem wody. - To moja pierwsza siedziba sprzed pięciu lat. Potem

wybudowałem tę. Mógłby pan tam zamieszkać. Ma się rozumieć, trzeba byłoby trochę pouszczelnić ściany i zobaczyć, czy dach nie przecieka.

Winter wychylił się przez drzwi i z ciekawością oglądał całkiem solidnie zbudowany domek. Prawie mimowolnie skonstatował, że stoi on nieomal tuż nad wodą i dotyka młodego modrzewiowego zagajnika. Wydawał się być w dość dobrym stanie. Zresztą nie miało to większego znaczenia. Odwrócił się do gospodarza i spytał rzeczowo:

- Co należałoby do moich obowiązków?

Rutter sięgnął po pękatą butelkę i raz jeszcze napełnił kubki.

- Zna pan język Cree i mowę rąk - prawda?

Winter pomyślał, że Brent jednak należał do ludzi bardzo gadatliwych.

- Tak, znam; znam też kilkadziesiąt słów w, języku Chipewyan.

- No, to bardzo dobrze. Oczywiście umie pan obchodzić się z bronią?

- Może nie tak jak zawodowy myśliwy, ale do karibu czy jelenia trafiam.

- To wystarczy - Rutter wydawał się być zadowolony. - Na razie będzie pan tłumaczem przy wszelkich kontaktach z czerwonoskórymi, a kiedy zorientuje się pan w cenie futer i nowych towarów, będzie pan pracował jako sprzedawca. Może czasem trzeba będzie gdzieś niedaleko podjechać, do jakiejś wioski Indian. Zresztą to normalny chleb każdego kupca.

Winter skinął głową.

- Jasne, tylko myślałem, że ma pan jakiegoś tłumacza. Kupiec wzruszył ramionami.

- Tak, miałem, ale parę tygodni temu wsiąkł.

- Nie rozumiem? - Winter zdziwił się.

- Ano właśnie. Nawet dwóch. Pojechali do jakiegoś obozu Chipewyan i nie wrócili.

- Jak to nie wrócili?

- Ano nie. Nie mieli żadnych towarów. Pojechali, by namówić czerwone skóry, aby przywiezły futra bobrowe. Zniknęli bez śladu.

- Daleko?

- Nie, jakieś pięćdziesiąt mil w górę Niewolniczej. Obydwaj mężczyźni milczeli chwilę.

- No, więc jak? - Rutter spojrzał pytająco - zgoda?

- Zgoda.

- No, to chodźmy obejrzyć pańską chatę.

Jeszcze tego samego dnia Winter wprowadził się do swego nowego domu. a przywiezione towary zostały skrupulatnie policzone i zapisane przez kupca. Nie było tego tak bardzo mało.

Już następnego dnia od samego rana stał za ladą w faktorii Ruttera i trzeba przyznać, nie próżnował. Indianie napływali nieprzerwanym potokiem z różnych stron: pojedynczo - z wiązką futer bobrowych, po kilku, kilkunastu, kilkadziesiąciu - wreszcie całe grupy rozkładające się wokół faktorii

na kilka dni.

Z każdym dniem handel szedł coraz lepiej. Najczęściej do faktorii przybywali Cree i Chipewyan ze wschodu i południa oraz Bobry, zwani także Tsattine, których łowieckie tereny rozciągały się między dolną Niewolniczą na południu, a rzeką Peace na północy. Znad południowych wybrzeży Wielkiego Jeziora Niewolniczego przyplływali Slave, których właściwa nazwa brzmiała Etchaottine, Jutuwhan, Sasuchan i Tseloni z dorzecza rzek Parsnip i Finlay oraz źródłowych dopływów rzeki Peace, a także Sekani, lub inaczej Ludzie z Gór, najlepsi myśliwi ubrani w skóry karibu. W swych długich łodziach wieźli ogromne bele futer łosiowych, niedźwiedziej, bobrowych i setki skórek mniejszych zwierząt. Do faktorii położonych nad jeziorem Athabaska ciągnęli Sarsi, zajmujący na południu górny odcinek rzeki Czerwonego Jelenia - na północy zaś źródła rzek Athabaska i Smoky, stanowiącej dopływ rzeki Peace.

Z północnego wschodu, północy i północno-zachodniego kraju rozciągającego się powyżej Wielkiego Jeziora Niewolniczego w swych mocno zbudowanych kanu zdążali: Żółte Noże, Tchlingchadinne znani jako plemię Dogrib oraz myśliwi z plemienia Kaska, któremu niektórzy nadawali nazwę Wschodnich Nahani.

Żółte Noże, poza futrami i skórą dostarczali sporych ilości miedzi z nad Coppermine, metalu, który wymieniali z myśliwymi głównie z południa i zachodu. Spore ilości tego cennego surowca skupowali również kupcy z faktorii - zresztą w tym samym celu. Z uwagi na niewielką ilość nadchodzącego ze wschodu żelaza, Indianie również chętnie kupowali miedź na ostrza toporów i tomahawków oraz noży, groty oszczepów i strzał, a także - igły do szycia skóry i odzieży. Nie były wprawdzie tak trwałe jak żelazne, za to dawały się łatwiej obrabiać i ostrzyć,

Przed oczyma Wintera przesuwiała się cała mozaika typów, ras, ubiorów, ozdób, broni, kształtów i wielkości łodzi.

W ciągu pierwszego tygodnia czuł się trochę oszołomiony. Szybko jednak począł odróżniać przedstawicieli poszczególnych grup.

Pod koniec tygodnia - zresztą zgodnie z zapowiedzią Ruttera - nadszedł dość duży transport towarów: głównie strzelby, proch i kule, bele grubego sukna, skrzynie koralików i innych błyskotek, igły, szydła, nici i ogromna ilość alkoholu, który wyładowano w tajemnicy przed Brentem nocą w odległej zatoczce jeziora i stopniowo zwożono w mniejszych partiach do składu towarów.

W transporcie znajdowały się grube bawełniane koszule i ciepła zimowa bielizna; cała masa artykułów żywnościowych, takich jak mąka, sól, herbata, cukier, kawa i tytoń, szczególnie ceniony przez Indian.

Transport przyprowadziło pięciu białych i piętnastu Cree. Przewodnikiem był czterdziestoparoletni Anglik z Quebecu, Michael Bird, wspólnik Ruttera. Rutter widząc nadciągające łodzie wybiegł na przystań.

Gdy nadszedł zainteresowany dostawą Winter, a także inni kupcy i handlarze, dwaj wspólnicy witali się serdecznie.

- Witaj, Mike! Już myślałem, że w ogóle tu nie przyjedziesz.

- Witaj, Bobrowa Skóro - roześmiał się przybyły klepiąc Ruttera po szerokich barach. - Masz rację. Niewiele brakowało, a bylibyśmy spóźnili się jeszcze bardziej.

- Coś się stało? - spytał zaniepokojony kupiec. - Czerwonoskórzy?

- Tak, chociaż w sumie nie wyszło najgorzej. Zaciekawieni kupcy przysunęli się bliżej rozmawiających.

- Napad? Szlak jest chyba dosyć bezpieczny.

- Nie, tylko Maskegon, których wzięliśmy jako wioślarzy znad Winnipegu, diabli wiedzą skąd dowiedzieli się dwa tygodnie temu, że Czarnostopi urządzili gdzieś zasadzkę, no i zwinęli się błyskawicznie, tak że zostaliśmy z łodziami i towarami w piątkę. Wyobrażasz to sobie? Całą noc leżeliśmy za barykadą z muszkietami w rękę. Ale okazało się, że to nie Czarnostopi, tylko jakaś grupa Cree łowiąca ryby w rzece. Za niewielką opłatę zgodzili się dać nam wioślarzy. No i jesteśmy. Trzeba dać im proch i kule. Tak się zgodziliśmy.

Rutter odetchnął. W tym momencie do przewodnika podszedł Clay i spytał:

- Panie Bird, czy w Winnipegu lub gdzieś po drodze nie spotkaliście Lane'a? To mój dostawca. Miał ruszyć z początkiem wiosny - wyjaśnił. - Jedzie z nim moja córka. Przewodnik pokręcił przecząco głową.

- Nie, proszę pana, nie spotkaliśmy żadnego transportu - i wrócił do przerwanej rozmowy ze współnikiem.

- John, zapłać Indianom i niech wracają, z towarami poradzimy sobie jakoś sami.

Rutter, który teraz dopiero zauważył Wintefa, skinął na niego.

- Załatw to, James. - Winter podszedł do stojących na brzegu Indian, przywołał trzech najbliższych i oddalił się z nimi do magazynu. W kilka minut później trzej wioślarze dźwigali parę worków kul i kilka baryłek prochu. Po pół godzinie zniknęli w leśnym gąszczu.

Rozładunek towarów trwał do wieczora. Worki, skrzynie, dziewięćdziesięciofuntowe paki pomagali znosić obozujący w pobliżu Indianie Slave, za dwie baryłki wódki, którą im obiecał Rutter. On sam i piątka przybyłych rozgościła się w dużej izbie przy suto zastawionym stole.

Winter nadzorował pracę Indian. Co prawda towary były dobrze popakowane, a Slave należeli do spokojnych, uczciwych Indian, jednak wolał przypilnować, by coś się przypadkiem nie zawieruszyło.

Na przystani pozostał także Clay. Wydawał się trochę zmartwiony, a nawet zaniepokojony. Podszedł do Wintefa i z wyraźnym zatroskaniem stwierdził:

- To dziwne. Powinni być już ze dwa tygodnie temu.

- Mówi pan o swoim dostawcy, prawda?

- Właśnie. Dziwi mnie to, że Bird nie spotkał Lane'a ani o nim i córce nie słyszał. Jechali tym samym szlakiem i obaj musieli zimować w tej samej okolicy nad Winnipegim.

Winter uważnie słuchał słów Claya.

- Nie jestem pewien. Jest tam masa miejsc, w których się można zatrzymać i jeśli Bird wyprzedzał Lane'a chociażby o kilka dni, a zimował wyżej, mógł nic nie wiedzieć, że za nim posuwa się drugi konwój. Gdyby wiedział, podróż na pewno odbywaliby razem. Ja również przemierzyłem - jak pan wie - ten szlak, a nie słyszałem o żadnym z nich.

- Cóż, pewno ma pan rację. - Oddalił się już bez dalszych słów w stronę swego magazynu. Idąc wolno czuł cały czas na karku kłujące spojrzenie tamtego.

Noc zapadła już dawno. Pogasło światło łojowych świec w oknach Ruttera, gdy do samotnego domku na skraju zagajnika przemknęły niczym duchy dwa cienie. Rozległo się ciche skrobanie w okno.

Winter, który siedział od kilku godzin w zupełnych ciemnościach, uchylił drzwi i cienie wsunęły się bezszelestnie do środka. Gospodarz nie zapalał światła. Rozmowa prowadzona była tak cichym szeptem, że najczulsze ucho nie mogłoby jej dosłyszeć z zewnątrz. I trwała długo.

Gdy wreszcie cienie opuściły chatę, gospodarz położył się na zbitej z desek pryczy, ale nie zasnął. Myślał nad czymś intensywnie, a do przemyślenia miał sporo. Sprawy wprawdzie układały się pomyślnie, ale konkurencja, jak wiedział, też nie próżnowała. Orzech był twardy i niejedną już sobie na nim połamał zęby. Najgorzej, że nie wiedział jeszcze, skąd grozi największe niebezpieczeństwo, a musiał to ustalić szybko i to za wszelką cenę. Czuł, że to niebezpieczeństwo nie jest takie odległe. Chociażby Brent. Oczywiście, sam w sobie nie był groźny, ale w decydującym momencie mógł narobić sporo kłopotów. I to jego cholerne wścibstwo. Gdyby nie to, że zawczasu przygotował sobie dobrą legendę i gdyby porucznik lepiej znał kanadyjską północ i zachód, już ta pierwsza rozmowa mogłaby mieć fatalne następstwa.

A Clay? Też wydawał się interesujący. Ba, mieszkał tu dłużej. I musiał dobrze znać miejscowe stosunki. Prosperował nieźle. Indianie ciągnęli również do niego. Miał niewątpliwie wśród nich przyjaciół i chociaż płacił trochę mniej niż Rutter, to jednak dzicy chętnie zaglądali do jego magazynu. Prawda, dawał towary lepsze niż pozostali, ale nie wyjaśniało to wszystkiego.

Transport, który nie dotarł jeszcze. Tak - nie mógł dotrzeć, ale sprawa tej dziewczyny komplikowała sytuację, chociaż, kto wie. Równie dobrze mogła ją wyklarować lub przyśpieszyć. A w takim razie należało działać szybko. Musiał przemyśleć jeszcze wiele spraw, toteż gdy wreszcie zasnął, świt zaczął sączyć się przez otwarte okno.

W ciągu najbliższych kilku dni segregował towary i równo układał je na półkach magazynu, wpisując do wielkiej księgi handlarza długie kolumny różnych pozycji.

Na podstawie księgi tej zorientował się szybko, jak wielkie masy towarów przepływają przez ręce kupca. Tylko od wiosny tego roku naliczył aż sześć dostaw. Od wiosny, gdyż pierwsza dostawa, zresztą najmniejsza, przybyła już w kwietniu, a więc w czasie gdy ledwo puściły lody. Dziwne. Rutter musiał prowadzić handel rzeczywiście na wielką skalę. Stać go było na płacenie wyższych cen za futra. Mniejszy zysk jednostkowy rekompensowały, ze znaczną nadwyżką, większe obroty.

Któregoś dnia Wintera w magazynie zastał Rutter. Rozejrzał się po porządnie ułożonych towarach i z uznaniem pokiwał głową.

- Widzę, James, że odwaliłeś kawał dobrej roboty. Wreszcie wiadomo, gdzie co jest. Nigdy nie mogłem sobie z tym poradzić.

Winter odłożył ostatni worek na właściwą półkę i rozprostował plecy.

- Nie lubię bałaganu. Człowiek co krok potyka się o coś. Poza tym chciałem, żeby pański wspólnik nie miał pretensji, że coś się tu marnuje...»

- Świetnie, James. Na pewno tak nie pomyśli, ale widzę, że skończyłeś robotę. Pojutrze wysyłamy futra na południe i Bird chciałby z tobą chwilę pogadać. Możesz zajść do mnie?

- Jasne. Już idę.

Bird siedział nad szklanką rumu. Całą twarz i ręce miał pocięte od ukąszeń moskitów. Widocznie maść, którą przywiózł aż z Quebecu, tutaj nie działała. Na drobne, krwiożercze owady nie działał również rum, którym przewodnik raczył się od dnia przybycia, bez przerwy. Uśmiechnął się do Wintera i powiedział:

- Chodź, chłopie, i siadaj. Bobrowa Skóra - tu wskazał na gospodarza - ' mówi, że tyrałeś prawie cały tydzień, żeby zlikwidować bałagan w magazynie. Teraz należy ci się przyzwoita butelka rumu, prawda?

- Rzeczywiście, było trochę roboty. Za to teraz można znaleźć wszystko.

Bird pacnął się otwartą dłonią w masywny podbródek, rozgniatając na miazgę kilka moskitów, po czym otarł rękę o spodnie.

- Dobre towarzystwo tu macie. Winter roześmiał się.

- To tylko na początku. Widocznie czują świeżą krew. Później się pan przyzwyczai, panie Bird.

- Cholera tam się przyzwyczaję. Zamordują mnie wcześniej. A swoją drogą ciekaw jestem, jak dzicy dają sobie z tym radę?

Tym razem gospodarz, do którego pytanie było zwrócone - wzruszył ramionami i odparł sentencjonalnie:

- Swoją swojemu krzywdy nie robi, a Indianie w dodatku smarują swoje czerwone skóry całą masą różnego tłustego świństwa, które zasycha w tak twardą skorupę, że nawet moskit tego nie przebije.

- Tak - dodał Winter - nakładają też na skórę sporo farb, jak wszyscy dzicy, toteż ich omijają owady, ale John - tu wskazał na gospodarza - wspomniał, że pan coś chciał ode mnie, panie Bird.

- Właśnie. Pojutrze ładujemy futra i odpływamy. Potrzeba ze czterdziestu wiosłarzy i parę dużych kanu. Mógłby pan to jakoś załatwić?

- Myślę, że tak. Są tu w tej chwili tylko Slave, a oni nie pojedą tak daleko, ale o dzień drogi stąd na południe obozuje spora grupa Thilanottine. Wczoraj załatwili swoje interesy u Perry'ego i za opłatą dowiozą pana do Winnipegu przed zimą. Im to po drodze. Pan też wraca, panie Bird?

- Tak, nie ma sensu, żebyśmy tu siedzieli obydwaj z Johnem. Lepiej jak jeden pilnuje interesów tu, a drugi w Montrealu i Quebecu. Tu jest lepszy John. I jego nie żrą tak te małuśkie robaczki - dodał ze śmiechem.

- Dobra. W takim razie, John, muszę ruszać, żeby wiosłarze nie zwinęli obozu. Powinienem być z powrotem jutro w nocy lub pojutrze rano.

Rutter kiwnął głową.

- Tylko nie daj się przedtem oskalpować. Może weźmiesz ze sobą któregoś z chłopców Mike'a. We dwóch zawsze bezpieczniej.

Winter roześmiał się.

- Nie zawsze, a zresztą tu w pobliżu nic mi nie grozi. Nie martw się.

W pół godziny później w maleńkim, lekkim kanu sunął rażno pod prąd. Gdy faktoria pozostała kilka mil w tyle, zbliżył się do lewego brzegu i w parę chwil potem wpłynął w wąską, dosyć głęboką strugę. Pół mili dalej wydał trzykrotnie głos dzikiej gęsi. Odczekał parę sekund i powtórzył sygnał.

Z dala, gdzieś w górze strumienia, zabrzmiał odzew.

Winter zanurzył wiosło i jego krucha łódeczka w dziesięć minut później wylądowała na brzegu małego leśnego jeziora. Nad wodą czekało kilku wysokich Indian z twarzami pomalowanymi kilkoma ukośnymi pasami. Wskoczył zręcznie na ląd. Dwu mężczyzn wzięło jego kanu na ramiona i ostrożnie przeniosło w pobliską gęstwinę. Pozostali powiedli białego głębiej w las, gdzie na niewielkiej polanie płonęło ognisko, wokół którego zgrupowało się kilkanaście naprędce skleconych szałasów.

Przy ognisku szerokim kręgiem siedzieli sami mężczyźni. Wokół nie było nawet śladu kobiet ani dzieci.

Winter wstąpił w krąg i usiadł po prawej stronie wodza. Chwilę milczał, potem zaczął mówić. Mówił długo. W końcu wyjął spod bluzy mapę i, gdy wszyscy skupili się wokół niego, zaznaczał na mapie pewne punkty, pokazywał miejsca. Niektóre rzeczy powtarzał wielokrotnie, by się upewnić, że został dobrze zrozumiany. Od wykonania planu, który kreślił, zależało bardzo wiele. Może wszystko. Gdy skończył, zapadł wieczór. Indianie jednak nie zamierzali udawać się na spoczynek. W miarę jak padały polecenia młodego dowódcy, zabierali broń, skromny zapas żywności i znikali w cieniu nocy.

Przy małym ognisku zostało tylko dwóch.

Wtedy biały przyniósł ze swej łodzi kawał łosiowej wędzonej polędwicy i podzielił na trzy równe części. Jedli spokojnie, prowadząc półgłosem ożywioną rozmowę. Zasnęli późno w noc.

Około południa następnego dnia przybył jeden z posłańców prowadząc z sobą wodza obozujących w dole rzeki Thilanottine. Biały znów tłumaczył coś długo wodzowi. W końcu ten skinął głową na zgodę.

- Wielki Bizon rozumie swego białego brata i wykona zleczone mu zadanie. Jego myśliwi i wojownicy posłuchają swego wodza. – Biały wręczył mu złożony w czworo spory kawałek gęsto zapisanego papieru, owinięty w kawał skóry, i powtórzył:

- Wielki Bizon nie zgubi tego i wręczy komu trzeba. Indianin włożył zwitek do swego skórzanego woreczka przytwierzonego do pasa i skinął poważnie głową.

- Niech biały brat będzie spokojny. Jego życzenie i życzenie moich czerwonych przyjaciół zostanie spełnione.

Trzej Indianie i biały zawarte przymierze przypieczętowali świętym dymem fajki pokoju.

Nim minęła północ, biały wrócił do faktorii i w ubraniu rzucił się na posłanie.

Rankiem szereg przeszło dwudziestostopowych kanu z kilkudziesięcioma Indianami przybiło do przystani.

Wielki Bizon za pośrednictwem Wintera targował się trochę, chociaż nie za bardzo, o cenę, w końcu przyjął zaofertowaną zapłatę i do południa łodzie zostały wypełnione ładunkiem futer.

Przed samym odjazdem Rutter przyniósł osobiście nad brzeg dwie baryłki rumu i każdy z białych oraz Indian wychylił po pół szklanki tego ognistego napoju.

Wielki Bizon prowadził pierwsze kanu. Widząc ich długi szereg Winter uśmiechał się w myśli. Nie był wcale tak bardzo pewien, czy potężny ładunek futer dotrze tam, gdzie posyłał go biały kupiec... Ale to już stanowiło inną sprawę.

Nie minęło dwa dni od odjazdu transportu, gdy jeden z ludzi Ruttera - niejaki Palmer, mający swą placówkę gdzieś na południowy wschód od Wielkiego Jeziora Niewolniczego przybył z wieścią, że około trzydziestu Żółtych Noży wiezie duży ładunek futer i skór, i są o dzień drogi od faktorii.

I znów, jak poprzednim razem, w nocy jakiś niewyraźny cień wśliznął się do domku Wintera i znów do północy trwała przyciszona rozmowa.

Przed południem następnego dnia kilkanaście kanu przycumowało przy brzegu. Żółte Noże znały tylko mowę rąk, toteż długi targ tłumaczył w całości Winter. W końcu, gdy obie strony porozumiały się ostatecznie, do łodzi Indian powędrowała znaczna ilość strzelb i amunicji, noży, toporków, miedzianych kociołków, żelaznych grotów, kołder i innych rzeczy.

Każdy przedmiot wydawał Winter osobiście i czynił to skrupulatnie. Gdy Palmer wszedł do magazynu, by mu pomóc, Winter popatrzył na niego zimno i powiedział:

- Słuchaj, Palmer. Ty swoją pracę wykonałeś, przyprowadziłeś Indian. Teraz idź, napij się wódki, a zostaw, co nie należy do ciebie.

Pod wpływem spojrzenia niefortunny pomocnik wycofał się, mrużąc coś pod nosem. Wolał nie ryzykować awantury. Tamten bez większego wysiłku przerzucał prawie stufuntowe worki i skrzynki.

Przed samym zachodem słońca Palmer odpłynął, a do magazynu wszedł Rutter z jednym z przybyłych Indian.

- Słuchaj, James, uważnie. Daliśmy całej tej bandzie dwie baryłki rumu, ale co to jest na trzydziestu dzikich. Powiedz temu czerwonoskóremu, że Rutter jest dobrym kupcem, a ponieważ przywiezione futra podobają mu się, w dowód przyjaźni ofiaruje swym czerwonym braciom jeszcze pięć baryłek ognistej wody, ale niech przyjdą po cichu po zachodzie słońca, tak by ich nie widzieli żołnierze.

Winter szybko przetłumaczył dzikiemu słowa swego współnika. Groźna twarz Indianina rozjaśniła się szerokim uśmiechem. Wykonał rękoma kilka szybkich ruchów.

Kupiec, który przez parę lat poznał trochę gestów tego dziwnego języka rąk, zrozumiał wszystko, jednakże zwrócił się do swego tłumacza:

- Co mówi ten dziki, bo nie bardzo mogę się połapać?

- Dziękuje wielkiemu kupcowi za to, że jest tak dobry dla Indian i obiecuje, że na przyszłą wiosnę znów przywiezie tu futra. Dużo więcej niż teraz i dostanie dużo więcej rzeczy, które są potrzebne Żółtem Nożom. A po rum przyśle wieczorem trzech młodych myśliwych.

- Dobra, powiedz mu jeszcze, że wody ognistej nie wolno im próbować bliżej jak o dwa dni drogi od fortu, bo wtedy wejdzie w nią zły duch i wszystkim myśliwym odbierze zręczność i siłę w czasie polowania. - Tu dodał chytrze: - nie chcę, żeby popili się w pobliżu faktorii, bo wtedy porucznik weźmie nas na oko.

Winter skinął porozumiewawczo głową i z całą powagą przetłumaczył Indianinowi słowa kupca. Żółte Noże odpłynęły jeszcze tej samej nocy. Snadź pilno im było oddalić się o te przepisowe dwa dni drogi.

W ciągu następnych kilku dni z odległych regionów ściągały kolejne grupy Indian. Wielu z nich kierowało się do magazynu Ruttera, ale wielu do innych kupców.

ROZDZIAŁ IV

Lśniące futra bobrowe, cenione najwyżej, rude, srebrzyste i czarne futra lisów, ozdoba kuśnierskich pracowni - futerka gronostaja, skunksa, czerwonej i czarnej wiewiórki, białe futerka polarnych królików, kuny świerkowej zwanej tu amerykańskim sobolem oraz kanadyjskiej norki -

zapełniały magazyny faktorii.

Nad jeziorem Athabaska, z różnych części kanadyjskiej głuszy, rozległych bezleśnych obszarów północnej tundry, z regionów preryjnych, szerokim potokiem płynęły ciepłe puszyste futra wilków i rysi, niedźwiedzi brunatnych, szarych niebezpiecznych grizzli i niedźwiedzi białych oraz skóry wołów piżmowych - łowionych głównie przez Eskimosów i dostarczanych przez Żółte Noże.

Na wymianę z białymi kupcami indiańscy myśliwi przywozili skóry i futra łosi, i leśnych karibu, reniferów arktycznych oraz jeleni wapiti i bizonów; wreszcie prawie tak cenne jak bobrowe - futra wydry i piżmaków.

Interesy szły znakomicie. Indianie potrzebujący nieomal wszystkiego, co wytwarzali biali, nie targowali się o ceny, zwłaszcza tam, gdzie wymiana odbywała się przy dźwięku szklanek wypełnionych ognistą wodą. Wielu z nich pamiętało niezbyt odległe czasy, gdy futra i skóry trzeba było wieźć do angielskich faktorii w ujścia Churchill lub Nelson River, do handlowych posterunków Hudson Bay Company lub daleko na południe, nad jezioro Winnipeg do faktorii kupców francuskich. Teraz nie musieli wędrować już tak daleko. Towary przychodziły wprost do serca futrzanego zagłębia - nad jezioro Athabaska. Wprawdzie biali domagali się coraz więcej skór i futer, ale za to Indianie mogli otrzymać wszystko, czego dusza zapagnie.

Dobry myśliwy za pomocą stalowych sideł i strzelby mógł w czasie jednej zimy zdobyć więcej skór niż kiedykolwiek przedtem, a kupcy brali wszystko.

Zabijano więc bezlitośnie wszystkie zwierzęta. Starcy przestrzegali, że duchy zwierząt gniewają się, że bobry, karibu, jelenie i łosie, a nawet niedźwiedzie i króliki zrażone nierozumnym zabijaniem, zagniewane na myśliwych, odchodzą coraz dalej na północ, ale młodych łowców mających mocne nogi nie zrażało to. Za zdobyte jesienią i zimą skóry dostawali od białych wszystko. Toteż ich kobiety i dzieci nie narzekały. Cóż z tego, że obóz trzeba było przenosić coraz częściej w poszukiwaniu nowych, lepszych terenów łowieckich, że z tych terenów trzeba było niejednokrotnie wyrzucić słabszych, skoro w nagrodę biały kupiec dawał wszystko. Często dawał na kredyt - pod przyszłe dostawy futer, szczególnie wtedy, gdy którejś zimy polowania były mniej udane, a Indianom kończyły się proch i kule.

Kupcy nie byli wtedy zadowoleni, ale wiedzieli, że myśliwy przyszłej wiosny odda wszystko, dawali więc rzeczy potrzebne jemu i jego rodzinie. Czasem tylko zatrzymywali w zastaw którąś z dziewcząt. Mówili wtedy, iż chcą mieć pewność, że Indianin wróci. Najczęściej wracał, chociaż nie zawsze. Ale na ogół okazywało się, że jego dług jest tak duży, że nawet wiele wiązek skór nie wystarcza, by dziewczynę wykupić z powrotem.

Kupiec na swym mówiącym papierze zapisywał wszystko, również i to, co każdego dnia zjadała indiańska dziewczyna, w co musiał ją ubierać, każdy koralik, który otrzymała z jego ręki.

Czasami biały był wyrozumiały i dobry - przekreślał cały dług Indianina w zamian za

dziewczyne, która stawała się jego własnością. Czasami, po dwu, trzech latach odsyłał ją do rodzinnego plemienia, najczęściej wtedy, gdy miała jedno lub dwoje dzieci. I Indianie godzili się z tym. Cóż mieli uczynić? Czasem w czyimś sercu rozpalał się płomień nienawiści, ale gasł lub był tłumiony. Wszak biali mogli odejść, a wraz z nimi mogły odejść wszystkie cudowne rzeczy, które posiadali - mogła odejść woda ognista, bez której wielu nie mogłoby już żyć.

Winter wydając kolejne partie towarów myślał o tym wszystkim, lecz nie pozwalał sobie nawet na okrucieństwo. Na życie patrzył zimno. Walka o byt - prowadzona tu, o tysiące mil od cywilizacji, tworzyła inną moralność, silnych i zdecydowanych, odrzucała słabych, a Winter nie chciał należeć do tej drugiej grupy.

Toteż chłodno i spokojnie każdemu kolejnemu myśliwemu odmierzał i wydawał jego należność; szczególnie skrupulatnie postępował z każdą sztuką broni, ostrzem do noża czy żelaznym lub miedzianym grotem.

Rutter widząc jego dbałość oraz łatwość z jaką przyswoił sobie tajniki tutejszego handlu, pozostawił mu właściwie wolną rękę, zwłaszcza że wystarczyło, by wieczorem zajrzał do księgi, gdzie jego pracownik skrupulatnie odnotowywał każdy wydany przedmiot, każdy worek mąki, funt cukru czy soli.

Był zadowolony. Teraz znacznie więcej czasu mógł poświęcić dwom nowym dziewczynom, które w zastaw pozostawiła mu jakaś grupa Cree.

Namawiał nawet Wintera, by też wziął sobie jakąś „kucharke”, ale pomocnik w tym względzie, mimo okazywanego niekiedy zainteresowania płcią odmienną, nie mógł się jakoś zdecydować. Dał więc sprawie spokój, zwłaszcza że właśnie w tym czasie miał sporo innych rzeczy na głowie.

Wobec rozchodzących się pogłosek i wieści, przynoszonych najczęściej przez myśliwych, o powtarzających się napadach na wracających z towarami z faktorii Indian, coraz częściej spotykał się z sąsiadującymi kupcami. Prowadzono długie rozmowy. Naradzano się, jak zapobiec złu i nadciągającemu nieuchronnie niebezpieczeństwu. A niebezpieczeństwo rzeczywiście stawało się coraz bardziej groźne.

Indianie, których współtowarzysze padali ofiarami napadów, stali się nieufni, podejrzliwi; futra z reguły wymieniali na broń, zaopatrując się w coraz mniejszym stopniu w inne towary zalegające półki magazynów, co niektórym z kupców zaczynało grozić konsekwencjami handlowymi.

Istniała i inna przyczyna niepokoju. Kilkaset sztuk broni palnej, spore ilości prochu i kul, jakie znalazły się w rękach okolicznych plemion, wobec szczupłego garnizonu Brenta, stwarzały dodatkowe zagrożenie. Kupcy pamiętali wszak, jak przecież nie tak dawno broń zakupiona przez Indian nad Wielkimi Jeziorami została użyta przeciwko białym. Padły wtedy prawie wszystkie forty

angielskie - na południu Kanady setki osadników zginęły od kul i toporów wojennych, tysiące musiały się chronić w dalekich wschodnich miastach.

Naciskano więc Brenta, by przedsięwziął bardziej energiczne kroki, ale porucznik wydawał się też bezradny. Owszem, w naradach uczestniczył, zabierał głos, nawet wysyłał parosobowe patrole na najbardziej uczęszczane szlaki, w miejsca napadów, rezultatów to jednak nie przyniosło. Na ślady napastników nie natrafiono nigdzie. W patrolach tych brał czasem udział sam Rutter - dość dobrze znający okolice, Mathiew, Locke i Perry oraz ich ludzie, ale bez efektów.

Clay nie ruszał się z miejsca. Raz, że coraz bardziej dokuczały mu stawy, a poza tym zdawał sobie sprawę z nieznamości rzemiosła wojskowego komendanta fortu oraz jego żołnierzy. Wiedział więc, że podejmowane przez Brenta działania nie mogą przynieść żadnych wyników.

W końcu przestał się w to angażować i Rutter, chociaż wszyscy widzieli, jak dość często rozmawia z żołnierzami, szczególnie najbardziej doświadczonym, sierżantem Jacksonem, i przyjmuje u siebie Brenta. Widocznie kupiec nie tracił nadziei na znalezienie jakiegoś wyjścia z komplikującej się sytuacji.

Z odległych placówek ściągali jego pomocnicy na dzień, dwa, czasem na trochę dłużej. Potem wyjeżdżali nagle.

Winter widywał ich niekiedy, ale raczej przelotnie. Kupiec strzegąc widocznie swych tajemnic handlowych, a właściwie tajemnic rejonów, w których przebywali jego ludzie, wolał prowadzić z nimi rozmowy bez świadków. Później jedynie, zwykle po ich wyjeździe, wspominał, zresztą dosyć mgliście, o potrzebach tych placówek.

Czasami pomocnicy zabierali jakieś partie towarów ale niewielkie, i w tych wypadkach Rutter osobiście towarzyszył pobieraniu różnych rzeczy. W przeważającej mierze ładunek stanowiły baryłki z rumem. Tłumaczył wtedy Winterowi, że dla pozyskania Indian najlepszym środkiem jest właśnie rum i więcej nie powracał do tego tematu, a i pomocnik nie pytał. Pozostali kupcy postępowali przecież podobnie.

Parokrotnie zdarzyło się, że ludzie Ruttera przywozili również futra - niekiedy znaczne ilości, skupowane podobno za bezcen w tych najdalszych placówkach, tak że z biegiem czasu ilość ich dorównywała nieomal temu, co zwozili Indianie do fortu. I rzeczywiście, placówki musiały być świetnie usytuowane, skoro średnia cena futer z nich przywożonych nie wynosiła więcej niż jedną piątą tej ceny, jaką płacono w faktorii. Winter łatwo się mógł o tym przekonać, gdy odbierając ładunek jednocześnie wydawał znikome ilości towarów z magazynu, w którym spędzał większą część dnia.

Wieczorami nieraz odwiedzał swego współnika i wtedy urządzali sobie solidną popijawę - czasami szedł do innych kupców. Zdążył ich poznać dosyć dobrze i nieźle orientował się w ich interesach. Dwu- lub trzykrotnie odwiedził Cląyów, ale z wizyt tych w końcu zrezygnował. Stary w

sposób coraz bardziej widoczny był zaniepokojony opóźniającą się dostawą towarów i losem swej córki.

Pomocnik Ruttera większość wolnego czasu i prawie wszystkie noce spędzał w swym domku nad jeziorem. Tak, prawie wszystkie noce, bo zdarzało się, że czasami znikał gdzieś na parę godzin - niekiedy pieszo, innym razem w swym maleńkim kanu. Coraz częściej odwiedzali go tajemniczy nocni goście. Kim byli, skąd przybywali, o czym radzili późno do świtu? Nikt ich nie widział, a Winter nie miał zamiaru z kimkolwiek rozmawiać o tym.

Początkowo spotkania te bywały krótkie, ale od pewnego czasu znacznie się wydłużyły i niejednokrotnie w czasie ich trwania mieszkaniec samotnej chatki ciężkim kocem zasłaniał ściśle jedyne okienko i zapalał łojową świeczkę. Wtedy na sosnowej podłodze rozkładał ostrożnie swą mapę i wraz z nocnymi gośćmi nanosił na niej nowe znaki i linie.

Po każdej takiej wizycie leżał godzinami wpatrzony w sufit myśląc nad - czymś intensywnie. Białe plamy w koncepcji, którą tworzył, wypełniały się wyraźnymi barwami. Dojrzywał plan. Brakowało w nim wprowadzić jeszcze kilku ogniw, ale postanowił ich poszukać, zwłaszcza że zbyt długie czekanie mogło grozić nieobliczalnymi wprost konsekwencjami.

Decyzję podjął po ostatniej, niespodziewanej, nocnej wizycie. Ponieważ przygotowywał się do jej podjęcia już od dosyć dawna, postanowił wprowadzić ją w czyn przy najbliższej sposobności, a sposobność ta nadeszła już nazajutrz.

Wczesnym przedpołudniem przybił do przystani duży, składający się z kilkunastu łodzi transport towarów dla Roberta Perry. Przyprowadził go stary doświadczony francuski goniec leśny pozostający obecnie w służbie montrealskiej kompanii - Jean Rossignol. Towarzyszyło mu siedmiu wytrawnych backwoodsmenów¹ i kilkudziesięciu Indian zatrudnionych w charakterze wioślarzy i myśliwych.

Bomba pękła, gdy po wstępnych powitaniach i okrzykach radości - gdyż Rossignol znał tu wszystkich kupców - zwrócił się do Claya:

- A czemu to twoja córka, Andy, nie wyszła przywitać się ze starym przyjacielem?

Clay patrząc badawczo w oczy przewodnika odpowiedział niepewnie:

- Cynthia?... Jeszcze nie przyjechała i nawet jesteśmy z żoną trochę zaniepokojeni.

Przewodnik nieomal zamienił się w słup soli. Wreszcie po dłuższej chwili milczenia zdołał zaledwie wyjąkać:

- Nie przyjechała?... Przecież transport Bena prawie dziesięć dni przed nami wyruszył z Winnipegu.

Clay chwycił Rossignola za kłapy twardej bluzy.

- Wyruszyli przed wami? Widziałeś ich?

- Ależ tak, Andrew. Widziałem tak jak ciebie teraz. Żegnałem ich. Prowadził Ben Lane,

Cynthia była razem z nimi. Płynęli w jedenaście łodzi. Było z nimi sześciu doświadczonych pograniczników. Wiesz, że Ben umiał dobierać ludzi.

Clay zbladł śmiertelnie. Wokół zaległo grobowe milczenie. Wszyscy z przerażeniem patrzyli w twarz przewodnika. Wieść przyniesiona przez niego spadła jak grom z nieba. Słów Rossignola nie można było poddawać w wątpliwość. Wiedzieli, że język jego nie skalał się nigdy kłamstwem.

Po doznanym chwilowym szoku pierwszy opanował się Clay.

- Słuchaj, Jean - zwrócił się z tłumionym jeszcze wzruszeniem do przewodnika - nie mogliście ich gdzieś minąć po drodze?

Przewodnik zaprzeczył stanowczo.

- To niemożliwe. Przed wyruszeniem omawiałem z Benem trasę. Jest prosta. Nie mógł zboczyć ani zabłądzić. Ja płynąłem tą samą i płynęliśmy tylko za dnia. Nie mogliśmy się nigdzie rozminąć.

Clay poczuł ucisk w gardle.

- Jakich Indian zaangażował Ben? Rossignol przez moment jak gdyby zawahał się.

- Widzisz, Lane miał z tym pewne kłopoty. Musiał wziąć różnych. Zamierzał ich zresztą wymienić przy najbliższej okazji. Pewno to uczynił.

- Co to znaczy, Jean, różnych?

- Noo... z tego co się mogłem zorientować, było tam przynajmniej kilku z południa.

- Dakota czy Odzybueje?

- Raczej nie. Dałbym sobie uciąć łapę, że co najmniej trzech to Kruki lub Czarnostopi.

Clay zastanowił się.

- Czy były po drodze jakieś ślady?

- Oczywiście - twarz Rossignola ożywiła się. - Wydawało się, że w ciągu dnia robimy tę samą drogę. Ślady obozowisk, ognisk. Zresztą, to stałe miejsca, które znają wszyscy. Dopiero po wpłynięciu na Athabaskę nie spotykaliśmy już śladów, ale na niej jest to niemożliwe.

Clay pokiwał głową.

- Dziękuję, Jean. Jak załatwisz swoje sprawy, wstąp. Kathy ucieszy się. Dawno cię nie widziała. Ja tymczasem pójdę do Brenta. Trzeba go poinformować.

Gdy zmierzał w kierunku kwatery porucznika, jego zwykle prosta sylwetka zdawała się przygarbiona.

Rozumieli wszyscy. Clay kochał swą jedyną córkę i tęsknił za nią. Dlatego ją tu sprowadzał.

Winter rozumiał też, chociaż rozumiał na swój sposób. Spokojnie wycofał się do faktorii Ruttera, a wieczorem, podobnie jak nieraz, siedział ze swym współnikiem i solidnie sobie popijali.

W pewnym momencie gospodarz trącił się szklaneczką ze swym pomocnikiem i zagadnął od niechcienia:

- Dziwne trochę to, co mówił Rossignol. Jak myślisz, James, co się mogło stać z tym transportem?

Winter przeciągnął się leniwie.

- Nie mam pojęcia, chociaż dla nas to nie tak źle.

- Nie rozumiem - Rutter wydawał się nie chwytać sensu słów kompana.

- Nie rozumiesz? To przecież takie proste. - Winter ziewnął i odstawił szklankę. - Gdyby nadszedł transport Benjamina Lane i dzisiejszy Rossignola, to u nas, panie Rutter, handel spadłby o dziewięćdziesiąt procent. Należy żałować, że i tego Francuza gdzieś po drodze nie trafił szlag, ale Perry trzymał, o ile mi wiadomo, cały czas gębę zamkniętą na kłódkę w sprawie swojego transportu.

Gospodarz wprawnie napełnił opróżnione szklanki.

- Mówisz, James, że to duża konkurencja? Winter pokiwał sentencjonalnie głową.

- Gdybyś częściej ostatnio zaglądał do naszego magazynu, sam pewno doszedłbyś do takiego wniosku.

Rutter wstrzymał szklankę w połowie uniesioną do góry.

- Chcesz powiedzieć, że zapasy nasze się kurczą?

Wspólnik potwierdził ruchem głowy..

- Gdybym nie obniżył cen skupu skór, gonilibyśmy już resztkami. Rutter patrzył na niego badawczo.

- Nie wiedziałem, że jest już tak krucho, ale... nie znasz Bobrowej Skóry, jak mawia mój przyjaciel Bird. Nie obawiaj się, nie zamknie my kramiku. Stary John ma swoje sposoby.

Winter machnął ręką.

- Sposoby i fortele dobre są na dzikich. Nam potrzeba towarów - tu walnął pięścią w stół, aż zabrzęczało szkło. Widać był niezłe podpity.

Kupiec obserwował go uważnie.

- A co twoim zdaniem należałoby zrobić, żeby zwiększyć dostawy?

- Co... Ha, ha, ha!... Gdybym ja na twoim miejscu, Rutter, siedział tu aż pięć lat, wiedziałbym jak zdobyć dużo towarów i bardzo dużo futer. A do tego potrzeba niewiele - wyraźnie plątał mu się język - paru dobrych chłopaków, co to nie boją się ryzykować... troszeczkę. Klepnął wspólnika w kolano i roześmiał się - widać do własnych myśli.

- No, ale na dzisiaj dosyć. Zdaje się, że sobie podpiłem. - Wstał na z lekka uginających się nogach i skierował w stronę drzwi.

Kupiec jeszcze przez chwilę obserwował jego chwiejny krok, po czym sięgnął po księgę. Mimo sporej ilości alkoholu, którą wlał w siebie, szybko przebiegał wzrokiem długie kolumny wydanych już towarów i kupionych skór i futer.

Z podsumowania wynikało, że Winter miał rację. Należało się więc śpieszyć. Indianie - ci

zaprzyjaźnieni - ciągnęli jeszcze wprawdzie do niego, ale ich nastroje i sympatie zmieniały się. Mogłyby się zmienić i teraz. Wziął więc lampkę ze stołu, podszedł do okna i trzykrotnie uniósł ją w górę. Sygnał ten powtarzał parokrotnie, aż w końcu gdzieś w oddali zamajaczyło podobne światełko. Usiadł wtedy przy stole i na małej kartce papieru nabazgrał kilka słów.

W godzinę potem ciemna postać wśliznęła się niepostrzeżenie do jego domu. Kupiec zgasił światło i przez kilkanaście następnych minut udzielał przybyłemu jakichś poufnych instrukcji. Gdy skończył, przybysz powiedział krótko:

- Dobra!

Opuściwszy dom kupca dobrze sobie znaną ścieżką zaszył się w gęstwinę boru. W ślad za nim sunęły ostrożnie dwa cienie - niczym wilki za upatrzoną zwierzyną.

Wczesnym rankiem, gdy Winter szedł do magazynu, z przystani odbijało czółno z sześcioma żołnierzami. Na dziobie siedział jeden z backwoodsmenów, który poprzedniego dnia przybył z transportem Rossignola. Na nabrzeżu stał porucznik Brent i wydawał ostatnie rozkazy. Po wielkości zanurzenia łodzi James zorientował się, że Clay nie żałował zaopatrzenia na podróż.

Podszedł do porucznika i pozdrowił go grzecznie.

- Wyprawa ratownicza?

Brent, który nie miał zamiaru wtajemniczać nikogo w charakter misji oddziału i nie na rękę było mu, że Winter zobaczył odjazd, wzruszył ramionami.

- Mało zwierzyny w okolicy. Garnizon trzeba czymś wyżywić, a więc wyprawa myśliwska, panie Winter. Czy to zaspokaja pańską ciekawość?

Winter wydawał się szczerze oburzony.

- Ależ, panie poruczniku. Nigdy nie interesuję się nie swoimi sprawami. - Obrócił się na pięcie i podążył do magazynu. Porucznik odprowadzał go podejrzliwym spojrzeniem. Siedzący spokojnie na dziobie łodzi myśliwy, patrząc również za oddalającą się sylwetką stwierdził krótko:

- To wilk!

- Czemu tak mówisz? – spytał z zaciekawieniem porucznik.

- To wilk. Mam nosa. Stąpa jak Indianin i długo musiał być na północy.

- Mylisz się, Joe. To może wilk, ale przybył z południa. Widziałem papiery.

- Papiery?... Tak! Tu każdy może je mieć, ale radzę, poruczniku, mieć go, na oku. Nikt bez ważnego powodu nie odbywa samotnie podróży parę tysięcy mil i w dodatku dociera do celu bezpiecznie. Ale pora w drogę.

Wiosła zanurzyły się równo i w kilkanaście minut później łódź zniknęła za pierwszym zakrętem.

Porucznik stał jeszcze chwilę w zadumie, po czym wolnym krokiem podążył w stronę fortu. Swoją drogą Joe mógł mieć rację. Sprawę postanowił zbadać bliżej, i to jak najszybciej...

Gdy Winter wszedł do faktorii, zastał już tam Ruttera.

- Halo, John!

- Halo, James, jak się czujesz?

- Diabła tam czuję się. Zdaje się, że wczoraj przebrałem miarkę. Łeb mi trzaska jak kości w szczękach wilka. A rano zacząłem pod niezbyt wesołą wróżba.

- Coś się stało? - kupiec spowaźniał.

- Nie. Wlałem tylko na Brenta, wyprawiał sześciu ludzi z przewodnikiem na poszukiwanie córki Claya i jego transportu. Nie podobało mu się, że widziałem ich w chwili wyjazdu. Pewnie wolał, by nikt o tej wyprawie nie wiedział.

- Chyba tak - Rutter potwierdził z przekonaniem.

- A ty jak myślisz - znajdą ich? Winter roześmiał się.

- Baa... Pewno tak samo, jakby chcieli znaleźć jednego upatrzonego okonia W tym jeziorze. Chociaż pojechał z nimi Joe McCoy to, jak słyszałem, stary backwoodsman. Może coś wywąchać.

Rutter machnął ręką.

- Szczęść im Boże. - Tu zmieniając temat rozmowy rozejrzał się po półkach. - Swoją drogą miałeś rację. Trzeba uzupełnić zapasy.

- Uzupełnić zapasy? - zdziwienie Wintera było zupełnie naturalne.

- Tak. Nie mówiłem ci o tym? Mam tu w pobliżu zapasowy składzik. Tylko o tym sza! Nie chcę trzymać wszystkiego w faktorii. Sam rozumiesz..

Winter skinął domyślnie głową.

- Masz łeb, John. Nigdy bym nie wpadł na taki pomysł. Rutter przymrużył znacząco jedno oko.

- W tym biznesie trzeba myśleć, James.

Towary mogą być za kilka dni, tylko trzeba puścić między tutejszych malutką informacyjkę.

- Nie rozumiem.

- No... na przykład, że Bird uprzedził mnie, że za, powiedzmy, kilkanaście dni przyjdzie drugi transport. I sprawa załatwiona.

- No, ale kto ci go przyprowadzi? Przecież poza dwoma tutaj, resztę ludzi masz dość daleko.

Rutter roześmiał się bezgłośnie.

- Nie martw się. W tym składziku też jest paru ludzi. Trzymam ich tak na wszelki wypadek - dodał znacząco. - Transport przyprowadzi człowiek, którego tutaj nikt nie zna - za wyjątkiem ciebie, oczywiście.

- Mnie? - twarz Wintera wyrażała nieklamane zdumienie.

- No, przecież ktoś musi go znać. Ponieważ ja siedzę tu już prawie pięć lat i przez ten czas nie byłem w Montrealu, nie mogę znać wszystkich nowych, którzy zajmują się biznesem. Ty byłeś na

wschodzie przed rokiem i dobrze znasz faceta. On ciebie też. Poznaliście się przy jakichś wspólnych interesach, nieważne jakich, no i spotkaliście się parę razy powiedzmy w Grand Portage i Fort William nad Jeziorem Górnym. Szczegółami nikt się nie będzie interesował. Jak ci się to podoba? Winter myślał przez chwilę.

- Podobałoby mi się bardziej, gdybym wiedział, co będę miał z tego.

Rutter przyznał mu rację.

- Powiedzmy, pięć procent,

- Od całości?

- Nie, od tej jednej lub każdej takiej dostawy.

- Dziesięć - odpowiedział spokojnie Winter.

- Siedem!

Obaj mężczyźni popatrzyli sobie w oczy i Rutter wyciągnął rękę:

- No co, zgoda? Muszę dzielić się z innymi - dodał wyjaśniająco. Winter też to rozumiał.

Tamci również musieli zarabiać. Wyciągnął rękę.

- Zgoda, John. W odpowiednim czasie powiesz mi, jak poznam przewodnika. Nie chciałem się pomylić przy spotkaniu.

Kupiec skinął głową. Nie rozmawiali więcej na ten temat, zwłaszcza że do magazynu Wpadł jak bomba wzburzony Brent.

- Słyszeliście?!

Obaj obrócili się jak na komendę.

- Ta banda Żółtych Noży, która była u was chyba ze trzy tygodnie temu, została wyrznięta w całości, o niecałe trzy dni drogi stąd.

- Wyrznięta! - Rutter wydawał się być poruszony.

- Tak, wiadomość przynieśli znad Pajęczynowego Potoku Cree, którzy dostarczyli przed chwilą futra do Locke'a.

- Kto wydawał towary Żółtym Nożom?

- Ja - Winter wysunął się nieco do przodu.

- Poznałbyś ich?

- Cholera wie. Pewno nie wszystkich. Są do siebie podobni, ale wodza pamiętam dobrze.

- To szykuj się, pojedziemy razem na miejsce.

- Trzeba by zabrać jakiegoś przewodnika. Nie znam tamtych okolic - zauważył Winter.

- Cree dają dwu zwiadowców. Czekają już na was w przystani, a ja zabieram jeszcze dwu żołnierzy.

Winter skinął głową.

- Wezmę tylko strzelbę i schodzę na przystań.

W pół godziny potem cała szóstka kierowała łódź w stronę zachodniego krańca jeziora. Droga z prądem nie nastęczała większych trudności, toteż w trzy dni potem wprowadzili łódź w lejkowate ujście sporej rzeki i po niecałych dwu godzinach jazdy pod bystry prąd przybili do brzegu.

Widok nie należał do najprzyjemniejszych. Wokół dość dużego, dawno już wygasłego ogniska leżało dwadzieścia parę ciał. Niektóre znajdowały się w stanie znacznego rozkładu. Odór gnijącego mięsa rozchodził się na kilkadziesiąt metrów wokół. Niektóre ciała były mocno poszarpane, widocznie przez wilki, sępy i kruki - może przez inne dzikie zwierzęta. Część zwłok jednak znajdowała się w stanie prawie nienaruszonym.

Obaj żołnierze pozostali w łodzi, natomiast zwiadowcy oraz Winter i Brent zaczęli oglądać zwłoki.

Wśród martwych znaleziono również ciało wodza. Winter rozpoznał je po szerokiej szramie na twarzy i braku środkowego palca u lewej ręki. Rozpoznanie reszty było niemożliwością. Tysiące much i wszelkiego robactwa, siedzące na trupach nie dawało szans na rozpoznanie kogokolwiek.

Winter skinął na dwu Indian i rzucił parę słów.

Obaj zwiadowcy zrozumieli go doskonale, bo rozdzielili się i zaczęli myszkować w okolicznych zaroślach oraz nad brzegiem potoku.

Tymczasem porucznik oraz jego towarzysz, mimo wstrętnego odoru, zabrali się za bliższe oględziny zwłok. Niektóre ciała leżały pojedynczo, niektóre zwierały się z sobą - jakby w przedśmiertnej walce. Rozłupane głowy, głębokie rany od noży i toporów, zwisające tu i ówdzie na strzępkach skóry ręce - wskazywały na szaleńczą, okrutną walkę.

Brent doszedł widocznie do podobnego wniosku, bo zszedł nad rzekę, wymył starannie ręce i zwrócił się do Wintera:

- Wyrznęli się sami z jakiegoś powodu.

Pomocnik Ruttera kiwnął głową. To, że Brent był durniem, nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Doświadczenia nie miał żadnego, ale nie było to ważne w tej chwili. Zastanawiał się, na ile pięć dodatkowych baryłek rumu ułatwiło sprawę tamtym.

Czekając na zwiadowców pograżył się w myślach. To, że Indianie zaczęli walkę między sobą, było jasne. Może nawet jeden lub kilku w tej walce zginęło, ale reszta umarła nie tak, jak mówił porucznik. Spojrzał odruchowo na najbliższe zarośla. Tak, salwa musiała paść stamtąd. I to nie jedna, ale może nie więcej niż dwie. Cel był bliski Dwadzieścia kroków. Reszta była tylko formalnością.

Kilkanaście jeszcze pchnięć nożem, parę uderzeń topora i po sprawie. Łodzie zapewne stały załadowane jeszcze na brzegu. Wystarczyło odpłynąć.

Wyciągnął z kieszeni bluzy dwa cygara z ostatniej dostawy i jednym poczęstował porucznika. Nie przerywał jednak milczenia. Cekał na to, co powiedzą zwiadowcy.

W końcu wynurzyli się z leśnego gąszczu. Relacja ich była krótka i zgodna. Tak... Uwagi

myśliwego Cree nic nie mogło ujść. Gdy skończyli, Winter rzucił jeszcze kilka słów. Obaj Indianie skinęli potwierdzająco.

Zwrócił się wtedy do porucznika i przetłumaczył ich słowa: - Zwiadowcy mówią, że Żółte Noże pozabijały się same. Są ślady, że w parę dni później nadeszła jakaś nowa grupa Indian i zabrała łodzie z towarami i broń nieżyjących.

Brent spojrział na zwiadowców podejrzliwie, ale z Winterem wolał nie dzielić się swymi podejrzeniami. Widok trupów współbraci nie robił widać na Indianach żadnego, wrażenia. Zresztą - zdał sobie w j tej chwili sprawę - na Winterze również. Musiał być z niego niezły j gagatek - pomyślał. Chociaż z drugiej strony Rutter nie zatrudniałby I faceta, co do którego nie miałby pewności. Porucznik zdążył poznać j już kilku. Machnął ręką i nakazał powrót.

Cztery dni potem przybijali do przystani w forcie. Droga pod prąd 3 trwała dłużej.

Gdy Winter wszedł do kantoru, w którym znajdował się kupiec - gospodarz wykazywał lekkie oznaki zdenerwowania.

- No i *co?* - spytał wchodzącego. Winter wzruszył niedbale ramionami.

- Porucznik stwierdził, że w czasie bójki wyróżnili się co do jednego, towary zabrała w parę dni później jakaś inna grupa Indian.

- No, ale przecież byli z wami ci dwaj zwiadowcy Cree?

- Ano, byli. Sam tłumaczyłem kochanemu porucznikowi ich spostrzeżenia. W połowie drogi powrotnej spotkali swoich, więc przesiedli się do innego kanu. Jeśli udadzą im się zimowe łowy, to może przyjadą następnej wiosny.

Rutter zamyślił się, ale widać uspokojony otrzymanymi wieściami spytał:

- Zmęczyłeś się?

- Iii... tam. Parodniowa przejażdżka dobrze zrobiła mi na rozprostowanie stawów. Gnuśniej tu u ciebie, John. Masz jeszcze czym przepłukać gardło? Kupiec roześmiał się.

- Jasne. Dla ciebie zawsze, ale popatrz, że tamci tak się wyróżnili!

- No... - przybyły rozprężył ramiona - może niezupełnie wyróżnili. U każdego widziałem przynajmniej po jednej dziurce od kuli, i to najczęściej za uchem, a u niektórych nawet po kilka.

- A porucznik?

- Był cholerny odór. Mdliło go. Toteż nie przyglądał się bardzo dokładnie.

- Hm. Długo tam byliście?

- Z półtorej godziny. Tyle, że Indianie oblecieli teren, no i jak ci mówiłem, po ich sprawozdaniu Brent nakazał wracać. To wszystko. Zresztą po trzech tygodniach nie mogło być żadnych śladów. Naley wreszcie, bo uschnę z pragnienia. A co u ciebie?

- Wszystko po staremu. Transport, o którym ci mówiłem, przyjdzie jutro. Wszyscy już wiedzą. Przyprowadzi go John Stone. Jest twojego wzrostu, nosi długie czarne proste włosy i

czerwoną lub niebieską opaskę na czole. Przyjedzie z nim trzech chłopców i kilkunastu zaprzyjaźnionych Indian Sarsi. Poznasz go z łatwością. On ciebie również... - Obaj mężczyźni roześmieli się.

ROZDZIAŁ V

Transport nadszedł zgodnie z zapowiedzią i. poza widoczną zazdrością pozostałych kupców, nie wywołał większego wrażenia. Jedyne Clay przygarbił się bardziej. Wieści przywiezione przez Johna Stone'a nie pozostawiały już żadnych wątpliwości. Lane i jego konwój, a wraz z nimi Cynthia Clay, przepadli bez śladu. Przepadli w tajemniczy, niepojęty sposób.

Winter nie interesował się tą sprawą, przynajmniej pozornie, chociaż przez okno magazynu widział niejednokrotnie i przygarbionego kupca, i jego żonę, coraz częściej odwiedzających porucznika Brenta. Z pewnych względów wolał się trzymać od tej sprawy z daleka. Za milczącą zgodą, a może nawet aprobatą Ruttera objął jego magazyn w wyłączne posiadanie. Osobiście rozpakowywał każdą skrzynię i toból, każdy worek, a wydobyte przedmioty jak poprzednio rozmieszczał starannie na półkach. Szczególnie pieczołowicie odnosił się do broni. Tu każdą sztukę sprawdzał, czyścił, suszył lub nawet oliwił, jeśli zachodziła taka potrzeba.

Po każdej rozpakowanej partii wpisywał wszystko do księgi kupca, ale nie tylko. Bowiem już od chwili objęcia pracy w magazynie prowadził również drugą księgę; co prawda znacznie mniejszą i zawierającą nieco mniej pozycji, ale była to księga na wagę złota, lub - jak często śmiał się w duchu - na wagę głowy. W niej widniały również rubryki przyjętych i wydawanych towarów. Gdy wreszcie uporał się z ostatnią belą sukna, ostatnim pistoletem i strzelbą przywiezioną przez Stone'a, miał jasny obraz sytuacji.

Zamknął księgę. Pozamykał na potężne kłódki okna i drzwi magazynu, wyciągnął z kieszeni spodni gruby, ciężki zegarek i popatrzył na wskazówki. Dochodziła dziesiąta wieczorem. O kilkaset jardów w domku Claya płonęło światelko. Widocznie nie spali jeszcze - pomyślał - i skierował się do swego domku.

Nie zamykał drzwi; nocni goście winni pojawić się lada chwila. Tym razem było ich pięciu; szósty pozostał na straży. Cicha rozmowa trwała długo. Wreszcie cienie zniknęły.

Tej samej nocy do izby Claya wsunął się bezszelestnie również jakiś cień. Nim rozbudzony kupiec zdążył zrozumieć, co się stało, ostrze stalowego noża dotknęło jego krtani, a twarda dłoń zamknęła usta. Niewidoczna twarz przylgnęła do jego ucha, a ledwo słyszalny szept w znanym mu języku Chipewyan sączył się w sposób ledwo uchwytny.

- Córka białego żyje, córka białego żyje! Niech biała twarz nie robi krzyku, nic mu nie grozi. Indianin przyjaciel. - Zelżał nacisk noża, od ust leżącego odsunęła się chropowata dłoń. Głos

zabrzmiął ponownie:

- Córka wróci do ojca, ale biały wypełni to, co jest napisane na mówiącym papierze. I nie powie o tym nikomu, nawet swojej kobiecie. - Obca ręka przesunęła się po ramieniu Claya i w dłoń jego wsunęła zwitek papieru. Stanowczy szept powtórzył raz jeszcze:

- Siwa głowa zrobi wszystko, co jest na tym papierze i nikomu, nikomu nic nie powie. Inaczej białowłosa zginie. I biały nie powie, że go ktoś odwiedzał.

Mimo ciemności Clay czuł, że cień odsunął się od niego. Powiało nocnym chłodem. Snadź tajemniczy gość wymknął się z domu. Z sąsiedniego łóżka dochodził równy oddech żony. W pierwszym odruchu chciał wstać i zapalić świeczkę. Powstrzymał się jednak. Jeśli były to odwiedziny wroga, swym nieostrożnym zachowaniem mógł wzbudzić podejrzenie. Jeśli nocny gość był przyjacielem, nie wolno go było zdradzić, bo wtedy... Jakiś tępy ból chwycił leżącego za gardło i szloch rozpaczy targnął jego piersią. Zacisnął szczęki, tylko dwie grube krople stoczyły się po policzkach. Nie, nie uczyni niczego, co mogłoby zaszkodzić jego dziecku, jeśli jeszcze żyje. Ukrył kartkę w rękawie koszuli i z lawiną myśli w głowie przeleżał do świtu.

Gdy było już widno wstał, ubrał się i poszedł otworzyć drzwi i okna od faktorii. Wewnątrz było dosyć jasno.

By nie dać się zaskoczyć, założył zasuwę na drzwi i wyjął niewielką potłuszczoną karteczkę wielkości dłoni. Mimo iż pisała ją niewprawną ręką, pismo udało mu się odczytać bez większego trudu. Treść tajemniczego listu była zdumiewająca. Zaledwie kilka zdań, a właściwie kilka poleceń, ale jakże dziwnych!. Przeczytał je raz, drugi i trzeci, dziesiąty. Nic nie rozumiał. Piszący, mimo braku wprawy w układaniu myśli znamionującej człowieka prostego, był niewątpliwie przebiegły i chytry. Nie pozostawił miejsca ani na domysły, ani na złudzenia. Swój list zakończył krótko: „Kartkę zniszcz jak przeczytasz!

Clay zapalił świeczkę, spalił list i roztarł popiół. Trudno, nie miał wyjścia. I chociaż tamten zapowiadał rzeczy niemiłe, to jednak jedno z poleceń, które wydał, nie było takie głupie i nie wskazywało na to, że może kryć się za nim jakiś podstęp. Wręcz przeciwnie. Zaczął intensywnie myśleć. Wreszcie wstał, otworzył na powrót drzwi i udał się do mieszkania. Magazynu nie musiał zamykać. Drzwi prowadzące do jego wnętrza były widoczne z okna kuchni, gdzie zwykle jadał śniadanie.

Katherine Clay - wierna towarzyska wszystkich jego radości i trosk od przeszło dwudziestu pięciu lat, słysząc kroki męża, rąbką fartucha szybko otarła oczy. Nie chciała by widział, że płacze. Miał własnych trosk wystarczająco dużo. Przelknęła ostatnie łzy i zwróciła się do wchodzącego męża:

- Czemu tak wcześnie otwierasz dziś faktorię, Andrew? Clay pocałował żonę w policzek i usiadł przy stole.

- Chciałem zobaczyć, jak wygląda stan naszych zapasów. Ale nic nie chciało się zmienić. Jeśli

nie dojdzie transport Lane'a, na wiosnę nie będzie czym handlować.

- Ale przecież dojdzie? Nie wierzysz chyba, że nie dojdzie - zapytała z nagłym przerażeniem w głosie.

- Wszystko jest w ręku Boga, Kathy. Trzeba mieć nadzieję. Kobieta z drzeniem ust opuściła izbę.

Clay szybko zjadł przygotowane śniadanie i poszedł z powrotem do magazynu. Zamknął drzwi i wszedł do składu futer. Musiał wykonać otrzymane na kartce polecenia.

Tej nocy nie spano jeszcze w jednym domu. Podobnie jak w poprzednich dwu wypadkach i tu pojawił się ktoś. Tyle tylko, że był oczekiwany. Przyciszona rozmowa z gospodarzem trwała prawie do świtu. Przed nadejściem dnia obcy, gdyż w okolicy na pewno nikt go nie znał, odbił niewielkim czółnem od przystani i roztopił się w gęstej mgle.

Rano Winter jak zwykle stawiał się w pracy, lecz miast otworzyć, jak to zawsze czynił, magazyn z towarami, poszedł do mieszkania Rottera.

Gospodarz właśnie zabierał się do śniadania, toteż skinął zapraszająco:

- Pewno jesteś przed śniadaniem. Siadaj. Nie warto zaczynać dnia o pustym żołądku.

Winter zaprzeczył.

- Przekąsiłem coś u siebie, ale kawy napiję się chętnie. - Przyniósł kubek i z dużego imbryka nalał gorącego czarnego płynu.

- Przyszedłem pogadać o interesach - jeśli ci to nie przeszkadza?

- Ani trochę. Niewykluczone, że i ja też chciałbym pogadać z tobą o interesach, a właściwie o jednym interesie.

Winter uśmiechnął się lekko.

- Widzę, że myśli nasze chadzają podobnymi drogami. Co to za interes, John?

Gospodarz przełknął kawał szynki jeleniej i powiedział chytrze:

- Jesteś gościem, James. Masz pierwszeństwo. O jakich interesach chciałeś ze mną rozmawiać?

- O takich, o jakich powinni pogadać dwaj mądrzy i przewidujący mężczyźni.

- No, to wal śmiało. Co cię gnębi?

Winter skrzywił twarz w nieprzyjemnym uśmiechu.

- Widzisz, John. Moim zdaniem źle się stało, że przyszedł transport Perry'ego. Będzie jeszcze gorzej, gdy dotrze tu Prescott. I tak robią nam dużą konkurencję. Jeśli Prescott nie przybędzie, to Clay i Mathiew na wiosnę nie będą mieli czym handlować. A poza tym wydaje mi się, że jeden łoś czy dobry niedźwiedź daje więcej mięsa, niż sto chudych wiewiórek, zwłaszcza że jak chybisz chociażby jedną, rozkrzyczysz to na cały las i koniec interesu.

- O czym ty mówisz?

- O czym? Obejrzałem towary przywiezione przez Stone'a. Tylko połowa wróciła z tego, co wydaliśmy Indianom, chociaż są prawie wszystkie z tych, które wzięły Żółte Noże. Powtarzam ci, John, że to polowanie na sto wiewiórek. Ucieknie jedna i może być paskudny kłopot. Nie mówiąc o tym, że czerwonoskórzy stają się coraz bardziej podejrzliwi.

Rutter patrzył przenikliwie na swego współnika.

- Mówisz, że w transporcie Stone'a wróciła tylko połowa tego, co sprzedaliśmy. Skąd to wiesz?

- Wydając towary z transportu Birda znakowałem je. Nie musisz więc dalej przede mną niczego ukrywać. - Mówił niedbale, ale doskonale widział, jak ręka tamtego coraz mocniej zaciska się na rękojeści noża.

- No dobrze, James. To jedna sprawa. Mówiłeś, że masz dwie. Winter powoli wysączył resztkę kawy.

- Tak, ta druga jest prostsza. Myślę, że najwyższy czas załatwić sprawę z Clayem, a właściwie z jego córką. Stary ma dosyć futer. Zapłaci!

Mięśnie rozprężyły się. Gospodarz odłożył nóż i nieomal z podziwem spojrzał na swego młodego towarzysza.

- Widzę, że masz sporo oleju w łepetynie. - Nie zamierzał zaprzeczać twierdzeniom tamtego.

- Ano, uzbierało się trochę - patrzył z odcieniem ironii. - Ale i ty, John, miałeś do mnie jakąś sprawę?

Rutter roześmiał się.

- Tak, chociaż właściwie nie wiem, czy ci to będzie odpowiadało.

- No...?

- Widzisz, trzeba będzie w najbliższym czasie odesłać transport futer; tych naszych, ma się rozumieć. No i... Myślę, że przy okazji Clay będzie chciał powierzyć nam również ładunek swoich. Clay - rozumiesz - nie ma pod ręką swoich ludzi. Jestem prawie pewien, że nas poprosi o przysługę. Myślałem, że do Winnipegosis cały transport mógłbyś poprowadzić ty, no i paru naszych chłopców.

Winter pokręcił przecząco głową.

- Nie, John. Na wioślarza się nie nadaję. Podobnie zresztą na magazyniera - dodał melancholijnie. - Za to znam się trochę - wycedził zimno - na innej robocie. Tutaj marnuję czas. Zostaw sobie Parkera. Zna nieźle tutejszy sposób porozumiewania się. Transport wyślij ze Stone'em, a mnie na jakąś odległą placówkę - tu wykonał ręką niewyraźny gest - na przykład do tego zapasowego magazynu, który jak twierdzisz, masz gdzieś w pobliżu. Jestem pewien, że tam przydam się najbardziej.

- Jesteś tego pewien?

Winter odsłonił w uśmiechu białe, jak u młodego wilka, zęby.

- Jestem pewien.

Zaczęli napływać Indianie. Obaj mężczyźni musieli się udać do magazynu. W przerwach, między jedną transakcją a drugą, prowadzili jednak dalej rozpoczętą rozmowę. Wieczorem w obszernej izbie Ruttera wraz ze Stone'em ustalali szczegóły planu.

W dwa dni później, rano, na progu swej chaty Clay znalazł zapisaną kartkę papieru. Ukrył ją dyskretnie w kieszeni łosiowej bluzy i otworzył magazyn. Tam wyciągnął kartkę i przeczytał. Treść jej była następująca: „Za niecały tydzień Rutter wysła swoje futra do Montrealu. Poproś, by jego przewodnik zabrał przy okazji wszystkie futra i skóry, które masz w magazynie. Transport musisz opłacić. Gdzieś na trasie zgłosi się do przewodnika człowiek z North West Company i przejmie twój ładunek. Nie dasz żadnego z twoich ludzi. Ty jesteś czysty. Gdy otrzymasz wiadomość, że wszystko poszło dobrze, wróci twoja córka. Jeśli piśniesz komukolwiek jedno słowo, Cynthię Clay rozdziobią wrony. Ciebie i twoją kwokę również. Pamiętaj. Kartkę zniszcz i milcz. Ostrzegam!”

List nie miał podpisu. Pismo było sztucznie zniekształcone.

Clay zastanawiał się przez parę chwil. O tym liście wiedział z poprzedniej kartki, ale kto u diabła mógł je pisać? Znał dobrze swoich sąsiadów. Rutter umiał od biedy coś przeczytać, ale pisać nie umiał. Rachunki prowadzili mu pomocnicy. Nie umiał pisać ni czytać ani Locke, ani Mathiew, ani obecny jeszcze w faktorii Rossignol. Umiał na pewno porucznik Brent, Perry, no i ten nowy, Winter. Może Stone, ten, który przywiózł ostatni transport do Perry'ego.

Zaraz, szybko sięgnął do swojej księgi, przecież kiedyś na jego prośbę parę stron wypełnił mu Brent. Przyłożył kartkę papieru do odnalezionej strony. Nie, taka zmiana pisma byłaby niemożliwa. Brent odpadał. Chociaż kto wie? Ciągłe się gdzieś włóczył z tymi swoimi śmiesznymi żołnierzami i wydawał się cały czas błąkać w chmurach. No, ale mogły to być przecież tylko pozory. Bandę też można przebrać w mundury. Odrzucił jednak natychmiast to przypuszczenie. Każdy transport przywoził porucznikowi duże, grube koperty opatrzone odpowiednią ilością właściwych pieczęci. Nie, to było niemożliwe.

A może jednak ktoś z zewnątrz - ktoś całkowicie tu nieznanym, ktoś z tej bandy, która dokonywała spustoszenia w promieniu stu mil. Nikt ich nie złapał, ale byli. O tym mówili Indianie, o tym wiedzieli kupcy. Właśnie Brent został tu przysłany, by zrobić porządek.

Clay smutno zwiesił głowę. Nie miał wyboru.

O tym, że Rutter wysła swój ładunek futer wszyscy już wiedzieli. Musiał widocznie wiedzieć i nadawca listu. Tak, plan był widocznie dopracowany i czekali tylko na okazję. I jak na złość żaden z ludzi Claya nie pokazywał się. Zresztą tamci pewno pilnowali, i to nieźle. Musieli mieć swoich szpiegów wszędzie. Nie miał wyjścia. Przywołał żonę i powiedział:

- Słyszałaś, Kathy, że Rutter wysła do Montrealu swoje futra?

- Tak, spotkałam wczoraj jakiegoś żołnierza. Mówił mi o tym. - Spojrzała pytająco na męża. -

A ty, Andrew? Czy zamierzasz coś w związku z tym?

- Właśnie, chcę poprosić, by wzięli również nasze.

- Nasze?

- Tak, gdyby był Lane, on by je zabrał, nie mogą tu leżeć do następnej wiosny. Nasi w Montrealu mogliby mieć kłopoty finansowe. Wiele lat pracy poszłoby na marne. Przy okazji wyślę zawiadomienie o tym, że zaginął poprzedni transport. Przypilnuj interesu. Pójdę do Ruttera i pogadam z nim. Może się zgodzi?

Skinęła bez przekonania głową. Znała dobrze swego męża. Nigdy nie był taki. Był człowiekiem czynu. I nagle taka zmiana. Godzinami przesiadywał w magazynie. W domu prawie jej nie dostrzegał, a przecież wiedziała-, że kocha ich dziecko nie mniej niż ona. Nie mogła uwierzyć, że opuścił ręce. A może jednak coś robił. Może nie mówił o tym, by nie stwarzać jej niepotrzebnych złudzeń? Wytarła oczy.

Tymczasem Clay wszedł do faktorii Ruttera na pozór spokojnie. Przywitał się z gospodarzem i Stone'em - przewodnikiem ostatniego transportu.

Rutter ścisnął jego rękę z dobrze udanym współczuciem.

- Co nowego, Clay? Może są jakieś wieści o twoim transporcie? Przybyły zaprzeczył.

- Nie! Nie mam żadnych wiadomości. I dlatego właśnie przyszedłem do ciebie.

- Mów, Clay, zrobię wszystko, co będę mógł. Może w czymś ci pomóc? Ale siadaj. Może szklaneczkę? I nie łam się, chłopie. Lane był doświadczonym przewodnikiem. Żołnierze Brenta na pewno spotkają go gdzieś na szlaku i sprowadzą.

Clay potrząsnął głową.

- Daj spokój. John. Znasz szlak i wiesz, że niejedno już się na nim wydarzyło. Po transporcie Lane'a przybył Rossignol i pan Stone. Nie spotkali nikogo. Nie mówmy więc o tym. Przyszedłem w innej sprawie. - Tu sięgnął po napełnioną szklanekę i wychylił ją jednym haustem. Dawno tego nie robił.

Obaj mężczyźni patrzyli na niego-uważnie. Clay otarł rękawem wąsy i po chwili zastanowienia odezwał się spokojnie i rzeczowo:

- Znasz, Rutter, podobnie jak ja, prawa interesu, w którym obaj siedzimy. Są futra stąd, są towary z Montrealu czy Quebecu. Nie ma futer - nie ma towarów. Jeśli moi z Montrealu nie dostaną futer, które w powrotnej drodze miał zabrać Lane, nie będzie zaopatrzenia wiosną. Trzeba będzie związać kram i kto wie, czy moich montrealskich oszczędności starczy na to, by pokryć długi i nie znaleźć się w więzieniu. Chciałbym na stare lata oszczędzić tego Kathy. Możesz pomóc mi tylko ty. - Przerwał na chwilę i odetchnął ciężko. - Wiem, że za parę dni wysyłasz transport W tamtą stronę. Chciałbym, by twoi ludzie zabrali również i moje futra. Oczywiście opłacę dodatkowo łodzie, wioślarzy i przewodnika. Rutter z udanym zdumieniem wykrzyknął:

- Ależ, Andy, czyś ty oszalał? Nie możesz sobie pozwolić na takie ryzyko. Wiesz przecież, że różne rzeczy zdarzają się po drodze. A jeśli transport nie dojdzie do miejsca?

Clay uśmiechnął się melancholijnie.

- Nie, John, nie ryzykuję przecież więcej niż ty. Jeśli dojdzie twój, dojdzie i mój, a im więcej ludzi będzie liczył? tym będzie bezpieczniejszy.

Rutter zaczął się wahać. Snadź prosta kalkulacja Claya trafiała mu do przekonania.

- No nie wiem, ale ja na twoim miejscu zastanowiłbym się jeszcze.

- Nie trzeba, John. Jeśli ty się zgadzasz. No i oczywiście przewodnik. Kto będzie prowadził transport?

Rutter wskazał na Stone'a. Clay zwrócił twarz w jego stronę.

- Jak, panie Stone? Podejmie się pan? Przewodnik wahał się.

- Nie mam łodzi... No i skąd wziąć tylu pewnych wioślarzy? Nie wiem...

Clay pomyślał chwilę.

- Dostarczę panu łodzi i wioślarzy. Znam tu niedaleko grupę Swampy Cree. Handlują ze mną od paru lat. Pojadą chętnie, to dobrzy wioślarze. Mogę ich dodatkowo zaopatrzyć w broń. W razie czego może pan na nich liczyć.

Przewodnik ucieszył się wyraźnie.

- To doskonale, Cree należą do dobrych myśliwych i podobno niezłe strzelają. Jeśli jest pan ich pewny, panie Clay, to kilkanaście strzelb więcej daje lepszą gwarancję bezpieczeństwa.

Rutter też wydawał się nabierać przekonania.

- To co mówisz Andrew, brzmi rozsądnie. Na kiedy mógłbyś ich ściągnąć?

- Myślę, że w przeciągu sześciu, najpóźniej siedmiu dni. - Tu zwrócił się do Stone'a: - Ile mam zapłacić za przysługę?

Nie targował się. Wiedział, że jest w przymusowej sytuacji. Gdyby Rutter i Stone nie zgodzili się, sytuacja jego dziecka byłaby straszna - i jego również. Na szczęście zgodzili się, chociaż widział, że Rutter nie był do końca przekonany. Przed samym wyjściem, myśląc zresztą o czym innym, rzucił mimochodem pytanie:

- A gdzież to pański wspólnik? Nie widziałem go dzisiaj. Rutter uśmiechnął się i wskazał przez okno. Na przystani Winter przygotowywał sporą łódkę.

- Wypuszcza się na małe łowy. Brakuje nam świeżego mięsa. Przed wieczorem powinien wrócić. Czeka nas masa roboty. Trzeba popakować futra.

Clay pokiwał głową. Oczywiście. Jego też oczekiwała robota. Toteż pożegnawszy się krótko, opuścił obydwu mężczyzn.

W pół godziny później widzieli, jak w małej łódce odpływa indiański pomocnik Claya. Pewno spieszył po czerwonoskórych wioślarzy. Wspólnicy popatrzyli na siebie z triumfem. Plan rozwijał się

znakomicie. Kilkunastu dobrze uzbrojonych Cree zwiększało znacznie bezpieczeństwo transportu na odludnych, dzikich przestrzeniach, a gdy nad jeziorem Winnipeg Stone zmieni wiosłarzy, po transporcie Claya zaginie wszelki ślad.

W parę dni później konwój złożony z dwudziestu kanu opłynął wąski skrawek jeziora i długą nitką rozciągał się na spokojnej tafli wody.

Clay i Rutter stali długo, w milczeniu patrząc na znikające w oddali czarne punkciki. Każdy z nich z odjazdem tego transportu wiązał zupełnie inne nadzieje.

Z odległości kilkudziesięciu metrów obserwowała ich trzecia para oczu - szyderczyk.

Następnego dnia około południa przybył do Ruttera jeden z jego handlarzy gdzieś z południa informując, że współnik, z którym przebywał na placówce ód paru miesięcy, zmarł i potrzebuje pomocnika, gdyż sam sobie nie poradzi.

Rozmawiając o tym z Brentem i sierżantem Jacksonem, kupiec wściekał się. Musiał wysłać tam Wintera przynajmniej na dwa miesiące.

Porucznik uspokajał zdenerwowanego Ruttera tłumacząc, że przecież takie przypadki nie należą do rzadkości. Odnotował w swym dzienniku śmierć z powodu gorączki niejakiego Sandy MacTriggera i na tym zamknął sprawę. Przykazał jedynie, by Winter zbadał, czy grób zmarłego jest dobrze obłożony kamieniami, dla ochrony przed dzikimi zwierzętami, i czy rzeczywiście postawiono na nim krzyż. Przed wieczorem Winter załadował łódź, zamknął chatkę, w której spędził kawał czasu, i wraz z przybyłym popłynęli trasą wczorajszego konwoju. Nie płynęli jednak daleko. Wkrótce po zapadnięciu zmroku milczący dotąd przewodnik pchnął łódź w poprzek nurtu i wprowadził ją w jakiś wąski przesmyk, przez który z ledwością mogli się przecisnąć. Kilkadziesiąt kroków dalej z ciemności wynurzyły się dwa cienie i zabrzmiał przytłumiony głos:

- Kto płynie?

- Ross i Winter - odpowiedział przewodnik.

- Rzeczywiście. - Nad Winterem pochyliła się znana mu już dobrze twarz Palmera, tego, który przyprowadził do faktorii grupę skazanych później na śmierć Żółtych Noży. - No, to w drogę. - Wraz z drugim milczącym kompanem wskoczył do małej, stojącej o kilka kroków łódki i rzucił: - Trzymajcie się blisko za nami. Kilkaset kroków stąd strumień się rozszerza.

Zanurzyli wiosła i obie łodzie, ocierając się miejscami o nadbrzeżne kępy wikliny, ruszyły cicho z miejsca.

Rzeczywiście, w jakiś czas potem strumień poszerzył się; przez wiszące u góry gałęzie zaświeciły gwiazdy. Szlak stał się bardziej widoczny. Nad ranem wpłynęli w koryto szerszego strumienia, a po wschodzie słońca rozpoczęli wspinaczkę pod dosyć silny prąd jakiejś większej rzeki. Przebijające przez korony drzew promienie słońca wskazywały, że płyną w kierunku północno-wschodnim. Koło południa urządzili krótki postój i posiłek. Teraz dopiero Winter uświadomił sobie,

że również towarzysz Palmera nie był mu zupełnie obcy. On również należał do tych, którzy rzekomo pracowali gdzieś na północ od faktorii. To on właśnie przyprowadził swojego czasu grupę Nahani, po której do magazynu Ruttera wróciły wszystkie kupione przez nią towary. Transakcja musiała się widocznie skończyć podobnie do tej, w jakiej uczestniczyły Żółte Noże. Najprawdopodobniej, tam gdzie w grę wchodziły nieco większe zakupy dokonywane przez Indian, finał każdej bywał podobny. To sprawiało, że interes prosperował znakomicie. Banda musiała być nieźle zorganizowana i kierowana. Co prawda w kraju tak słabo zasiedlonym, przy ogromnych przestrzeniach, nic jej nie groziło, ale Winter wyobrażał sobie jaką trudność musiało przedstawiać utrzymanie jakiej takiej chociażby dyscypliny wśród co najmniej kilkunastu zdecydowanych na wszystko i wyspecjalizowanych w swym rzemiośle mężczyzn. Przez moment coś na kształt wątpliwości przemknęło mu przez myśl.

Na znak Palmera szybko zwinęli obozowisko, zacierając wszystkie ślady i ruszyli w dalszą drogę.

Następnego dnia, koło południa, gdy z powodu bystrzyn i wystających z wody kamieni nie mogli kontynuować podróży rzeką, wzięli kanu na ramiona i wędrowali tak do zachodu słońca.

Przed samym wieczorem zsunęli się na dno głębokiego parowu i ponownie spuścili na wodę niesione lodzie.

Ross, który wydawał się najbardziej zmęczony, usiadł na brzegu i obrócił się w kierunku Wintera.

- Za parę godzin będziemy w domu. Winter kiwnął głową.

- To dobrze. Nie lubię się zbyt długo tłuc po wertepach. - Wiedział, że kolo zamknęło się, i to w sensie dosłownym. Był już w tym parowie. W myśli zajaśniało wyraźne światełko. „Złe Ziemie”. Tak nazwał je wtedy Kamienny Grot. A więc jednak tu.

Koło północy rozbili nad brzegiem obóz i ułożyli się do snu.

Rankiem Palmer, który widać znał tu każdy kamień, jakąś wąską szczeliną poprowadził ich w górę na krawędź parowu. Tam kazał postawić lodzie i wydobył z kieszeni lusterko. Ustawił się nieco ukośnie do słońca i przez kilka minut poruszał delikatnie ręką. Gdzieś w oddali - w odpowiedzi na sygnał - błysnęło raz i drugi. Potem nastąpiła cała seria błysków.

Nadający sygnały schował lusterko na powrót do kieszeni i oznajmił:

- Możemy iść. Droga wolna!

Dźwignęli czółna i pomaszrowali łagodnym stokiem. Po przejściu kilku parowów i zagłębien terenu, minięciu kilku rumowisk skalnych, dotarli w pobliże dużego granitowego bloku, na którego szczycie leżał płasko jakiś mężczyzna. Kiwnął przyjaźnie nadchodzącym i zawołał:

- Uprzedziłem szefa Czeka na was.

W kilka minut później precyzyjnie się między dwoma ostrymi krawędziami skalnymi, przeszli

kilkadziesiąt kroków krętym korytarzem i wychynęli niespodziewanie na obszerną polanę. Z trzech stron otaczał ją zwarty las, z czwartej kilkunastostopowej wysokości skalna ściana. Na środku polany płonęło ognisko. Wokół kręciło się kilku brodatych, dziko wygi;(dających mężczyzn. Pod skalną ścianą leżało kilka kanu różnej wielkości. Na widok przybyłych rozległy się liczne okrzyki. Trzej towarzysze Wintera odpowiedzieli podobnie. Wśród witających Winter rozpoznał jeszcze dwie postacie, toteż kiwnął im ręką. Pozostałych nie znał.

Palmer, który zdążył się przywitać ze wszystkimi, zniknął za niezauważalnym na pierwszy rzut oka występem, ale pojawił się za kilka chwil i przywołał Wintera.

- Chodź, szef chce cię poznać.

Przesunęli się wąskim przejściem i w chwilę potem znaleźli się w obszernej grocie. Wbrew jednak oczekiwaniom grot nie była ciemna. Niewidoczne z zewnątrz szczeliny przepuszczały wystarczającą ilość światła. W głębi, na dużym stosie skór, z niedbałe wyciągniętymi przed siebie nogami, z dużą fajką w pożółkłych od tytoniowego osadu zębach, siedział mężczyzna w średnim wieku. Długa ruda broda zasłaniająca połowę twarzy i grzywa skołtunionych, lśniących czerwienią włosów na głowie nadawała postaci cechy dzikiej, brutalnej siły. Siłę tę znamionowały potężna włochata pierś i zwały mięśni na odsłoniętych ramionach.

Obok, w równie swobodnej pozycji, siedział drugi drab, nacinający w tej chwili na drewnianej kolbie swej strzelby jakiś zawył wzór. Mimo pozycji jaką zajmował, a może właśnie dzięki niej, widać było jego długie muskularne nogi, nienaturalnie długie ręce, którymi posługiwał się z niewiarygodną wprost sprawnością, i zupełnie gładką, bez cienia zarostu i żadnego wyrazu twarzy. Jego szerokie bary wskazywały siłę niedźwiedzia.

Rudy dłuższą chwilę patrzył na przybyłych, w końcu gestem ręki odprawił Palmera, podniósł się i wyciągnął rękę:

- Witaj, Winter. Cieszę się, że już tu jesteś. Poznajcie się, to mój zastępca, Tom Lang.

Długonogi drab wyprostował się nieomal kocim ruchem i wyciągnął rękę.

- Jesteśmy tu wszyscy po imieniu. Jak ciebie nazywają?

- James! A jak do szefa należy się zwracać? Rudy roześmiał się.

- Wszyscy mówią Billy, ale można i Rudy - jeśli ktoś chce. Też mi się podoba. Siadaj. Pewno zmęczyła cię trochę ta diabelska droga. Palmer zawsze się spieszy. Myślałem, że będziecie dopiero wieczorem.

- Mało popasaliśmy, chociaż nikt specjalnie nie gonił. Ot, taka sobie krótka wycieczka dla przyjemności - dodał, krzywiąc twarz w nijakim uśmiechu.

- Odbywałeś dłuższe? - Rudy patrzył z zaciekawieniem.

- Zdarzało się, w dawniejszych czasach.

- Ale chyba nie tutaj? Tu siedziałeś prawie cały czas w magazynie.

- Nie, Billy, nie tutaj. Trochę dalej na południu.

- A gdzie dokładnie?

- Na granicy między Irokezami a Odżybuejami. Nie lubili się, toteż czasem trzeba było odbywać długie i szybkie marsze - dodał wyjaśniająco.

- Ach tak. A po czyjej stronie, jeśli wolno wiedzieć?

- Staralem się pilnować własnych interesów - odpowiedział z uśmiechem Winter.

- Zupełnie własnych?

- No, bez przesady. Było nas kilku, więc i interes był wspólny.

- A na czym polegały te interesy? Chyba nie masz tajemnic, James?

Winter przez chwilę jakby ociągał się z odpowiedzią, w końcu powiedział łagodnie i trochę wymijająco:

- Były różne, ale na przykład płacono dobrze za skalpy. Rudy i jego zastępca jak na komendę unieśli głowy.

- Za skalpy? - Tom był wyraźnie zaskoczony.

- Tak. Taki sam towar jak każdy inny. - Winter miał zupełnie obojętny wyraz twarzy.

Obaj bandyci popatrzyli na siebie wymownie.

- No, skoro płacono dobrze... - Tom patrzył podejrzliwie.

- Po przegranej Francuzów znacznie spadła cena, a ryzyko zwiększyło się. No i stało się dosyć ciasno. Nie to co tu.

- Tu, niestety, nie płacą, chociaż czasem ktoś skalp straci - Rudy stwierdził melancholijnie. - Ale Rutter wspominał coś, że masz jakieś zastrzeżenia do naszych interesów?

- Zastrzeżenia? Nie. Tylko tak sobie myślałem, że na dłuższą metę - tu dobierał starannie słowa - jeśli zmniejszy się znacznie ilość Indian, których po ostatniej epidemii - jak słyszałem - nie zostało zbyt dużo, to zmniejszy się ilość dostarczanych futer. Gdyby natomiast ze dwa, trzy transporty towarów nie dotarły do konkurencji, to znaczy do Mathiewa, Locke'a, Perry'ego, to dzicy musieliby się zaopatrywać wyłącznie u Ruttera. Wydaje się to prostsze i bardziej opłacalne niż uganianie setki mil za byle jaką bandą i straszenie Indian. Hudson Bay Company, jak słyszałem, zamierza też poszerzyć sieć swych posterunków, a doświadczenia im nie brakuje. Ale to tylko taka myśl - nie zastrzeżenia.

Rudy patrzył na mówiącego przenikliwie. Argumenty Wintera wydawały się dość rozsądne. Zwłaszcza że, jak wiedział, zaginiony transport Claya, tego konkurenta załatwił na amen.

- Ciekawie gadasz, James. Jest w tym coś. No, ale dobra. Powrócimy do tego innym razem. Myślę, że się nadasz. Ale, jeszcze jedno. Rutter wspominał mi, że byłeś z porucznikiem przy jakiejś bandzie Żółtych Noży, które porznęły się. Widziałeś tam coś ciekawego?

- Nie, nic specjalnego. Paru, którzy się sami wykończyli podczas pijackiej burdy. Kilkunastu,

którzy dostali po parę kulek, w tym jedną za uchem, no i chyba czterech czy pięciu o kilkaset kroków dalej. Ale, jak to zwykle dzikusy - pewno z powodu jakiegoś przesądu porobili sobie dziurki w tyle głowy.

- No i *co* na to porucznik?

- Brent? On nie patrzy na takie drobiazgi. To prawdziwy żołnierz. Pozabijali się, to pozabijali. Zawsze przecież się zabijają. - Wszyscy trzej parsknęli śmiechem, a Rudy z zadowoleniem przeciągnął rozczapierzonymi palcami po brodzie.

- No, dobra. Teraz idź i poznaj się z chłopakami, i niech ci dadzą coś do żarcia. Życiorysu - tu nakreślił wymowny krąg wokół głowy - nie musisz im opowiadać.

Winter kiwnął głową, wyszedł na zewnątrz i zbliżył się do grupy mężczyzn siedzących przy ognisku.

Pierwsze dni nie przyniosły nic ciekawego. W towarzystwie Pal-mera, Rossa i Toma zapoznawał się z okolicą. Nowi kumple rysowali mu na piasku różne punkty orientacyjne w terenie, pokazywali ukryte przejścia i ścieżki dostępne tylko dla wtajemniczonych. Toteż wkrótce topografię okolicy, na kilkadziesiąt mil wkoło, miał w małym paluszku. Ba, miał w głowie i parę innych rzeczy.

Któregoś dnia zupełnie przypadkowo odkrył, że grota, w której przy pierwszym spotkaniu rozmawiali z nim Rudy i Tom, nie składa się tylko z jednego pomieszczenia.

Za zręcznie zamaskowanym wejściem kryje się dalsza jej część i ktoś tam stale przebywa. W przekonaniu tym utwierdził go fakt, że gdy obaj dowódcy opuszczali grootę, zawsze ktoś pozostawał na jej straży i żaden z członków bandy nie próbował wtedy wejść do środka. I nie chodziło raczej o zgromadzone tam towary.

Winter nie miał wątpliwości, że nie o cały transport Lane'a chodzi, ale o coś innego. Gdy któregoś dnia zaryzykował, Lang, który akurat stał u wejścia zagroził mu drogę.

- Nie wchodź, James. Stary nie lubi, gdy w czasie jego nieobecności ktoś wchodzi do środka. Winter wzruszył ramionami.

- Strzelba mi się zapiaszczyła, chciałem wdać jakąś starą szmatę do przetarcia. Może masz coś takiego?

- Wymyj w potoku i wysusz - Lang zaśmiał się drwiąco.

- Kiepski dowcip, Lang. - Odszedł niedbale o kilka kroków, rozebrał strzelbę i poukładał jej części na kamieniu. Oddał kawałek rękawa koszuli i z godzinę pracował nad wygarnięciem najdrobniejszych pyłków z różnych zakamarków proste go mechanizmu.

Przy robocie tej zastał go Rudy.

- Co ty robisz, u diabła; na wyczyszczenie tego kawałka żelaza drzesz najlepszą koszulę?

Winter wskazał na wartownika.

- Chciałem wziąć jakąś szmatę stamtąd, ale Lang powiedział, że nie lubisz, jak ktoś tam

wchodzi bez twojego pozwolenia.

Billy z zakłopotaniem patrzył w niewinnie wyglądającą twarz Wintera.

- Hm. No, niby tak. Nie lubię, jak wszyscy łażą i robią bałagan. Winter machnął ręką.

Zakończył składanie fuzji, nabił ją starannie i spytał niedbale:

- Wiesz, dlaczego specjalnie ten kawałek żelaza chcę mieć w zupełnym porządku?

- No?

Winter rozejrzał się dokoła, zatrzymał wzrok na odległym o dwieście kroków drzewie i spytał:

- Widzisz, co tam siedzi na samym czubku?

- Widzę. Wrona!

- Czy ktoś z twoich zestrzelił ją ze swojej strzelby?

- To niemożliwe. Za daleko i za mały cel

- Popatrz w takim razie.

Kilku z bandy słysząc to podeszło bliżej i patrzyło na Wintera z niedowierzaniem.

- Może któryś z was chce się założyć?

Tom, który do tej pory nie interesował się specjalnie rozmową, usłyszawszy ostatnie słowa zawołał:

- Poczekaj chwilę. Chcesz się założyć, że zestrzelisz stąd tego ptaka?

- Tak.

- A o co?

- Poza strzelbą i nożem mam tylko swoją głowę.

- Wystarczy mi twój nóż. W zamian za ten pistolet. - Tu wyciągnął zza pasa długi pistolet z bogato inkrustowaną rękojeścią. - Przyjmujesz?

- Przyjmuję.

W tym momencie stała się rzecz nieoczekiwana. Siedzący dotąd spokojnie czarny ptak snadź zrozumiawszy, że chodzi o jego skórę, poderwał się do góry.

Tom wskazał ręką w tamtym kierunku:

- Nóż jest mój. Zakład przyjąłeś.

Winter obrócił się powoli. Uniósł strzelbę. Na chwilę znieruchomiał i delikatnie przycisnął spust. Rozległ się suchy trzask wystrzału. Ptak zatrzepotał skrzydłami i runął w dół.

Strzelec niemal czule pogładził długą lufę. Nabił strzelbę ponownie i zwrócił się do Rudego:

- Jak myślisz, czy dla takiej strzelby warto zniszczyć kawałek rękawa ze starej koszuli?

Grupa mężczyzn stała w niemym osłupieniu. Tom, który trzymał jeszcze pistolet w ręku i zamierzał go już włożyć z powrotem za pas, wyciągnął broń w kierunku strzelca. Oczy jego lśniły niebezpiecznym blaskiem.

- Masz.-. Wygrałeś!

Winter obejrzał broń. Cmoknął z zadowoleniem i umieścił za swoim pasem. Następnie wziął pod rękę Rudego, odprowadził go kilka kroków na stronę, tak by ich nie słyszano, i powiedział półgłosem:

- A dziewczyny Claya nie musisz przede mną ukrywać. Powiedział mi o niej Rutter. - Po czym odwrócił się na pięcie i poszedł w stronę ogniska, gdzie piekły się kawały mięsa. Był głodny.

Za chwilę strzelba jego przechodziła z rąk do rąk. Takiej broni nie widzieli tu jeszcze. Ale nie widzieli i takiego strzelca.

Ten zaś odkroił sobie kawał dziczyzny i nie dawał poznać po sobie zadowolenia. Wiedział, że tym strzałem zdobył uznanie przynajmniej części bandy. A zależało mu na tym uznaniu.

Dziewczyna wyszła z groty po południu. Znali ją wszyscy. Do czasu przyjazdu Wintera Rudy pozwalał jej wychodzić na krótkie spacerunki. Wiedział, że nie ma szans ucieczki. A i ona wiedziała o tym również. Po zagarnięciu transportu Lane'a więziono ją tylko nocami. Nie zdawała sobie sprawy, gdzie się znajduje i w jakim kierunku należałoby uciekać. Zamiary Rudego i jego bandy znała dobrze. Jeśli jej ojciec zapłaci okup i wyniesie się z faktorii - ona ma odzyskać wolność. Jeśli nie?... Nie miała złudzeń. Córka handlarza futer obracająca się od wczesnego dzieciństwa w towarzystwie ludzi nie cofających się przed niczym, wiedziała jaki los ją czeka - nawet wtedy gdy ojciec zapłaci. Ale wiedziała też, że ojciec jej nie opuści, że jeśli będzie trzeba, wyruszy sam ze strzelbą na szlak, jeśli nie po to, by ją uratować, to po to, by pomścić. Działał już na pewno. Nie mogła mu przeszkadzać nieodpowiedzialnym postępowaniem. Dokąd żyła, istniał cień nadziei. Jak długo jeszcze? Na pewno niedługo. Wprawdzie Rudy i Lang trzymali bandę w żelaznej dyscyplinie i posłuszeństwie, ale widziała też niejednego odruch niezadowolenia. Tych kilkunastu zdrowych, silnych mężczyzn patrzyło na nią coraz częściej jak stado zgłodniałych wilków. Wiedziała, dlaczego w czasie nieobecności herszta nikomu nie wolno było wchodzić do groty. Kiedyś, gdy któryś, pewno pod wpływem wypitego rumu, wbrew poleceniu wartownika usiłował to zrobić, dostał kulę w czoło na oczach całej bandy. Uspokoilo to trochę pozostałych, ale uspokoilo pozornie. Gdy wychodziła, a czynila to coraz rzadziej, odwracali od niej wzrok. Nie wierzyła jednak temu. Nie dala się zwieść pozorom. Teraz, gdy po kilku dniach opuścila jaskinie, nie widziala niczyich oczu, ale czula instynktownie, ze ja obserwują. Chociaż... Tak, to na pewno ten nowy. Nie widziala co jeszcze, ale slyszala jak ostatnio wieczorami Rudy i Tom czesto o nim mowili. Uslyszala nawet, ze podobno skalpowal ludzi. Usiadla pod skala i uniosla powieki. Tak, to byl wlasnie on. Patrzyl na nia z zainteresowaniem. Nie odwrócił głowy. Patrzyl spokojnie jak na zwykly przedmiot - tak jak lowca skalpow może patrzec na ciało swej ofiary. A może szacował jej skalp? Szybko spuścila głowę. Nie mogła znieść jego wzroku. Czula go jeszcze przez moment, potem uslyszala głos. Rozmawial z tamtymi.

Po kilkunastu minutach wróciła do groty. Wolala nie drażnić ich dluzej swym widokiem. Tego dnia nie wychodziła więcej.

Nad ranem usłyszała ruch i krzątanie. Ze strzępków rozmów zrozumiała, że banda szykuje się przeciwko jakiejś grupie Indian wiozących do faktorii futra. Nim nastał świt, wokół zapanowała cisza. Gdy dobrze już po wschodzie słońca wyszła przed jaskinię, stwierdziła, że pozostali tylko trzej strażnicy. Tym razem zastępca herszta Tom Lang, Hill i Ross. Wiedziała, że gdzieś w pobliżu musi być czwarty. Nie zwracając uwagi na rozmawiających zeszła do źródła i obmyła twarz, po czym zabrała się za przyrządzanie swego skromnego posiłku. Banda nie zajmowała się tym uznając, że dziewczyna może troszczyć się sama o siebie.

Kończyła posiłek, gdy gdzieś u góry rozległ się przenikliwy gwizd. Lang uniósł głowę i zwrócił się do Hilla:

- Idź i zobacz, czego ten tam chce.

Hill podniósł się i w kilka sekund potem zniknął w skalistym przejściu. Upłynęło zaledwie z pół minuty, gdy od strony przejścia dobiegł straszliwy, mrozący krew w żyłach krzyk konającego człowieka.

Obaj pozostali bandyci niemal jednocześnie sięgnęli po broń. Jednakże w tym samym momencie powietrze przeszył ostry świst indiańskich strzał i biali osunęli się na ziemię.

W chwilę później kilka półnagich postaci wysunęło się bezszelestnie z otaczającego polaną gąszczy i nim dziewczyna zdołała zrozumieć cokolwiek, ciężki koc spadł jej na głowę, a kilka silnych rąk przytrzymało za ramiona. Usłyszała szybką krzątanie, jakieś szmery, ktoś jeszcze - pewno przywódca - podszedł bliżej i rzucił w narzeczu Cree:

- Niech moi bracia zwiążą dziewczynę i zabiorą ją. Nie może im uciec. Wiedzą, co mają z nią uczynić dalej. Pozostali niech nie chodzą do jaskini i nie ruszają tam niczego. Ciała wrogów zabiorą i w różnych miejscach zostawią na krawędzi rzeki. Zabiorą tylko ich strzelby i noże. Tu zatrą wszystkie ślady.

Inny głos odpowiedział krótko:

- Będzie, jak powiedziales.

Dziewczyna czuła, że nieomal całe jej ciało krepują mocne rzemienie. Silne ramiona uniosły ją w górę. Czuła, jak skóra ociera się o ostre krawędzie skały w przejściu. Potem położono ją na noszach i niesiono gdzieś w milczeniu. Nie była w stanie określić kierunku. Wreszcie któryś z napastników wziął ją na ręce i zsunął się po stromej pochyłości. Za chwilę usłyszała plusk wody i uczuła, jak kilka par rąk układa ją w kanu. Zemdlała.

Gdy na powrót odzyskała świadomość, stwierdziła, że może oddychać swobodnie. Grubą derkę, która zasłaniała jej twarz, zdjęto z głowy i w otwarte usta i nozdrza wpadało rześkie powietrze. Była związana, ale rzemienie na jej nogach i rękach nie ścisnęły zbyt mocno. Znajdowała się nadal w łodzi.

Otworzyła oczy i ujrzała przed sobą sylwetki dwu nagich do pasa wioślarzy. Z tyłu było też

pewno dwu. Słyszała ich równe oddechy, ale nie próbowała odwrócić głowy. Po co?

Płynęli pod prąd. mimo to łódź posuwała się szybko.

Dziewczyna popadła w zadumę. Położenie jej nie było najweselsze.

Z rąk bandy białych dostała się w ręce bandy Indian Cree. Od dzieciństwa nasłuchiwała się o nich wiele różnych straszliwych opowieści. Potwierdzał to nawet Hearne, u którego jej ojciec był przez pewien czas przewodnikiem, nim został kupcem. Nim przeniósł się tu, handlował początkowo wokół Osnaburgh House, nie opodal jeziora Nipigon. Tam poznała wielu Cree i nauczyła się ich języka, Toteż rozumiała każde słowo wypowiedziane na polanie. Ten, który wydawał rozkazy; musiał być wodzem. Nie chcieli jej zabijać; w przeciwnym razie byłaby zginęła na miejscu. W jego poleceniach było jeszcze coś, coś bardzo ważnego. Nie pozwolił zabrać niczego z grotty, a przecież wiedziała, że towary znajdujące się w niej stanowiły dla Indian skarb. Może nie pozwolił tylko tym razem. Może było ich za mało, może obawiali się powrotu bandy i zaskoczenia. I stąd właśnie polecenie, by pozacierać wszystkie ślady, a ciała zabitych zanieść gdzieś daleko. Cóż, może jakiś wojownik postanowił założyć rodzinę lub białą kobietę dołączyć do kilku innych swoich żon. Wiedziała, że Cree posiadają po kilka kobiet. A może po prostu zamierzali ją ugotować w jakimś dużym miedzianym kotle, kupionym od białych kupców, może nawet od jej ojca. Wzdrygnęła się. Nie. Może chodziło tylko, tak jak tamtym, o okup. Łzy napłynęły jej do oczu. Gdyby w grę wchodził okup, miała szansę. Dostatecznie dobrze знаła różne grupy Cree. Byli prymitywni i okrutni - chociaż może nie tak okrutni jak biali - ale dotrzymywali słowa i nie torturowali jeńców. Ciężkie łzy stoczyły się po jej pobladłych, wychudzonych policzkach.

ROZDZIAŁ VI

Pospieszny poranny wymarsz bandy nie był dziełem przypadku. Oto poprzedniego dnia Finch; jeden z najlepszych zwiadowców i rzezimieszków Rudego, podsłuchiwał rozmowę trzech Indian, którzy szli do faktorii Jonesa, by go zawiadomić, że o dzień drogi za nimi zdąża kilkunastoosobowa grupa ich braci z ładunkiem futer.

Ponieważ Indianie kilkakrotnie wymieniali nazwę rzeki, którą posuwał się transport, Finch znający doskonale teren ustalił szybko przypuszczalną trasę. Nie zwlekając wycofał się, dotarł do swego kanu i nad ranem, po morderczej jeździe, powiadomił o wszystkim szefa bandy. Sam padał ze zmęczenia, toteż pozostał na miejscu i z rana, po dwu godzinach snu, objął wartę na skale.

Rudy natychmiast postawił na nogi całą bandę i dosłownie w parę minut wyruszyli w drogę. Dowódca znał ją dobrze, toteż prowadził sam.

W półtorej godziny później, gdy dotarli do zbiegu dwu rzek, wolał nie ryzykować. Wiedział, że Indianie mogą nadpłynąć jedną bądź drugą odnogą.

Zatrzymał ludzi i spytał:

- Kto chce iść na zwiady? Potrzeba dwu ludzi.

Przez chwilę panowało milczenie, w końcu wysunął się Palmer.

- Mogę pójść i ja - powiedział Winter.

Rudy skinął głową. Sam zamierzał sprawdzić doświadczenie nowego członka bandy. Okazja do tego nadarzała się właśnie teraz.

- Gdzie byli dzicy, gdy ich spotkał wczoraj Finch? - spytał Winter.

Rudy wygładził niewielką płaszczyznę nadbrzeżnego piasku i szybko nakreślił parę linii, na których poumieszczał w różnych miejscach drobne kamyki:

- W tym miejscu my jesteśmy - tu wskazał na pierwszy kamyk. - Finch podsłuchał zwiadowców tu - pokazał kamyk drugi. - Grupa z futrami mogła się, według tego co słyszał, znajdować wtedy mniej więcej w tym rejonie - tu zaznaczył następne miejsce. - W każdym razie jeszcze przed tym punktem, w którym musieli podjąć decyzję o tym, którą odnogą popłyną. Mogą być w odległości siedmiu-dziesięciu mil od nas, w zależności od tego czy płynęli całą noc, czy nie - dodał. - Ale ponieważ nie wiadomo, którą trasę wybrali, nie możemy iść dalej. O milę w górę rzeki urządzimy zasadzkę. To zajmie też trochę czasu. Dzicy nie będą tu wcześniej jak-za parę godzin.

Obaj zwiadowcy przytaknęli. Chwilę naradzali się między sobą, w końcu ustalili potrzebny na wszelki wypadek sygnał, rozdzielili się.

Winter poszedł wzdłuż lewej, Palmer wzdłuż prawej odnogi rzeki.

W parę minut później Rudy prowadził pozostałą piętnastkę przez las w miejsce, gdzie zamierzał urządzić zasadzkę. A było to rzeczywiście znakomite miejsce.

Dość szeroko rozlana dotąd rzeka zwężała się tworząc bardzo silny prąd. Po obydwu stronach przewężenia teren był dosyć płaski - las odsuwał się od wody na kilkadziesiąt kroków. Na czymś w rodzaju obszernej, przepołowionej polany leżało masę kamieni i odłamków skalnych.

Herszt był przekonany, że dzicy, słynący zresztą z umiejętności wioślarskich, spróbują przepłynąć ten odcinek. I wtedy wjadą prosto pod lufy strzelb. Kilkaset kroków poniżej pozostawił na wszelki wypadek dwu ludzi, którzy powinni wyłapać pozbawione wioślarzy łodzie.

Wprawdzie jedna salwa powinna wystarczyć, ale na wszelki wypadek każdy miał po dwie strzelby. Na ponowne nabijanie nie było w takich, spotkaniach czasu. W pół godziny później miejsce przygotowanego napadu świeciło pustką. Wokół panowała cisza. Mijały godziny. Na skraj polany na moment wysunął swe olbrzymie rosochy łoś, lecz zaraz zniknął. W jakiś czas potem przemknął Rudy, wyliniały lis. W pobliskich gałęziach sosny z piskiem harcowały dwie wiewiórki. Gdzieś dalej zawzięcie kuł drzewo dzięcioł.

Banda leżała w absolutnej ciszy. Około trzeciej wrócił Palmer. Nie spotkał Indian, chociaż przeszedł, jak stwierdził, daleko za miejsce, w którym mogli się znajdować.

W godzinę po nim pojawił się drugi zwiadowca. Twarz miał zachmurzoną. Na nieme pytanie Rudego skinął głową.

- Tak, dzicy są, ale nie kilkunastu. Co najmniej półtorej setki. Jest trochę kobiet i dzieci, a dorosłych mężczyzn około dziewięćdziesięciu. Połowa uzbrojona jest w broń palną. Obozują trzy mile w dół rzeki. Na powodzenie napadu trudno liczyć. Zresztą możesz sam zobaczyć.

Rudy był wyraźnie zaskoczony.

- Nie przywidziało ci się?

- Niestety, nie. Szedłem za nimi ze trzy godziny. Mają futra. Sam kombinowałem. Może spotkały się i połączyły dwie lub trzy grupy, a Finch spotkał wysłanników jednej? Nie wiem.

- Można tam jakoś podejść?

- Tak, znalazłem dobry punkt obserwacyjny. Możemy iść. Rudy polecił pozostałym zostać na miejscach i ruszył z Winterem,

który oddalił się od rzeki, gdzie mogli znajdować się jacyś indiańscy zwiadowcy i szerokim łukiem poprowadził swego towarzysza ku obozowisku Indian. Początkowo szli dosyć szybko; w miarę jednak zbliżania się do celu przewodnik zwolnił. Posuwali się krok za krokiem, omijając starannie miejsca, gdzie mogły pozostać ślady. W końcu znaleźli się na niewielkim wzniesieniu u stóp wysokiej sosny. Tu Winter zatrzymał się i powiedział cicho:

- Dalej nie pójdziemy. Stąd zobaczysz co trzeba.

Rudy bez słowa wdrapał się na drzewo i bacznie rozejrzał wkoło.

Tak, w odległości czterystu kroków, tuż nad rzeką, leżał obóz Indian. Patrzył dość długo i uważnie. Obóz liczył około siedemdziesiąt szałasów. Nad wodą leżało pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt kanu. Sprawa była jasna. Szaleństwem byłby atak na taką ilość ludzi.

Zsunął się ostrożnie z drzewa i podążyli tym samym szlakiem, którym przyszli.

Przed zachodem słońca Rudy podniósł swych ludzi i nakazał odwrót. Idąc rozmawiał cicho z Winterem.

- Tu nie było co ryzykować - mówił powoli - ale skoro dzicy wiozą futra do Jonesa - dostaniemy je od niego.

- Myślisz?

- No jasne!

- Jones jest sam?

- Nie, ma ze sobą dwóch chłopaków, ale to jeszcze młokosy. Jeśli weźmiemy się do tego odpowiednio, sprawa będzie prosta.

Winter przyznał mu rację.

Zapadły ciemności, gdy zbliżyli się do swego obozu. W milczeniu przesunęli się przez szczelinę i wydostali na polanę przed jaskinią. Wokół panowała cisza. Rudy, tknięty jakimś złym

przecuciem, zatrzymał się. Za nim przystanęli inni. Cisza ta nie wróżyła nic dobrego. Szeptem wydał rozkaz i banda z bronią gotową do strzału zaległa na skraju polany.

Przywódca odkładając karabin poczołgał się w kierunku wejścia do jaskini. Ruchy jego obserwowali z napięciem. Mijały minuty, W końcu ostrożnie, cal za cal, wycofał się.

- W grocie cisza - powiedział szeptem. - Ktoś jednak musi wejść. - Wzrok jego spoczął na Winterze.

Ten bez słowa również odłożył strzelbę, wyciągnął zza pasa pistolet, w drugą rękę ujął nóż - prześliznął się jak wąż ku wejściu i wsunął za skalny załom. Banda wbiła wzrok w miejsce, gdzie zniknął. Minęła krótka chwila, gdy przez jedną ze szczelin skalnych błysnęło słabe światelko i na zewnątrz ukazała się ciemna sylwetka. Wymowny ruch ręki wskazywał, że jaskinia jest bezpieczna.

Rudy jednak nie chciał ryzykować. Zabrał tylko dwu, reszcie polecając pilnowanie okolicznych krzaków i podążył do groty. Winter zapalał już dwie następne pochodnie.

Z bronią gotową do strzału weszli do drugiej jaskini. W tej nie było również nikogo. Czterech ludzi i dziewczyna zniknęli. Towary, broń, żywność - nawet baryłki z rumem w drugiej grocie, leżały nie naruszone.

Herszt usiadł na jakimś kamieniu i zamyślił się.

- Nie podoba mi się to, James. Tom ani tamci nie zdradzili. Wietrzę jakiś szatański podstęp dzikich. Nie możemy tu zostać. Jeśli przygotowują zasadzkę, nikt z groty nie wyjdzie żywy. Musimy wydostać się na zewnątrz. Na górę. Tam nas nie dostaną. Zabierzecie tylko parę rogów z prochem i ze dwa worki kul.

W dziesięć minut później cała banda leżała na wierzchołku skały obserwując leżącą niżej polankę. Tu nie mógł ich nikt zaskoczyć. Kontrolowali całe otoczenie.

Okolo północy zaczął padać drobny deszcz - zrobiło się zimno. Do rana wszyscy szcękali zębami. Z ulgą powitali świt. Deszcz ustał, zza chmur wyrzało blade, przymglone słońce. Okolica widniała jak na dłoni. Ale banda nie ruszała się. Było już zupełnie widno, gdy z lasu po prawej stronie wynurzył się potrząsając rogami piękny jeleń. Byk zbliżył się wolno do pnia uschniętej sosny i tarł o nią rogami. Zwierzę nie wykazywało najmniejszych oznak niepokoju. Było oddalone o około dwieście kroków od zaczajonej bandy.

Winter, który przemarzył nie mniej niż inni, nachylił się do Rudego i szepnął:

- Tu nie ma nikogo. Zwierzęta mają dobry węch.

Herszt chwilę patrzył na pasącego się spokojnie byka i skinął głową.

- Tak to wygląda. Przeszukajcie teren, ale po dwóch. - Z sobą zostawił tylko trzech. Reszta zniknęła w zaroślach po obu stronach skały. Gdy zaczęli się ukazywać ponownie koło południa, sprawa stała się jasna. Otaczający las nie krył najmniejszego śladu pobytu dzikich. Czekali jeszcze tylko na Palmera i Forbesa, którzy poszli na zwiady w kierunku północnym. W końcu ukazali się i

oni.

Palmer, który wydawał się mocno zmęczony, stwierdził lakonicznie:

- Są wszyscy czterej. Naszpikowani strzałami jak jeże.

Rudy poderwał się. Szybko wydał polecenia. Połowa bandy objęła ponownie grotę. Kilku zajęło najlepsze punkty obserwacyjne; z resztą herszt podążył ku rzece.

Rzeczywiście Palmer nie przesadzał: Lang, Ross, Finch i Hill podziurawieni byli jak sito. I widać było, że żaden z nich nie zdążył nawet użyć broni. Skalpy stracili wszyscy czterej. Dokoła było sporo widocznych, mimo deszczu, śladów. W dwu miejscach widniały dosyć wyraźnie odciśnięte ślady mokasynów. Palmer, który dobrze znał Indian, długo i starannie badał te ślady, uważnie obejrzał wyciągnięty kawałek ułamanej wraz z krzemiennym grotem strzały z piersi Hilla, zszedł nad rzekę i dość długo łąził po brzegu. W końcu nachylił się, podniósł kawałek skóry i wdrapał na skarpe, gdzie oczekiwała reszta.

- To Chipewyan. Oni używają takich grotów i to ślady ich mokasynów. - Tu podniósł w górę kawałek skóry. - Skóra jest z ich kanu. Cree robią swoje z kory. Było ich kilkunastu i cztery łodzie. Popłynęli z prądem, na zachód - i w formie wyjaśnienia dodał: - Ta rzeka to dopływ Niewolniczej.

Przez parę chwil panowało milczenie. W końcu Rudy powiedział spokojnie:

- Forbes i Stevens, ukryjcie dobrze ciała, żeby nie rozciągały ich wilki. - Z pozostałą częścią bandy wrócił do jaskini. Nie odzywał się długo. Rozważał sytuację. W końcu wezwał Wintera i Palmera, nalał trzy pełne szklanki rumu i spytał wprost:

- Co o tym myślicie?

Palmer pociągnął spory łyk i mruknął:

- No cóż, dzicy wywabili naszych, sprzątnęli ich, a dziewczynę zabrali.

Winter pokręcił z powątpiewaniem głową.

- Nie sądzę, Palmer. Gdyby wywabili - jak mówisz - to wiedzieli by o naszej kryjówce. Zabraliby stąd sporo rzeczy, głównie broń i rum. O kryjówce nie wiedzieli nic.

Dwaj bandyci spojrzeli na niego niepewnie.

- Jestem pewien, że powodem była dziewczyna. Wykorzystała okazję i uciekła. Nasi puścili się w pogoń. Pewno Tom nie pozwolił strzelać. Uciekała w kierunku rzeki, a tam byli Chipewyan. Oczywiście dziewczynę też dostali. Może bali się, że białych jest tu więcej. Uciekli szybko i chyba uciekają nadal.

Palmer pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Masz łeb, James. Tak to się musiało odbyć.

- A jeśli Chipewyan dowiedzą się o nas od dziewczyny i odstawią ją do fortu? - spytał Rudy.

Obaj jego towarzysze zaprzeczyli, a Palmer wyjaśnił:

- Bez względu na to co im powie dziewczyna, jeśli się w ogóle dogadają, nie uwierzą jej.

Natomiast wiedzą, że zabili czterech białych. Będą się bali kary. A poza tym każda ładna dziewczyna - szczególnie biała - to dla nich rarytas. Mają mało kobiet. Odbierają je okolicznym plemionom, a nawet swoim. Nie oddadzą jej i uciekną daleko. Panna Clay urodzi jakiemuś wodzowi sporą gromadkę Indianiątek. I nikt jej nie znajdzie. Możesz być Billy, spokojny. Tu już nie wrócą.

- A co ty myślisz, James?

- Myślę to samo co on, chociaż nie znam tak dobrze Chipewyan, ale przynajmniej tam, na wschodzie, każdy dziki zachowałby się podobnie. Myślę natomiast nad czym innym.

- No?

- Czy ta jaskinia jest najbezpieczniejszym miejscem? Rudy roześmiał się.

- O to możesz być zupełnie spokojny. Nikt tu nie trafi i nie ma takiej siły, która mogłaby ją zdobyć.,

- Może masz rację, ale jeśli jakaś banda Indian odkryje to miejsce i usadowi się w lesie dookoła, to z jaskini nie wyjdzie żywa noga. I wcale nie będą musieli strzelać. Zdechniemy z głodu. To nie forteca, to pułapka - zakończył stanowczo.

Obydwaj pozostali rozmówcy musieli mu przyznać rację. Gdyby dzicy usadowili się w krzakach wokół niewielkiej polany, nikt nie miał szans wyjść z jaskini z życiem.

Rudy raz jeszcze spojrzął na niego z uznaniem.

- Cholera, nie pomyślałem o tym. Ale i tak możesz być spokojny. Jaskinia ma drugie wyjście. Kiedyś, kiedy znaleźliśmy ją z Tomem, zasypaliśmy to wyjście. Teraz trzeba będzie je odkopać i zostawić zamaskowany jedynie sam wylot. Wychodzi w sąsiednim wąwozie trzysta kroków stąd w stronę rzeki.

Tym razem Palmer z Winterem patrzyli na herszta z uznaniem.

- No, jeżeli tak, to jestem spokojny. - Winter wychylił swoją szklanę do dna. - A co z tą bandą Indian i Jonesem?

Rudy przymrużył z lekka zaczerwienione oczy.

- Widzę, że nie dają ci spokoju, co?

- Nie. Kiedy mogą być u niego?

- Za dwa dni.,

- Wyślesz kogoś?

- Już wysłałem Petera - powiedział. - Poczekamy. Rozmowa umilkła. Bandyty pograżyli się w myślach. Następne dni nie przyniosły nic nowego. Poza tym, że z obozu zniknął również Stevens, ale Winter wiedział, że został wysłany do Ruttera z wiadomością o ucieczce córki Claya i śmierci tych czterech.

Pod koniec tygodnia wrócił Peter. Był porządnie zmachany. Twarz nie wróżyła nic dobrego.

W rozmowie, w której znów uczestniczył Winter i Palmer, bandyta poinformował Rudego, że

Indianie przybyli do faktorii Jonesa, ale nie zostawili tam futer. Wraz z nim i jego dwoma synami cała banda odpłynęła do fortu. Po ich odejściu Peter zajrzał do magazynu. Jones zabrał resztki towarów, jakie posiadał. Widocznie nie starczyło na wymianę.

Rudy tego wieczoru wlał w siebie chyba całą baryłkę rumu. Był wściekły, tak że wszyscy schodzili mu z drogi.

Przed świtem kilku wyruszyło na polowanie. Zaczynało brakować mięsa. Gdy przed Wieczorem wrócili do obozu, okazało się, że jest także Stevens, a wraz z nim dwu wysokich, silnie zbudowanych Indian. Musieli pochodzić nie z tych okolic. Posługiwali się tylko mową rąk. Tłumaczył Stevens.

Z rozmowy wynikało, że należą do tego samego plemienia co zwiadowca bandy, który zginął około dwu miesięcy temu. Byli jego krewnymi. Od Birda dowiedzieli się, że ich brat został zabity. Wyruszyli w drogę, by go pomścić i walczyć wraz z białymi przeciwko wspólnym wrogom.

Śledząc ich wymowne, obrazowe ruchy Winter myślał i o pierwszym spotkaniu z Rudym - kiedy omal nie został rozszarpany przez niedźwiedzia, i o innym wydarzeniu, w faktorii Jonesa, kiedy zginął trafiony jego kulą Indianin. Zastanawiał się nad tym, co by się stało, gdyby o tym wiedział Rudy i reszta. Nie, oczywiście, nie musieli wiedzieć. To były przypadki, jakich nie można było uniknąć. Zresztą, nie niepokoiły jego sumienia.

Przed oczyma zamajaczył mu obraz białej dziewczyny. Jej jasne, nieco skośne, duże, szeroko rozstawione oczy, długie warkocze puszystych włosów o kolorze złocistych nasion kukurydzy i lekko wystające kości policzkowe, tkwiły mu gdzieś głęboko pod czaszką. Co robiła teraz? Mocniej zacisnął szczęki i znów zaczął śledzić toczącą się rozmowę.

- Tak, dzicy widzieli drugi transport podążający na południe. Był bardzo długi i było w nim wielu zniechęconych Cree. Zostawili go w spokoju. Tu też jest dużo Cree. Zabiją wszystkich i zabiorą im skalpy.

Rudy, który z przyjemnością patrzył na dzikich, zwrócił się do Wintera:

- Jak ci się podobają?

- Można na nich polegać w walce. W zwiadach będą mało przydatni, nie znają miejscowego języka.

Stevens, który usłyszał uwagę Wintera, zwrócił się do obu przybyłych:

- Nasi bracia są na pewno bardzo dzielni, ale skalpów nie zdobędą i wiele. Nie znają języka swych wrogów. Nie będą ich mogli podsłuchiwać.

Starszy z Indian wzruszył pogardliwie ramionami.

- Czarny Lis i jego syn Młody Orzeł znają język, którym posługują się te ropuchy Cree i mogą ich podsłuchać, kiedy zechcą. Czy wśród wojowników wielkiego białego wodza - tu wskazał na Rudego - jest ktoś, kto zna ten żabi język?

Stevens wskazał na Wintera, który do tej pory pozostawał w i cieniu; teraz stanął w blasku ogniska.

- Biały cieszy się, że jego waleczni bracia z plemienia Czarnych Stóp porażą swymi toporami naszych wspólnych wrogów. Cieszy się również z tego, że zawsze, kiedykolwiek zechcą, będą mogli poznać i ich tajemnice i powiedzieć nam o nich, nie tylko gestami rąk, ale j także użyją języka, byśmy mogli ich dobrze zrozumieć. Wódz bladych twarzy też rozumie ten język. Toteż Czarny Lis i Młody Orzeł nie muszą korzystać z tłumacza.

Obydwaj Indianie zwrócili się wprost do dowódcy białych w języku Cree, z gardłowym akcentem właściwym ludom z pogranicza Kanady i Stanów Zjednoczonych. Winter wycofał się poza zasięg blasku ognia.

Indianie zajęli przy ogniu miejsca wskazane przez dowódcę bandy, a Stevens wyciągnął Wintera na zewnątrz.

- Niech sobie pogadają sami.

Rozmowa musiała być rzeczywiście owocna, skoro po jej zakończeniu obaj Czarnostopi wyszli z jaskini na lekko uginających się nogach, za to każdy z nich trzymał w ręku nowiutki karabin; przez ramię przewieszono mieli bizonie rogi z prochem. Błyszczały zatknięte za pas noże. Obydwaj nieśli w rękach również nowe, ciepłe łosiowe bluzy i wełniane koce.

Winter patrzył na nich spod zmrużonych powiek. Rudy nie był zbyt skory do rozdawania prezentów. Przyniesione więc przez Indian wieści musiały być bardzo pomyślne. Ciekawe.

Z krótkiej zadumy wyrwał go głos Stevensa.

- Nasz szef, tam w faktorii, nie zmartwił się specjalnie ani zniknięciem dziewczyny, ani osłabieniem bandy. Obiecał, że w przeciągu kilku dni wzmocni oddział.

- Wzmocni? - Winter wydawał się zaskoczony. - Czyżby przyszedł jakiś nowy transport lub Rutter zwerbował większą bandę Indian?

Stevens roześmiał się.

- Tak, paru Indian również, ale przyśle też kilku, a może kilkunastu białych.

- Nie żartuj!

- Nie żartuję. Sam się przekonasz - dodał z kpiącym wyrazem twarzy.

- Nie puścisz pary?

- Nie. To będzie niespodzianka. Ale chodź, bo tamci zeżrą wszystko.

Istotnie, wokół ogniska gromadziło się coraz więcej osób i znad płomieni zniknęły szybko duże kawały mięsa. Podeszli niemal równocześnie z obydwojma Indianami.

Winter uprzejmie ustąpił miejsca Czarnemu Lisowi.

Indianin spojrział na białego i odkroił sobie niezbyt duży płat dobrze przyrumienionej jeleniej pieczeni. Jego syn, Młody Orzeł, również starannie wybrał swój kawałek. Zabrawszy mięso odeszli na

stronę i usiedli pod grubym pniem cedru na skraju polany.

Winter obserwował ich z zaciekawieniem. Mimo obcego dla nich otoczenia zachowywali się naturalnie i swobodnie. Widać było, że nie odczuwają żadnego skrępowania. Jedli powoli, nie spiesząc się, przeżuując dokładnie każdy kęs. Po spożyciu mięsa zeszli o kilka kroków niżej do tryskającego z ziemi źródła, napełnili wodą skórzane kubki i wrócili pod drzewo. Pili małymi łykami. Potem rozwinęli koce i ułożyli się do snu.

Z grotu wyszedł Rudy, odkroił sobie parofuntowy kawał na wpół upieczonego mięsa i usiadł obok Stevensa. Mocnymi żółtymi zębami jak wilk odrywał kawały i, nieomal nie rozgryzając, połykał. Gęsty tłuszcz ściekał mu po brodzie. W pewnej chwili, w przerwie między jednym kęsem a drugim, zwrócił się do Wintera:

- Bobrowa Skóra wziął na serio twoje rady. Uważa, że trzeba skończyć z konkurencją. Był wściekły, że nie udało nam się przejąć tego ostatniego ładunku futer, które trafiły do Claya, ale Stevens wytłumaczył mi, dlaczego tak się stało. Zresztą to nie ma znaczenia. I te Clay też odda.

- A jeśli mimo wszystko dowie się jakoś o dziewczynie? Rudy roześmiał się hałaśliwie.

- Teraz już się nie dowie, a jeśli - tu wykonał znaczący gest po szyi - to już nie będzie takie ważne. Mówił ci chyba Stevens - dostajemy posiłki.

- Właśnie, co to za posiłki?

- Zobaczysz. W sumie ze trzydziestu chłopów. To wystarczy, żeby załatwić, tak jak chciałeś, całą konkurencję.

- No, a garnizon? Wprawdzie nie ma ich tam wielu, ale zawsze. Porucznik może nam trochę przeszkadzać.

Rudy roześmiał się ponownie.

- Nie musisz się tym martwić. Nasz czcigodny kupiec, pan Rutter, też ma głowę na karku. Pomyślał o wszystkim. Zresztą, za parę dni sam się przekonasz No, chłopcy. Trochę szumi mi we łbie. Idę spać. Wam radzę również. - Z lekka chwiejnym krokiem udał się do jaskini. W miarę wygasania ogniska pozostali mężczyźni również udawali się na spoczynek.

Winter przysunął nogi bliżej żaru i również owinął się kocem.

W ciągu następnych kilku dni prawie wszyscy, zgodnie z poleceniem Ruttera, co ranka udawali się na polowanie. Wobec zapowiedzianego zwiększenia wielkości bandy, trzeba było zgromadzić odpowiednie zapasy żywności.

Polowali również obydwaj Indianie i wszyscy musieli przyznać, że zdobycz ich każdego dnia przewyższała połowy innych. Raz, przez parę godzin bez przerwy znosili płyty poćwiartowanego niedźwiedzia, który musiał ważyć nie mniej niż z siedemset funtów.

Wszyscy oglądali skórę. Niedźwiedź został zabity dwoma kulami. Obie tkwiły w sercu. Syn i ojciec zachowywali się na pozór obojętnie, ale znać było, że zadowoleni są ze swej zdobyczy.

Zaspokajała ich męską ambicję. Musieli do niedźwiedzia strzelać obydwaj, i to z niezbyt dużej odległości. Inaczej miękki ołów nie wszedłby tak głęboko w potężne cielsko.

Po przyniesieniu zdobyczy zabrali się zaraz za oczyszczanie skóry. Zwykle w obozach Indian pracę tę wykonywały kobiety. Tu kobiet nie było. Musieli zrobić to sami. Potem skórę natarli jakimś tłuszczem i wątroba, i powiesili w cieniu ogromnego cedru.

Winter prawie nie zwracał na nich uwagi. Gdy okazało się, że znają narzecze Cree, sporo czasu poświęcał im Rudy. Inni przywykli do nich bardzo szybko. Indianie po powrocie z polowania czasami pozostawali w obozie, czasami znikali na wiele godzin. Po powrocie najczęściej Czarny Lis parę minut rozmawiał z Rudym. Młody Orzeł rzadko kiedy brał udział w tych rozmowach.

Pod koniec tygodnia zniknął Stevens. Gdy pojawił się w dwa dni potem, wiódł z sobą trzydziestu jeden mężczyzn. Dziewięciu białych i dwudziestu dwu Indian.

Winter siedział akurat pod skałą, gdy jeden za drugim przeciskali się skalistym korytarzem i wysuwali na polankę.

Białych poznał od razu. Nie zdziwił się. Właściwie wiedział o tym od dawna. A Indianie? Przyglądał się im uważnie. Tak, tutaj też nie miał wątpliwości.

Przed jaskinią wyszedł Rudy i zaprosił przybyłych, by zajęli miejsca wokół ogniska.

Sam nie siadał. Stał wyprostowany. Na siedzących patrzył z wyraźnym zadowoleniem. W końcu przemówił. Obok niego stał Stevens i przekładał słowa na mowę znaków:

- Cieszę się, że moi czerwoni bracia przybyli tu na wezwanie wielkiego białego kupca, którego słowa zaniósł im specjalny wysłannik. Wielki Duch, który ich miłuje, pozwolił ujrzeć im światło prawdy i cień kłamstwa. Moi czerwoni bracia mają za sobą wiele zim tłustych i wiele zim chudych. Tłuste były wtedy, gdy od białych kupców otrzymywali dużo prochu i kul, dużo strzelb i noży, od których padały największe zwierzęta: niedźwiedź, bizon, łoś i jeleni. Zimy chude nadeszły wtedy, gdy w kraju moich braci pojawili się źli kupcy, którzy za wiązkę futer nie chcieli płacić dużo. Byli to kupcy chciwi, którzy nie lubili moich braci, pogardzali nimi i oszukiwali ich przy wymianie. Zamiast dwu strzelb, dawali jedną. Zamiast dobrego prochu – zły, zamiast twardego noża - nóż miękki, który szybko się tępił. Kupcy wtedy stawali się coraz bogatsi, a moi czerwoni bracia coraz biedniejsi. I tutaj nad wielką wodę przybyli źli kupcy, którzy oszukują wszystkich Indian. Mój wódz nakazał, by tych wszystkich złych i chciwych białych wypędzić znad wielkiej wody. Ale można ich wypędzić tylko wtedy, jeśli odbierze im się wszystkie towary, jakie płyną do nich po wielkiej rzece. Kupiec, którego moi bracia nazywają Bobrową Skórą, kazał mi, aby żaden transport towarów nie przyszedł więcej nad wielką wodę do faktorii białych twarzy, a moi bracia pomogą mi w tym. Za ich pomoc Bobrowa Skóra podaruje moim braciom dużo strzelb, prochu i kul, noże i groty do strzał, koce i kołdry, i wiele innych rzeczy dla ich kobiet, i dużo wody ognistej. Czy moi czerwoni bracia, którzy przybyli tu z dalekiego kraju zgadzają się spełnić życzenie wielkiego kupca znad Athabaski?

Z kręgu dzikich wystąpił krępy, barczysty wojownik, ze śladami licznych blizn na całym ciele, powiódł dokoła dumnym wzrokiem i powiedział:

- Pięć Niedźwiedzi - wódz wojowników Sarsi - zrozumiał wszystkie słowa Czerwonej Brody i słowa posłańca, którego przysłał Bobrowa Skóra. Czerwona Broda powiedział, że biali kupcy są źli i dobrzy. Sarsi do tej pory prawie zawsze spotykali złych. Walczyli z nimi i nie wpuszczali ich na swoje łowieckie tereny, ale kupcy często omijali tereny plemienia i płynęli na północ, a ponieważ mieli wiele strzelb i Sarsi nie mogli z nimi walczyć przy pomocy łuków, musieli kupców przepuszczać. Jeśli dostaną broń, dużo broni, nie przepuszczą żadnego transportu do wielkiej wody. Jeśli dasz broń moim wojownikom, pójdą walczyć przeciwko wszystkim złym kupcom. Ty będziesz rozkazywał. Skończyłem. Rudy skinął głową.

- Niech moi czerwoni bracia wejdą do tej jaskini i wezmą to, co im potrzeba.

Pięć Niedźwiedzi i jego dwudziestu wojowników znikali pojedynczo za skalnym załomem. Gdy ukazali się ponownie, każdy trzymał broń. Wyglądali groźnie. Zajęli poprzednio opuszczone miejsca i wódz ponownie zabrał głos:

- Dotrzymałeś słowa i wojownicy Sarsi wzięli to, co im jest potrzebne do walki. Gdy pokonają wrogów, dasz jeszcze pięć razy tyle strzelb, pięć razy po dziesięć baryłek prochu i tyle samo worków kul oraz inne rzeczy, które wybiorą Sarsi, i przedmioty te wypełnią pięć czteroosobowych kanu. Czy zgadzasz się? Rudy wahał się przez chwilę, w końcu powiedział:

- Pięć Niedźwiedzi żąda wiele za swą przysługę, ale zgadzam się.

- Niech więc dym fajki zatwierdzi naszą umowę. Ty wypalisz w imieniu wszystkich białych, ja w imieniu wszystkich Sarsi.

Winter słuchając uważnie jasnej przemowy Rudego i krótkiej odpowiedzi Indianina śmiał się w duchu. Dowódcy białych wydawało się, że osiągnął to, co zamierzał, ale Pięć Niedźwiedzi osiągnął znacznie więcej. Aż dziwne było, że nikt nie zauważył w jego wystąpieniu wprawdzie drobnego, ale ważnego szczegółu, a właściwie braku, braku jednego maleńkiego słowa i drobnego przedmiotu. I nie była to wina tłumacza. Stevens był najlepszym tłumaczem, jakiego kiedykolwiek widział.

Spokojnie odczekał, aż obaj dowódcy dokonają obrzędu palenia fajki, lecz nie patrzył na nich. Niepostrzeżenie obserwował zachowanie się Czarnego Lisa i Młodego Orła, ale na ich kamiennych, niewzruszonych twarzach nie dostrzegł nawet śladu jakichkolwiek uczuć. I znów coś na kształt podziwu przemknęło przez jego myśli.

Tak, właściwie dopiero teraz poznawał Indian. Jeszcze kilka lat temu patrzył i widział ich trochę inaczej. Ostatnie miesiące zmieniły nieco jego poglądy. Ceremonia palenia fajki dobiegła końca. Rudy dał znak rozpoczęcia uczty.

Następne dni upłynęły pod znakiem gorączkowej krzątaniny. Rudy lub Czerwona Broda, jak nazywali go dzicy, po parę godzin spędzał z wodzem Indian i kilkoma białymi, wśród których

znajdował się i Winter,' na omawianiu różnych wariantów planu, trzeba przyznać, śmiałego.

Chodziło o transport towarów, prowadzony dla kupców znad Athabaski przez znanego, wytrawnego przewodnika, Henry'ego Prescottta. W Fortcie Chipewyan mówiło się o tym transporcie od dłuższego czasu. Pierwszą wiadomość w tej sprawie, drogą urzędową, w niedługi czas po przybyciu Wintera do fortu, otrzymał porucznik Brent. W kilka dni później wiedzieli wszyscy. Brent miał długi język i wśród Indian Cree, i Chipewyan nosił nawet taki przydomek, o czym, sądząc po jego bystrości, mógł nawet nie wiedzieć.

To, czego w zawiadomieniu, które pokazał po kolei wszystkim kupcom, nie było, to przeznaczenia transportu.

Z informacji porucznika wynikało tylko, że ładunek towarów jest duży. Miał nadejść jesienią. Było możliwe, że jakaś konkurencyjna grupa kupców z Montrealu lub Quebecu uzyskała licencję, na handel z Indianami w tym rejonie, a może transport przeznaczony był dla kogoś tu, na miejscu. Po trosze podejrzewali się więc nawzajem wszyscy.

Jedynie Rutter, a w tej chwili i Rudy, przekonani wywodami Wintera nie musieli się zastanawiać. Wiedzieli, że dostawę trzeba przechwycić, i to w miarę daleko od Fortu Chipewyan, tak by nawet cień podejrzenia nie padł na nikogo z tego rejonu. Brent i tak przecież w swych raportach musiał sporo napisać do władz o tym, co działo się wokół jeziora Athabaska. Jeśli sprawy tu nie ucichną, mogą powstać spore kłopoty.

Zgromadzeni w jaskini mężczyźni nie mieli żadnych wątpliwości, że napad trzeba zorganizować dość daleko od fortu, najlepiej - jak dowodził Rudy i Palmer - gdzieś na południowych krańcach obszaru zamieszkałego przez Bobry. Podejrzenia można było wtedy skierować na nich, ale Pięć Niedźwiedzi nie podzielał tego poglądu. Uważał, że napad powinien odbyć się jeszcze dalej na południe, na północnych granicach plemienia Czarnostopych. Można było wtedy rzucić podejrzenia na nich lub na Plains Cree, a jak twierdził, teren w tamtym regionie doskonale nadawał się do urzędzenia zasadzki. Wprawdzie lasów było niewiele, za to wielomilowe bystrza, działy wodne, przez które należało przenosić ładunek i łodzie, liczne przełomy i wodospady górskich odcinków rzek, doskonale nadawały się do urzędzenia zasadzki. Znał ten teren, polował tam wielokrotnie, znał każdą przeszkodę, parów, przewężenie rzeki, każde jezioro. Mówił barwnie, przekonująco. Na twardo ubitej ziemi, w jaskini, ostrzem noża pokazywał bieg strumieni, przeszkody, ukształtowanie terenu. Przekonał wszystkich. Poparli go Stevens i Palmer. Winter uważał również plan za dobry.

Trasa transportu była znana. Opisano ją dokładnie w dokumencie skierowanym do porucznika Brenta. Rudy nie zwlekał więc z podjęciem decyzji. W ciągu jednego dnia zatarto starannie ślady pobytu bandy, zakryto wejście do jaskini, tak że najbardziej bystre oko indiańskiego zwiadowcy nie mogłoby dostrzec, że poza stosem naturalnego usypiska głazów może kryć się cokolwiek. Zamaskowano skalisty korytarz i banda, niosąc na swych barkach kilkanaście kanu, ruszyła przez

płaskowyż ku rzece.

ROZDZIAŁ VII

Łódź, w której uwożono białą dziewczynę, posuwała się tymczasem mozolnie pod przybierający na sile prąd wody. Wiosłujący z tyłu Indianin zauważył widocznie łyzy i być może pomyślał, że cisną ją więzy, bo nachylił się nad nią i w narzeczu, które rozumiała, powiedział:

- Jeśli dziewczyna przyrzeknie, że nie będzie uciekać, uwolnię jej ręce i nogi, żeby mogła usiąść.

Przełknęła łyzy i kiwnęła głową. Wiedziała przecież, że nie ma szans ucieczki. Dorośli mężczyźni dogoniliby ją w parę sekund. A poza tym, gdyby nawet chciała uciec, nie wiedziała dokąd. Za nic w świecie nie wróciłyby do bandy. Tam czekała ją pewna śmierć. Sama zaś wśród dzikiej puszczy nie przeżyłaby nawet kilku dni. Stłumiwszy lęk odpowiedziała wyraźnie:

- Biała dziewczyna nie będzie uciekać.

Na parę chwil kanu przybiło do brzegu. Indianin zdjął krępujące ją więzy. Nie zwlekając jednak ruszyli w dalszą drogę.

Usiadła i zaczęła rozcierać zdrętwiałe nadgarstki i nogi wokół kostek.

Kanu było obszerne, obszyte korą brzoźową, i mimo ciężaru pięciu osób zdawało się ślizgać po powierzchni wody. Wiosłowało czterech Indian. Widziała tych dwu z przodu, ich pochylone nieco nagie plecy, silne muskularne ramiona, nogi obciążone wysoko do bioder sięgającymi legginiami. Na barki i plecy spływały im czarne pasma prostych, długich włosów posmarowanych tłuszczem.

Kilkadziesiąt jardów przed nimi sunęło drugie czółno, również z czteroosobową załogą. Z tyłu ślizgało się po wodzie trzecie. W tych warunkach sama myśl o ucieczce byłaby czystym szaleństwem.

Indianie w łodzi, w której się znajdowała, nie rozmawiali. Zastanawiała się, który z nich jest przywódcą. Udając zmianę pozycji, przez dłuższą chwilę obserwowała czółno podążające z tyłu, następnie zwróciła wzrok na znajdujące się w płodzie. U żadnego z wiosłarzy nie dostrzegła orlego pióra we włosach. Nie świadczyło to jeszcze co prawda o niczym, ale mogło oznaczać również, że wydający przed grotą rozkazy mógł pozostać tam, na miejscu. Ci tutaj mogli być tylko zwykłymi wojownikami.

Teren wznosił się - rzeka pięła się w górę coraz bardziej. Kanu wyraźnie zwalniały.

Było późne popołudnie, gdy wiosłarze wyciągnęli je na brzeg i wzięli na ramiona. Jej kazali iść w środku. Okolica była dzika, teren skalisty; nagie kamienie przeświecały spod cienkiej warstwy ziemi.

Gdy słońce chowało się za dalekimi pagórkami, oddział prowadzący dziewczynę zszedł na dno jakiegoś parowu i brodząc po kostki w wodzie płytkiego, wąskiego strumienia przeszedł z jego

biegiem jeszcze około pół mili. W końcu zatrzymał się nad inną rzeką, płynącą również na wschód.

W niewielkim zagłębieniu, pod osłoną kilku luźno rozrzuconych głazów, płonęło ognisko. Krzątali się przy nim dwaj młodzi Indianie. Nad ogniskiem wisiał kociołek, z którego rozchodziła się ostra woń jakiejś potrawy.

Cynthia osunęła się na ziemię. Marsz na bosaka po kamienistym gruncie, głód i doznane wzruszenia wyczerpały jej siły. Poranione stopy krwawiły; czuła piekący ból poobijanych palców. Modliła się w duchu, by pozbawiono ją tu życia.

Tymczasem oddział, który ją przyprowadził, wymienił z oczekującymi kilka przyciszonych zdań. Ten, który poprzednio uwolnił dziewczynę z więzów, podszedł do niej i tym razem, i wskazując kociołek powiedział:

- Jedz - i nie czekając na odpowiedź wrócił do swych towarzyszy.-

W pierwszym odruchu buntu oraz pod wpływem pragnienia śmierci postanowiła nie tknąć strawy. Wystarczyła jednak chwila refleksji, by się opanowała. Przed oczyma zamajaczyła twarz matki, zatroskane spojrzenie ojca i... powlokła się do ogniska.

Obok kociołka, stojącego już na murawie, dostrzegła prymitywny talerz z kory brzoźowej i wyciętą z kości łyżkę. W kociołku parowała jakaś gęsta papka, w której wisiały kawałki mięsa. Nałożyła sobie trochę i usiadła z boku.

Indianie chyba czekali na to, bo szybko wzięli kociołek i postawili obok siebie.

W pół godziny później lekkie kanu pograżyły się w zapadającej ciemności. Wojownicy widocznie postanowili oddalić się znacznie z miejsca napadu. Łodzie sunęły szybko z prądem wody. Dziewczynę stopniowo ogarnęła senność.

Gdy ocknęła się, łodzie płynęły w dalszym ciągu. Ręce wioślarzy unosiły się rytmicznie, równomiernie. Musiała im w duchu przyznać żelazną odporność.

W ciągu kilku dni tej pośpiesznie odbywanej podróży kanu przenoszono czterokrotnie do coraz innego potoku. Dwa razy wioślarze musieli płynąć pod prąd. Kilkakrotnie przenoszono łodzie wokół różnych progów i bystrzyn rzecznych, raz wokół wodospadu kilku - stopowej wysokości.

Stopniowo oswajała się ze swymi milczącymi towarzyszami. W jakimś momencie uświadomiła sobie, że nie odczuwa wobec nich lęku. I musiała przyznać, że jak do tej pory, nie dostarczyli jej powodu do tego, by musiała ich się bać. Zostawili jej nawet pewną swobodę ruchów. Nie śledzili, gdy w miejscach nielicznych krótkich postojów oddalała się od ogniska.

W swoisty sposób była im wdzięczna za coś na kształt dyskrecji i powściągliwości, którą czuła cały czas. Byli widocznie pewni, że nie będzie próbowała uciekać.

Teren zaczął się stopniowo obniżać; puszcza stawała się coraz gęściejsza i bardziej wilgotna. Coraz częściej to z jednej, to z drugiej strony spotykali rozległe bagna i grzęzawiska, szeroko rozlane płytkie jeziora. Wokół roilo się od dzikiego ptactwa. Parokrotnie z podziwem patrzyła na umiejętności

strzeleckie tych, co ją wieźli.

Wreszcie, któregoś dnia, około południa, przed oczyma płynących wynurzyła się długa, ciągnąca się kilka mil, zielona soczysta dolina. Na samym jej skraju widniały w słońcu spiczaste, stożkowate wigwamy. Było ich wiele.

Oddział wiozący dziewczynę powitano okrzykami radości. Na brzeg potoku wyległ chyba cały obóz: dzieci, kobiety, mężczyźni. Wszyscy z ciekawością patrzyli na brankę. Nikt tu jeszcze nigdy nie widział białej dziewczyny. Dotykano jej rąk, piersi, twarzy - najwięcej zdumienia budziły włosy, jasne, długie, splecione w dwa grube warkocze. Wśród tłumu, który ją otaczał i cisnął się ze wszystkich stron, stała jak ogłuszona.

W końcu jakiś stary wojownik przecisnął się ku niej i krzyknął ostro. Głosy umilkły; krąg rozluźnił się, do dziewczyny podeszła stara Indianka i kościstą dłonią ujęła ją za rękę.

- Chodź!

Poszła posłusznie sama nie wiedząc dlaczego. Starucha wprowadziła ją do sporego, stojącego na skraju obozu, szałas, posadziła na wiązce skór i długo, uporczywie wpatrywała się w białą dziewczynę. Wreszcie stwierdziła:

- Tu będziesz mieszkać, razem ze starą Peenay. Jesteś głodna?

- Nie!

- Nie myłaś się długo - powiedziała z przekonaniem. - Dziewczyna jedna, kilku mężczyzn - wstydzi się. Pójdiesz się umyć. Peenay pójdzie z tobą, tam gdzie nie przychodzą mężczyźni.

Zakrzętnęła się szybko. Z jakiegoś kąta wyciągnęła, nie wiadomo skąd znajdujący się tu, kawałek mydła, zabrała jakieś zawiniątko i skinęła na dziewczynę.

Prowadząc ją wąską ścieżką leśną mówiła:

- Nie próbuj uciekać. Sama dziewczyna nie ucieknie. Wojownicy wytropią i dogonią, a jak nie dogonią, to pożre ją Assinbo i Mawhingan i Mackquah⁴. Nie będziesz uciekała - Peenay będzie dobra i nie przywiąże cię za nogę do drzewa przed wigwamem.

W trakcie tej przemowy doszły do szeroko w tym miejscu rozlanego, ale płytkiego, o piaszczystym dnie, potoku.

- Tu się możesz myć. Peenay będzie pilnować, by nie przyszedł jakiś mężczyzna i nie podglądał białej dziewczyny.

Cynthia nie zastanawiała się ani przez chwilę. Dobre pół godziny szorowała całą skórę, zmywając wielotygodniowy bród osiadły na ciele. Gdy wychodziła z wody, stara podała jej kompletny indiański ubiór. Strój dziewczyny wrzuciła do głębokiej nadrzecznej jamy i zasypała ziemią. Był zresztą zupełnie zniszczony.

Gdy wróciły, nagrzała duży kocioł wody, nasypała do niego jakichś ziół, traw i liści, a kiedy woda stała się czarna, kazała dziewczynie moczyć w nim włosy, twarz, szyję i ręce. Po ukończeniu tej

operacji przyniosła kawałek odtłuczonego lusterka i powiedziała:

- Zobacz. Teraz jesteś indiańska dziewczyna. Nikt nie pozna.

Cynthia spojrzała w lusterko i wzdrygnęła się. Zamiast puszystych, jasnych, miała teraz na głowie proste czarne włosy. Skóra na twarzy, szyi i rękach nabrała jasnobrazowego zabarwienia. Była Indianką.

Z nienawiścią spojrzała na staruchę:

- Dlaczego zmieniłaś mnie w czerwonoskórą dziewczynę?

- Peenay zrobiła tak jak kazali, wódz i czarownik. Teraz nikt nie pozna. Ty indiańska dziewczyna. Nie biała - dodała z przekonaniem.

- A dlaczego wódz kazał, żebyś zmieniła moje włosy i skórę?

- Peenay nie wie tego - tak kazali. Przyjdzie czas, dowiesz się. Dziewczyna nie zamierzała drażnić staruchy.

- Słuchaj, Peenay. Czy wódz lub czarownik są w obozie i czy biała dziewczyna może z nimi mówić?

- Ty już nie biała. Ty Indianka. Wodza i szamana nie ma. Jak wrócą, wódz pewno z tobą porozmawia, jego wigwam pusty. U wodza nie ma kobiety. W wigwamie wodza musi być dziewczyna. Ty jesteś młoda i silna. Będziesz pilnowała jego ogniska.

- To dlatego kazał mnie porwać?

- Wódz mądry, wielki wojownik. Jego szałas pusty. Wie, co robi - powtórzyła stara z przekonaniem.

- Kiedy wódz wróci? - spytała dziewczyna z drżeniem w głosie.

- Nie wiadomo. Może prędko, a może nie. Nie musisz się martwić. Wróci, będzie się spieszył - pocieszała.

Cynthia czuła, że coś ścisną ją za gardło. Została więc porwana dlatego, że wigwam wodza stał pusty, że brak w nim było kobiety. Znała Indian. Wiedziała, co to znaczy. Wódz, tu na północy, nie mógł być wodzem, jeśli nie miał kobiety. Do jego obowiązków, tak jak do obowiązków innych mężczyzn, należała walka i łowy. Kobieta była mu potrzebna do gotowania stawy, wyprawiania skór, szycia odzieży, przenoszenia wszystkiego z jednego do drugiego miejsca obozowego. Każdy dorosły mężczyzna musiał mieć kobietę - bardzo często niejedną. Przyszłość jej nie wyglądała różowo.

Z opowiadań rodziców znała wiele przypadków porwań białych kobiet przez indiańskich wojowników, szczególnie z okresu wielkiej wojny między Anglikami i Francuzami. Z wielkiej ilości uprowadzonych wtedy dziewcząt wiele wprawdzie wróciło na łono swych rodzin, ale po bardzo wielu zagał ślad. Czasem tylko jakieś szczątkowe opowieści o ich losie, przynieszone najczęściej przez kupców, docierały do najbliższych. I nie były to opowieści radosne. Takie były czasy. Wzajemna wrogość i nienawiść między białymi a czerwonoskórymi przejawiały się w różnej postaci. Biali,

szczególnie francuscy gońcy leśni, często zakładali rodziny w indiańskich wioskach - brali indiańskie dziewczęta za żony, ale nie zawsze wyglądało to w ten sposób. Słyszała o wypadkach, kiedy dziewczęta te porywano i sprzedawano w niewolę; nierzadko dopuszczano się czynów haniebnych. Nie mogła się więc dziwić postępowaniu Indian.

Przed oczyma jej przesunęły się sylwetki członków bandy. Ilu ludzi, ilu Indian mieli na sumieniu? Wiedziała, że nie oszczędzali nikogo. Wzdrygnęła się na wspomnienie krwawej sceny, jaka nastąpiła w chwili napadu na transport Lane'a. Wiedziała, że sceny tej nie zapomni nigdy w życiu. Pamiętała ją w najdrobniejszych szczegółach. Słyszała jeszcze tę straszliwą salwę do śpiącej załogi. Widziała ciała skręcone w skurczu agonii, bezlitosne ciosy toporów i noży. Przed oczyma jej zamajaczyła skrwawiona postać przewodnika, który broniąc namiotu, w którym spoczywała, został podziurawiony kulami jak sito. Dobili go tomahawkami. I nie byli to Indianie. To byli biali. Cała banda Rudego składała się z białych. Był w niej tylko jeden Indianin. Od pewnego czasu przestała go widywać. Pewno został gdzieś na krwawym szlaku.

W ciągu paru tygodni, jakie spędziła tam, w tej prawdziwej jaskini zbójców, nieraz widziała, jak zwożono bele futer czy znaczne ilości towarów. Wiedziała, że rabowano Indian, wracających z faktorii z zakupami. Banda nie kryła się przed nią - bezbronną dziewczyną. Słyszała ich pijackie rozmowy o popełnianych zbrodniach, szaleńczych, krwawych wyczynach.

Ostatni, który dołączył do bandy - Winter. Wyglądał prawie tak jak tamci, ale przecież to on sam opowiadał o swym haniebnym procederze gdzieś na wschodzie. Nazwał to gładko - handel skalpami, czy jakoś tak podobnie. Przecież wiedziała, że skalpy sprzedawali tylko ci, którzy je zdobyli. Zwykły, bezlitosny morderca. I na nią patrzył też, tak jakby szacował jej skalp.

Odruchowo dotknęła swych włosów, które zdążyły już wyschnąć w ciepłe ogniska. Były teraz czarne, jak włosy Indian. Z przyzwyczajenia splotła je jak zwykle w dwa warkocze. Nie, nie wolno się było poddawać rozpacz. Może starucha nie wiedziała wszystkiego? Może Indianie nie porwali jej, by uczynić żoną jakiegoś wojownika. Może chodziło tylko o okup. Nie wiedziała przecież, jaki był wódz. Nie znała go. Ale wiedziała, że ojciec zapłaciłby każdą cenę, byle odzyskać swoje dziecko. Istniał jakiś cień nadziei. Mogła obiecać wodzowi tyle różnych towarów i broni, i koców, kołder, sukna, tytoniu i innych przedmiotów, za które ten będzie mógł kupić nie jedną, a kilka żon. Ojciec dotrzyma danego przez nią słowa. Może Indianin da się przekonać. W wiosce, która wyległa na brzeg w chwili jej przybycia, widziała wiele dziewcząt i kobiet. Istniał więc cień szansy.

Popadła w głęboką zadumę. Do rzeczywistości przywołał ją głos starej.

- Niech biała dziewczyna nie myśli. Niedobrze jak młode dziewczyny myślą za dużo. Robią się chude i brzydkie. Żaden wojownik nie weźmie takiej. Wypędzi do rodziców lub zostawi w puszczy.

Cynthia drgnęła. A więc tu krył się dodatkowy cień szansy. Jeśli będzie chuda i brzydka,

Indianin sprzeda ją chętnie. Błyskawica radości przemknęła w jej skołatanej głowie. Tak, to był najlepszy sposób. Postanowiła solennie wykorzystać go, ale tak, by nie budzić podejrzeń. Postanowiła się głodzić. Jeść tylko tyle, by nie umrzeć, ale mocno schudnąć. Wiedziała, że wtedy zmieni się i na twarzy. Będzie brzydka.

Starucha obserwująca ją w milczeniu dodała surowo:

- Tylko nie myśl o ucieczce, bo Peenay zwiąże, tak jak przyrzekła.
- Nie, Peenay, nie obawiaj się. Nie ucieknę. Będę czekała na powrót wodza.

Na pomarszczoną twarz Indianki wypłynęło coś na kształt uśmiechu.

Od tego momentu życie potoczyło się na pozór spokojnie. Dziewczyna pragnąc zaskarbić sobie względy swej strażniczki pomagała jej w różnych pracach. Gotowała potrawy, wyprawiała skóry, wyszywała mokasyny. Wraz z innymi kobietami i dziewczętami chodziła do lasu, zbierała dzikie maliny i czarne oraz czerwone jagody, różne zioła, korzonki i trawy. Stara nauczyła ją odróżniać zioła trujące od leczniczych. Czasami oddalały się znacznie od obozu, ale wtedy zwykle towarzyszyło im kilku myśliwych. Nie przeszkadzali. Krążyli wokół pilnując przed dzikim drapieżnym zwierzem, a może przed jakimś wrogiem.

W czasie tych wypraw nie zauważyła, by pilnowano jej w jakiś szczególny sposób. Traktowano ją początkowo z pewną rezerwą, stopniowo jednak coraz bardziej naturalnie - jak jedną ze swoich. Starsze kobiety odnosiły się do niej może z nieco większą nieufnością, młodsze traktowały bardziej bezpośrednio - może nawet przyjaźnie. Nie narzucała się jednak z niczym. Wiedziała, że mimo wszystko nie dowierzały jej jeszcze.

Gdy czasem, w zupełnie naturalnych zresztą okolicznościach, zbliżała się do jakiejś grupki wesoło paplających dziewcząt, głosy cichły, rówieśniczki milkły. Oddalała się tak, jakby niczego nie zauważyła.

Codziennie, w tajemnicy przed starą, kawałkiem rzemiennego paska mierzyła swój obwód w talii i biodrach, i z radością stwierdziła, że chudnie.

Jadła coraz mniej; coraz bardziej traciła apetyt, coraz częściej odczuwała zawroty głowy i osłabienie. Któregoś dnia w trakcie marszu zemdląła. Nie zaprzestała jednak wylewać po kryjomu znacznej części przydzielanej jej przez Peenay stawy.

Pewnego razu, nad samym już wieczorem, gdy kobiety z pełnymi koszykami różnych owoców i ziół wracały do położonego w niezbyt dużej odległości obozu, kilkunastoosobowa grupa Suszonych Skór - jak nazywano tu Chipewyan - dokonała niespodziewanego napadu.

Wokół kobiet, jak zwykle, kręciło się kilkunastu wojowników z obozu. Zawrzała krótka, gwałtowna walka, trwająca nie dłużej niż kilka minut. Napastnicy spodziewający się łatwej zdobyczy, zaskoczeni oporem, pierzchnęli, zostawiając w rękach obrońców dwu pojmanych młodych wojowników. Nie było zabitych. Było kilku rannych.

Chipewyan nie przyszli zabijać. Przyszli porwać kilka dziewcząt; stwierdziwszy, że zaskoczenie się nie udało, uciekli.

Jeszcze tego samego dnia poszła za nimi grupa zwiadowców. Wzmocniono strażę. I wtedy właśnie zdarzyło się nieszczęście.

Biała dziewczyna, która nie przejęła się specjalnie napadem, jak zwykle postanowiła wyrzucić część swojego wieczornego posiłku. Ale tym razem wojownicy, wietrzący możliwość ponownego napadu lub przynajmniej próby odbicia jeńców, co stanowiło codzienny chleb na każdej wojennej ścieżce, szczególnie pilnie śledzili wszystko, co działo się wewnątrz i na zewnątrz obozu. Podpatrzyli ją przy tej czynności i donieśli starej Peenay.

Strażniczka zmieniała się nie do poznania. Z trochę gderliwej, gadatliwej i w gruncie rzeczy przyjacielskiej staruchy przekształciła się w wiedźmę. Nie spuszczała swej podopiecznej z oka. Nie pozwalała jej wyjść z wigwamu nawet na krok samej. A gdy musiała wyjść, przed otworem wejściowym zawsze stawał jeden czy dwu mężczyzn. Co gorsza, pilnowała, by branka zjadła wszystko, co jej nakładała na talerz z kory.

Na próbę buntu związała osłabioną dziewczynę i wlewała jej w gardło gęstą papkę.

Mimo swych lat była jeszcze bardzo silna, a sen miała tak czujny, że najmniejszy ruch dziewczyny budził ją.

Cynthia usiłowała wszelkimi sposobami udobruchać starą, ale osiągnęła tylko tyle, że ta nie nakłaniała ją siłą do jedzenia.

W jakiś czas po napadzie do obozu przyszło czterech Chipewyan. Jeden z nich nosił we włosach orle pióro. Musiał być wodzem. Odbyła się wielka narada. Przybyli Indianie rozpakowali przyniesione z sobą toboły futer i skór. W końcu z oddalonego i pilnie strzeżonego wigwamu wyprowadzono dwu niefortunnych porywaczy. Futra musiały stanowić okup za nich, może za ich życie, bo z obydwu zdjęto więzy i cała szóstka bezzwłocznie odpłynęła w dwóch kanu.

Cynthia obserwowała całą scenę przez szparę między płatami kory, którymi pokryty był wigwam. Napastnicy nie zostali zabici; za ich czyn plemię zapłaciło okup.

Tego dnia Peenay przyniosła parę skór i zapędziła dziewczynę do pracy. Najpierw długim rzemieniem wymierzyła dokładnie skóry, następnie przycinała je i dopasowywała bardzo starannie. Poszczególne części oznaczyła kawałkiem czerwonej gliny i dała swej podopiecznej.

- Będiesz szyła. To ubiór dla wodza. Jeśli mu się spodoba, będzie dla ciebie dobry. Nie spiesz się i nie popsuj skóry. Jeśli czegoś nie wiesz - Peenay ci pomoże.

Biała dziewczyna, zrezygnowana, zabrała się do pracy. Najpierw za radą Indianki do łosiowej bluzy, później do legginów ze skóry jelenia.

Nie miała wprawy, toteż praca początkowo posuwała się powoli. W końcu jednak oswoiła się z długimi rzemieniami służącymi za nici.

Gdy strój był gotowy, stara wydobyła z jakiegoś zawiniątka kolce jeżozwierz, barwione paski skóry, i kazała przymocować to w miejscach wszystkich szwów.

W jakimś momencie, gdy dodatki te znalazły się na właściwych miejscach, dziewczyna z przyjemnością popatrzyła na swą pracę. Łosiowa bluza i legginy mogły być ozdobą każdego mężczyzny. Pomyślała chwilę i spytała:

- Słuchaj, Peenay, czy nie masz trochę kolorowych koralików i nici, takich, jakich używają moi biali bracia i siostry?

Indianka patrzyła dość długo na swą podopieczną, w końcu powiedziała:

- Peenay nie wie, ale zobaczy - z tymi słowami odeszła.

Gdy w jakiś czas potem wróciła, przyniosła duży skórzany worek, którego zawartość wysypała ostrożnie na rozłożoną skórę. Dziewczyna ze zdumieniem patrzyła na skarby, jakich tu, w głębi puszczy, nie spodziewała się ujrzeć.

W worku znajdowały się normalne igły, całe szpulki mocnych kolorowych nici, napałek, kilka par nożyczek, mocne grube nici, jakich na wschodzie używali szewcy i rymarze, długie ostre szydła, całe sploty różnokolorowych tasiemek i kilka woreczków koralików, zatzaski i cała masa różnej wielkości i kształtu guzików.

W niezrozumiałym nawet dla siebie odruchu radości uściskała starą. Indianka popatrzyła na nią podejrzliwie, ale nie powiedziała nic. Zresztą Cynthia nie zwracała już na nią uwagi. Szybko wybrała potrzebne jej przedmioty, resztę wrzuciła do worka i zabrała się do pracy.

Peenay obserwowała to z coraz większym zaciekawieniem. Gdy po paru dniach praca została ukończona, starucha oglądała ją bardzo starannie. Nie powiedziała nic, ale była widać zadowolona.

Na noc nie związała swego więźnia. W ciągu następnych dni wspólnie robiły jeszcze mokasyny, pas, kołczan na strzały, woreczki na kule i inne przedmioty, które musi posiadać każdy wojownik.

Między obiema kobietami zapanowało coś na kształt milczącej zgody.

Dziewczyna modliła się tylko o jedno, by wśród Indian nie znalazł się ktoś umiejący czytać. W staranny, misterny, kolorowy haft bluzy na lewej piersi wkomponowała, zręcznie stylizując pismo, tak że wyglądało jak zwykła ozdoba - swoje imię i nazwisko. Żaden Indianin nie mógł odkryć podstępu, ale biały musiał zauważyć pismo - pismo, które stanowiło wołanie o ratunek.

Stara zawinęła starannie cały strój w jakąś skórę i zawiesiła na jednej z tyczek, podtrzymujących wigwam.

- Wróci wódz, będzie zadowolony - stwierdziła z przekonaniem. Stara nie zauważyła w stroju nic osobliwego; dziewczyna przynajmniej na razie mogła być spokojna, toteż zwróciła się do Indianki:

- Powiedz mi, Peenay, dlaczego w wigwamie wodza nie ma kobiety?

- Peenay nie wie. Wódz młody. Może nie miał czasu myśleć o dziewczynie. Wróci - sam powie.

- A jakie imię ma wódz? - dopytywała się dalej.

- To Czarny Sokół. Wielki wódz. Zabija wszystkich wrogów. Ale ciebie nie zabije.

- Czy Czarny Sokół skalpuje swych wrogów?

- Każdy wojownik skalpuje. Czarny Sokół największy, oskalpuje wszystkich - stwierdziła stara z przekonaniem. - Przyniesie dużo skalpów i podaruje białej dziewczynie.

Dreszcz grozy wstrząsnął słuchającą. Według indiańskiej moralności na tym właśnie polegała jego wielkość i ponura sława. Z niepokojem dopytywała się dalej.

- Biała dziewczyna przechodziła często przez obóz, w którym mieszka. Nie widziała skalpów przed żadnym wigwamem. Czy jej czerwonoskórzy bracia chowają skalpy w środku?

- Biała dziewczyna nie patrzyła uważnie. Skalpy są. Wojownik dumny. Przed jego wigwamem, gdy zabije wroga, wisi skalp, ale teraz wielu wojowników wkroczyło na ścieżkę wojenną. Ich kobiety ukryły skalpy, żeby wróg nie zobaczył i nie porwał. Sama kobieta nie upilnuje.

Cynthia nie miała już odwagi pytać o to, który wigwam należy do Czarnego Sokoła. Woląla nie wiedzieć tego. Może zresztą nie był tak okrutny, jak opowiadała starucha. Może to co mówiła, było przesadą, tak zresztą częstą wśród Indian. Jednego wszakże mogła być pewna: Czarny Sokół musiał mieć znaczny autorytet w plemienu, skoro będąc młody, został wybrany wodzem. Wśród Cree i Odżybuejów nie zdarzało się to zbyt często. Poza dzielnością, rozumianą po indiańsku, musiał posiadać jeszcze inne cechy, które wyróżniły go z tej kilkusetosobowej gromady. Tak czy inaczej perspektywa nie przedstawiała się różowo. A może jednak jedyną szansą była ucieczka? Tylko dokąd? Oczywiście na zachód. Tam gdzieś daleko leżały faktorie kupieckie. Ale jak daleko? Nie miała o tym absolutnie wyobrażenia. Nie trafiłaby nawet do zbójckiej jaskini. Nie, to nie miało żadnego sensu. Peenay miała rację. Albo rozszarpałyby ją dzikie zwierzęta, albo umarłaby z głodu. W najlepszym razie dostałaby się w ręce innych, może gorszych? Może okrutnych Chipewyan?

Żałowała teraz, że zraziła sobie Indian, wśród których przebywała, że straciła ich zaufanie. Wiedziała, że nie odzyska go tak prędko. Nawet dziewczęta, które wprawdzie okazywały jej jakąś dozę nieufności, ale na ogół odnosiły się do niej przyjaźnie, nie zbliżały się teraz, patrzyły nieufnie, podejrzliwie.

Może zresztą nie wszystkie. Czasami odnosiła wrażenie, jakby jedna z nich zachowywała się trochę inaczej. Zdarzały się momenty, gdy chwytała jej przelotne spojrzenia, gdy w wielkich czarnych oczach łowiła coś na kształt współczucia.

Od pewnego czasu Peenay zaczęła ją ponownie zabierać z sobą do lasu. Cieszyła się z tego. Siedzenie w zadymionym, ciemnym wigwamie było znacznie gorsze niż zbieranie ziół i owoców w żywicy pachnącym lesie lub na trawiastych, ukwieconych nadrzecznych łąkach.

Któregoś dnia przed świtem zbudziła swą podopieczną:

- Ubieraj się szybko, idziemy łowić ryby w górze potoku.

Na dworze było chłodno, siąpił drobny deszczyk, toteż nim doszły do miejsca, w którym potok z szumem i bryzgami pian przedzierał się przez wystające nad wodą odłamki skał, miała mokre nogi.

Nie były same: na połów wybrały się jeszcze trzy inne dziewczęta, w tym również młoda Indianka, która swym zachowaniem wcześniej zwróciła na siebie uwagę Cynthii.

Peenay oddaliła się o kilkadziesiąt kroków wyżej, pod niewielki wodospad. Pozostałe dziewczęta zajęły miejsca wzdłuż brzegu: z Cynthią pozostała właśnie ta dziewczyna. Rozwinęła swoją/ wędkę, położyła ją na trawie i zaczęła podnosić nadbrzeżne kamienie, zdejmując z nich zręcznie całą masę przyczepionych niewielkich ślimaków, po czym odwróciwszy się do towarzyszki poinformowała ją szeptem:

- Nahmagoosekah¹. Nahmagoos² lubi pemiskoodeseg³ - po czym założywszy ślimaka z wprawą na duży haczyk z kości, zręcznie zarzuciła wędkę. Dosłownie w chwilę potem poderwała ją do góry i za moment piękny, prawie funtowy pstrąg trzepotał u jej stóp na trawie.

- Łap. Nahmagoos dobry.

Cynthia spróbowała zarzucić swoją wędkę. Pierwsze kilka razy, chociaż czuła szarpnięcia ryby, nie udało jej się w porę poderwać haczyka. Po pół godzinie jednak wydobyła pierwszą sztukę. Następne dawały się łowić coraz częściej.

Indiańska dziewczyna natychmiast po wyjęciu z wody zabijała każdą rybę i układała warstwami w koszyku, każdą warstwę przedzielając trawą. W końcu odłożyła wędkę. Przynęła się do swej towarzyszki i powiedziała cicho:

- Biała dziewczyna głupia. Chciała umrzeć z głodu, a teraz pewno myśli, jak uciec. Niech tego nie czyni. Peenay jest dobra. Nie zrobi jej krzywdy, jeśli biała dziewczyna będzie posłuszna, zobaczy swego ojca nad wielką wodą i matkę. Ludzie Cree nie wrogowie. Jeśli jesteś mądra, nie zdradzisz tego, co mówią ci moje usta. Milcz. Łap ryby dalej, ja pójdę w inne miejsce.

Słuchając tych szybkich, miękko wypowiedanych, stanowczych słów, Cynthia o mało nie wypuściła z ręki wędki, w chwili gdy jakiś większy pstrąg zaczepił się na haczyku. Tłumiąc gwałtowne wzruszenie, z trudem wyciągnęła rybę na brzeg. Łowiła dalej, chociaż przez głowę przelatywało jej tysiące myśli, a serce w piersi tłukło się jak oszalałe. A więc Indianie nie zamierzali uczynić jej krzywdy. Chcieli ją zwrócić ojcu. Ale jak? Dlaczego nie uczynili tego dotychczas? A może słowa dziewczyny były zwykłym podstępem? Nie, to było niemożliwe. Jedyne rozsądne rozwiązanie, jakie się nasuwało, to to, że ktoś z całej tej grupy chciał jej pomóc. Może wykraść przy sprzyjających okolicznościach i oddać ojcu? Ktoś, kto wiedział, że jest córką kupca znad wielkiej wody. Może dla siebie chciał zagarnąć cały okup? A może oni rzeczywiście nie byli wrogami. Może obawiali się bandy Rudego lub nawet z nią walczyli? Scena przed jaskinią, kiedy obydwa bandyci

padli przeszyci pierzastymi strzałami, mogła oznaczać bardzo wiele.

Indiańska dziewczyna, łowiąca teraz pstrągi o kilkanaście kroków dalej, musiała przecież wiedzieć coś na pewno. Inaczej nie uprzedzałaby jej, nie budziła nadziei. Była córką swego plemienia; Nie zdradziłaby go nigdy wobec wroga, a więc jej - białej nie uważano tu pewnie za wroga, przynajmniej nie wszyscy. Nieśmiała nadzieja poczęła kielkować w sercu.

Wracały koło południa. Każda niosła koszyk pełen pstrągów. Potok roił się od ryb.

Peenay zabrała się natychmiast do wędzenia. Mniejsze sztuki były gotowe przed wieczorem.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu Cynthia najadła się do syta. Jeśli miała doczekać zobaczenia ojca i matki, musiała mieć dość sił.

Innymi oczyma patrzyła na starą Indiankę. Wszak ta, od chwili zamieszkania we wspólnym wigwamie, nie uczyniła jej żadnej krzywdy. Wiązała ją, to prawda, siłą zmuszała do jedzenia, ale kto wie, czy nie było to lepsze, niż pozwolić dziewczynie zagłodzić się na śmierć.

- Peenay - zagadnęła któregoś dnia - codziennie w naszym kociołku jest mięso. Skąd je bierzesz? - Indianka roześmiała się.

- Myśliwi polują każdego dnia, potem dzielą zwierzynę. Wszyscy dostają tyle samo. Kiedy zwierzyny nie ma, kiedy zły duch każe jej się skryć, a oczy myśliwych czyni ślepyimi, nie ma mięsa. Wtedy nie ma w żadnym kociołku. Tak jest najczęściej w czasie Księżyca Śniegu i Księżyca Głodu, a czasem jeszcze Księżyca Kruka.

- I co się wtedy dzieje? Czym karmią się Indianie, co dają jeść swym kobietom, dzieciom i starcom?

Peenay zastanowiła się przez chwilę, po czym przysiadła na wiązce skór.

- Czasami nie jest tak źle. Przez całe lato kobiety zbierają jagody i korzenie; jesienią orzechy, a mężczyźni polują i łowią duże ryby. Kobiety robią z mięsa, tłuszczu i jagód jarzębiny pemmikan¹, suszą mięso i ryby, i gromadzą na zimę. Jeśli zapasy są duże, starczą aż do Księżyca Dzikiej Gęsi, kiedy ptaki wracają na północ. Jeśli zapasy są małe, wszyscy słabi i chorzy umierają podczas Księżyca Głodu lub Księżyca Kruka. Najwięcej wtedy umiera dzieci i starców. Peenay też tak kiedyś umrze i pójdzie do krainy swych przodków.

- Czy zawsze byłaś sama, Peenay?

- Nie, przez wiele zim Peenay była młoda i szczęśliwa. Jej mężczyzna był najlepszym myśliwym w plemienu. Gdy wracał z łowów, jego krok był ciężki. Czasem niósł całego jelenia lub łanię. Kiedyś zły duch zasłonił jego oczy i ciało jego rozszarpał menditoo mackquah. Wtedy Peenay obcięła włosy, natarła całą twarz popiołem i podrapała skórę. Nie zasiadła przy ognisku innego mężczyzny. Została tu z dziećmi. Gdy wielka, czarna śmierć przyszła i zabrała dzieci, Peenay została sama. Pewno kiedyś, gdy przyjdzie Księżyc Głodu, umrze tak, jak umierają jej bracia. Wszyscy umierają. Ty też kiedyś umrzesz. Ale przedtem będziesz jeszcze długo żyć i będziesz słyszeć śmiech

swoich ahbenóojeyug². Dlatego musisz jeść dużo. Jeśli nie będziesz jadła, piersi będą chude i nie będzie w nich mleka. Wtedy twoje dzieci też umrą z głodu. Peenay nie chce, żeby twoje dzieci płakały z głodu i umarły. Jeśli nie będziesz jadła dużo, znów cię zwiąże i będzie karmiła.

Dziewczynie zakręciły się łzy w oczach. Podbiegła do starej i uściskała ją serdecznie. Rozumiała teraz swą opiekunkę, toteż opanowawszy wzruszenie powiedziała cicho:

- Biała dziewczyna wie teraz, że Peenay jest dobra. Będzie jej słuchała i będzie jadła dużo. - Rysy staruchy złagodniały.

Następnego dnia ponownie poszły do lasu i tym razem Cynthia nie dała się wyprzedzić swym czerwonoskórym towarzyszkom. Gdy wieczorem dźwigała do obozu swój ciężki wiklinowy kosz, była dumna. Nie było w nim mniej niż w koszach innych kobiet. I tak już było codziennie.

Popołudnia spędzała na cerowaniu swojej i szyciu indiańskiej odzieży. Wiedziała, że zima bywa tu mroźna, nie dziwiła się więc, że zamiast letnich, dwustronnie wyprawionych skór, z których przygotowywano odzież lżejszą, stara przyniosła któregoś dnia całą wiązkę futer i powiedziała:

- Uszyjesz z tego okrycie na zimę. Musi być mocne i ciepłe.

Dziewczyna nie protestowała. Wiedziała, jak muszą ubierać się w okresie zimna mieszkańcy tych okolic. Mrozy były tu tak silne, że pod ich wpływem potężne drzewa pękały z hukiem. Zła odzież groziła myśliwemu zamarznięciem na łowieckiej zimowej ścieżce.

Przestała myśleć o wodzu i jego pustym wigwamie, chociaż wiedziała, że łączone przez nią miękkie ciepłe skóry karibu i białych północnych królików będą chroniły jego ciało przed skutkami odmrożenia.

Widząc szybko postępującą pracę i zręczne ręce dziewczyny, stara mruczała z zadowoleniem.

Coraz częściej do szałas, w którym mieszkały, zaglądały na krótko, później na dłuższe pogawędki, kobiety i dziewczęta. Oswajały się z białą dziewczyną, która zresztą starała im się nie narzucać. Coraz śmielej opowiadały o sobie, swych smutkach, troskach i radościach. Wiezorami, skupione wokół ogniska płonącego w wigwamie, opowiadały o duchach.

Początkowo dziwiła się trochę, że o duchach nigdy nie mówią w ciągu dnia. W końcu dowiedziała się, że od wschodu do zachodu słońca duchy są wszędzie i wszystkich podsłuchują. Podsłuchują też Indian. Czasem jednym niebacznym słowem można je urazić. Stają się wtedy złośliwe i mogą ludziom wyrządzić nawet krzywdę, sprowadzić chorobę, poplątać ścieżki-w lesie, spowodować, że ryby nie będą brały, sprowadzić zimny noetting¹ i wiele innych przykrości i kłopotów. Natomiast po zachodzie słońca układały się do snu i nie mogły podsłuchiwać. Można było o nich rozmawiać w miarę bezpiecznie.

Opowiadając różne historie dziewczęta i kobiety pracowały. Biała dziewczyna w ciągu długich wieczorów usłyszała wiele opowieści - niektóre poważne, inne zabawne, a nawet wesołe. O wielkiej niedźwiedzicy, która najpierw pożerała ludzi, a gdy za karę została przez Dobrego Ducha zamieniona

w małą rudą wiewiórkę, stała się zupełnie inna i zamiast ludzi, zjadała orzechy - ludziom czyniła wiele dobra. O tym jak z powodu krótkiego wzroku niedźwiedzia, żółw z jeleniem wygrał zawody szybkobiegaczy, a orzeł o mało nie został pokonany przez mysikrólika w zawodach o to, który spośród ptaków wzniesie się najwyżej w powietrze. Dowiedziała się, skąd na ziemi wzięły się ptaki, zwierzęta i Indianie. Odkryła, że zwierzęta, ryby, ptaki i ludzie byli kiedyś braćmi, posługiwali się tym samym językiem i żyli zgodnie i szczęśliwie, i dopiero chciwość i okrucieństwo ludzi doprowadziły do tego, że poróżnili się między sobą i rozeszli, że wreszcie najpotężniejszym zwierzęciem puszczy jest niedźwiedź, a najbardziej mądrym żółw, który na swych plecach dźwiga całą ziemię.

Zrozumiała, dlaczego każdy Indianin, któremu uda się pokonać niedźwiedzia, uważa to za wielkie wyróżnienie i łaskę Wielkiego Ducha.

W czasie tych wieczorów wiele dowiedziała się o złych olbrzymach, które żyły gdzieś głęboko w puszczy i zjadały ludzi; o duchach zmarłych, które mieszkają głęboko pod ziemią, ale krążyły również między ludźmi, pomagały im; często ochraniały przed złymi duchami; o Wielkim Duchu, który rządził innymi duchami.

Czasami padały trwożnie wypowiedane słowa na temat czarowników, którzy należeli do tajemnego stowarzyszenia Midewiwin, i którzy wiedzieli ó wszystkim - mogli rozmawiać z różnymi duchami - duchami drzew i zwierząt, potoków, dawno zmarłych ludzi, a nawet z samym Wielkim Duchem, i mieli ogromną władzę.

Grozę budziły z rzadka opowiadane historie o wielkim, monstualnym wężu, który był wodzem złych duchów i czynił Indianom wiele zła.

Dziewczyna oswojona z niebezpieczeństwami puszczy, z powszechną wiarą w duchy, niektórych opowieści słuchała z dreszczem przerażenia. Lubiła natomiast, gdy dziewczęta opowiadały o duchach traw i drzew, o dobrym duchu żyjącym w czystych strumieniach, o duchach różnych owadów i motyli. Dowiedziała się, dlaczego liście klonu, drzewa bardzo rzadkiego na północy, stają się czerwone jesienią.

Zasypiając niekiedy bardzo późno w noc, wsłuchiwała się w niesione poszumem rozmowy drzew, opowieści płasających traw, tajemnicze, przyciszone szepty leciutko drgających liści brzozy i wierzby. I na swój sposób była szczęśliwa.

ROZDZIAŁ VIII

W miejscu, gdzie rzeka Assiniboine łączy swe wody z Północną Rzeką Czerwoną, około 30 mil na południe od jeziora Winnipeg, na zachodnich krańcach krainy Odżybuejów, na granicy łowieckich terenów Assiniboinów i potężnego plemienia Dakotów, rozłożył się Fort Garry. Jego

usytuowanie w tym miejscu nie było przypadkowe. Spełniał od wielu dziesiątków lat ważne funkcje handlowe, kontrolując z jednej strony przepływ początkowo francuskich, a później angielskich towarów na zachód wzdłuż rzek Assiniboine, Qu'Appelle, aż po źródła Południowej Saskatchewan i rzeki Czerwonego Jelenia, a także handel skórami i futrami z plemionami Cree i Odżybuejów z Równin oraz mało znanymi jeszcze plemionami Czarnostopych, Atsina, Crow i Absaroke - tymi dwoma, żyjącymi nad rzeką Yellowstone i jej licznymi dopływami. Kontrolował także handel z licznymi plemionami Dakotów..

Od czasu utworzenia Stanów Zjednoczonych, jego funkcje, jako daleko na zachód wysuniętego posterunku wojskowego, położonego blisko nie wytyczonej dokładnie, płynnej granicy z południowym sąsiadem, znacznie wzrosły.

Położony w pobliżu rzeki Czerwonej był w stanie kontrolować tę jedyną drogę prowadzącą w tym rejonie na południe oraz przepływ towarów na znacznym odcinku granicy.

Władze kanadyjskie pod naciskiem futrzanych kupców z Montrealu, Quebecu i Trois Rivieres, w obliczu konkurencji amerykańskich kupców futrzanych, docierających coraz liczniej w tamte regiony, a także z uwagi na ciągle zagrożenia wojskowe południowego, potężnego sąsiada, umocniły ten ważny posterunek.

Garnizon był liczny, dobrze uzbrojony i zaopatrzony. Miał wielu doświadczonych żołnierzy i świetnych oficerów. Dowódcą był stary żołnierz, pułkownik Carrington. W ciągu kilku lat służby w forcie poznał dobrze kraj i ludzi, wyszkolił młodą kadre oficerską, zahartował żołnierzy.

Zebrał i przeszkolił na potrzeby garnizonu sporą grupę indiańskich zwiadowców, toteż dość dobrze się orientował, co się dzieje na rozległym obszarze poddanym jego jurysdykcji.

Dzięki dyplomatycznym zdolnościom utrzymywał niełatwy pokój z Indianami. Zdawał sobie sprawę z tego, że lepszy kiepski pokój niż najlepsza wojna. Pokój gwarantował to, że mógł istnieć i szybko rozwijać się handel. Każdy niepokój hamował wymianę towarów na skóry i futra, co ówczesnie stanowiło prawie połowę podstawy bytu całej ludności młodej kolonii angielskiej. Pułkownik, poza czysto wojskowymi obowiązkami, dbał również o interesy kupców i ich bezpieczeństwo.

Mieszkał w obszernym domu na terenie fortu i z szerokiego tarasu patrzył właśnie z zadowoleniem na ćwiczących żołnierzy, gdy przez drzwi werandy wszedł adiutant i zameldował się przepisowo.

- No co tam, Berens?
- Kurier specjalny do pana pułkownika.
- Kurier specjalny, mówisz. A skąd?
- Sądząc po wyglądzie, gdzieś daleko z północy.
- Nie możesz się z nim porozumieć?

- Nie, nie mówi ani po angielsku, ani po francusku. To Cree.
- Dobrze, zaprowadź go do mojego gabinetu i poproś kapitana Sharpa.

Poprawił mundur i w parę minut potem wszedł do biura. Sharp czekał już na niego. Usiedli w wygodnych fotelach i pułkownik polecił wprowadzić kuriera.

Do gabinetu wsunął się młody Indianin i nie wiedząc, do którego z dwu mężczyzn zwrócić się, wymówił z trudnością:

- Pułkownik Carrington?

Podniósł się ze swego miejsca kapitan Sharp i spytał:

- Czy mój czerwony brat mówi językiem Cree, czy mową rąk? Indianin popatrzył na pytającego i odparł w narzeczu Muskogean:

- Czy ty jesteś pułkownik Carrington?

- Nie. To jest wódz, o którego pytasz - tu wskazał na swego dowódcę.

Czerwonoskóry rozerwał kaftan łosiowy, wyjął spod podwójnej warstwy skór płaski pakunek i podał bez słowa pułkownikowi. Ten rozciął rzemienie, rozwinął opakowanie i wyjął sporych rozmiarów gęsto zapisany papier. Obejrzał go najpierw starannie, spojrzął na podpis i poderwał się; Podeszedł do stojącego Indianina i podał mu rękę:

- Mój czerwonoskóry brat odbył bardzo daleką podróż. Jest zmęczony i głodny. Przyniósł ważne wiadomości. Czy chce mi coś powiedzieć?

- Szybki Jeleń nie jest zmęczony. Miał ci oddać ten mówiący papier. Gdy go przeczytasz, napiszesz swój, a Szybki Jeleń zanieś go z powrotem.

Sharp tłumaczył szybko wypowiedane słowa. Carrington spojrzął z podziwem na posłańca i odparł:

- Wiem, że nogi Szybkiego Jelenia są mocne, a jego kanu szybsze od lotu jastrzębia, ale teraz posili się i odpocznie. Wyruszy jutro. - Następnie zwrócił się do Sharpa: - Niech pan go zaprowadzi, do wolnego pokoju i poleci nakarmić. Potem proszę wrócić.

Gdy posłaniec z kapitanem wyszli, wziął list i czytał go powoli. Znał bardzo dobrze nadawcę i charakter jego pisma. Studiował list uważnie. Jeszcze raz popatrzył na podpis i datę, i uśmiechnął się. Przez chwilę z podziwem myślał o tempie, w jakim Indianin przebył ogromną przestrzeń.

W kilkanaście minut później, gdy Sharp wrócił do gabinetu, pułkownik podał mu bez słowa list. Sharp przeczytawszy gwizdnał przez zęby.

- A to pasztet!

Carrington pokiwał głową:

- Właśnie. No, ale skoro nam go przyrządzono, trzeba go będzie jakoś przełknąć, chociaż kto wie, czy nie będzie twardy.

Sharp uśmiechnął się.

- Rozgryzaliśmy twardsze. Poradzimy sobie i z tym. - Wziął list i przeczytał go jeszcze raz spokojnie.

- Jest pan, pułkowniku, pewny nadawcy? Uśmiechnął się z kolei Carrington.

- Uhm. Bardziej niż siebie, kapitanie.

- Rozumiem, tylko jak, u diabła, załatwić sprawę po cichu, jak tego żąda?

Carrington pokiwał smętnie głową.

- Rzeczywiście to jest problem, ale trzeba się z nim uporać. Jeśli jego przypuszczenia są słuszne, kapitanie, to nie mamy wyjścia. Będzie tylko trochę więcej roboty. Niech pan weźmie porucznika Murraya. Niech mu pan pokaże ten list, ale nikomu więcej. Nikt poza nami trzema nie może wiedzieć o sprawie. Posłańcowi wytłumaczyć, że do jutra wieczór nikt nie może go widzieć. Wieczorem wyruszy. Upредить Beringa, chociaż zaraz, sam to zrobię. Na rano chcę mieć gotowy plan. Jasne, kapitanie?

- Tak jest.

- No, to do roboty i proszę przysłać porucznika. Murraya deleguję do pańskiej dyspozycji na cały czas akcji.

Gdy w parę chwil potem zameldował się adiutant, pułkownik spytał:

- Czy ktoś widział posłańca?

- Chyba nie. Zresztą kręci się tu zawsze sporo Indian. Niczym się nie wyróżniał.

- To bardzo dobrze. Nie było i nie ma, poruczniku, żadnego posłańca. Gdyby ktoś pytał, powie pan, że to jakiś dziki ze skargą na... no, powiedzmy, na zły proch, który dostał od kupca nad Winnipegami. Zrozumiano?

- Tak jest, panie pułkowniku!

- No, to dobrze, ale niech pan zadba o niego i dobrze nakarmi. Odjedzie jutro wieczorem. Niech mu pan przygotuje żywność na dłuższą podróż.

Berens wyprężył się jak struna.

- Rozkaz!

- Dziękuję. Może pan odejść!

W dwa dni potem kilkunastu pojedynczych zwiadowców w śmigłych kanu ruszyło na północ w kierunku jeziora i, na wschód w gęstwinę rzek, bagien, jezior i kanałów, łączących się z położonym w głębi lasów Jeziorem Leśnym. Kilku z tajnymi rozkazami pułkownika pomknęło do najbliższych położonych fortów La Reine, Maurepas, St. Charles, St. Pierre i Fortu William, leżącego nieco na północ od Grand Portage - miejsca stałych spotkań ogromnej rzeszy kupców futrzanych.

Czterdziestoosobowy oddział żołnierzy pod dowództwem porucznika Murraya z towarzyszącymi kilkoma najlepszymi tropicielami odpłynął pewnego wieczoru w nieznanym kierunku i celu.

W forcie rozeszła się pogłoska, że zanotowano jakieś podejrzane ruchy Indian między Południowym Saskatchewan a rzeką Czerwonego Jelenia.

Zresztą pogłoska cichła, w miarę jak z tamtych regionów napływały futra, a przywożący je Indianie lub biali kupcy i handlarze wzruszali ze zdziwieniem ramionami.

Życie w forcie wróciło do normy. Dowódca nie wykazywał żadnego niepokoju, a myślami swoimi, bez potrzeby, nie zwykł się dzielić z nikim.

Mniej więcej w połowie sierpnia wzdłuż wschodniego wybrzeża jeziora Winnipeg sunął dość długi konwój dużych, mocno zbudowanych łodzi, wiozący cenny ładunek futer. Płynący na czele Michael Bird patrzył na coraz bliższe, ustawione w niewielki czworobok zabudowania.

Zbliżali się do Fortu Maurepas usytuowanego u ujścia rzeki Winnipeg, stanowiącej początek znanego wszystkim szlaku w kierunku Jeziora Leśnego i dalej poprzez Jezioro Deszczowe do Grand Portage. Był zadowolony. Najtrudniejszy i najbardziej niebezpieczny odcinek drogi miał już poza sobą. Drogi męczącej. Zastanawiał się, czy nie zrobić chociażby parodniowej przerwy w podróży. Zrezygnował jednak z tego pomysłu. Wiedział, że ludzie będą trochę sarkać, ale cóż. Nie mógł pozwolić sobie na większą stratę czasu niż jeden, dwa dni. Z zazdrością pomyślał o żołnierzach wygrzewających się tego sierpniowego dnia za palisadą fortu. Spróbował sobie nawet wyobrazić nastrój, jaki tam musiał panować, i uśmiechnął się mimo woli. Nuda. Poranna pobudka, śniadanie, musztra. Przygotowania do obiadu. Ryby - jak zwykle podstawowe danie. Mieli je codziennie lub prawie codziennie. - Nie - skrzywił się z niesmakiem.

Uniósł wysoko rękę i zatoczył nią półkole, wskazując fort. Kanu płynące do tej pory długą, prostą linią z wolna zatoczyły łuk i zbliżyły się do przystani,- na którą wyszło kilku żołnierzy obserwujących zbliżający się konwój.

Bird wyskoczył z łodzi pierwszy. Spytał stojącego w pobliżu żołnierza w rozchełstanej koszuli:

- Dowódca w forcie?

Żołnierz wskazał bramę, przy której w niedbałych pozach stali dwaj, w widoczny sposób znudzeni przedpołudniową służbą, wartownicy.

- Jest u siebie. Może pan wejść. Bird pomaszerował ku bramie i nie zatrzymywany przez wartę wszedł do niewielkiego budynku.

Dowódcę fortu zastał w biurze. Dwudziestoparoletni porucznik zajęty był właśnie dłubaniem w zębach. Widząc jednakże obcego, schował wykałaczkę do szuflady i podniósł się ociężale.

Przewodnik przedstawił się, podał krótko skąd, dokąd i jaki ładunek. Poprosił o pozwolenie spędzenia nocy pod osłoną fortu.

Porucznik otworzył księgę raportów, zapisał zgłoszony transport i nazwisko przewodnika. Wydawał się znudzony lub znużony upałem, podobnie jak wartownicy.

- Dobrze. Możecie rozłożyć się pod fortem lub wewnątrz – ale przypomniał sobie snadź o swych obowiązkach, zadał bardziej chyba dla formalności, niż z istotnej potrzeby, parę retorycznych pytań o warunki podróży, spotykanych Indian, ich zachowanie.

Wysłuchawszy odpowiedzi spytał jeszcze o dalszy szlak:

- Lecicie oczywiście szlakiem na Jezioro Leśne?

- Na Leśne.

- A nie macie przypadkiem jakiejś zbędnej baryłki? Bird wzruszył ramionami.

- Może by się coś jeszcze znalazło, ale widzi pan, poruczniku - moi ludzie do tych cholernych ryb, które zremy od przeszło miesiąca, osuszyli już prawie wszystko. Chyba że znalazłby się tu jakiś kawałek bizona?

Twarz dowódcy fortu rozjaśniła się wyraźnie.

- Mówi pan, panie Bird, kawałek bizona?

- Hm - przewodnik uśmiechnął się chytrze.

- Dużo ma pan ludzi?

- Dwudziestu.

- A gdyby znalazł się cały bizon razem z garbem?

- No, to kto wie, czy nie znalazłyby się również ze dwie baryłki.

- Człowieku, trzeba było tak od razu gadać. Roześmieli się obydwaj.

Bird wydzielił także po solidnej porcji alkoholu. Nastroje poprawiły się wyraźnie. Osłona fortu gwarantowała pełne bezpieczeństwo i w związku z tym dobry wypoczynek. Konwój pozostał na miejscu dwa dni, nie budząc zresztą prawie żadnego zainteresowania wojskowej załogi. Miała takie widoki parę razy w miesiącu.

Gdy wreszcie trzeciego dnia rankiem ruszali pod dosyć bystry w tym miejscu prąd rzeki. Winnipeg - na pożegnanie pomachał im tylko wartownik.

Przez kilka godzin pracowali solidnie, potem napór wody nieco się zmniejszył, łodzie popłynęły szybciej.

Gdy w parę tygodni później zagłębili się między labirynt setek wysp i wysepek Jeziora Leśnego, Bird, pozostawiając nieco z boku utarty szlak, skierował łodzie bardziej na południe.

Któregoś dnia konwój wpłynął do malej naturalnej zatoki po i wschodniej stronie sporej, ocienionej drzewami, wysepki. Tu przewodnik uregulował pozostałą, należną indiańskim wioślarzom część zapłaty, mówiąc ich wodzowi, że z tego miejsca zabiorą ich dalej przewodnicy Odźbyuje.

Piętnastoosobowy oddziałek Cree przenocował w pobliżu i zabierając ciągnione do tej pory puste czółna, zniknął w podnoszącej się porannej mgle.

Bird był zadowolony. U celu stanął o oznaczonym czasie. Wspólnie z pięcioma pozostałymi przedstawicielami swej rasy rozbił niewielki obóz i czekał. Jeśli tamci dotrzymają słowa, za kilka,

najwyżej kilkanaście godzin skończą się jego obowiązki, no i kłopoty. Przeleciał spojrzeniem po ciężko załadowanych łodziach i pomyślał, że jednak wysiłek opłacił się. Niemal namacalnie czuł miły dla ucha szelest odliczanych banknotów. Przez chwilę z mimowolnym uznaniem myślał o swym wspólniku pozostałym daleko nad Athabaską. Ma łeb. Interes zorganizował tak znakomicie, że teraz pieniądze przychodziły już same. Początkowe koszty zwróciły się ze znaczną nawiązką.

Nie wiadomo kiedy zdrzemnął się. Obudził go tuż przed zachodem słońca jeden z ludzi. O kilkadziesiąt kroków dalej spod zwisających nad samą wodą gałęzi wysunął się rząd długich, wysmukłych kanu. Za chwilę dwaj biali i około trzydziestu Indian otoczyło Birda.

- To się nazywa punktualność co, Mike?

- Nie możesz uskarżać się także na moją, John, ale skoro jesteście, to szybko do roboty.

W godzinę później bele futer zostały przeładowane do indiańskich czółen - ciężkie łodzie Birda poszły na dno głębokiej zatoki.

Nim zapadła noc, kanu wpłynęły pod gałęzie i znikły w gęstwinie drzew. Potok nie był głęboki, ale wody było w nim na tyle, że łodzie sunęły nie dotykając dna. Wiosła pracowały cicho, nie padło ani jedno głośniejsze słowo.

Na dwie godziny przed świtem czerwonoskórzy wzięli łodzie na ramiona i podążyli szybkim marszem. Na niebie zajaśniały zorze, gdy cała kolumna znalazła się na wąskiej, naturalnej grobli biegnącej pośród grząskich topielisk. Zbliżał się świt. Jeszcze tylko kilka minut i długi wąż postaci został zalany światłem budzącego się dnia.

Nowy przewodnik, John, wskazał na odległą najwyżej o pięćdziesiąt kroków polanę i powiedział swobodnie' nie ścisząc już głosu: - No, Mike, jesteśmy na miejscu.

Zbliżali się do końca grobli. Bird otworzył usta, by coś powiedzieć, gdy nagle z okalających polanę zarośli wysypał się szereg ubranych w czerwone kurtki żołnierzy i rząd luf karabinowych skierował w znajdującą się na grobli kolumnę. Ku grobli swobodnym krokiem podszedł młody, przystojny oficer.

- Porucznik Murray z Fortu Garry. Aresztuję pana, panie Bird. Ostrzegam, że wszelki opór jest beznadziejny. Groblę za wami zamyka drugi taki sam oddział wojska.

Bird z przerażeniem spojrzał w czarne otwory luf karabinowych i szyderczy uśmiech na twarzy oficera. Zdumienie snadź przyćmiło mu na chwilę umysł, bo zdołał wyjąkać tylko:

- Ależ pan jest z Fortu Maurepas. Tam... - tu zamilkł nagle. Oficer uśmiechnął się leciutko.

- Ma pan rację. Bawiłem i tam, ale tylko przez parę dni i po to wyłącznie, by pana poznać osobiście. Teraz, jak pan widzi, panie Bird, jestem tutaj i aresztuję pana pod zarzutem przemytu futer do Stanów Zjednoczonych i próby nielegalnego przekroczenia kanadyjskiej granicy. W imieniu gubernatora Kanady konfiskuję wszystkie towary...

W niecałe pół godziny potem banda przemytników podążała tą samą groblą z powrotem, tyle

tylko, że w pętach.

Okolo dwa tygodnie wcześniej przed opisanymi tu wypadkami zwiadowcy Carringtona, przemierzający południowe krańce jeziora Winnipeg, donieśli dowódcy fortu o zbliżaniu się kolejnego dużego konwoju.

Pułkownik spodziewał się go zresztą już od kilku dni, gdyż drugi indiański posłaniec z północy doręczył mu wcześniej inne, obszerne tym razem, pismo. Nadawca informował pułkownika, że przewodnik transportu i jego trzech białych pomocników to część bandy grasującej wokół jeziora Athabaska, mordującej bezlitośnie Indian i białych, rabującej towary i futra. Piszący donosił, że w transporcie zdążającym na południe, prowadzonym przez Johna Stone'a, więcej niż połowa ładunku należy do Andrewa Claya i stanowi okup, jaki kupiec musiał złożyć bandzie w zamian za obietnicę uwolnienia jego porwanej i więzionej córki, Cynth i Clay. List zawierał szereg szczegółów dotyczących losu transportu Lane'a, którego pułkownik znał zresztą osobiście, podobnie jak i dziewczynę, ponieważ przed wyruszeniem na północny szlak spędzili oni w forcie kilka dni.

Nadawca informował ponadto o oznakowaniu przez Claya wszystkich przekazanych bandzie futer i wielu innych szczegółach, istotnych dla sprawy.

List zawierał informację, że na północ zdąży duży transport towarów, przewodnikiem tego transportu jest Henry Prescott, że transport za wszelką cenę trzeba zatrzymać, gdyż banda planuje na niego napad, a ponieważ nadawca nie zna jeszcze szczegółów planu, prosi, by pułkownik podjął decyzję co do wypuszczenia Prescotta w drogę dopiero po otrzymaniu następnej wiadomości.

W godzinę po otrzymaniu listu kapitan Sharp i szóstka najlepszych indiańskich wioślarzy, jakimi dysponował fort, mknęli ku ujściu rzeki Czerwonej, a następnie wzdłuż wschodnich brzegów jeziora Winnipeg. Prescotta dopadli o trzy dni na północ od Fortu Maurepas. Wioślarze Sharpa byli wykończeni tym szaleńczym pościgiem.

Sharp nie tracił czasu na zbędne wyjaśnienia. Przekazał Prescottowi pisemny rozkaz powrotu do Fortu Garry podpisany przez komendanta garnizonu. Przewodnik nie dyskutował. Rozumiał, że powody były wystarczająco ważne.

Teraz siedział w gabinecie Carringtona i z uwagą czytał list. Skończywszy, z wdzięcznością spojrzął na Sharpa.

- O mało nie zagonił pan na śmierć swych wioślarzy, kapitanie. Jestem im winien wdzięczność. Panom zresztą również. Rozumiem, że były poważne powody do takiego pośpiechu.

Carrington skinął głową.

- Owszem, nie chcieliśmy, żeby się pan natknął na transport Stone'a. Wprawdzie nadawca listu nie upatruje z tej strony żadnego niebezpieczeństwa, ale na szlaku, który przebył przewodnik Ruttera i spółki, mogło się zdarzyć coś nieprzewidzianego. Kapitan nie chciał ryzykować. Zwłaszcza że do spotkania ze Stone'em miał pan zaledwie półtora dnia.

- Rozumiem. Gdzie jest teraz Stone? Czy pójdzie szlakiem Birda, czy innym?

Pułkownik uśmiechnął się.

- Zwiadowcy donoszą, że kieruje się do ujścia rzeki Czerwonej. Jutro, najdalej pojutrze, będzie u nas.

Prescott uniósł brwi.

- Mówi pan, pułkowniku, że u nas. Tu, w forcie?

- Tak to wygląda.

- Czyżby sam chciał oddać się w pańskie ręce?

- Nie. Nie sądzę - Carrington roześmiał się. - Myślę, że poza przejściem, które znał Bird, musi gdzieś tu w okolicy być drugie i właśnie do tego przejścia celuje Stone.

Przewodnik patrzył z zaciekawieniem na mówiącego.

- Tak. Stąd do granicy ze Stanami jest zaledwie kilkadziesiąt mil.

Po drugiej stronie leżą łowieckie tereny Yanktonai i Santee. Najbliżej znajdują się Mdekwanton i Sisseton. Wszystko z grupy Dakotów. Po obydwu stronach granicy żyją Odżybueje. Nie są zachwyceni tym, że ich tereny dzieli granica. Wprawdzie miejscowych pozostało już niewiele, ale po klęsce Pontiaka ze wschodu przybyło wiele plemion. Są Ottawa, Potawatomi, Menomini, sporo Sauków i Winnebago. Trafiają się i inni. Dakota nie są tym zachwyceni, bo uszczupla to ich stan posiadania. Dochodzi nawet do sporadycznych utarczek, ale na ogół tolerują swych czerwonych braci. Białych nienawidzą, ale handlują z nimi. Oczywiście z kupcami ze Stanów. Nasi, przynajmniej oficjalnie - zastrzegł się - nie przechodzą na tamtą stronę, ale tylko oficjalnie. Królestwo handlu futzanego zostało przecięte sztucznie nie tylko w dolinie Świętego Wawrzyńca - tu również. Toteż tak naprawdę nie wiadomo, k(o reprezentuje interesy tej, a kto innej grupy kupieckiej; kto handluje ze Stanami, a kto rzeczywiście z Kanadą. Najlepszy przykład ma pan w tym, co dzieje się w rejonie północno-zachodnim. Jest tam North West Company, no i Kompania Zatoki Hudsona, a Bird przewozi futra do Stanów. Zobaczymy, gdzie swoje powiezie Stone.

- Nie chce pan zatrzymać go tutaj, w forcie? Skoro są oznakowane futra Claya, nie będzie problemu z udowodnieniem winy Stone'a.

- Sam zamiar, nie wprowadzony w życie, to jeszcze nie przestępstwo. Dokąd nie złapiemy go na gorącym uczynku, nie mam prawa go karać. Udowodnienie udziału w przestępstwach bandy, to sprawa jeszcze odległa.

- Chce więc pan pozwolić mu, by spróbował?

- Panie Prescott. Nie tylko o to chodzi. Stone sam nie przekroczy granicy. Musi mu ktoś pomagać. Skoro zmierza tu, znaczy to, że właśnie tu są pomocnicy. Na nich też mi zależy.

Prescott roześmiał się szczerze.

- A więc dwie pieczenie przy jednym ogniu! Nie pomyślałem o tym, Z przyjemnością wezmę

udział w zabawie, jeśli panowie pozwolicie. Ludzi mam dobrych.

Dowódca garnizonu pokiwał głową.

- Kto wie, czy się nie przydadzą. Do fortu w ostatnich dniach przybyło trochę różnych podejrzanych typów. Niby przewoźnicy. Kto wie. Może to ich zaangażuje Stone? Swoich ludzi jest pan pewien?/

- Jak siebie samego.

- Dobrze. Może rzeczywiście będą potrzebni. Oczywiście uprzedził ich pan o tym, co trzeba?

- Naturalnie. Wiedzą, jak się zachowywać.

- Gdzie pan stanął?

Sharp, który do tej pory nie brał udziału w rozmowie, wtrącił się teraz:

- Ładunek umieściliśmy w forcie, ludzi w starych koszarach, a pan Prescott obiecał, że zechce być moim gościem.

- No, to znakomicie. Zatem do jutra.

Obaj mężczyźni pożegnali komendanta i wyszli. Zgodnie z przewidywaniami, następnego dnia zawinął do przystani długi szereg łodzi.

Przewodnika przyjął kapitan Sharp.

- Na Boga, człowieku, czemu pan zboczył tak daleko ze szlaku? Stone wydawał się zły.

- Czemu? Te czerwone małpy, które mnie tu przywlokły, nie mają zamiaru płynąć dalej. Ledwo ich ubłagałem, żeby chociaż dowieźli mnie tu.

- Mógł pan przecież wziąć wioślarzy odżybuejskich z Fortu Maurepas. To najlepsi jakich znam i doskonale obeznani ze szlakiem.

- Ba... Gdybym mógł! Porucznik Banks, tamtejszy komendant, poinformował mnie, że Indianie coraz niechętniej podejmują się tego zajęcia, a ostatnio jakby ich wymiotło z okolicy fortu. Radził mi postarać się o nowych ludzi tutaj.

Kapitan ze zrozumieniem pokiwał głową. Wiedział, dlaczego Stone otrzymał takie informacje od Banksa. Osobiście przecież zostawił mu w tym względzie ścisłe instrukcje. Ale to oczywiście nie powinno obchodzić Stone'a.

- Rzeczywiście to kłopot, panie Stone. Obawiam się, że Indian trudno panu będzie wyszukać i tutaj. Jest co prawda trochę białych, którzy może nie odmówiliby, ale oni są znacznie drożsi od czerwonoskórych.

Stone przełknął gładko tę informację nie dając nic poznać po sobie.

- Może pan kapitan zna któregoś z nich? Sharp rozłożył bezradnie ręce.

- Przewijają się tu ich w sezonie setki, zresztą wie pan, jak to jest w garnizonie. Ciągłe ćwiczenia, musztry, marsze, kontrmarsze. Człowiek nie ma na nic czasu.

Przewodnik pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Tak, rzeczywiście, paskudna sprawa.

- Nie może mi pan pewno nikogo polecić?

- Niestety nie, ale wiem, że w knajpie Paddy'ego zawsze wieczorami spotyka się wielu ludzi.

Może tam znajdzie pan kogoś odpowiedniego. Rozłoży się pan w forcie, czy zostajecie na wodzie?

- Zobaczę. Tę jedną noc zostaniemy na rzece, ale gdyby przyszło poczekać parę dni, wejdziemy za palisadę.

- No, to cóż. Chyba wszystko. Transport proszę zgłosić oficerowi dyżurnemu. Zastanie go pan na dole.

Stone zszedł po solidnych dębowych schodach do biura, gdzie porucznik Berens, podobnie zresztą jak w Forcie Maurepas, odnotował potrzebne dane. Nie wpisywał ich jednak jak tam, do książki, lecz na specjalnym formularzu: właściciel całego transportu - John Rut-ter, przewodnik - John Stone, odbiorca - tu przewodnik zawahał się jakby przez moment, w końcu stwierdził: - Cały ładunek będziemy chcieli sprzedać w North West Company - i dodał wyjaśniająco: - Pan Rutter nie należy do tej kompanii; prowadzi wolny skup futer, co się bardziej oplaca.

Porucznik nie był dociekliwy, zanotował słowa przewodnika i podsunął mu papier:

- Proszę podpisać. O, tu!

- Widzę, że panują nowe zwyczaje. Poprzednio niczego się nie podpisywało?

Porucznik ziewnął:

- Teraz kupcy zrzeszeni w N.W.C. też niczego nie podpisują. Dopiero przy odbiorze ładunku.

Natomiast niezrzeszeni również w fortach, w których się zatrzymują.

Stone nagryzmolił trzy krzyżyki. Porucznik przyłożył pieczęć potwierdzającą autentyczność podpisu i zabrał się za swoją pracę. A miał jej widać niemało, gdyż stos papierów na biurku* wyglądał pokaźnie.

Gdy jednak wyglądając dyskretnie przez okno ujrzał, że przewodnik zmierza w stronę knajpy Paddy'ego, zgarnął papiery, wrzucił je do kosza i złapawszy formularz, popędził do Sharpa.

Kapitan obejrzał papier i przeczytał cicho: „właściciel całego transportu - John Rutter”. Podkreślił starannie słowo „całego” i papier schował do szuflady biurka.

Gdy porucznik wyszedł, uchylił drzwi sąsiedniego pokoju i powiedział uprzejmie:

- Niech Czarny Bizon wejdzie i spocznie. Nikt nam nie przeszkodzi.

Rozmowa trwała długo.

Tymczasem Stone, zgodnie zresztą nie tyle z radą kapitana, co raczej dla sobie wiadomych powodów, udał się do Paddy'ego. Knajpa stała tuż pod palisadą fortu i mimo wczesnej jeszcze pory rozbrzmiewała gwarem.

Podszedł do baru i zabębnił palcami po brudnym drewnianym blacie. Grubas stojący za ladą podsunął się w kierunku nowego gościa.

- Piwo czy whisky? - spytał rzeczowo.

Stone wykonał palcami ledwo widoczny gest i odparł:

- Dużą whisky.

Gospodarz zauważył widać ten znak, bo stawiając przed gościem butelkę i sporą szklanę rzucił szeptem:

- Za pięć minut wejdź do drugiej izby.

Gość rzucił na ladę należność, nalał sobie pełną szklanę i wolno obrócił się w stronę sali, jakby w poszukiwaniu jakiegoś wolnego miejsca. Wszystkie stoły były jednak zajęte przez dziko wyglądających mężczyzn. Zgromadziły się tu chyba najlepsze okazy z całego * zachodu - pomyślał. I Rudy nie ma lepszych. Brodate, poznaczone bliznami, spalone słońcem i wichrem twarze, brudne, poszarpane ubiory, przeważnie ze skór, pokrytych na zewnątrz włosami, różnorodna broń, począwszy od tomahawków i noży, a skończywszy na różnych typach strzelb i pistoletów, stwarzały niesamowity widok.

Stwierdziwszy, że minęło wyznaczone pięć minut i upewniwszy się, że nikt nie zwraca na niego najmniejszej uwagi, wsunął się niepostrzeżenie do drugiej izby i zamknął za sobą drzwi.

Jednak ani jego wejście do knajpy, ani wymiana znaków z barmanem, ani wreszcie prześlizgnięcie się do drugiego pomieszczenia nie odbyło się bez zwrócenia uwagi aż czterech par bystrych oczu. Stone, niestety, nie mógł tego zauważyć. Ci, którzy go obserwowali, nie należeli do nowicjuszy. Zauważyli też, jak w parę chwil potem zniknął barman, a miejsce jego zajął pomocnik.

Stone nalał sobie drugą szklanę, gdy bocznymi drzwiami wszedł barman.

Nie dając przewodnikowi dojść do słowa, powiedział cicho:

- Jak tylko skończę, wyjdź; kręcą się tu różni szpicle. Nie mogą nas razem zobaczyć. Spotkamy się o północy milę od fortu w dole rzeki, przy trzech starych dębach. Miejsce znajdziesz. Tam porozmawiamy. Upewnij się, czy cię ktoś nie będzie śledził. - Skończywszy, zniknął za drzwiami.

Stone odczekał parę chwil i opuścił izbę. Dla niepoznaki podszedł jeszcze do baru, kupił drugą butelkę wódki, zapłacił i powędrował ku wyjściu.

Nad rzeką, wśród oczekujących go trzech kompanów, znalazł się tuż przed zachodem słońca. Cree zniknęli. Było mu to na rękę; i tak musiał ich tu odprawić. Rzucił się na rozpostartą wiązkę futer i polecił obudzić na godzinę przed północą. Zasnął prawie natychmiast.

O północy czekał w umówionym miejscu. Nie brał z sobą strzelby, za to na wszelki wypadek umieścił w rękawie dodatkowy długi nóż. Nie musiał czekać długo. W parę chwil po nim nadszedł właściciel szynku i trzeba przyznać, że mimo swej tuszy musiał mieć bardzo lekki chód, skoro szelest jego kroków usłyszał dopiero w ostatniej chwili.

Usiadł spokojnie pod drzewem i przystąpił od razu do sprawy.

- Z samego rana zgłosi się do ciebie McDougal. Poznasz go, jest trochę zezowaty. Ma kanu i dwudziestkę chłopaków, jakich nie widziałeś. On cię zna. Widział cię zresztą po południu. Wynajmiesz jego i ludzi, których ci wskaże. To wszystko nasi, tak że nic nie będziesz płacił, ale dla formalności zgłosisz w forcie co trzeba. Przeładujecie towary do jego łodzi i po południu opuszczasz fort w kierunku jeziora. Oczywiście oficerowi zameldujesz, że wracasz na szlak. Odpłyniecie nie więcej niż cztery, pięć mil z prądem. Dalej transport poprowadzi McDougal. Za trzy dni będziesz po drugiej stronie granicy. Pozdrów tam naszych.

Stone pokręcił z powątpiewaniem głową.

- A co będzie, jeśli z Fortu Maurepas nie nadejdzie potwierdzenie o naszym wejściu na szlak?

- Tym się nie musisz przejmować. Wiele transportów przechodzi tamtędy nocą. Czasem jakiś zaginie - rozumiesz? To normalna sprawa. Oczywiście naszych chłopców nie wystarczy. Przy potoku będzie jeszcze ze czterdziestu Indian. Dacie sobie radę z przeniesieniem ładunku w górę rzeki. Wyjdziecie o jakieś dziesięć mil powyżej fortu. Tam przeczekać cały dzień. Noc na rzece. Kolejny dzień w ukryciu i następnej nocy przeskok na drugą stronę. McDougal zna drogę i ludzi. Możesz być spokojny. No, czas na mnie. Może czegoś potrzebujesz?'

- Najwyżej parę butelek.

- Dobra. Ktoś ci podrzuci. A jak z konkurencją tam u was?

- Do zimy chyba się skończy.

Na twarz grubasa wypełznął drapieżny uśmiech.

- To znakomicie. Wiosną podeślemy trochę towarów. Poprowadzisz transport?

- Pewno tak, ale już inną drogą.

- No, to powodzenia.

Zniknął prawie tak samo bezszelestnie, jak się pojawił.

Stone odczekał dobry kwadrans i również ruszył ledwo widoczną ścieżką w stronę fortu.

W pół godziny później z za grubego pnia, gdzie toczyła się opisana rozmowa, podniosły się jeszcze dwa cienie i zniknęły w ciemnościach.

W gabinecie dowódcy fortu do późna w noc paliło się światło. Nie było jednak widoczne na zewnątrz. Z samego wieczora okna zasłonięto szczelnie grubymi storami. Wewnątrz, w milczeniu, przy kawie i cygarach oczekiwało trzech mężczyzn: pułkownik Carrington, kapitan Sharp i Henry Prescott.

Około drugiej Berens zameldował dwu zwiadowców. Byli ubłoceni, ale pułkownik nie zwrócił na to żadnej uwagi. Wiedział, że po nocnej wyprawie nie mogli wyglądać inaczej.

Raport ich był zwięzły i treściwy. Po wysłuchaniu przybyłych na stole pojawiła się bardzo dokładna mapa terenu. Pięć głów pochyliło się nad nią, studiując uważnie każdy najdrobniejszy szczegół. Przyciszona rozmowa trwała prawie trzy godziny.

O szóstej rozległ się dźwięk garnizonowej trąbki; około ósmej dwie kompanie-jedna pod dowództwem porucznika Kensingtona, druga z porucznikiem Morrisem, wyszły jak zwykle z koszar i udały się na ćwiczenia terenowe.

Stone patrzył na ten wymarsz z uczuciem lekkiego niepokoju, którego nie omieszkał ujawnić przed parę minut temu poznanym McDougalem:

- A cóż to za historia? Czy to zawsze tak? Pryblas wzruszył lekceważąco ramionami.

- Podobno od czasu jak w forcie władzę objął Carrington, czyli już od paru lat. Co jak co, ale żołnierzyki nałożą się, ile tylko dusza zapagnie. Na szczęście poszli w kierunku, który nas nie interesuje.

Nowi znajomi naradzali się ponad godzinę. W końcu po ustaleniu wszystkich szczegółów Stone poszedł do fortu pozałatwiać formalności.

Porucznik Berens z aprobatą przyjął wiadomość, że przybyłemu udało się zwerbować tylu białych przewoźników. Wydawał się jeszcze bardziej zadowolony, gdy Stone poinformował go, że ubiegłego dnia jeden z Odzybuejów (tu na poczekaniu wymyślił jakąś prawdopodobną historyjkę) obiecał czekać w dole rzeki z kilkunastoma dodatkowymi wiosłarzami i przewodnikami.

- Kiedy wyjazd? - spytał uprzejmie. o

- Po południu. Chcielibyśmy do jeziora dotrzeć rano.

- A łódzie pan ma? Bo na tym szlaku pańskie nie przejdą. Uzyskawszy potwierdzenie, podniósł się zza biurka i stwierdził z

wyraźnym żalem:

- Wy, kupcy, macie nie tylko ciekawe życie, ale i niezłe pieniądze. A my - tu wskazał stos papierów - albo ćwiczenia lub musztra, albo jak u mnie, papiery. Psie życie.

Stone spojrzał z udanym współczuciem.

- Rozumiem pana, poruczniku, zwłaszcza że widziałem jak przed godziną wychodzili z fortu żołnierze. Ćwiczenia? - spytał niewinnie.

Porucznik parsknął.

- Ćwiczenia! Będą się nawzajem podchodzić przez cały dzień. Zrobią ze trzydzieści mil z okładem i wieczorem wrócą. Każdy będzie czuł nogi w... krzyżu. Psia służba - dodał z westchnieniem. - No, ale mnie robota goni, a i pan pewno nie ma zbyt wiele czasu. Zatem powodzenia.

Do południa cały ładunek futer i zapasy żywności zostały przeładowane na przystosowane do tutejszych warunków długie indiańskie kanu. Na dwie godziny przed zachodem słońca ruszyli zgodnie z radą McDougala. Zapowiedzianych przez Paddy'ego Indian spotkali tuż po zachodzie. W pół godziny potem, przy kamienistym nabrzeżu, gdzie nie istniało niebezpieczeństwo pozostawienia śladów, czterdziestu ludzi wzięło na ramiona dziesięć wyładowanych łodzi i ruszyło na powrót w górę

rzeki. Cudem odnajdywana przez indiańskich przewodników ścieżka znajdowała się według McDougala o jakieś cztery kilometry od rzeki i biegła równoległe do niej. Uciążliwy marsz 'trwał nieprzerwanie do świtu.

Gdy wreszcie padając nieomal ze zmęczenia dotarli na powrót do rzeki, nowy przewodnik poinformował Stone'a, że znajdują się dziesięć mil na południe od fortu w górze rzeki.

Nie rozpalano ogniska. Poza paroma wartownikami reszta zapadła w głęboki sen. O zachodzie słońca spuścili łodzie na wodę i ruszyli znów pod prąd.

Przed świtem ponownie znaleźli się na łodzi. Nocą czółna znów wdzierały się pod coraz bardziej spieniony nurt. Prąd wody stał się tak silny, że około północy trzeba było ponownie wziąć łodzie na ramiona. McDougal informował, że to najgorszy odcinek. Rzeka, tłumaczył, jest tu bystra, ma liczne mielizny, skały, progi. Jest bardzo kręta, łatwo o wypadek. Lepiej obejść łądem.

Do rana zrobili dobre sześć mil, ale przewodnik nie zatrzymywał się. Z boków i w przodzie szli zwiadowcy, toteż marsz kontynuowano do południa. Na postój wybrano dość głęboki parów odległy około trzystu jardów od rzeki. Byli w rejonie przygranicznym. Nim minie noc - jak zapewnił - będą co najmniej o dziesięć mil poza wszelkim niebezpieczeństwem. Ognia jednak nie pozwalał rozpaścić, wszyscy więc musieli zadowolić się zimnym posiłkiem.

Dzień był ciepły, jak zresztą zwykle o tej porze roku,' słońce łagodnie sączyło się przez korony drzew. Towarzystwo powoli zapadało w drzemkę. Jedynie zwiadowcy krążyli czujnie w promieniu kilkuset kroków od prowizorycznego miejsca postoju. Wprawdzie w odległości prawie trzech dni drogi od fortu nie spodziewali się spotkania z wojskiem, to jednak nawet przypadkowe spotkanie jakiejś większej grupy Indian, właśnie tutaj, też byłoby im nie na rękę. Musieli jednak przeczekać do wieczora.

Stone rozmawiał cicho z McDougalem wypytyując go o różne szczegóły dalszej podróży. Zezowaty drab nie przewidywał dalszych trudności.

- Po przedostaniu się na tereny Mdewkanton - dowodził - mamy przed sobą paskudny kawałek szlaku w kierunku wschodnim do Missisipi, a potem tylko parę potoków i jesteśmy w Forcie Dearborn na południowym brzegu Michigan. Szlak znam dobrze.

- A tamtejsi Indianie?

- Handlujemy z nimi od lat. Poza tym - machnął lekceważąco ręką - pięćdziesiąt dobrych strzelb to w tamtych stronach siła, której nikt nie zaczepi.

W tym momencie z głębi zarośli nadbiegł, zgięty do połowy, indiański zwiadowca i wykonał kilka szybkich ruchów rękoma.

- Cholera - mruknął McDougal wstając.

- Co się stało? - spytał zaintrygowany Stone.

- Jacyś czerwonoskórzy z lewej strony, o pół mili stąd.

- Dużo?

- Podobno trzech, ale tam gdzie jest trzech, może ich być większa ilość. Obudź chłopców i niech wezmą w garść karabiny. - Sam, podążając chyłkiem za zwiadowcą, zniknął w górze parowu.

Stone wykonał polecenie i w parę chwil potem cała banda leżała za różnymi wyniosłościami gruntu i grubymi pniami kilkunastu klonowych drzew.

McDougal wrócił za pół godziny. Minę miał niewyraźną.

- No i co tam?

- Nie wiem. Dzikich jest kilkunastu. Rozłożyli się kilkaset kroków stąd. Wygląda na to, że mają zamiar zostać dłużej.

- Nie ma więc chyba problemu?

- Może nie, ale może i jest. Tam nie ma wody. Dzicy nie obejdą się bez niej długo. Mogą trafić do nas.

- I co wtedy?

- To zależy, jak się będą zachowywać. Wolałbym uniknąć strzelaniny.

Przywołał jednego z indiańskich przewodników i szeptał z nim dłuższą chwilę. Indianin przytaknął parokrotnie, wykonał kilka ruchów i towarzyszący mu zapadli w haszczach tuż na skraju parowu.

Gdzieś od strony obozowiska obcych rozległ się krzyk orła, potem drugi.

Przewodnik pilnie nasłuchiwał, po czym zwrócił się do Stone'a:

- To sygnał, ale sygnał nie naszych.

Z prawej i lewej strony zagłębienia, w którym leżała banda, rozległy się podobne sygnały.

McDougal poderwał się jak na sprężynach.

- Niedobrze. Pryskamy do rzeki.

Rzucił półgłosem jakiś rozkaz. Indianie poderwali się, chwycili czółna i ruszyli w kierunku wody. Z boków wyskakiwali pozostali zwiadowcy. Wysłuchawszy ich, McDougal, odwrócił się do Stone'a.

- „Żołnierze! Biegiem do rzeki!

Jeszcze istniała szansa. Jeszcze nie było widać wrogów. Zbawczy brzeg zamajaczył o jakieś pięćdziesiąt jardów, gdy nagle z przodu zabrzmiała głośnie komenda:

- Pal!

Gruchnęła salwa. Paru niosących czółna zwinęło się jak podciętych sierpem. Reszta puściła łodzie i prysnęła na boki.

W chwilę jednak później z prawa i z lewa, z tyłu rozległy się pojedyncze karabinowe wystrzały. Uciekający Indianie pędem wrócili do parowu.

W miejscu, gdzie niedawno wypoczywali, zaczerwieniły się szkarłatne mundury żołnierzy.

Kompletnie zaskoczona banda rozpoczęła bezładną strzelaninę, gdy znad krawędzi parowu posypał się na dół grad kul. Donośny, rozkazujący głos z - góry przebił się przez huk wystrzałów:

- Poddajcie się, jesteście otoczeni! Daję wam pół minuty. Potem nie wyjdzie stąd żywa noga.

Stone spojrzął w górę. Po obydwu stronach jaru błyszczały gęste lufy muszkietów.

Z przodu majaczyło co najmniej ze dwudziestu ukrytych za drzewami. Z góry parowu kilkunastu żołnierzy i drugie tyle Indian ze strzelbami w rękach. Nie, nie miał ochoty ginać. Gdyby tamci otworzyli ogień - nie było szans na uniknięcie kuli.

- Poddajemy się!

- Dobrze. Rzucić broń i podnieść wysoko łapy!

W parę minut potem dwudziestu pięciu białych i drugie tyle czerwonoskórych leżało obok siebie powiązanych jak barany. Wokół gromadzili się żołnierze. Nadeszła grupa Indian.

Stone patrzył na nich z nienawiścią. Na czele, lekkim krokiem, zbliżał się Czarny Bizon prowadząc oddział wioślarzy, którzy przywieźli transport do Fortu Garry.

Podszedł do bandyty i trącił go lufą swej strzelby.

- Biały nie jest tak chytry jak Indianin. Myślał pewno, że czerwonoskórzy odeszli, ale oni pozostali i szli za nim, jak wilki za jeleniem. Teraz już nie ucieknie. - Powiedziawszy to odwrócił się i podszedł do jakiegoś białego, ubranego w strój myśliwski,

- Czy teraz biały brat wierzy już czerwonemu bratu i weźmie go jako swojego przewodnika?

Prescott, gdyż do niego zwrócone były te słowa, skinął głową.

- Czarny Bizon przekonał mnie, że umie wyśledzić i oszukać wrogów. On i jego ludzie pojedają ze mną i otrzymają dobrą zapłatę.

ROZDZIAŁ IX

Banda Rudego pięła się mozolnie od kilku tygodni pod prąd potężnej Athabaski. Gdzieś tam w pobliżu terenów Sarsi, na południowy wschód od Małego Jeziora Niewolniczego przywódca bandy postanowił urządzić zasadzkę na ostatni w tym roku transport towarów prowadzony przez Henry Prescottta, transport, który jak to wynikało z opowiadań porucznika Brenta, prowadziło dwudziestu paru białych i co najmniej drugie tyle Indian.

Prescott prowadził transporty tym szlakiem od wielu sezonów. Znał rzekę i jej niespodzianki, każdy najmniejszy odcinek. Znał też Indian. Dziesiątki razy odpierał ich nagłe ataki, omijał zastawione pułapki. Niebezpieczeństwo - jak mówiono - potrafił wywachać o milę. Z każdej opresji wychodził cało.

Montrealscy kupcy oraz kupcy z Quebecu powierzali mu więc chętnie swoje towary z zadaniem dostarczenia ich do odległych faktorii nad Athabaskę, Peace, a nawet Wielką Rzekę

Niewolniczą. Płacili dobrze. Opłacało się. Towary pod jego opieką docierały do celu. W powrotnej drodze docierały też futra. Przewodnik miał dobrą passę i cieszył się zasłużoną sławą.

Sławę tę znał i Rudy, toteż dotychczas transporty prowadzone przez Prescottta pozostawiał w spokoju. Wolał nie ryzykować. Za mało miał ludzi, a poza tym walka na rzece nie dawała żadnych szans. Szansa zaistniała właśnie teraz. Spieszył się więc. Przynaglał go wódz Sarsi - Pięć Niedźwiedzi, przynagłali Winter i Palmer. Wszyscy trzej, podobnie jak Rudy, zdawali sobie sprawę, że jedyną możliwością stanowiły górne rejony Athabaski i szerokie działy wodne, słynne kanadyjskie portáže, gdzie można było przygotować zasadzkę. Ale aby ją przygotować, należało się spieszyć. Banda musiała dotrzeć we wskazane przez wodza Sarsi miejsce znacznie wcześniej niż transport Prescottta.

Szczęście sprzyjało Rudemu. W połowie drogi, na północno-wschodnim skraju wielkiej prerii ciągnącej się stąd aż do granic ze Stanami Zjednoczonymi, wysłani wcześniej zwiadowcy Sarsi donieśli o spotkaniu z grupą swych współziomków posiadających konie. Radzili odkupić kilka. Ułatwiłoby to znacznie szybsze niż łodzią dotarcie przynajmniej kilku zwiadowców w rejon planowanej akcji.

Rudy nie wahał się. Targ trwał krótko i jeszcze tego samego dnia czterech wojowników z grupy wodza Pięć Niedźwiedzi pognało na południe. Pozostała część oddziału płynęła łodziami.

W niecałe dwa tygodnie później wrócił jeden z wysłanych donosząc, że transport jeszcze nie dotarł w tamten rejon. Trzech wraz z wodzem pozostało tam, by wybrać miejsce zasadzki i wypatrywać transportu.

Rudy był zadowolony. Nie pozwolił jednak na żadną zwłokę. Banda parła do przodu dzień i noc, robiąc jedynie krótkie postoje. Dowódca nie pozwalał nawet polować. Ludzie musieli się obywać suchym prowiantem. W końcu jednak wszyscy byli już tak zmachani, że mowy nie było o kontynuowaniu wyprawy pod prąd.

Palmer i tych paru nowych zażądali wręcz postojów. Rudy wolał nie ryzykować i ustąpił. Rozłożyli się na noc tuż nad rzeką. Dokoła teren był dosyć wysoki i suchy; skończyła się plaga moskitów, pozostawionych w tyle lesistych wilgotnych terenów.

Banda była silna, dobrze uzbrojona. Rudy nie musiał obawiać się żadnego zaskoczenia, zwłaszcza że znajdowali się na terenach Bobrów, zaprzyjaźnionych z białymi.

Sarsi w kilkusobowych grupkach poszli na falującą prerię i po kilku godzinach wrócili z dwoma upolowanymi bizonami. Zapłonęło kilka ognisk. Woń pieczonego mięsa rozeszła się wkoło.

O zmroku, kiedy pieczeń była już prawie gotowa, wrócił drugi z indiańskich konnych zwiadowców. Od swego wodza przyniósł dobre wieści, którymi dzielił się z Rudym i Winterem.

- Transport dwunastu dużych kanu, każde z czterema członkami załogi, znajduje się jeszcze o dziesięć dni drogi od miejsca, które Pięć Niedźwiedzi wybrał na miejsce zasadzki. Biały wódz i jego

wojownicy - tu wskazał na Rudego - oddaleni są od tego miejsca tylko o cztery dni. Zdążą więc dotrzeć przedtem, nim dotrze tam transport.

- A czemu nie przyjechał Pięć Niedźwiedzi? - spytał podejrzliwie Rudy.

- Pięć Niedźwiedzi z dwoma wojownikami śledzą transport. Będą oczekiwać na Czerwonobrodę dowódcę o dwa dni drogi stąd.

Rudy skinął głową i zmęczony zwiadowca oddalił się od ogniska.

- No i co, Winter?

- No, cóż. Na razie wydaje się, że wszystko jest w porządku i możemy zabrać się za kolację.

Posterunki wyznaczono tylko z przyzwyczajenia. Zmęczeni ludzie zapadli w głęboki sen.

W dwa dni później nad brzegiem ujrzeli samotnego jeźdźca. Pięć Niedźwiedzi dotrzymał słowa.

Łodzie dobiły do lądu. Wódz Sarsi zeskoczył z konia. Gdy biali stanęli obok niego, powiedział spokojnie:

- Łodzie z południa są o pięć dni. Zasadzka tylko o jeden dzień wodą albo o pół dnia pieszo. W odległości, jaką moi biali bracia nazywają godziną drogi, jest miejsce dobre do ukrycia się przed obcymi zwiadowcami. Niech łodzie jadą dalej do tego miejsca, a my chodźmy. Pięć Niedźwiedzi poprowadzi.

Istotnie, w niecałą godzinę stanęli na miejscu. Wódz dobrze wybrał kryjówkę. W nurt rzeki wcinał się ukośnie wąski, porośły wikliną cypel lądu. Utworzona w ten sposób naturalna zatoka prowadziła do niewielkiego obniżenia gruntu zasłoniętego od strony lądu gęstwiną splątanych krzewów. Miejsce nadawało się idealnie na kilkudniowe schronienie, zwłaszcza że samej kryjówki nie było widać również od strony rzeki, gdyż cypel biegnący ukośnie do nurtu wody z południa na północ, łagodnie skręcał przy końcu ku zachodowi, zasłaniając widoczność również z rzeki. Łodzie wpływały wolno w zaciszną zatokę. Znużeni ludzie wychodzili na ląd.

Gdy zeszli wszyscy, Rudy zaprosił wodza Sarsi, by usiadł obok niego, skinął także na Wintera i Stevensa, a gdy zajęli już swe miejsca, zwrócił się do czerwonoskórego:

- Niech mój brat mówi wszystko, co wie o naszych wrogach. Pięć Niedźwiedzi skinął głową.

- Transport, który prowadzi biały przewodnik, składa się z dwunastu łodzi. Płynie w nim dwa razy po dziesięciu białych i przewodnik oraz dwa razy po dziesięciu i jeszcze ośmiu Indian. Indianie to Odżybueje - tchórzliwe psy. Biali mają strzelby, Indianie tylko łuki i tomahawki. Płyną w ciągu dnia. Nocą zatrzymują się na brzegu.

Pięć Niedźwiedzi przez cztery noce podglądał białych i wie, że zatrzymują się w tych samych miejscach co wszyscy. Wódz Sarsi znalazł miejsce, gdzie biali rozłożą swój ostatni obóz. Tam ich napadniemy i weźmiemy skalpy.

Rudy słysząc niezachwianą pewność w głosie czerwonoskórego spytał podejrzliwie:

- A skąd mój czerwonoskóry brat wie, że biali właśnie tam założą swój wieczorny obóz?

Indianin uśmiechnął się z wyższością.

- Pięć Niedźwiedzi to wie. Biali za trzy dni dopłyną do miejsca, gdzie rzeka jest wąska, skacze jak jeleń po skałach i ryczy. Nie popłyną dalej, tam się zatrzymają i przenocują. Rano zaczną przenosić łodzie i towary w dół rzeki, tam gdzie woda jest spokojna. Będą nosili cały jeden dzień, do wieczora. Po przeniesieniu łodzi i towarów będą zmęczeni i zasną. Tam ich napadniemy. Wszystko pójdzie szybko - dodał z przekonaniem. - Jutro pokażę moim braciom to miejsce. Sami się przekonają, czy jest dobre.

- Gdzie znajdują się obaj towarzysze mojego czerwonoskórego brata?

- Pilnują transportu. Pięć Niedźwiedzi jeszcze dzisiaj wyśle kilku wojowników w górę rzeki. Więcej oczu - lepiej widzą. Kilku pójdzie na zachód i na północ. Będą patrzeć, czy gdzieś nie czają się Bobry. Sarsi wiedzą, że Bobry są teraz na południu. Poszli za stadami bizonów, ale może trochę zostało. Lepiej wiedzieć.

Rudy przyznał mu rację..

- Biali bracia wiedzą, że wódz Sarsi jest mądry i przezorny. Niech jego wojownicy zbadają okolicę.

Pięć Niedźwiedzi oddalił się i wydał wojownikom odpowiednie polecenia. W pół godziny potem pojedynczy zwiadowcy opuszczali obozowisko. Banda rozłożyła się tuż nad wodą. Rozpalono kilka niewielkich ognisk.

Rankiem następnego dnia Pięć Niedźwiedzi, Rudy, Winter i Stevens oraz Czarny Lis i Młody Orzeł prowadzeni przez wodza Sarsi udali się w górę rzeki. Forsowny marsz trwał dobre trzy godziny. Gdy wreszcie stanęli nad wodą, Indianin wskazał na wybrane przez siebie miejsce.

- Tu urządzimy zasadzkę.

Cała grupa uważnie oglądała otoczenie.

W górę, po obu stronach wąskiej w tym miejscu rzeki, piętrzyły się skaliste ściany. Rzeka, widziana na odległość przynajmniej pół mili, waliła - z hukiem. W nurcie strzelały gęsto rozsiane głazy zmywane spienioną wodą. Mowy nie było, by przeszła tędy jakaś łódź. W miejscu gdzie stali, gardziel rzeki urywała się gwałtownie. Oba brzegi rozchodziły dość szeroko. O sto kroków w dół od spienionego nurtu prąd stawał się łagodniejszy. Kilkadziesiąt jardów od wylotu gardzieli widniała nie większa niż sto pięćdziesiąt stóp długości i trzydzieści szerokości, łagodnie opadająca do samej wody, płaska zupełnie polana, pozbawiona jakiegokolwiek osłony. Z góry parowu prowadziła ku niej wąska, ledwo widoczna ścieżka. Wzdłuż biegu rzeki - o sto jardów od skraju polany piętrzyło się kolejne rumowisko skalne. Wódz Sarsi pokazał z dumą na polanę.

- W tym miejscu biały przewodnik złoży swoje łodzie i towary, i tu założy obóz. Sarsi i ich biali bracia nie będą mu w tym przeszkadzali. Poczekają, aż cały obóz zaśnie. Wtedy nadejdą ścieżką

z góry i z dołu, zza tych kamieni. Zastaną wszystkich we śnie. Nikt nie zdąży uratować skalpu.

Czarny Lis z uznaniem pokiwał głową:

- Wódz Sarsi nie mógł wybrać lepszego miejsca. Czy Pięc Niedźwiedzi wie, ile czasu potrzeba, by nad rzekę przenieść kanu i wszystkie towary, jakie wiezie biały przewodnik?

- Jeden cały dzień - padła zdecydowana odpowiedź.

- A czy wódz Sarsi nie będzie miał za złe Czarnemu Lisowi i jego synowi Młodemu Orłowi, że oni obejrzą sami miejsce obozu białych po tamtej stronie ryczącej wody i przejdą ścieżką, którą będą przenoszone towary?

Pięc Niedźwiedzi odparł spokojnie:

- Czarny, Lis i jego syn postąpią według swojego życzenia, ale wódz Sarsi nie myli się.

Gdy Winter przetłumaczył Rudemu rozmowę Indian, ten skinął głową.

- Niech Czarny Lis idzie. Może jego oczy dojrzą jeszcze coś istotnego.

Odchodząc, Czarny Lis spojrzawszy na słońce wytłumaczył, że wrócą przed zachodem.

Przypatrzwszy się jeszcze raz miejscu, na którym stali, i okolicy, Rudy nakazał odwrót. W południe stanęli ponownie w obozie. Banda, ubezpieczona penetrującymi okolicę Indianami Sarsi, czuła się i zachowywała pewnie. Musiała też dobrać się do jakiejś baryłki rumu, bo głosy z obozu rozchodziły się na kilkaset metrów.

Rudy do obozowiska wpadł wściekły. W kilka minut później zapanował spokój. Otwartą baryłkę rumu dowódca zabrał, zgrzytając zębami. Usiłującego ją zatrzymać Forbesa jednym uderzeniem ciężkiej rękojeści pistoletu pozbawił kilku zębów.

- Jeśli ktokolwiek powącha rumu - znacząco dotknął zatkniętego za pas noża - poczuje ten kawałek żelaza. - Wszyscy zrozumieli, że nie żartował.

Niefortunny obrońca baryłki, zamroczony jeszcze ciosem, wydłubywał palcami resztki pogruchotanych zębów. Nie ośmielił się na dalszy odruch buntu. Wiedział, że Rudy pozwala na wiele, ale nie przed akcją, i pamiętał kilka przypadków, gdy ktoś z bandy usiłował stanąć okoniem. Szybko potem wrzucali jego zwłoki do najbliższej jamy i zasypywali ziemią lub kamieniami. Kara była zawsze taka sama.

Na wszelki wypadek odsunął się nad sam skraj zarośli. Wolał nie ryzykować. W jakimkolwiek starciu nie miał najmniejszych szans. Nikt nie stanąłby po jego stronie.

Spojrzał na siedzącego o kilka kroków Wintera. Dla nikogo nie ulegało wątpliwości, że zastąpił Toma. Wprawdzie Rudy nie wyznaczył go formalnie, ale Forbes nie miał tu żadnych złudzeń.

Kiedyś w czasie parogodzinnej nieobecności Rudego, Peter - ogromne, mające siłę niedźwiedzia chłopisko - chciał dostać się również do rumu, gołe pięści Wintera zrobiły z niego nieomal miazgę. Nie użył broni, a wszyscy nieraz widzieli, jak się nią posługiwał. Rudy po powrocie nie zwrócił mu nawet uwagi. Owszem, obejrzał sobie Petera, pokpił nawet trochę z niego - Wintera

zabrał na wódkę. Wszyscy zrozumieli. Nowy członek bandy, nie wyglądający zbyt groźnie z pozoru, stał się prawą ręką szefa. Rutter wiedział, kogo przysłać.

Ten zaś, wokół którego koncentrowały się w tym momencie myśli Forbesa, siedział spokojnie na piasku i grubym patykiem kreślił plan sytuacyjny przyszłej akcji.

Starannie wyrysował rzekę w parowie i obszar spokojnej wody, leżącą nad nią polanę, skalistą ścieżkę i grupę skał poniżej. Od południa polana zamknięta była też dosyć wysoką skałą. Kilkanaście stóp zaledwie, ale to wystarczało. Ci, którzy znajdują się na polanie, nie mają żadnych szans. Pod tym względem wódz Sarsi miał rację. Istniała jednak luka. Lukę tę stanowiła woda. Jeśli komuś uda się dotrzeć do wody, ma cień możliwości. Napad odbędzie się nocą. Do wody zaledwie kilkanaście skoków. I wtedy cały plan mogą wziąć diabli.

Czoło przecięły mu dwie pionowe bruzdy. W tym momencie dzierżąc w rękach grube patyki i kawałami spieczonego mięsa przysiadł się Rudy.

- Co tam rysujesz, James? Gnębi cię coś? Winter wziął jeden patyk z rąk szefa i mruknął:

- Niepokoi mnie rzeka.

- Jak to, rzeka?

- Patrz! Prescott rozłożył się na polanie. Z tyłu ma ścieżkę, którą zejdą nasi. Z przodu tę kupę kamieni, zza której też wyjdą nasi, z prawej strony, na całej długości, polanę zamyka skała. Nie przejdzie tam nawet mysz. Ale z lewej strony jest rzeka. Rozumiesz? Rzeka. Wystarczy parę skoków i kupa ludzi może prysnąć. A to nie dzieci. Mogą narobić nam sporo kłopotów. Rzeka mnie niepokoi.

Rudy zaklął szpetnie.

- Masz rację... Woda... Że też nie pomyślałem o tym wcześniej. Ale jakie jest wyjście? Atak w trakcie przenoszenia ładunku?

Winter z dezaprobatą pokręcił głową.

- Nie, to na nic. Zabijesz paru, resztę ustrzeżesz. Miejsce nad wodą jest dobre, tylko trzeba zabezpieczyć rzekę.

- Jak, do cholery?

- Nie wiem jeszcze - Winter wzruszył ramionami - kombinuję. Ale jest jeszcze jedna trudność - wartownicy. Prescott, jeśli prawdą jest to, co o nim gadają, nie zostawi obozu bez ubezpieczenia. Na szczęście wiemy, gdzie posterunki będą stały.

- No?

- Jeden lub dwu gdzieś w pobliżu ścieżki u góry parowu, w miejscu gdzie schodzi się do obozu i pewno tyle samo przy rumowisku w dole polany. Wartowników trzeba zlikwidować po cichu. Nie będzie z tym kłopotu.

- A jak nasi dostaną się na górę? Przecież nie przejdą przez obóz Prescottta?

- Nie, Billy. Tamtędy nie przejdą. Muszą przedostać się wcześniej na tyły transportu. Ma się

rozumieć, nie wszyscy. Tylko ta część, która opanuje ścieżkę do góry i nie pozwoli przemknąć się nikomu z powrotem. Powiedzmy piętnastu. Nie więcej. To nie takie ważne. Ścieżka jest wąska i wystarczy paru ludzi. Niepokoi mnie tylko rzeka.

Obaj współnicy naradzali się jeszcze długo. W końcu problem zabezpieczenia się od strony wody został rozwiązany.

Tuż przed zachodem powrócili Czarny Lis i Młody Orzeł. Podeszli wprost do Rudego.

- Pięć Niedźwiedzi miał rację. Biały przewodnik przeniesie towary w ciągu dnia; noc spędzi tam, gdzie kończy się grzmiąca woda. Czy moi bracia mają już gotowy plan walki?

Rudy przywołał Wodza Sarsi i jeszcze raz w najdrobniejszych szczegółach opowiedział obu Indianom to, co ustalili z Winterem.

Pięć Niedźwiedzi i Czarny Lis zadali jeszcze kilka pytań, a uzyskawszy odpowiedź, zaakceptowali plan bez żadnych poprawek. Widać uznali go za dobry.

Jeszcze tej samej nocy oddział Sarsi poszedł w górę rzeki. Jemu, jako najbardziej do tego celu przygotowanemu, powierzono zajście tyłów nadciągającego transportu Prescottta i zamknięcie ścieżki prowadzącej nad krawędzią rzeki. Oni też mieli unieszkodliwić strażników, gdyby Prescott takich wystawił. Po wykonaniu zadania mieli dać znać bandzie, że ścieżka jest zabezpieczona. Jako sygnał ustalono trzykrotny krzyk puszczyka.

Czarny Lis i Winter mieli się zająć usunięciem straży na polanie. Potem miał nastąpić atak całej bandy na śpiący obóz.

W denerwującym oczekiwaniu minęły dwa dni. Około południa, trzeciego, przybył posłaniec od wodza Sarsi z wiadomością, że rankiem biali zwinęli obóz w górze rzeki i rozpoczęli przenoszenie ładunku.

Po otrzymaniu tej wiadomości w bandzie dało się odczuć nieznaczne poruszenie, ale surowy wzrok Rudego i zimne spojrzenie niebieskich oczu Wintera szybko przywróciły spokój. Banda leżała w swej kryjówce nie wysuwając nosa. Teren z tej strony nie nadawał się do żadnych zwiadów. Trzeba było czekać do zmroku.

Rudy parokrotnie sięgał po fajkę. Za każdym jednak razem widząc znudzoną nieomal twarz Wintera i jego leniwe ruchy, chował ją z powrotem. Obydwaj Indianie zachowywali kamienny spokój.

Słońce przechyliło się daleko na zachodnią stronę nieba, sięgnęło szczytów odległych, niewysokich wzgórz, wydłużyły się cienie. Nad równiną gęstniał mrok. Banda przygotowywała się do wymarszu w milczeniu.

Winter, który od samego początku nosił indiański strój w odróżnieniu od wszystkich pozostałych towarzyszy Rudego, starannie dociągnął pas, poprawił wiązania mokasynów, sprawdził zamocowanie noża. Po chwilowym wahaniu odłożył strzelbę, róg z prochem i worek z kulami.

Na pytające spojrzenie Billy'ego wzruszył ramionami:

- Przy zabawie z wartownikiem będzie mi tylko przeszkadzać. Potem wystarczy jedna salwa. Na nabicie strzelby nie starczy czasu.

Lepsze to - tu z dna łodzi wyjął indiański tomahawk i zatknął go za pas. - Zresztą popatrz na Czarnego Lisa. On też tak myśli.

Podszedł do ogniska, rozgarnął trochę czarnego węgla i pomazał tym twarz i ręce.

- Nocą biała twarz widoczna - dodał niedbale - a wartownik na ogół ma bystre oczy.

Rudy z aprobatą pokiwał głową.

- No, to w drogę.

Ruszyli w milczeniu. Nie wiedzieli, czy ktoś przypadkowo nie oddalił się od transportu. Teren był równy. Mimo ciemności należało zachować jak najdalej posuniętą ostrożność.

Po dwu godzinach drogi pojawiły się niewielkie pagórki.

Winter i Czarny Lis wysunęli się znacznie do przodu. Przemykali jak cienie od jednego wzgórzka do drugiego, od jednego do drugiego pojedynczego krzewu czy samotnego drzewka.

Szli tuż nad rzeką. Po przejściu jeszcze kilkuset kroków zobaczyli blask ogniska i cienie poruszających się wokół postaci. Odległość nie była wielka. Najwyżej dwieście pięćdziesiąt-trzysta kroków. Zaczekali na pozostałą część bandy.

Wymieniwszy z Rudym kilka słów szeptem, padli w trawę i po chwili pochłonął ich mrok.

Po upływie około trzech kwadransów tuż u stóp Rudego wychynął Winter.

- Od tej strony nie ma straży. Czarny Lis został na czatach. Za mną!

Banda przypadła do ziemi i długim węzłem poczołgała się w stronę płonącego ogniska. Winter, który znajdował się na przedzie, musiał przyznać, że jednak nie doceniał tych ludzi. Podczas całej drogi nie usłyszał jednego potrąconego niebacznie kamyka, jednego trzasku gałązki czy nawet głośniejszego oddechu. Od obozowiska Prescottta dzieliło ich jeszcze sto pięćdziesiąt, sto dwadzieścia, wreszcie sto kroków. Docierali do rumowiska. Po chwili zamajaczył cień Czarnego Lisa. Układali się obok niego długim szeregiem. Wreszcie zamarli w oczekiwaniu.

Wokół ogniska panował jeszcze duży ruch i krzątanie. Słysząc było przytłumiony gwar rozmów, nieco głośniejsze wybuchy śmiechu. Przewodnik transportu czuł się widać zupełnie bezpiecznie.

Po upływie około godziny ruch w obozie zaczął się wyraźnie zmniejszać, cichł gwar rozmów, jasne dotąd, wysoko strzelające z ogniska płomienie stopniowo przygasały. Szum płynącej rzeki głużył wszelkie odgłosy rozmów. Cienie wokół ogniska znikwały. Snadź utrudzeni całodziennym wysiłkiem mężczyźni układali się do snu.

Rudy jednak nie ruszał swych ludzi. Czekał na sygnał wodzą Sarsi. Ognisko ledwo już się tliło: od ułożenia się obozu do snu minęła dobra godzina, a tam u góry, gdzie w dół schodziła stroma ścieżka, nadal panowała cisza.

Gdzieś w pobliżu rozległ się krótki pisk szczura wodnego, potem drugi, chlapnięcie ogonem i... nic.

W kwadrans potem z góry rozległo się przytłumione hukanie nocnego puszczyka. Głos powtórzył się trzykrotnie. Rudy uniósł rękę. Leżący dotąd w bezruchu szereg mężczyzn drgnął i wolno zaczął posuwać się do przodu. Sunął cał za całem, bez najmniejszego szmeru, bez szelestu, /'resztą w miarę zbliżania się do gardzieli rzeki narastający szum wody głuszył wszystko. Zaczęli czołgać się szybciej. Od ogniska dzieliło ich nie więcej jak dwadzieścia kroków. W blasku wschodzącego księżyca widzieli już wyraźnie skupione wokół ognia sylwetki uspiomych ludzi, gdy Rudy podniósł się ostrożnie i przyłożył strzelbę do ramienia. Milczący dotąd szereg powstał także. W blasku księżyca błysnął rząd luf karabinowych skierowanych ukośnie ku ziemi, tam gdzie spoczywali uspieni, i Rudy nie ścisząc już głosu rzucił:

- Ognia!

Potworna salwa targnęła powietrzem. Straszliwy huk zagłuszył na moment głos walącej w dół rzeki. Grzmot przetoczył się po ścianach niskiego parowu, banda runęła w kierunku ogniska, by dokończyć krwawego dzieła, gdy nagle niczym echo rozległ się z tyłu głos donośny, twardy jak stal:

- Ognia, chłopcy!

I znów zabrzmiały muszkiety, a w chwilę potem na kompletnie zaskoczoną bandę runęły dziesiątki postaci. Zawrzała krótka, straszliwa walka, ale banda Rudego, która po pierwszej salwie przeciwnika straciła połowę ludzi, szybko została obezwładniona.

Do ogniska dorzucono parę wiązek chrustu i gdy płomienie oświetliły otoczenie, Rudy, któremu w chwili gdy padła z tyłu zaskakująca komenda, ktoś podciął nogę. Ujrzał teraz, że domniemani ludzie Prescottta, do których oddał swoją salwę, to tylko kilkadziesiąt worków wypchanych trawą. Zrozumiał teraz szatański podstęp. A więc to nie on, tylko jego zwabiono w zasadzkę. Tylko kto? W pierwszej chwili pomyślał, że Sarsi, którzy dali sygnał, ale nie przyszli z pomocą, gdy nagle coś ujrzał, jak po stromej ścieżce jacyś inni Indianie znoszą pojedynczo powiązanych i zakneblowanych Sarsi. Układano ich nieco dalej od bandy białych, w dole rzeki. A więc tak. Najpierw w zasadzkę wpadł Pięć Niedźwiedzi i albo on sam za cenę życia, albo któryś z jego ludzi ujawnił cały plan.

Patrzył na pobojuwisko. Połowa bandy leżała martwa, kilkunastu pozostałych przy życiu odniosło większe lub mniejsze obrażenia. Obok leżał związany i chyba nieprzytomny Winter, dalej Czarny Lis i Młody Orzeł. Obydwaj nie wyglądali na poturbowanych zbyt mocno-.

Zacisnął zęby. Wiedział, że to koniec. Nie mógł oczekiwać żadnego sądu. Mocna gałąź lub kula w łeb. Spojrzył w stronę ogniska. Siedziało przy nim dwu mężczyzn i rozmawiało dość głośno.

Jeden z nich, trochę starszy, przekonywał drugiego:

- Słuchaj, Prescott, chyba nie zamierzasz ich taszczyć do fortu? Ujawnili swoje zamiary.

Chcieli nas wymordować. To chyba wystarczy? Na co czekasz?

- Nie ma się co spieszyć, Herbercie. Ludzie padają z nóg. Muszą trochę odpocząć. Prześpijmy się. Sprawę załatwimy z rana. Zwłaszcza że ciała trzeba będzie pochować w ziemi. No i jakiś krzyż postawić. Bandyci to bandyci, ale biali, pewnie chrześcijanie. Może znajduje się wśród nich chociaż jeden, który jeszcze nie splamił rąk krwią niewinnego. Ten krzyż będzie dla niego. To nie robota po nocy. Idź spać.

Nazwany Herbertem mruknął, widać nie przekonany:

- Rób jak uważasz, Henry, ale w takim razie ja wezmę paru chłopaków i przypilnuję Sarsi. To diabelskie nasienie. Wystarczy, żeby jakimś cudem uwolnił się jeden, a w parę chwil czmychnie cała banda. Byłoby szkoda.

- No dobrze, idź w takim razie i pilnuj ich, ja tymczasem rozstawię warty.

Z tymi słowy podniósł się i wydał kilka rozkazów. Trzech wartowników zajęło miejsca gdzieś poza obozem. Jeden o kilka kroków od powiązanej bandy.

Ludzie Prescottta, którzy musieli mieć za sobą rzeczywiście ciężki dzień, układali się pod skalną ścianą, z dala od wody, od której ciągnęło wieczornym chłodem.

A więc tylko do rana! Rudy spróbował więzów na rękach, ale to było beznadziejne. Myśli jego powędrowały ponurymi szlakami przeszłości. Nie, nie bał się. Był tylko wściekły, że wpadł tak głupio. Wpatrywał się przez chwilę w przygasające gałęzie, po czym przeniósł wzrok na senną twarz strażnika. W widoczny sposób popadał w drzemkę. Też musiał mieć dosyć.

Rudy postanowił przespać się także. Miał wisieć, to zawiśnie, ale po cóż miał być dodatkowo niewyspany?...

Odwrócił twarz od ognia i zamarł na moment. Czarny Lis, który poprzednio leżał dobry metr od swego syna, teraz opierał się o niego plecami. Spojrzał spod przymkniętych powiek na strażnika. Ten spał już wyraźnie. Skierował wzrok na obu Indian.

Czarny Lis podkurczył w dziwny sposób nogi, po czym ponownie je wyprostował. Teraz Młody Orzeł zmienił pozycję. Na moment nogi Wintera znalazły się przy jego plecach. Po chwili znów, tym razem oni obydwaj, leżeli do siebie tyłem.

Rudy patrzył z niepokojem na wartownika. Spał, ale czy tamci, czy tamci i jego uwolnią? Przez chwilę o mało nie krzyknął. Chcieli uciec bez niego. Ale nie... W tym momencie wartownik zaczął unosić głowę. Budził się wyraźnie.

Winter, który miał już wolne ręce, podniósł się jak kot; dwoma cichymi susami dopadł strażnika i przycisnął go do ziemi. W tym samym momencie Młody Orzeł szybko, jak myśl, prześliznął się do Rudego. Szybkimi ruchami przeciął jego więzy i szepnął: - Do rzeki, tam gdzie nasze kanu.

Widząc, że Winter mocuje się jeszcze z silnym i widocznie oprzytomniałym już wartownikiem

i czując, że za chwilę może być za późno, Rudy stoczył się błyskawicznie do wody. W ostatniej chwili przed zanurzeniem usłyszał jeszcze jakiś krzyk, ujrzał skaczącego w wodę Wintera i huk kilku wystrzałów. Gdy wypłynął pięćdziesiąt kroków na środek rzeki, posłyszał jakieś krzyki i chlupot kul w niebezpiecznej

bliskości głowy.

W parę minut później wylazł na brzeg i puścił się pędem w stronę zbawczej zatoki, gdzie zostały ich czółna. I mimo że nie był dobrym biegaczem, dotarł tam w niecałe półtorej godziny.

Tamci trzej czekali. Nie zawiedli. Mocno ścisnął ich ręce.

W pięć minut przetrzucili do jednej łodzi wszystko, co im było potrzebne, a pozostałe podziurawili. Wiosła zanurzyły się w wodzie. Łódź pomknęła z prądem rzeki. Nie padło ani jedno słowo. Rozumieli się. Nim pojaśniało niebo, od miejsca napadu byli kilkanaście mil, ale Czarny Lis, który siedząc z tyłu sterował czółnem, na nieme zapytanie Rudego pokręcił przecząco głową:

- Może być pościg. Trzeba uciekać szybko.

Wiosłowali więc na zmianę, pozwalając mniej więcej co godzinę na parominutowy odpoczynek jednemu. Posilali się nie przerywając ucieczki. Kanu mknęło dzień i noc. Indianie wykazywali niespożytą odporność i wytrzymałość. Wystarczała im godzina, najwyżej dwie snu na dobę.

Rzeka potężniała, przybierała na sile. Jej brzegi ogarniały coraz gęstsze puszcze. Zbliżali się do celu, ale mimo to tempo jazdy nie słabło.

Rudy wiedział, że Prescott również się śpieszy i wiedział dlaczego. Sarsi lub ktoś z bandy nie wytrzyma i powie o Rutterze, i o innych. Wiedzieli przecież dużo. A Rutter i ci, co pozostali w faktorii, znaczyli teraz wszystko. Trzeba ich było uprzedzić za wszelką cenę.

Była połowa października, gdy znaleźli się w pobliżu fortu. Tu, pod osłoną nadbrzeżnych drzew, przeczekali do wieczora. Wieczorem Rudy i Winter przemknęli cicho do faktorii.

Kupiec siedział akurat przy kolacji. Ujrzawszy tak niespodziewanie swych współników zamienił się nieomal w słup soli. Relacji jednak wysłuchał spokojnie.

- Kiedy może nadciągnąć Prescott? - zadał rzeczowe pytanie.

- Jeśli przyjdzie z transportem, to za jakieś dwa, trzy tygodnie. Jeśli wysłał pościg, będą tu najpóźniej za dwa, trzy dni - odpowiedział Rudy.

- Dobra. Posiedźcie trochę. Idę uprzedzić naszych.

W pół godziny potem do izby weszli dobrze znani Winterowi tutejsi kupcy: Charles Mathiew i Thomas Locke.

Jak Rutter poprzednio, tak teraz oni wysłuchali spokojnie relacji Rudego i Wintera.

Obaj zresztą przypuszczali, że prawdopodobnie Prescott wysłał pogoń, a jeśli on to uczynił, pogoń mogła nadciągnąć znacznie wcześniej. Nie było więc czasu do stracenia.

- Ilu macie ludzi? - spytał Winter.
- Nas jest pięciu - odparł Locke.
- Nas czterech - poinformował Mathiew.
- No i u mnie dwóch - dodał Rutter. - Razem jedenastu, nie licząc was i obydwu Indian. Damy

sobie radę.

Rutter myślał przez chwilę.

- Dużo macie futer? Obaj kupcy zaprzeczyli.
- Większość zabrał przecież Bird, a resztę Stone - sam wiesz.
- A towary?
- Będzie ze dwie łodzie, nie więcej - odparł Mathiew.
- No, to dobra. Towary ładować natychmiast. Najdalej za dwie godziny odpływamy.

Zgodzili się bez sprzeciwu. Obaj zdawali sobie sprawę, że pozostanie w faktorii to pewna śmierć. Tu, daleko od cywilizacji, nikt nie bawił się w żadne dochodzenia sądowe. Za kradzież i rozbój groziła tylko jedna kara - pętla ze sznura konopnego i konar najbliższego drzewa.

W kilkanaście minut później z wszystkich trzech magazynów ładowano towary do łodzi, stojących jak zwykle na przystani,

Brent spał w najlepsze i nic nie widział. Spała szczupłą załoga fortu, a wartownik miał obowiązek pilnować bramy, a nie przystani. Zresztą nieraz widział, jak towary ładowano wieczorem, no a poza tym osuszył już pół butelki.

Przez na wpół uchylone drzwi swej izby dziwny ruch na przystani obserwował Clay, którego akurat odwiedził Rossignol, przewodnik Perry'ego.

- Coś mi to dziwnie wygląda - zauważył Rossignol.
- Może wywożą rum?

Przewodnik nie wydawał się być przekonany.

- Może. Ale nie sądzę. Z trzech magazynów naraz? Ale to nie nasza sprawa, Andrew. Chodźmy do izby. Robi się cholernie zimno.

W godzinę potem łodzie odbiły od przystani i roztopiły się w mroku.

Dziwny ruch w faktorii Ruttera, załadunek towarów i odjazd łodzi obserwował z dala, ukryty w cieniu nocy, jeszcze jeden mężczyzna: Nie dziwił się. Gdy łodzie zniknęły, ziewnął potężnie. Dochodziła północ. Prześliznął się niepostrzeżenie do swej izby i mruknął:

- Czas spać.

Nad ranem łodzie prowadzone przez Rudego skierowały się jakiś potok, a około południa zaszły w gąszcz wysokich trzciny i tataraków porastających brzegi rozlanego jeziora.

Spali do zachodu. Potem Rudy wyprowadził łodzie znów na wodę i mimo ciemności wiódł pewnie przez dziesiątki jezior, strumieni, potoków. Znał je tu wszystkie doskonale, toteż nie wahał się

ani przez chwilę.

Po trzech dniach, a właściwie nocach, tej wędrówki, wpłynęli na szerszą rzekę i podążyli na wschód. Wieczorem piekli okazałego jelenia przed jaskinią, którą Winter i Rudy opuścili prawie trzy miesiące temu. Jaskinia i pozostawione w niej wtedy towary były nietknięte. Znajdowała się wszak w rejonie Złych Ziemi, a te Indianie omijali z daleka.

Nie mówili nic na temat niepowodzenia Rudego. Los bandy, z czego jasno zdawali sobie sprawę, został przypieczętowany, i to definitywnie. Do fortu nie mieli po co wracać. Droga w kierunku Winnipegu wydawała się zamknięta. Było nie do pomyślenia, by Prescott nie zadbał o zawiadomienie tamtejszych fortów. Nim zdołaliby przebyć Athabaskę, wiadano by o nich na całym szlaku.

Rutter odrzuciwszy za siebie dokładnie ogryzioną kość zwrócił się do Rudego:

- Masz, Billy, jakiś pomysł? Bandyta zmrużył oczy.

- Pomysł? Gdybyśmy mieli futra, można by spróbować przedostać się na wschód albo do Fortu Churchill, albo nawet do York Factory. Myślę, że kupcy z Hudson Bay nie byłiby zbyt dociekliwi, skąd te futra. Ale z tymi paroma wiązkami szkoda zachodu. Indianie sprzedali już wszystko. Futra zaczną się dopiero na wiosnę – po okresie polowania. Trzeba gdzieś przeczekać zimę, a potem zająć się „uczciwym” handlem.

Mathiew miał pewne wątpliwości:

- Mówisz - przeczekać gdzieś - a dlaczego nie tutaj? Kryjówka bezpieczna. Siedzieliście tu prawie trzy lata.

- Była bezpieczna. Gdy Prescott nie znajdzie nas w faktorii, przyjdzie poszukać tutaj i przyjdzie pewno nie sam. Potrwa to trochę, ale przyjdzie. Nas jest za mało.

Tak, to było logiczne. Kryjówka przestała być bezpieczna. Rutter, który od paru chwil zastanawiał się nad czymś, spojrzał na Wintera:

- A co ty myślisz o tym?

- Myślę, że Billy ma rację. Nie możemy tu zostać zbyt długo - to oczywiste. Ale wątpię, by niebezpieczeństwo było zbyt bliskie.

Wszystkie głowy skierowały się ku niemu.

- Tak - mówił dalej - Prescott wysłał za nami pogoń. Ilu ludzi? Sześciu, dziesięciu - to wszystko. Nie mógł ogołocić transportu. Sam potrzebuje ludzi, chociażby do wiosłowania. Miał dwudziestu białych i dwudziestu ośmiu Indian - razem czterdziestu ośmiu ludzi. Prowadził dwanaście łodzi. Czyli na każdą łódź czterech. Jeśli w pogoń wysłałby dziesięciu, to praktycznie zmniejszyłby załogę każdej łodzi o jedną czwartą. Nie wierzę w to. Poza tym, nie ma żadnej pewności, że uciekliśmy tutaj. Nie, jeśli wysłał pogoń, to znacznie mniejszą i nie z zamiarem dogonienia nas, a raczej uprzedzenia Brenta. Powiedzmy, że wysłannicy są już w faktorii i

powiadomili Brenta o wszystkim. Brent wie, że zniknęło trzech kupców i kilkunastu ludzi. Co zrobi? Ano nic. Nie zna drogi do jaskini, a Prescott razem z pogonią nie wysłał nikogo z naszych jako przewodnika, bo bałby się, że na tak długiej trasie ucieknie. Nie, porucznik poczeka na transport i dopiero wtedy coś zdecyduje. Daje nam to najmniej dwa, trzy tygodnie czasu.

Oczywiście, nie musimy tyle czekać. Nawet nie wolno. Trzeba w tych dniach przygotować łodzie i przenieść je do najbliższego potoku. Zabrać i załadować towary, które nadają się jeszcze do użytku - bo na przykład sukno zgniło - i powędrować, jak radzi Billy, na wschód.

Dwieście mil stąd będziemy bezpieczni. Tam znaleźć jakieś plemię lub dobrą kryjówkę i przeczimować. A potem powędrować nad Zatokę Hudsona. Tak mi się wydaje.

Rutter kiwnął głową.

- Jasne. Chodźmy zobaczyć, co zgniło z transportu Lane'a, a co nadaje się do handlu z dzikimi.

Zapalili kilka pochodni i weszli do groty. Wewnątrz pachniało wilgocią i pleśnią. Oględziny trwały długo. Wszystko było wilgotne, ale zniszczeniu uległo tylko parę kołder i kilka bel sukna. Resztę można było wysuszyć. Wystarczyło rozrzucić towary i przywoicie ogrzać grootę.

Rutter polecił rozpalić duże ognisko, toteż w przeciągu pół godziny jaskinia tak się nagrzała, że mężczyźni pozdejmowali swoje ciepłe łośiowe kaftany.

Rudy, który nie wiadomo dlaczego bez słowa sprzeciwu zgodził się z tym, że władzę przejął Rutter, leżąc pod ścianą i ćmiąc fajkę rzucił od niechcienia:

- Myślę, że James ma rację. Pewno Brent sam nie ruszy się tak szybko. Ale w faktorii prócz Brenta jest Clay i kilku jego ludzi. Jest Perry, no i Rossignol ze swoimi. To razem przeszło dwudziestu chłopów. Chyba dobrze byłoby wiedzieć, czy czegoś nie knują?

Błyszczące od potu twarze obróciły się z wolna ku niemu.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Rutter wpatrywał się przenikliwie w twarz bandyty.

- Ano. myślę, że ktoś z nas powinien był pozostać tam gdzieś na czatach. Wtedy wiedzielibyśmy na pewno, co w trawie piszczy.

- Masz rację. Trzeba tam kogoś posiać, i to natychmiast. Kogo proponujesz?

- Czarny Lis i Młody Orzeł. Ich nikt tam nie zna.

Indianin, który wśród dźwięków obcej mowy usłyszał swoje imię uniósł głowę i zwrócił się do Wintera:

- Moi bracia mówią coś o Czarnym Lisie.

Biały przez kilka minut, żywo gestykulując, tłumaczył Indianinowi sens zdania. W końcu Czarnostopy zrozumiał, bo na nagą pierś naciągnął grubą bluzę, zatknął tomahawk za pas, wziął łuk i strzałę, i skinął na Młodego Orła. Ukończywszy te przygotowania zwrócił się do wszystkich:

- Czarny Lis myślał tak od początku, ale nie chciał przeszkadzać białemu wodzowi. Teraz

wróci nad jezioro i przyniesie swym białym przyjaciółom potrzebne im wiadomości. - Z tymi słowy wysunął się z grotu. Za nim podążył Młody Orzeł.

Na zewnątrz szalała jesienna zawierucha.

ROZDZIAŁ X

Tej samej nocy, kiedy kompania Ruttera w pośpiechu opuszczała przystań faktorii, nad ranem obudziło wartownika łomotanie po drugiej stronie zamkniętej bramy fortu. Otrząsnął się z głębokiego snu, ale był jeszcze półprzytomny. Wczorajsza porcja rumu, którą przyniósł na wartę sam dowódca, który wprawdzie - jak wiedzieli wszyscy - na służbie nie znał się za bardzo - za to dbał o żołnierzy - pokrzepiła i rozgrzała żołnierza. Przyjemne ciepło rozlewające się po żyłach zmorzyło go, toteż osłonięty od wiatru uciął sobie głębszą drzemkę.

Gdy natarczywy stukot po drugiej stronie przerwał mu w najciekawszym miejscu sen, nie był wdzięczny intruzowi za to niespodziewane najście. Dźwignął się jednak z ziemi, wziął w rękę karabin i uchylił małe okienko.

- Czego tam? - warknął wyraźnie zły.

- Do porucznika Brenta. - Stojący po drugiej stronie bramy z trudem sylabizował dźwięki, obce widocznie jego mowie.

Wartownik wychylił się przez otwór i przyjrzał stojącej za bramą postaci. - Aha. Indianin. A czego chcesz od porucznika?

Czerwonoskóry, którego zapas angielszczyzny nie wystarczał widocznie na dokładniejsze wyłożenie w tym języku sprawy, mówił coś bardzo szybko swoją mową. W całej tej gadaninie żołnierz wyłowił kilkakrotnie powtarzane dwa imiona: - Brent i Prescott. Nie otwierając bramy spytał:

- Przychodzisz od Prescotta do Brenta. Tak?

- Yes, from Prescott to Brent - powtórzył Indianin kilkakrotnie.

-Nic z tego, necah nis. Nebah. Spi - dodał po angielsku. - Musisz poczekać do rana. - I z tymi słowy zasunął wąski otwór w bramie. Nie miał zamiaru budzić po nocy porucznika, zwłaszcza że wcale nie był przekonany, czy na tę paskudną pogodę komendant też nie łyknął czegoś mocniejszego. A nie lubił, jak go ktoś wtedy budził niepotrzebnie.

Usiadł ponownie w swym zacisznym kąciку i jeszcze raz pomyślał z niechęcią o dzikim, który pozostał po tamtej stronie bramy. Im spieszyło się zawsze i każda pora była dobra do wyrwania człowieka ze snu.

Na wszelki wypadek zajrzał do butelki otrzymanej wieczorem od Brenta. Na dnie zostały jeszcze ze dwa łyki. Pociągnął więc dla rozgrzewki i ponownie zaczął zapadać w drzemkę.

Obudziła go poranna pobudka. Wstał więc, otrzepał gruby sukienny płaszcz i stanął przy

bramie.

Gdy w godzinę potem nadszedł sierżant ze zmianą warty, był już zupełnie rozbudzony. Butelkę ukrył przezornie pod połą płaszcza.

- No jak tam, Dick, noc spokojna?

- Tak, panie sierżancie - tu przypomniał sobie o dzikim - tylko jakiś dzikus chce się dostać do komendanta. Mówi, że od Prescottta. Tego, no wie pan. Tego co ma przyprowadzić ostatni transport.

- Dziki, powiadasz, od Prescottta? Gdzie on jest?

- Kazałem mu czekać za bramą. Nie mówi po angielsku. To chyba jakiś Odzybuej.

- Dobra. Otworzyć bramę.

Dick i ten, który przyszedł na zmianę, odsunęli rygle i uchylili ciężkie wierzeje.

Przed bramą stał rosły Indianin, całkowicie nagi do pasa. Chłoszczący zimny wiatr zdawał się nie czynić na nim żadnego wrażenia.

Sierżant zaprosił go gestem do środka.

- Do porucznika Brenta?

Indianin kiwnął głową. Sierżant, który znał parę słów w narzeczu Cree, spytał w tym języku:

- Do jakiego plemienia należy mój brat?

- Odzybuej!

- Ale mowę Cree rozumie?

- Cree i Odzybueje bracia - rozumieją się.

- No, to dobrze. Niech mój brat pójdzie ze mną. Na dworze zimno. W izbie ogrzeje się.

- Dziki nie obawia się deszczu ani wiatru.

Gdy weszli do baraku, w którym mieszkali żołnierze, dokoła rozchodził się zapach grochówki.

Sierżant kazał nalać Indianinowi dużą miskę i spytał:

- Czy droga mojego brata była długa?

- Pół księżyca. Biali nazywają taki czas dwa tygodnie - dodał wyjaśniająco.

- A czy mój brat chce powiedzieć coś komendantowi?

- Nie, Odzybuej przywiózł od przewodnika mówiący papier.

- Niech mój brat da mi ten papier. Przekażę go naszemu dowódcy.

- Indianin nie może ci go dać. Wolno mu oddać papier tylko Brentowi.

Sierżant wiedział, że nie przekona dzikiego, toteż zostawiwszy go nad miską poszedł budzić porucznika. Nie bardzo był tym zachwycony, zwłaszcza że sam wczoraj wieczorem aż dwukrotnie musiał przynosić dowódcy coś na wzmocnienie, ale trudno. Posłaniec od Prescottta mógł mieć jakieś ważne wiadomości. Brent musiał wstać.

Zgodnie jednak z przewidywaniami sierżanta obudził się po całym kwadransie, najpierw walenia w drzwi, a potem tarposzenia za ramię.

Po otwarciu oczu najpierw sklął podwładnego, a dopiero po wysłuchaniu go uspokoił się nieco.

- Dobra. Mówicie, że od Prescottta i że wyruszył dwa tygodnie temu?

‘ - Tak mówi, panie poruczniku.

- No, to godzinę jeszcze może poczekać. Na razie dawajcie coś do żarcia i dużo mocnej kawy. Łeb pęka mi jak wszyscy diabli.

W dobrą godzinę potem kazał wezwać posłańca. Rozmowę prowadził za pośrednictwem sierżanta.

- A więc to przewodnik Prescottt przysłał cię tutaj?

- Tak, wielki biały przewodnik dał mi dla ciebie list. Oddaję ci go. Brent wyjął pismo z nieprzemakalnego woreczka i zagłębił się w

jego studiowaniu. List był prosty i zwięzły. Porucznik przebiegł uważnie jego treść.

„Do dowódcy Fortu Chipewyan, porucznika Brenta Donoszę panu porucznikowi”, że nad portażem przy Kanionie Sepów napadła nas banda Billy Turnera. Ponieważ zwietrzyliśmy zasadzkę, udało się ująć wszystkich bandytów białych i ich pomocników z plemienia Sarsi, a także dwu dzikich, jak myślę z grupy Czarnostopych. Niestety, obydwaj Czarnostopi, Billy Turner, którego w bandzie nazywają Rudym oraz jego zastępca, niejaki Winter, w nocy zbiegli.

Od bandytów, gdy się ich trochę przypiekło, dowiedzieliśmy się, że faktycznym przywódcą bandy jest John Rutter, kupiec mający faktorię obok pańskiego fortu, a także chyba dwaj inni kupcy: Charles Mathiew i Thomas Locke, gdyż ich ludzie znajdujący się razem z Rudym tak zeznali.

Pojmanej bandy nie wlokłem z sobą z obawy, że mi po drodze puciekają. Załatwiłem ich na miejscu. Każdy z Indian Sarsi, który został złapany na krótko przed napadem, a nie stawiał oporu, dostał po sto batów. Odebrałem im broń i wyгнаłem do domu. Mówię panu, było to najlepsze widowisko, jakie oglądałem w życiu. Na swoje tereny łowieckie, na południu, wędrowali potulnie jak baranki - nago, a krew ściekała im po piętach. Uśmieliśmy się zdrowo. Odechce im się pewnie napadać na białych. Ale dość o tym.

Piszę, ponieważ uciekli ci. czterej. Nie mam żadnych wątpliwości, że Rudy z Winterem, który wydaje mi się szczególnie niebezpiecznym bandytą, uciekli na północ, może razem z obydwoma Indianami, i będą usiłowali uprzędzić Ruttera oraz pozostałych pomocników, a następnie spróbują razem uciec do kryjówki, w której przechowują towary z transportu Lane’a, który obrabowali parę miesięcy temu.

Kryjówka jest niedaleko od faktorii - podobno o cztery, pięć dni drogi na wschód, ale ponieważ w nocnym ataku zginęli ci, co znali drogę, nie mogę panu podać dokładnego miejsca.

W ślad za Rudym i Winterem wysyłam najlepszego, jakiego mam wioślarza - Piżmoszczura z plemienia Ottawów. Sądzę, że powinien ich wyprzedzić, lub przynajmniej dogonić.

Myślę, że mimo niewielkich sił jakimi pan rozporządza, zdoła pan zatrzymać Ruttera i pozostałych. My będziemy śpieszyli się również.

Henry Prescott”

Porucznik spojrział na datę i aż gwizdnął z podziwu. Indianin, który przywiózł mu list, miesięczną drogę odbył w dwa tygodnie. Nie lubił dzikich i pogardzał nimi, ale czasem musiał ich podziwiać. Zwrócił się więc łaskawie do posłańca:

- Piżmoszczur musiał bardzo szybko wiosłować i chyba niewiele odpoczywał?
- Rzeka szybka, czerwony człowiek nie zatrzymał się ani razu.
- A więc Piżmoszczur nie spał w ogóle?
- Spał po trochu, ale bardzo mało. Teraz się wyśpi. Porucznik zafrasował się trochę.
- Cały dzień Piżmoszczur może pozostać w forcie i spać, ale na noc nie może zostać tu. Gdzie będzie nocował?

- Biały dowódca nie musi się tym martwić; wojownik znajdzie sobie schronienie - odpowiedział dumnie posłaniec i wyszedł z izby.

Gdy porucznik z sierżantem zostali sami, Brent przeczytał swemu pomocnikowi list Prescottta.

- I co wy na to?

- Trzeba ich zamknąć, panie poruczniku - odpowiedział sierżant bez namysłu.
- Zamknąć? To nie takie proste. Mają tu trochę ludzi, a w dodatku nie wiadomo czy Clay i Perry też nie należą do bandy. Prescott może o tym nie wiedzieć. Trzeba do sprawy podejść ostrożnie i mądrze. Wy pójdziecie na zwiady. Najpierw do Ruttera, powiedzmy, żeby kupić trochę tytoniu. I wy wachacie, co robi. Potem po kolei do Mathiewa i Locke’a, tak sobie, na pogawędkę. Nie śpieszyć się, żeby czegoś nie poznali. Rozumiecie? Potem wróćcie do mnie i zdacie raport.

- Tak jest, panie poruczniku.
- Gdy sierżant pojawił się ponownie w godzinę później, porucznik popatrzył z zaciekawieniem.
- Melduję, że nic!
 - Jak to, nic?
 - Nic. Tak jak pan porucznik kazał, obszedłem ich wszystkich po kolei. Wszystko pozamykane. Nie ma nikogo.

- Nikogo? - twarz porucznika wyrażała bezmiar zdumienia.
- Ano, nikogo - nawet jednej żywej duszy. Brent poderwał się ze swego skrzypiącego krzesła.
- Zbierajcie, sierżancie, ludzi. Z bronią - dodał stanowczo. - Jeden na warcie. Pozostali ze mną.

W kilkanaście minut potem niewielki oddziałek wyważał drzwi w faktorii Ruttera. Podczas tej czynności nadszedł Rossignol.

- To próżne zajęcie, poruczniku. Ptaszki wyfrunęły wieczorem. Od Mathiewa i Locke'a również - dodał z błyskiem w oczach. - Potrzebujecie ich?

Porucznik spojrzał surowo, ale pohamował się. Ten stary francuski goniec leśny, od dziecka wychowany wśród tutejszych Indian, jeden z pierwszych zwiadowców, a później przewodników u Nor'Westersów, mógł zauważyć lub wiedzieć niejedno, a poza tym, mimo pozorów, właściwie trudno było przesądzić, dla kogo pracował. Został na zimę, nie wiadomo w jakim celu... Toteż Brent wzruszył tylko bezradnie ramionami.

- Właśnie! Chciałem pogadać z Rutterem.

- A ten oddział? - Rossignol wskazał drwiąco na uzbrojonych żołnierzy. - Chciał pan, poruczniku, rozmawiać przy pomocy karabinów.

Z kolei porucznik uśmiechnął się ironicznie.

- To tylko honorowa asysta. Ale wspomniał pan, że ptaszki wyfrunęły wieczorem. Skąd pan to wie?

- Widziałem, a właściwie widzieliśmy z Clayem. Załadowali na parę łódek trochę towaru i koło dziesiątej odpłynęli. Zabrali, jak myślę, wszystkich ludzi. Pan w związku z tym wyjazdem, poruczniku? Myśli pan, że to jakiś grubszy przemyt?

Pytania te Rossignol zadawał trochę kpiącym tonem.

- Ale, byłbym zapomniał, przecież wtedy, kiedy ładowali towar i odjeżdżali, przed bramą fortu stał pański wartownik. To on panu powiedział o wyjeździe, czy ten Odzybuej, który przybył w nocy i stał pod palisadą do rana?

Porucznik sprężył się wewnątrz.

- Panie Rossignol! Wie pan zapewne, co to jest tajemnica wojskowa?

- O, tak. To taka rzecz, o której wiedzą wszyscy prócz wojska. Porucznik przygryzł wargi. Tym razem Rossignol miał rację. A swoją drogą z wartownikiem trzeba będzie pogadać.

Odwrócił się tyłem do Francuza i dał rozkaz wyłamania drzwi. Wewnątrz nie znaleźli ani u Ruttera, ani u pozostałych nic ciekawego. Magazyny świeciły również pustką.

Po południu zabrał się do pisania raportu, ale zarzucił na razie ten zamiar. W zamian kazał sierżantowi wezwać Perry'ego, Clay'a i Rossignola. W tym, co miał zamiar zrobić, istniało pewne ryzyko, ale skoro tamci uciekli i sprawa stanie się wiadoma wszystkim z chwilą przybycia transportu, a więc za kilka - najwyżej kilkanaście dni, nie było co ukrywać. Gdy zjawili się obaj kupcy i przewodnik, Brent bez słowa podał im list Prescottta.

Clay i Perry siedzieli jak sparaliżowani. Tylko Rossignol nie stracił werwy.

- A więc, panie poruczniku, sprawa jest jasna.

- Jak to, jasna?

- Po prostu Rudy z Winterem przybyli tu przed posłańcem Prescottta. I to nie przybyli sami.

Żaden biały nie wytrzymałby takiego tempa. Musieli być z nimi Indianie, a z tego o czym mówi list wynika, że byli to właśnie ci dwaj Czarnostopi. Rudy czy Winter, a może obydwaj poinformowali Ruttera o tym, co zaszło, a on natychmiast swoich kumpli. Spakowali wszystko co mogli i prysnęli.

Brent musiał Rossignolowi przyznać rację. Clay zacisnął mocniej zęby. Już, już, chciał powiedzieć o tajemniczych listach, jakie dostał i okupie, jaki musiał zapłacić, siłą woli powstrzymał jednak słowa cisnące się na wargi. To nie zmieniłoby niczego. Dokąd istniał cień szansy na odzyskanie dziecka, musiał milczeć. Przypomniawszy sobie słowa pierwszego listu. Nie. Nie miał prawa. Z chwilowej zadumy wyrwał ich głos Brenta:

- Wtajemniczyłem panów w całą sprawę, bo wiem, że znacie teren i macie wszyscy doświadczenie. Banda, a właściwie jej resztki, uciekła niewątpliwie do swej kryjówki. Pytanie, jak ją odnaleźć?

Clay przez chwilę namyślał się.

- To trudna sprawa, panie Brent. Prescott pisze, że kryjówka znajduje się prawdopodobnie cztery, pięć dni drogi gdzieś na wschód. Może to być równie dobrze na północny jak i południowy wschód. A pięć dni w tutejszych warunkach może oznaczać sto. jak i sto pięćdziesiąt mil odległości. Takiego obszaru nikt nie jest w stanie zbadać. Kiedyś, kiedy tylko tu przyjechaliśmy z żoną, włączyłem się w tamtym mniej więcej rejonie, z paroma myśliwymi Chipewyan pół zimy. To najdziksza okolica jaką znam. Tysiące jezior, rzek, potoków, wąwozów, jarów. Na wschód teren skalisty. Wszędzie zalesiony. Cała masa bagien i topielisk. To tak jak szukanie igły w stogu siana. Zimą, gdy leży śnieg, na którym pozostają ślady, byłaby jakaś szansa wpadnięcia na trop. Zresztą Rossignol może potwierdzić moje słowa. Wiem, że polował tam kiedyś.

- Clay ma rację - Francuz pokiwał głową - to prawdziwy labirynt. Gdyby poruszali się po ziemi, sam bym poszedł. Nie jestem najgorszym tropicielem. Ale po wodzie? Nie zostaje ślad. Nawet gdyby go znalazło się na jednym strumieniu, to i tak pozostają jeszcze setki innych. To sprawa beznadziejna poruczniku.

- No, a jeśli poszli w górę rzeki? - Brent miał pewne wątpliwości. Rossignol roześmiał się.

- Chyba po to, żeby wpaść prosto w łapy Prescottta.

- No tak, ma pan rację. Ale istnieje jeszcze jedna możliwość.

- Jaka. - Rossignol spojrzał na porucznika z zaciekawieniem.

- Mogą spróbować napadów - jak to robili przez ostatnie dwa lata.

- Nie - Rossignol pokręcił przecząco głową - to nie miałoby sensu. Na Prescottta nie napadną. Jest ich za mało. Na Claya i Perry'ego też nie, bo nie mają po co. Nie będą teraz napadali na Indian, bo ci nie mają futer. Co innego wiosną, chociaż wątpię, by robili to w tych okolicach. Tu są już zupełnie spaleni. Wyniosą się dalej i przeczekają zimę.

- Więc panowie odradzacie pogoń?

- Niech pan goni, poruczniku. Dołączymy się. Tylko za czym ma pan zamiar gonić?

Porucznik zwiesił ponuro głowę. Rzeczywiście, pościg nie miał żadnego sensu.

- Co więc radzicie?

Zapadło milczenie. W końcu najstarszy z całego grona, Robert Perry, powiedział to, co prawdopodobnie myśleli wszyscy:

- Nic. Na wszelki wypadek zwiększyć trochę czujność i nie zapuszczać się samotnie zbyt daleko. Mógł ktoś z bandy zostać w pobliżu, by obserwować fort i to, co się tu będzie działo. O wytropieniu bandy nie ma mowy. - I po pewnym namyśle dodał: - Gdyby dostali Prescottta i jego transport, my dwaj - tu spojrzął na Claya - musieli byśmy wiosną zwijać interes. I że nikt z nas nie wpadł na to, że te wszystkie napady są dziełem Ruttera i jego bandy?

Nikt nie odpowiedział. Po paru jeszcze nic nie znaczących zdaniach rozeszli się.

Porucznik jednak nie zaniedbał tego, co nakazywał mu regulaminowy obowiązek. Jeszcze tego samego dnia pięcioosobowy oddział żołnierzy wyruszył spenetrować wschodnie dopływy Athabaski.

Gdy żołnierze wrócili po paru dniach, ich miny powiedziały wszystko. Banda zniknęła bez śladu.

Po wyjściu od Brenta Rossignol postanowił rozejrzeć się za posłańcem Prescottta. Tak jak się domyślał, Indianin zaszył się o kilkaset kroków od fortu w gęstwę modrzewi i właśnie kończył budowę małego szałas.

Na widok białego sięgnął błyskawicznie po łuk, jednak zobaczywszy, że tamten jest bezbronny, odłożył swą broń również.

Rossignol podszedł blisko i powiedział przyjaźnie:

- Mój czerwonoskóry brat nie musi się obawiać. Przyszedłem jak przyjaciel. Wiem, jak ważne zadanie mój brat wypełnił i wiem, że zabroniono mu spędzenia nocy w forcie. Odszukałem mojego brata, by zaprosić go do swego domu. Tam poczeka, aż przybędzie transport z jego braćmi i z białym przewodnikiem. Tu jest zimno, a w nocy będzie padał deszcz.

Indianin dłuższą chwilę patrzył przenikliwie na białego, po czym odparł spokojnie:

- Piżmoszczur nie obawia się deszczu i chłodu. Wigwam go osłoni, a ogień rozgrzeje. Poczeka na swych braci tutaj.

- Ja wiem, że mój czerwony brat jest dzielny i nic mu nie potrzeba, ale gdy wypełniał tak ważne zadanie, stracił sporo sił. Przez kilka dni powinien dużo spać i dużo jeść, a nie widzę nigdzie w pobliżu ani kociołka do gotowania strawy, ani dużego jelenia. Może da się namówić swemu białemu bratu?

- Nie, Piżmoszczur pozostanie tu.

Francuz wiedział, że nie ma co nalegać, toteż skinął głową.

- Niech więc mój czerwony brat pozostanie tu. Biały przyniesie mu tylko kociołek do

ugotowania stawy - co powiedziawszy oddalił się w kierunku faktorii.

Gdy wrócił w godzinę potem, przyniósł spory miedziany garnek, przynajmniej ze trzydziestofuntowy kawał mięsa łosia i dwa grube, ciepłe koce. Kładąc to obok wejścia do szałasów powiedział:

- Jeśli mój brat zechce mnie odwiedzić, spotka mnie w drugim domu od strony fortu.

Indianin widząc, że tamten odchodzi bez dalszych słów, odezwał się cicho:

- Mój biały brat jest inny niż dowódca fortu. Nie gardzi czerwonoskórym i mówi moim językiem. Kiedy go się nauczył?

Rossignol zatrzymał się, długo wpatrywał w twarz Indianina, po czym odsłonił lewe ramię.

- Wiele zim temu biały kupiec - Wametegooshe¹ zamieszkiwał wraz ze swym synem w wiosce Ottawów. Syn nosił wtedy imię Jean. Mieszkali długo u swych czerwonoskórych przyjaciół. Jean, który miał wtedy siedem lub osiem zim, lubił się bawić z innymi dziećmi. Kiedyś jeden z chłopców, który nie miał jeszcze imienia, w czasie zabawy uderzył niechcący dziecinny, ale ostrym tomahawkiem swego białego przyjaciela i głęboko zranił go w rękę. Nie chciał tego uczynić, ale tak się zdarzyło. Potem wielki wódz Ottawów Pontiak rozpoczął wojnę z czerwonymi kurtkami, a gdy wojna została zakończona, wielu Wametegooshe'ów musiało opuścić tereny, na których żyli poprzednio. Wyjechał z wioski swych czerwonoskórych braci, z którymi razem walczył przeciwko Anglikom i biały kupiec ze swym synem. Mały biały chłopiec stał się dorosłym mężczyzną, ale na jego lewym ramieniu pozostała, po uderzeniu tomahawkiem, ta długa blizna. Czy Piżmoszczur - syn Piorunowego Noża - poznaje ją? Indianin jak urzeczony wpatrywał się to w bliznę na ramieniu, to w twarz stojącego przed nim mężczyzny. Dotknął kilkakrotnie blizny, w końcu wyszeptał, widocznie poruszony:

- Ty jesteś Jean, Jean Rossignol. A tę ranę zadał tomahawk Piżmoszczura. Serce Piżmoszczura pełne jest radości, że spotkał jedynego przyjaciela, jaki pozostał jeszcze z tamtych lat przy życiu.

Francuz uśmiechnął się serdecznie.

- Czy teraz Piżmoszczur zechce przyjąć zaproszenie swego białego przyjaciela i spędzi parę dni w jego domu?

Przez surową twarz dzikiego przelatywały zmienne uczucia; spuścił głowę i powiedział cicho, ale stanowczo:

- Może dopiero za kilka dni, jak przybędzie transport. Biały położył przyjaźnie rękę na ramieniu Indianina.

- Rozumiem mego brata. Prócz dostarczenia listu dowódcy fortu, ma do wykonania jeszcze inne zadanie, o którym nie wolno mu mówić. Niech więc wykonuje swoje zadanie, ale niech uważa na siebie i na swego towarzysza, z którym tu przybył. Noszą różne mokasyny, a na miękkiej ziemi koło szałasów widać to. Może zauważyć jeszcze ktoś oprócz mnie.

Indianin cofnął się o krok.

- Mój biały brat myli się. Piżmoszczur przybył tu sam. Zmieniał tylko mokasyny, bo tamte się podarły.

Rossignol roześmiał się.

- Jean pamięta o przyjaźni. Wie, jakie mokasyny robią Ottawowie. Te drugie noszą Chipewyan. Jean wie również, że jedna para wiosel nie przypędziłaby tak szybko kanu z Kanionu Sępów. W to mogą uwierzyć inni biali, ale twój biały brat nie da się zwieść. O tym co wie, nie powie nikomu. Możesz być spokojny. Czy może Piżmoszczurowi coś jeszcze potrzeba? Jego biały przyjaciel dostarczy mu to bez budzenia podejrzeń.

Indianin, który zrozumiał, że został przejrany, pokręcił przecząco głową.

- Nie, Piżmoszczur posiada wszystko. Prosi tylko swego brata, by nikomu nie wspomniał o swych podejrzeniach. Nikomu – powtórzył poważnie. - I żeby miał oczy szeroko otwarte.

Francuz skinął głową i odmaszerował pogwizdując wesoło. Był zadowolony z siebie.

W kilka dni potem na horyzoncie zamajaczył długi rząd czarnych punkcików. Pierwszy dostrzegł je wartownik, który zaalarmował Brenta i w kilka minut potem cała załoga fortu, kupcy i ich pomocnicy zgromadzili się na nabrzeżu.

Punciki rosły, wydłużały się. Niezadługo można było rozróżnić poszczególne postacie. Oczekiwany transport wolno podchodził do nabrzeża.

Na dziobie pierwszej łodzi stał, wesoło machając rękami, wysoki, ogorzały od wichrów i słońca przewodnik. Za jego łodzią do przystani podchodziły kolejno pozostałe, wbijając swe ciężkie dzioby w piaszczyste, żwirowate dno.

Clay i Perry oraz ich ludzie witali się serdecznie z Prescottem i jego załogą. Znali się od lat, a spotkanie tu, nad Athabaską, po długim okresie niewidzenia, stanowiło nie lada przeżycie.

Nieco na uboczu, z grupą żołnierzy, oczekiwał Brent. I on również widział dwukrotnie znakomitego przewodnika, ale nie było okazji poznać się bliżej. Poprzednio - przyprowadzając towary - Prescott przywoził je najwyżej w połowie lata i po paru dniach, potrzebnych na krótki odpoczynek zabierał futra i ruszał w powrotną drogę. Teraz miał pozostać na zimę. Było zbyt późno na powrót, a zresztą kupcy nie mieli futer. Musiałby wracać pusto.

Prescott chyba najdłużej i najserdeczniej witał się z Rossignolem. W końcu raz jeszcze potrząsnął w swych potężnych ramionach dość szczupłego Francuza i powiedział:

- Poczekaj, Jean. Muszę zameldować oficjalnie swe przybycie władzy.

Podszedł do Brenta i wyprężył się jak wojskowy.

- Panie poruczniku, Henry Prescott - przewodnik, zgłasza przybycie transportu towarów i ludzi do fortu Athabaską. Proszę o pozwolenie na rozładunek, no i prezimowanie - dodał z uśmiechem.

Brent wyciągnął serdecznie rękę.

- Witam sławnego przewodnika i cieszę się, że dotarł pan szczęśliwie. Formalności załatwimy później. Oczywiście pański list dostałem... ale przyszedł za późno.

- Za późno - Prescott zdawał się być wyraźnie zdziwiony. - Piżmoszczur nie dogonił ich? To przecież najlepszy wioślarz... - urwał w pół zdania.

- Tamci byli lepsi... Posłaniec przybył w kilka godzin po ucieczce bandy. Oczywiście wysłałem zwiadowców, ale - tu machnął ręką - zresztą porozmawiamy jeszcze o tym. Rozładuje pan towary, czy dzisiaj da pan ludziom odetchnąć? Nie naruszając regulaminu mogę postawić przy lodzi wartę do jutra.

Przewodnik ucieszył się.

- Jeśli pan porucznik byłby tak uprzejmy. Moi chłopcy są trochę zmęczeni.

- Dobrze, zaraz wydam odpowiednie rozkazy.

Odwracał się już, by wykonać swą zapowiedź, gdy przewodnik zatrzymał go jeszcze:

- Chwileczkę. Nie widzę tu swego posłańca. Czyżby nie zatrzymał się w forcie?

- Może pan być spokojny. Posłaniec jest. Zbudował sobie niedaleko stąd szałas i poluje. Dlatego pewnie nie zauważył nadejścia transportu, ale przed wieczorem pojawi się na pewno.

- Dziękuję, panie Brent. Zajmę się teraz ludźmi. Trzeba ich jakoś rozłokować, przynajmniej na tę jedną noc. Jutro pomyślę, żeby coś zbudować na zimę.

Brent roześmiał się:

- Ależ to najmniejsze zmartwienie. Z mocy prawa opieczętowałem faktorie Ruttera, Mathiewa i Locke'a. Oddaję je panu do dyspozycji. Może pan natychmiast zająć wszystkie. Jest tam dosyć miejsca na towary i dla ludzi. Dawni właściciele już się chyba nie zgłoszą.

Roześmieli się obydwaj.

- Jeszcze raz dziękuję, poruczniku. Ja osobiście zajmuję dom herszta bandy. Zajdę do pana po południu, gdy jako tako zagospodaruję się.

Porucznik skinął przyzwalająco.

Gdy Prescott obwieścił załodze decyzję porucznika, rozległo się gromkie „hurra!” Na przystani zapanował gorączkowy ruch. Potrzebne przedmioty i artykuły żywnościowe przenoszono do faktorii byłych trzech kupców. Faktorię Locke'a zajęli wioślarze indiańscy, pozostałe dwie - Prescott z załogą białych przewoźników.

Przy rozładowywaniu wyznaczonej części zapasów pomagali ludzie Perry'ego, Claya i Rossignola. W godzinę praca została ukończona, a z trzech martwych od prawie dwu tygodni kominów uniosły się w górę jasne pasemka dymu.

Nad nie rozładowaną częścią transportu straż objęli żołnierze.

Prescott, zgodnie z obietnicą, tuż po południu zameldował się u oczekującego Brenta. ma się rozumieć, nie z pustymi rękoma. Kilka pękatych gąsiorków i jakaś większa baryłka zasilły spizarnię

dowódcy garnizonu.

Porucznik posadził gościa w jedynym, trochę trzeszczącym fotelu i napełnił szklaneczkę złocistym płynem.

- Niech pan mówi, Prescott. jak udało się panu zgarnąć całą tę zbójceją hałastę, i to nie tracąc przy tym ani jednego ze swych ludzi?

Przewodnik pociągnął solidny łyk, przyglądał swą jasną brodę, w której najbystrzejsze oko nie dostrzegłoby ani jednej srebrnej nitki, mimo iż dochodził już pięćdziesiątki, i popatrzył na gospodarza z odcieniem melancholijnego uśmiechu.

- To nie było takie trudne, poruczniku. Ten napad ani dla mnie. ani dla moich ludzi nie stanowił żadnego zaskoczenia.

- Jak to, Prescott? Chce pan powiedzieć, że spodziewał się pan go?

- Coś w tym rodzaju. Zresztą niech pan sam osądzi. Jak pan wie, przy ujściu rzeki Winnipeg leży Fort Maurepas. Każdy transport, który przechodzi tamtędy, musi zameldować się u dowódcy, zgłaszać przejazd, no i wie pan zresztą, załatwiać całą masę różnych formalności. Dowódcą jest tam porucznik Banks, do którego docierały pańskie raporty, wysyłane bądź bezpośrednio, bądź przez Fort Garry. Banks opowiedział mi trochę różnych ciekawych rzeczy, jakie miały tu miejsce w ciągu ostatnich dwu lat. Po wyjściu od niego okazało się, że muszę na parę dni zawinąć do Fortu Garry. - Wolał w tej rozmowie nie pomijać tego szczegółu. Gdyby przypadkiem porucznik jakimś sposobem posiadał tę informację, to znając jego gadatliwość domyślał się, ile powstałoby niepotrzebnych komplikacji – zresztą kto wie czego jeszcze.

Toteż kontynuował spokojnie dalej: - W Fortcie Garry pułkownik Carrington, którego zresztą pan zna, dopowiedział mi resztę. Z tego co wyczytał z pańskich raportów i raportów różnych przewodników wynikało, że gdzieś w okolicy jeziora Athabaska grasuje dobrze zorganizowana banda. Można się było domyśleć, że banda białych. Taki transport, jak mój, stanowił dla bandy nie byle jaką gratkę. Gdyby go zagarnęła, tutejsze faktorie pod koniec zimy i od wiosny nie miałyby czym handlować. Indianie pewnie przenieśliby się ze swymi futrami do Hudson Bay Company u ujścia Churchill i Nelson. Jeśli banda myślała logicznie, ten transport musiała przechwycić. Tak więc na napad musiałem być z góry przygotowany. Ale wiedziałem jeszcze jedno, co też wynikało z pańskich raportów, że banda musi mieć swych wspólników tu, na miejscu. Nic pan nie pisał, że Indianie zaopatrywani są w broń i amunicję przez jakąkolwiek konkurencję. A więc zrabowane futra i towary szły z tutejszej faktorii. Tu musieli kryć się, a może jeszcze nadal kryją jacyś wspólnicy. Sam pan rozumie, poruczniku. Kilkadziesiąt napadów. Tak, banda musiała być dobrze zorganizowana. Ale wtedy nie wiedziałem jeszcze o najważniejszym - o transporcie Lane'a. Dowiedziałem się o tym od Stone'a, który prowadził stąd ostatni transport futer. Wtedy wiedziałem, że napad jest nieunikniony. Dlatego po opuszczeniu jeziora Winnipeg wysłałem kilku zwiadowców. Wie pan, Indianie dobrzy są

jako wioślarze, ale nie ma na świecie lepszych od nich tropicieli. Szczególnie Odzybueje.

Gdy przenieśliśmy łodzie nad Athabaskę, miałem już pierwsze wiadomości. Duży konwój łodzi bez futer, z kilkudziesięcioma ludźmi, szedł nam naprzeciw. Biali i Indianie. Sprawa była jasna. Od tego dnia miałem codziennie informacje o wszystkich ruchach bandy. Miejsca zasadzki domyślałem się. Szlak znam dobrze. Zresztą zwiadowcy to potwierdzili.

Najpierw złapaliśmy w potrzask, jeszcze przed przeprawą lądową, bandę Sarsi. Pisałem panu zresztą o tym. No, a złapanie reszty bandy było już dziecinną igraszką. Szkoda tylko, że udało się uciec tym czterem, ale to wina strażnika. O mało go zresztą Winter nie udusił. Gdyby nie to, mielibyśmy całą tutejszą szajkę pod kluczem.

- Tak - porucznik pokiwał głową. - Uciekli wszyscy. Prescott nie wydawał się być przekonany.

- Nie jestem pewien, panie Brent. Gdybym ja był na miejscu tamtych, zostawiłbym jeszcze kogoś. Banda przecież musi wiedzieć, co tu się dzieje, czy poszła jakaś pogoń. W jakim kierunku, ilu ludzi i tak dalej. Gdyby tego nie zrobili - byłiby ostatnimi głupcami. I jeśli nawet odeszli, jak pan mówi, wszyscy, to ktoś tu wrócił, żeby obserwować.

- Co, spodziewa się pan może napadu, panie Prescott?

- Ach, nie. Jest ich teraz za mało. Ale żeby się czuć bezpiecznie, muszą wiedzieć, co się tu dzieje. Na pańskim miejscu miałbym oczy i uszy szeroko otwarte.

Porucznik powtórnie napełnił szklanki.

- Do Maurepas wysłał pan oczywiście wiadomości?

- Tak. Tam nie przepuszczą nikogo. Prosiłem też, by porucznik Banks powiadomił Carringtona. Niewykluczone, że z wiosną otrzyma pan tu jakieś dodatkowe siły, no i trochę doświadczonych tropicieli.

- Myśli pan, że banda pozostanie gdzieś w pobliżu, Prescott?

- Nie wiem. Może tak, a może nie. Raczej nie, szczególnie gdy się dowiedzą, że my tu zostajemy. Domyśla się, że Odzybueje, których tu przywiozłem, no i moi chłopcy, z pierwszym śniegiem ruszą na polowania! Polować będą też okoliczne plemiona. To dla bandy zbyt niebezpieczne. Ktoś zupełnie przypadkowo może wpaść na ich trop. Nie zaryzykują.

- To prawda - przyznał porucznik. - Chyba ma pan rację, ale a propos: Myślałem, że ma pan trochę więcej ludzi.

Prescott kiwnął potakująco.

- Racja, mam trochę więcej. Ale część zostawiłem o parę dni drogi stąd. Dokładnie dziewięciu. Na tym odcinku, gdzie prąd wody sam już niesie łodzie, nie byli mi potrzebni. Chciałem, żeby uprzedzili Tsattine, których wy tutaj nazywacie Bobrami.

- Uprzedzić Bobrów, o czym? Przecież pisze pan sam, że Rutter z bandą mają kryjówkę gdzieś na wschodzie, a Bobry są przecież na południowym zachodzie?

- Ach, nie. Źle mnie pan zrozumiał, poruczniku. Moi ludzie znają parę grup Tsattine i pojechali ich uprzedzić, że wiosną w forcie będzie dużo dobrych towarów. Zabrali też na zachętę trochę prochu i kul. Oczywiście, przy okazji uprzedzą, że banda może usiłować się przedostać przez ich tereny. To nie zaszkodzi. Bobry nie są najbardziej waleczne, ale w razie czego uprzedzą nas przynajmniej. Czterech z tej dziewiątki poszło prawym brzegiem. Jest tam sporo grup Cree i Chipewyan. Trafiają się Thilanottine. Na jesienne łowy jeszcze się nie rozeszli. Jest szansa spotkania jakichś grup. Potem wieści o towarach lecą przez puszcze szybko i daleko. Zobaczysz pan - na wiosnę Indianie będą tu ciągnąć jak niedźwiedź do miodu.

- No, to widzę, że z pana nie tylko dobry przewodnik, ale i kupiec jednocześnie. Można spytać dla kogo właściwie przeznaczony jest ten transport, który pan przyprowadził?

- Prawie połowa dla Claya i Perry'ego. Druga część stanowi własność moją i mojego wspólnika.

- A więc jednak zgadłem. Prowadzi pan również własny interes.

- Trochę. Chociaż większość należy do wspólnika.

- Można wiedzieć, kto to jest?

- Tak, to pan Herbert. Został właśnie z tą grupą, która poszła na tereny Tsattine. Pozna go pan, poruczniku, gdy tu ściągnie. Mam nadzieję, że zdążą przed zimą. Ale i ja mam pytanie.

- Proszę.

- Własność członków bandy, a więc faktorie, przejął pan z mocy prawa. Są własnością gubernatora. Ja nie bardzo chciałbym budować wszystkiego od nowa. Chętnie bym odkupił to, co tu zostało.

Porucznik roześmiał się serdecznie.

- Nie muszę przecież wszystkiego opisywać szczegółowo w raportach, a zabudowań właściwie nie przejąłem. Zabezpieczyłem tylko. Zostały opuszczone; myślę, że na zawsze. Każdy może je zająć. Pan, panie Prescott, jest tym szczęściarzem, który opuszczone miejsce zajął pierwszy; I na tym koniec.

Przewodnik uściskał wyciągniętą dłoń Brenta. Dalsza rozmowa potoczyła się żywo. Gdy przewodnik opuszczał swego gospodarza, kurzyło mu się dobrze z jasnej czupryny.

Skierował się najpierw nad wodę dla ochłonięcia, a potem z instynktem psa gończego zagłębił się w modrzewiowy zagajnik.

W parę minut potem usłyszał rzucone przyciszonym głosem pytanie:

- Ahwanan¹?

- Prescott!

- Umba²!

Za chwilę trzy głowy pochyliły się ku sobie. Przewodnik słuchał uważnie, długo. Nie

przerywał. Nie zadawał zbędnych pytań. Rozumiał tamtych doskonale. Wysłuchawszy do końca, sam rzucił tylko kilka zdań, po czym oddalił się. Odchodząc powiedział wyraźniej:

- Jutro Piżmoszczur zamieszka ze swymi braćmi w faktorii. Nie może tu dłużej zostać. Jego przyjaciel opuści to miejsce i zamieszka w starym dębie. Tam będzie go odwiedzał Piżmoszczur.

Skończywszy w ten sposób rozmowę, przeciął zagajnik i brzegiem dotarł do fortu. Było już całkiem ciemno.

Nie skręcając do siebie pomaszerował prosto do Rossignola, Gospodarz czekał na progu.

- Nareszcie. Myślałem, że już nie przyjdiesz. Brent cię tak maglował?

- To raczej ja jego. Musiałem mu wszystko opowiedzieć. Tak, wiem, że jest gadatliwy jak baba, toteż naszpikowałem go tyloma wiadomościami, że teraz pewno będzie całą noc myślał.

- Dobrze, że jesteś. I pewno porządnie głodny. Wejdz.

Rossignol zamknąwszy drzwi wprowadził gościa do obszernej schludnej izby i posadził koło jasno płonącego kominka. Przysunął stół, postawił nakrycia i spory kociołek duszonego w ostrym sosie mięsa. Patrzył z zadowoleniem, jak gość pałaszuje.

Nasyciwszy głód Prescott odsunął talerz. Na stole pojawił się dzbanek świeżo naparzonej kawy. Mężczyźni sięgnęli po fajki.

Prescott swoją nabijał starannie i intensywnie nad czymś myślał. Nie, to było niemożliwe. Znał gospodarza tyle lat. Prawie piętnaście. Tu nie mogło być pomyłki. Dałby sobie za to głowę uciąć. Zaciągnął się parę razy dymem i wbił wzrok w oczy Francuza:

- Słuchaj, Jean. Nie powiedziałem wszystkiego Brentowi. Gospodarz uśmiechnął się leciutko.

- No pewnie. Będąc na twoim miejscu też bym tego nie zrobił.

- Czemu tak myślisz?

Z kolei Rossignol uważnie popatrzył w twarz swego gościa.

- Bo wiesz równie dobrze jak ja, a może nawet lepiej, że ktoś z bandy pozostał jeszcze w forcie, a ponieważ to co dziś powiedziałeś, jutro będą znali wszyscy, dowie się i szpieg.

Prescott pokiwał głową.

- Masz rację. Tylko kim jest ten szpieg? Gospodarz pociągnął ze smakiem spory łyk kawy.

- Z wyjątkiem ludzi z twojego transportu, no i oczywiście z wyjątkiem ciebie, Henry, szpiegiem bandy może być każdy z ludzi Brenta, Claya, Perry'ego, moich - no i ja sam. Właściwie ja się do tego najbardziej nadaję. - W spojrzeniu gospodarza zamigotały dziwne błyski. - Może na przykład to ja doniosłem bandzie o tym, że nie przysłałeś jednego posłańca. Może banda dowiedziała się ode mnie, jakim zadaniem obarczyłeś Piżmoszczura.

Prescott nie wydawał się zaskoczony tym wyznaniem.

- Więc jednak wiesz.

- Wiem, ale to bardzo mało.

Prescott miał pewne wątpliwości. Pozorna szczerłość Francuza mogła być spowodowana zupełnie innymi względami. Dobrze, że przynajmniej załatwił sprawę z tamtymi dwoma. Skoro wiedział Rossignol, mogli wiedzieć i inni. Nie znał przecież co najmniej połowy tutejszych ludzi. Zwarł mocniej szczęki. Nie ma co. Nie wolno było odsłaniać kart, chociaż z drugiej strony żał mu było gospodarza. Obiecywał sobie dobry wieczór ze starym przyjacielem, a tu na początek taki pasztet. Skoro jednak każdy mógł być szpiegiem bandy?... Trudno, nie miał prawa.

- Wybacz, Jean. Nic z tego dziś nie będzie. Myślę, że mnie rozumiesz. Pogawędzimy innym razem - gdy rozproszą się trochę chmury.

Gospodarz ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Nie martw się. I nie miej zaufania do nikogo. To jeszcze niebezpieczne.

- Możliwe. Pójdę do siebie. Pewnie nie potrafię dziś logicznie myśleć.

Rozstali się z uczuciem wzajemnego skrępowania.

ROZDZIAŁ XI

Jesień nadchodziła szybkimi krokami. Słońce wstawało późno. Kładło się spać wcześniej. Z białej brzozy coraz gęściej opadały pożółkłe liście. Czarne, gęste chmury coraz częściej zasłaniały niebo. Z północy nadciągał porywisty, chłodny wiatr.

Indianie, w których obozie przebywała biała dziewczyna, wyraźnie przygotowywali się do zimy. Myśliwi wyruszali w poszukiwaniu zwierzyny na coraz dłuższe łowy. Ze swych wypraw przynosili coraz więcej mięsa leśnego karibu, łosia i jelenia. Kobiety zbierały całe kosze orzechów.

Przy świetle palących się bezdymnych ognisk nieraz do późna w noc przygotowywały pokarm na długie zimowe miesiące.

Sprawdzano płyty natłuszczonej skóry okrywającej wigwamy, wymieniając stare, zużyte na nowe. W pośpiechu uzupełniano odzież. Musiała być ciepła i mocna.

Letnie, radosne wieczory zastąpiła ciężka, mrówcza praca.

Cynthia pracowała razem z innymi. Ręce jej stwardniały, cera wystawiona na przemian na działanie słońca, deszczu i wiatru, w naturalny sposób nabrała ciemnego kolorytu. Dziewczyna odzyskała nadwątlone poprzednimi przeżyciami siły. Codzienny pobyt na świeżym powietrzu, ruch i praca zahartowały ją. Nie chorowała ani razu. Czuła się dobrze. Mogła pracować na równi z innymi kobietami.

Polubiła Indian. I oni polubili ją chyba też, na swój sposób. Ostatnio Peenay podarowała jej całą wiązkę ślicznie wyprawionych skórek białych królików.

- To dla ciebie, od jednej indiańskiej dziewczyny. Uszyj sobie z tego strój na zimę.

- Powiedz, Peenay, która dziewczyna podarowała te skórki?

- Peenay nie może. Tamta dziewczyna nie chce, byś wiedziała od kogo. Uszyj. Jak ona zobaczy, będzie się cieszyła.

- Ale dlaczego nie chce, żebyś wiedziała od kogo? Indianka myślała przez chwilę, w końcu spróbowała wytłumaczyć:

- Widzisz. U nas jest tak. Jeśli tobie coś da jakaś dziewczyna, to i ty też musisz jej coś dać. Inaczej nie można przyjąć подарunku. Tamta dziewczyna wie, że ty nic nie masz. Nie możesz jej dać. Pewno by ci było smutno. A ona nie chce, żeby ci było smutno. Peenay nie może powiedzieć, od kogo te skórki. Rozumiesz?

- Rozumiem, Peenay. Tamta dziewczyna jest bardzo dobra. Powiedz jej to. Uszyję strój na zimę i będę go nosiła. I nie będzie mi smutno. A tamta dziewczyna zamieszka w moim sercu.

Starucha, snadź poruszona tym wyznaniem, powiedziała:

- Ty też jesteś dobra, a Peenay nie zostanie w twoim sercu?

- Ależ ty cały czas mieszkasz w moim sercu i zawsze tam będziesz mieszkać. Biała dziewczyna wie, że jesteś najlepsza ze wszystkich kobiet, tak jak matka.

Indianka podejrzliwie pociągnęła kilka razy nosem i wyszła z wigwamu. Gdy w jakiś czas potem wróciła, przyprowadziła z sobą kilka dziewcząt. Zobaczywszy zajęcze skórki, rażno zabrały się do pracy. Najmłodsza z nich, ta właśnie, która nad potokiem ujawniła białej dziewczynie, że wróci ona do swych rodziców, przyszła również.

W pewnym momencie przycinając ostrym nożem jakiś skrawek spytała:

- Czy w miastach białych ludzi dziewczyny noszą też ubrania z takich skórek?

Cynthia kiwnęła głową.

- Tak, z zajęcy, z lisów, z wydry i z wielu innych zwierząt. Szyją tylko troszkę inaczej, bo tam jest cieplej. Nie muszą całego ciała chować pod futrem.

- A ty nie możesz tak uszyć? - pytała Indianka.

- Nie, nie mogę. Gdy przyjdzie mróz, pewno odmroziłabym nogi. Trzeba szyć tak, jak szyją twoje siostry. Nogi też muszą być zakryte.

Indianka więcej nie pytała. Dziewczęta zaczęły mówić o przygotowaniach do zimy. Z rozmowy tej Cynthia zorientowała się, że Indianie w najbliższych dniach zamierzają przenieść się w inne miejsce.

- Dlaczego nie pozostajecie tutaj na zimę?

Najstarsza z dziewcząt odpowiedziała:

- Tu plemię nasze obozowało prawie całe lato. Na wiele dni wkoło zaczyna brakować zwierząt. Trzeba iść tam, gdzie jest dużo zwierząt i gdzie nasi ludzie będą mogli polować do wiosny.

- A gdzie przeniosą swój obóz?

- Tego dziewczyny nie wiedzą. Pójdą tam, gdzie postanowi rada starszych. Pewno postanowi

niedługo. Zawsze, gdy gęsi odlatują na południe, my przenosimy nasz obóz. Niedługo gęsi odlecą, a my powędrujemy za krzykiem gęsi.

Dalsza rozmowa dotyczyła innych spraw. Dziewczęta wymierzały ze śmiechem swą białą przyjaciółkę z wszystkich stron, aż zabawę przerwała Peenay, która postawiła między nimi dymiący kociołek.

- Na dzisiaj dosyć pracy. Peenay zrobiła wam zupę. Trzeba zjeść.

W niecały tydzień potem w obozie zawrzało. Rada starszych, na którą przybył specjalny posłaniec od wodza, zdecydowała, że w ciągu najbliższych dni obóz wyrusza w drogę.

Wieść tę oznajmiono późnym wieczorem. Na drugi dzień rano rozpoczęła się gorączkowa krzątania. Pakowano starannie zapasy żywności, naczynia, odzież, cały dobytek i umieszczono to wszystko w przygotowanych już wcześniej kanu.

Cynthia pomagała starej jak mogła, ale pod koniec dnia była już solidnie zmęczona. Ostatnią noc spędzili w pustym wigwamie, którego skórzane pokrycie miały zabrać tuż przed ruszeniem w drogę.

Kanu było duże i dziewczyna ze strachem myślała o tym, jak taką dużą łódź przyjdzie im pchać gdzieś pod prąd. Uspokoiła się jednak, gdy zauważyła, że kilku starszych mężczyzn do każdego kanu przydziela dwu wioślarzy. Do kanu, które zajmowała z Peenay, przydzielono dwu rośliych, silnych młodych mężczyzn.

Nim słońce przeszło przez pierwszą ćwiartkę swej drogi, długi - chyba na pół mili ciągnący się rząd łodzi - ruszył na zachód.

Potok był stosunkowo płytki i wąski; łodzie sunęły wolno. Stopniowo jednak woda stawała się coraz głębsza, brzegi nieco odsunęły się od siebie. Tuż przed wieczorem łodzie wpłynęły na wody innego potoku kilkunastostopowej szerokości i przybiły do brzegu. Noc spędzono pod gołym niebem.

Cynthia owinąwszy się w duże niedźwiedzie futro długo nie mogła zasnąć. Indianie płynęli na zachód, a więc prawdopodobnie gdzieś w tym kierunku, gdzie znajdowała się faktoria jej ojca.

Pamiętała, że po napadzie na transport Lane'a banda Rudego uwoziła ją na północny zachód. Podróż odbywano tylko nocami.

Nocy tych było pięć. Oczywiście płynęli wtedy szybciej.

Indianie, którzy porwali ją z groty, płynęli pięć dni i pięć nocy, też bardzo szybko. Czyli razem około dwóch tygodni..

Obecnie długi konwój łodzi posuwał się znacznie wolniej - może o połowę wolniej. A więc od wielkiej rzeki - Athabaski dzielił ich miesiąc drogi. Czy nad tę rzekę przenoszono obóz? Nie. Na pewno nie. Po prostu tylko w tym kierunku. Ale jak daleko? Może tylko dzisiejsza droga biegła na zachód? Wyznaczał ją przecież jedynie bieg potoku. Jutro lub pojutrze rzeczulka, do której dotarli, mogła skrócić przecież na południe lub północ i wcale nie musiała biec do wielkiej rzeki. Mogła

kończyć się w jakimś większym jeziorze, jakich w tym rejonie było bardzo dużo. Nieśmiała nadzieja poczęła gasnąć. Dziewczynie do oczu napłynęły łzy.

Ale w ciągu następnych dni wątyły płomyczek, wzniecony tego wieczoru, nie zgasł. Rzeka, co prawda, wiła się jak wąż w licznych meandrach; skręcała na południe, na północ, czasem zawracała na wschód, ale wciąż z uporem prostowała swe koryto w tym jednym kierunku - w kierunku zachodzącego słońca. Z obydwu stron zasilaty ją liczne strumienie i potoki, czasem wody jakiegoś niewielkiego leśnego jeziora. Z każdą godziną powiększała ilość niesionej z sobą wody.

Płynęli z prądem, ciągle w dół rzeki, która po dwu tygodniach podróży poszerzyła swe koryto do kilkudziesięciu stóp. Tu zatrzymano się na kilkudniowy odpoczynek. Myśliwi, poza kilkunastoma pełniącymi obozową straż, rozproszyli się po okolicznych lasach i dolinach w poszukiwaniu zwierzyny. Okolice musiała w nią obfitować, gdyż już pierwszego dnia przed prowizorycznie zbudowanymi szałasami piętrzyły się stosy ptactwa, królików i grubszej zwierzyny.

Po kilku dniach, gdy, zdaniem starszych, zgromadzono wystarczającą ilość świeżego mięsa, łodzie ruszyły znów z biegiem rzeki, przecięły jakieś szerokie rozlewisko, kilka różnych leśnych jezior. Jeszcze półmilowy odcinek rzeki i wpłynęły w wartki nurt innej, tym razem prawdziwej, głębokiej rzeki. Nagle, na znak podany z przodu, przybiły do brzegu i grupka mężczyzn pędem rzuciła się w kierunku cypla odległego o jakieś dwieście kroków.

Stał na nim Indianin z uniesioną do góry ręką. W jego włosach tkwiło jedno pióro.

Mężczyźni otoczyli go ciasnym kołem. Cynthia wstrzymała oddech. Serce łomotało jej w piersi. Patrzyła jak urzeczona. A więc przybywał wódz. Nie miała najmniejszych wątpliwości. Wódz, którego nie widziano od kilku miesięcy. Radosny szmer, niosący się jak wiatr z łodzi do łodzi, niósł tylko jedno słowo - „ógemah” - wódz.

Tłumiąc gwałtowne bicie serca wyteżala wzrok, ale tłum mężczyzn zasłaniał jej wszystko. Pozna go więc wreszcie. Zacisnęła pięści. Zwarła mocno szczęki... i patrzyła.

Grupa stojąca na cyplu rozsunała się. Indianin z orlim piórem we włosach przechodził wolno od łodzi do łodzi, witał wszystkich. Zbliżał się coraz bardziej. Cynthia widziała go coraz wyraźniej. Rył krępy, barczysty. Mięśnie pod skórą, na piersiach i ramionach napięte były niczym korzenie dębu. Mimo lekkiego sprężystego kroku dobiegał co najmniej pięćdziesiątki.

Zatrzymał się wreszcie przed białą dziewczyną. Wpatrywał w nią długo i uważnie, po czym przeniósł spojrzenie na starą Indiankę i łagodny uśmiech okraszył jego surową twarz. Wykonał kilka gestów rękoma. Peenay odpowiedziała podobną mimiką i wódz poszedł dalej.

Cynthia siedziała ze ściśniętym gardłem i patrzyła jak urzeczona w oddalającą się coraz bardziej sylwetkę. A więc tak wyglądał ten, którego wigwam wciąż stał pusty, u którego ogniska miała zasiąść, może już wkrótce, który skalpował wszystkich wrogów. Wzdrygnęła się. Nie wyglądał na takiego. Miał twarz surową, typową twarz syna puszczy, ale nie była to dzika, okrutna twarz, jakie

widywała u Mohawków. Może był bezwzględny w walce, ale to było normalne. Gwałtownie obróciła się do swej towarzyszki.

- To jest właśnie Czarny Sokół? Starucha zachichotała.

- Nie. Nie Czarny Sokół. Czarny Sokół daleko. To inny wódz.

- Jakie jest jego imię? Nigdy o nim nie mówiłaś.

- Peenay teraz też nie powie. Imię wojownika święta rzecz. Usłyszysz zły duch - powie wrogom. Wojownikowi zdarzy się nieszczęście. Lepiej nie mówić.

- A co ci mówił wódz? Nie użył języka, tylko mowy rąk. Dlaczego?

- Wódz mądry. Wie co czyni. To sekret. Nie chciał, by biała dziewczyna go poznała.

Cynthia spuściła głowę. A Więc Indianie nie wierzyli jej. Spojrzała na łódź stojącą przed nimi. Młoda indiańska dziewczyna, która nad potokiem pstrągów tyle otuchy wlała w jej serce, uśmiechała się teraz serdecznie. Z nią wódz rozmawiał dłużej i chyba serdeczniej niż z innymi. „Postój nie trwał długo. Wódz zabrał kilku dorosłych mężczyzn i uniósł rękę w pożegnalnym geście.

Łodzie ruszyły znów na zachód. Z każdym dniem prąd przybierał na sile. Kanu sunęły szybciej. Ramiona wiosłarzy pracowały jakby sprawniej. Przycichł trochę wiatr, ustały deszcze. Niebo wypogodziło się.

Siedząc kiedyś pośrodku łodzi dziewczyna obliczała w myśli odległość, jaką Indianie mogli pokonać od opuszczenia swego letniego obozu. W drodze znajdowali się równo dwadzieścia sześć dni. Wiedziała to na pewno, gdyż każdego dnia wiązała na długim rzemieniu jeden węzeł. Mimo początkowo wolnego tempa długiej podróży była przekonana, że robili dziennie osiem do dziesięciu mil. Odliczając parodniowy postój w połowie drogi, musieli przepłynąć około dwustu mil. Płynęli ciągle na zachód, a więc Athabaska musiała znajdować się gdzieś niedaleko.

Z zadumy wyrwało ją niespodziewane dotknięcie ramienia. Obróciła się do tyłu, lecz Peenay wyciągnęła rękę przed siebie.

- Patrz!

Tam, gdzie wskazywała dłoń starej, lśnił w słońcu szeroki pas wody. Łodzie wpływając do niego, sprawnie skręcały na prawo. Z przedniego kanu dobiegł ją wesoły głos:

- Wielka Rzeka! Patrz!

Daleko, jak okiem sięgnąć, toczyła swe zmętniałe po ostatnich deszczach wody - Athabaska.

Lekkie łodzie, trzymając się jej prawego brzegu, poszły z biegiem nurtu, na północ...

Tymczasem w oddalonym o kilkadziesiąt mil forcie Andrew Clay czynił swe ostatnie przygotowania. Przemyślał w zasadzie wszystko. Pod uwagę wziął wszystkie możliwości. Nie mógł dłużej czekać. Początkowo, gdy Brent poinformował ich o treści listu Prescottta, łudził się, że jednak porucznik spróbuje pójść tropem bandy. Zrozumiał jednakże bardzo szybko, że były to płonne nadzieje. Czekał więc na przybycie Prescottta, z którym łączyła go wieloletnia przyjaźń; Prescott miał

doświadczonych ludzi. Gdyby chciał, mógł pomóc, szczególnie że znał Cynthię jeszcze jako dziecko i lubił ją. Ale przewodnik też zawiódł. Sprawę uznał za beznadziejną. Może zresztą miał i rację. Ale jeżeli nawet, to racja obcego nie mogła być racją ojca.

Clay zdawał sobie z tego sprawę. Całe lata minęły od czasu, gdy ostatni raz trzymał w ręku strzelbę, chyba że w faktorii, przy zamianie na futra. Wiedział, że wzrok jego nie jest już tak bystry jak dawniej, a i nogi nie tak mocne. Zresztą ostatnio dokuczała mu coraz bardziej podagra, ale to nie miało znaczenia.

Codziennie, skrywane przed nim starannie, łzy Kathy, długie, milczące bezsenne noce, kiedy obydwójce udawali przed sobą sen, ciążyły mu coraz bardziej.

Był realistą; znał surowe prawa życia tego kraju i nie łudził się. Przedsięwzięcie wyglądało beznadziejnie, ale nie miał już możliwości wyboru.

Początkowo, gdy otrzymał tajemniczy list, w piersi jego wstąpiła otucha. Potem nadszedł drugi, zdający się potwierdzać to, co pisano w pierwszym. Uwierzył. Postanowił czekać. Teraz już wiedział, że go oszukano.

Na moment zamajaczyła przed jego oczyma dziewczęca, roześmiana twarz Cynthii.

Gdy widział ją ostatni raz przy pożegnaniu w Montrealu, miała szesnaście lat. Z przeszłości jak żywy wyłonił się obraz wiotkiej dziewczęcej postaci w jasnej sukience, z twarzą okoloną gęstwą bujnych loków. Stała na przystani żegnając odpływających na północ rodziców. W jej wielkich jasnych oczach perliły się łzy.

Zduślił wzruszenie i zacisnął mocniej szczęki. Nie, nie zostawi jej. Jeśli nie żyje, odnajdzie przynajmniej zwłoki i nie spocznie, dokąd nie rozprawi się z bandą. Odnajdzie ich. Odnajdzie ich właśnie zimą.

Zapakował ostatni przedmiot. Zawiązał rzemień u sporego nieprzemakalnego worka i chwilę myślał. Nie, nie zapomniał niczego. Pozostawała tylko ostatnia sprawa. Najtrudniejsza. Usiadł przy stole i na kawałku papieru napisał krótko:

„Kathy,

Wiem, że mnie zrozumiesz. Odchodzę. Wrócę z Cynthią lub nie wrócę wcale. Jeśli nie dam znaku do wiosny, zabierz się z Prescottem i wracaj do Montrealu.

Kochający Cię Andrew”

Złożył papier i wsunął do kieszeni bluzy. Zamknął faktorię i udał się do dawnego domu Ruttera. Prescott był na miejscu. Pił herbatę. Ujrawszy gościa wyciągnął serdecznie rękę:

- Cieszę się, Andy, że cię widzę. Chodź, siadaj. Już robię herbatę, a może wolisz kawę?
- Nie, Henry. Nie rób sobie kłopotu. Przyszedłem tylko na parę chwil.

- Coś poważnego?

Clay spojrzał prosto w oczy tamtego:

- Idę szukać Cynthii.

Gospodarz o mało nie wypuścił z rąk imbryka.

- Siadaj. Zrobię jednak herbatę. Porozmawiamy.

- Nie ma o czym. Przyszedłem cię tylko prosić, byś oddał to Kathy, a jeśli nie wrócę, zabrał ją, gdy będziesz wracał z futrami do Montrealu. Myślę, że tyle możesz dla mnie zrobić?

- Może mogę więcej - odparł twardo Prescott. - Usiądź jednak i mów wszystko, co wiesz o zniknięciu Cynthii. Przede wszystkim, dlaczego dopiero teraz, a nie trzy miesiące wcześniej, chcesz wyruszyć na poszukiwanie?

Clay wahał się przez chwilę, w końcu zwiesił ponuro głowę.

- Widzisz, poprzednio miałem nadzieję - tu opowiedział bez ukrywania niczego o obydwu tajemniczych listach i o okupie, jaki złożył. - Myślałem - ciągnął - że ten, który pisał pierwszy list, może być przyjacielem. Rozumiałem, dlaczego nie ujawniał się. W faktorii i wokół działały się różne dziwne rzeczy. Mógł obawiać się jakiegoś fałszywego kroku z mojej strony. Ale teraz wyznaczony przez niego czas już minął. Może oszukał mnie tak jak Rutter? Może to zresztą on sam pisał oba te listy? Nie mogę dłużej czekać. Kathy zabija nie tylko to, że porwano naszą córkę, ale również to, że ja nie robię nic, by ją odzyskać. Muszę to zrobić, Henry.

Gospodarz nie przerywając słuchał uważnie.

- Mówisz, Andrew, że ten pierwszy list był podpisany jakimś indiańskim imieniem. Czy może je pamiętasz?

- Tak, chociaż nie wiem, co ono znaczy. Gospodarz podsunął mu kartkę papieru i ołówek.

- Napisz tak, jak zapamiętałeś.

- Jeżeli chcesz. - Clay przysunął kartkę. Chwilę się namyślał. - Brzmiało to mniej więcej jak Muhkuhdagebwaunushe¹!

Prescott patrzył na to długie słowo, w końcu powiedział półgłosem:

- Czarny Sokół. A więc pierwszy list podpisał Czarny Sokół.

- Mówisz tak, jak byś znał tego Indianina, Henry?

Gospodarz wyciągnął z szalki butelkę whisky i nalał do dwu małych szklanek.

- Znam go, Andrew. To znaczy, nie widziałem go jeszcze, ale wiem o nim dużo. - Sięgnął po list, jaki Clay napisał do swej żony i wrzucił go do ognia. - Nie będzie potrzebny. Nigdzie nie wyjedziesz - dodał stanowczo. - Wypijmy za Czarnego Sokoła.

- Ale...

- Nie ma żadnego ale. Wypijmy zdrowie tego Indianina. A potem coś ci jeszcze powiem.

Clay podniósł szklankę i opróżnił ją jednym haustem.

- Mów, Henry.

- Nie mogę ci powiedzieć wiele. Jedno wiem na pewno. Czarny Sokół zawsze dotrzymywał słowa. Skoro napisał ci, że jeśli wykonasz jego polecenia, twoja córka będzie tu przed nadejściem zimy, to tak się stanie. Zima nadejdzie szybko; za dwa, trzy tygodnie. Jeśli do tego czasu córka twoja nie przybędzie tu, pójdę wraz z tobą poszukać jej i pójdą moi chłopcy. Ale będzie to też znaczyło, że najszlachetniejszy i najdzielniejszy spośród tych co znaleźli się na północy, nie żyje. Zapłacimy wtedy komu trzeba i za Cynthię, i za niego.

- Henry, ty wiesz coś więcej.

- Wiem, Andrew. Wiem znacznie więcej. Ta gra, która zaczęła się dwa lata temu, nie została zakończona, nawet tu pod osłoną fortu. Ale zapewniam cię, że wkrótce będzie miała swój epilog i my obaj weźmiemy też w nim udział. Myślę, że już za parę dni będę miał dla ciebie jeszcze jedną niespodziankę. Ale ostrzegam, podobnie jak ostrzegł cię Czarny Sokół. Milcz nadal - tak jak milczałeś do tej pory, nawet przed Kathy. Milcz, cokolwiek by się tu w najbliższym czasie wydarzyło. Jeśli ci miłe życie i szczęście twych najbliższych, nasza rozmowa nie może być ujawniona nikomu. Pamiętaj, nikomu!

Clay opanował się. Wyciągnął rękę.

- Dziękuję, Henry. Już zacząłem myśleć, że nie pamiętasz małej Cynthii. I dziękuję ci, że chcesz pójść ze mną i poszukać jej. Do tego czasu zostanę.

Mocny uścisk dłoni zakończył rozmowę.

Trzy dni później, koło południa, Prescott zaszedł do domu Clayów. Ucałował się serdecznie z Kathy, wymienił uścisk dłoni z gospodarzem i burknął udając gniew:

- Siedzicie tu jak dwa stare karibu i żujecie własne myśli. Niedługo człowiek, gdy tu przyjdzie, nie usłyszy nawet słowa powitania. Ostatnie dni jesieni. Zimą będziecie siedzieć w chałupie. A teraz zbierać się i marsz z domu. Przyszedłem zabrać was na małą przechadzkę. Chodźcie.

Clay spojrzał na gościa niepewnie.

- Chłodno. Bolą mnie trochę stawy.

- No właśnie, z zasiedzenia. Ubierać się i idziemy.

- Ależ, Henry! - Kathy usiłowała protestować. - Co cię napadło? W taką pogodę?

- Zima będzie gorsza. Powiedziałem, zabieram was. Nie pójdziecie, wasza strata.

Clay popatrzył uważnie na gościa.

- Chodź, Kathy. Henry ma pewno rację. Trochę ruchu na pewno ci nie zaszkodzi, a i ja rozprostuję nogi, zresztą pokazało się słońce.

W kilka minut później schodzili z niewielkiej pochyłości nad wodę. Rzeczywiście, nie było zbyt zimno. Prescott okrążając niewielki cypel prowadził ich ku przystani.

- Dziwne, co?. Wydaje się, że to zwykła, wielka woda. a jakże jest użyteczna. Bez niej nie

dotarłby tu biały człowiek i jego towary. Nie docieraliby w tę część świata ni ludzie, ni wieści. Wyobraźcie sobie, jak ten fort będzie wyglądał za pięćdziesiąt czy za sto lat. A faktorie? Zamiast nich wyrosnie tu miasto, takie jak na wschodzie. Trochę szkoda. Następcy Prescotta zapewne nie będą już potrzebni? – Umilkł i wpatrzył się w rozległy obszar wodny. Kupiec i jego żona milczeli także. O czym myśleli?

Clay z zadumą przesunął wzrok po wodzie, aż po krańce horyzontu. W pewnym momencie spojrzenie jego znieruchomiało, zatrzymało się na jakimś odległym punkcie. Nie, nie jednym, a kilku, kilkunastu, kilkudziesięciu. Cały długi wąż.

- Henry, widzisz?

- Widzę. - Twarz Prescotta miała zagadkowy wyraz.

- Czyżby jakiś nowy transport, o którym nic nie wiemy? - w głosie Claya można było wyczuć wahanie.

Przewodnik wzruszył ramionami.

- Transport, i to w dodatku składający się z kilkudziesięciu indiańskich kanu? Nie. Andy, to nie transport. To duża grupa Indian. Może nawet całe plemię.

W forcie widocznie również zauważono niezwykle długiego, szybko sunącego węża. bo w parę minut potem nadszedł pośpiesznie Brent wraz z kilkoma żołnierzami. Z faktorii nadbiegł Perry wraz z Rossignolem, kilku ludzi Prescotta.

Porucznik wydawał się z lekka zaniepokojony. Nigdy nie widział jeszcze w jednej grupie aż tylu Indian. Musiało ich być, jak zdołał

policzyć, parę setek.

Obrócił się do stojącego obok sierżanta i polecił:

- Ogłoście alarm! - a zwracając się do pozostałych zawołał: - Wszyscy uzbroić się i schronić za palisadę fortu!

Prescott parsknął śmiechem.

- Ależ, panie poruczniku. Co pan zamierza uczynić?

- Co zamierzam? Bronić fortu.

- Przed kim?

- Jak to przed kim? Nie widzi pan, panie Prescott, Indianie!

- Ba, to widzi każdy. Ale każdy, chyba prócz pana, poruczniku, widzi, że to Indianie z kobietami i dziećmi. A od kiedyż to Indianie zamierzając dokonać napadu zabierają do walki dzieci i kobiety?

Rozległy się przyciszone śmiechy. Brent je usłyszał i poczerwieniał na twarzy. Zdawał sobie sprawę, że ośmieszył się w oczach tych weteranów północnego szlaku. Toteż, by zatrzeć wrażenie, przyznał

skwapliwie:

- Ach, rzeczywiście. Nie zauważyłem w pierwszej chwili kobiet. Słońce jest ostre, a mnie od paru dni bolą oczy. Ale co to może być za plemię i czego tu chcą?

- Będą za parę minut. Powiedzą sami - odparł przewodnik niedbale, a widząc, że żona Claya zamierza oddalić się z przystani, ujął ją pod rękę i powiedział miękko:

- Zostań, Kathy. Zostań i... bądź dzielna. Kobieta spojrzała na niego z nagłym przerażeniem:

- Henry? Czy?...

Oczy przewodnika patrzyły ciepło. Na twarzy widniał uśmiech.

- Uspokój się, Kathy. Wszystko w porządku.

Wąż długich kanu zbliżał się szybko. Po kilku dalszych minutach zboczył nieco w prawo, zatoczył łuk i jak po cięciwie poszedł prosto na przystań.

Prescott patrzył z zachwytem jak łodzie, niczym na wojskowej paradzie, równiutko podchodzą do nabrzeża.

Gdy pierwsza zaryła przednią częścią w piasek, stanął na jej dziobie Indianin i wziął za rękę siedzącą z tyłu dziewczynę. Zszedł na brzeg i trzymając wciąż dziewczynę powiódł ją ku grupie stojących na przystani.

Prescott ujął pod ramię mocniej Kathy i Claya i postąpił kilka kroków do przodu.

Indianin prowadził dziewczynę prosto ku tej trójce. Gdy byli oddaleni o kilkanaście kroków, żona Claya krzyknęła przeraźliwie i ze strasznym szlochem rzuciła się ku dziewczynie. W chwilę potem płacząc obie kobiety obejmowały się ramionami.

Clay ścisnął ramię przewodnika i podszedł do Indianina. Wyciągnął rękę i powiedział:

- Kimkolwiek jest mój czerwonoskóry brat, niech wie, że dzisiaj podarował mi znacznie więcej niż życie. Jeżeli będzie trzeba, biały z radością odda mu swoje życie.

Indianin potrząsnął silnie dłoń kupca i powiedział spokojnie:

- Czarny Bizon i jego czerwonoskórzy bracia dumni są, że matce i ojcu mogli przynieść radość. Niech ojciec przywita córkę i nacieszy się nią. Moi ludzie tymczasem rozbiją obóz.

- Niech Czarny Bizon zatrzyma się jeszcze chwilę - powiedział Prescott, który usłyszał słowa Claya i odpowiedź Indianina.

- Chcę mu powiedzieć, że czerwonoskóry przyjaciel zdobył dzisiaj także drugiego brata i też może zawsze na niego liczyć.

- Czarny Bizon cieszy się, że zyskał przyjaźń Wielkiego Przewodnika. Jest z niej dumny. - Uścisnął równie mocno dłoń białego.

Prescott wskazał na faktorię, którą zajmowali jego Odzybueje.

- Tam Czarny Bizon spotka swych braci, a jeśli czegoś potrzebuje dla siebie lub swoich ludzi, niech mi powie.

- Czarny Bizon nie potrzebuje na razie niczego. Zostanie tu ze swymi braćmi do jutra, a jutro przyjdzie porozmawiać. Może kupi kilka strzelb i trochę prochu.

Prescott przez moment zastanawiał się, w końcu zadał ostatnie, najważniejsze pytanie.

- Czy mój brat wie, jak ma odpowiadać, gdy żołnierze będą go pytali skąd biała dziewczyna znalazła się w obozie Indian?

Czarny Bizon uśmiechnął się.

- Tak. Biała dziewczyna uciekła od zabójców Indian. Uciekała wiele dni i nocy, aż ją znaleźli moi ludzie. Najpierw była bardzo chora, więc ją leczyli, a teraz przenosząc się na zimowy obóz odwieźli ojcu. - I jakby uprzedzając następne pytanie dodał: - Tak samo powie dziewczyna. Nie wie, gdzie jest kryjówka tej bandy, która ją porwała.

Przewodnik jeszcze raz potrząsnął jego ręką.

- Gdy dowódca garnizonu wezwie Czarnego Bizona na rozmowę, ja będę tłumaczył.

Indianin uśmiechnął się jeszcze raz.

- Wielki Przewodnik jest bardzo mądry i chytry, czerwony brat go nie zawiedzie.

Kilkanaście metrów od przystani, w otoczeniu swych żołnierzy stał Brent.

Patrzył na rozgrywającą się przed jego oczyma scenę powitania rodziców z zaginioną córką, na rozmowę Claya i Prescottta - pewno z wodzem Indian - i rozumiał tylko jedno. Dziewczyna, którą wszyscy uważali od dawna za martwą lub uprowadzoną gdzieś daleko przez Ghipewyan, wróciła żywa i zdrowa. Nie mieściło mu się to w głowie. Skąd miała ją ta banda Indian? Może wiedziała coś o Rudym i innych? Po raz pierwszy był wściekły, że nie zna języka dzikich. Już on by z nich wycisnął wszystko.

Skinął na Prescottta, a gdy ten podszedł, spytał:

- Co to za dzicy i skąd mają dziewczynę? Może to oni właśnie wycięli transport Lane'a?

- Tak, na pewno, poruczniku. I jeszcze w dodatku przywieźli panu sami świadka.

Brent przygryzł wargi. Tego dnia strzelił już drugą gafę.

- No, oczywiście! Bzdura. Ale swoją drogą trzeba wiedzieć, skąd mają dziewczynę.

Przewodnik skinął głową.

- Właśnie mówiłem Czarnemu Bizonowi - gdyż takie właśnie imię nosi ten Indianin, że pan porucznik będzie z nim chciał porozmawiać. Przy okazji można, a nawet trzeba, wypytać dziewczynę. Musi dużo wiedzieć. Istnieje szansa, że wreszcie dowiemy się czegoś o kryjówce bandy. Co pan na to, poruczniku? Mogę ich przyprowadzić za godzinę?

- Zgoda. Prescott. Wprawdzie trochę nie wypada przesłuchiwać dziewczyny zaraz po spotkaniu z rodzicami i po takich strasznych przejściach, ale myślę, że nie ma rady. Będzie pan tłumaczył?

- Ma się rozumieć!

Rzeczywiście, w godzinę później w pokoju Brenta siedzieli: Cynthia Clay z ojcem. Czarny Bizon i Prescott oraz sierżant Jackson.

- Panno Clay - rozpoczął porucznik - przykro mi, że w takim dniu odrywam panią od najbliższych, ale z obecnym tu panem Prescottem doszliśmy do wniosku, że tylko pani może nam pomóc w ujęciu resztek bandy. Niech mi więc pani wybaczy, ale to dla nas bardzo ważne.

- Niech pan pyta, panie poruczniku. Powiem wszystko, co będę wiedziała.

- Dziękuję, panno Clay. Najważniejsze: gdzie jest kryjówka bandy?

- Nie wiem. To znaczy wiem, że gdzieś na wschodzie. Teren jest górzysty i skalisty. Cała masa wąwozów, jarów, parowów, pełno strumieni. Okolica mało zalesiona, to wszystko.

- Ale bliżej. Może jakieś szczególne znaki rzuciły się pani w oczy?

- Nie, wszystko jest tam podobne.

- Gdzie panią porwała banda Rudego? Wiemy, że tak nazywał się herszt.

- Też dokładnie nie wiem, ale z tego co mówił na ostatnim postoju Lane - około pięć dni drogi od fortu. Napad nastąpił w nocy, gdy wszyscy spali. Po pierwszej salwie zostało tylko paru. Tych dobili toporami i nożami. Potem wieźli mnie przez jakieś potoki, bagna i jeziora tylko nocą. Pięć lub sześć nocy. Nie wiem na pewno, ale gdzieś na wschód. Potem szliśmy już za dnia przez jakieś wertepy do takiej dużej groty. Tam mnie trzymali.

- Kto był w bandzie? Czy zna pani nazwiska, czy poznałaby pani któregoś z tych ludzi?

- Nie wszystkich, ale co najmniej kilkunastu - tu dziewczyna wymieniła wszystkie znane i zapamiętane postacie. Niektórych tylko imiona.

- Czy w tym czasie, gdy pani była więziona, ktoś doszedł lub odszedł z bandy?

- Tak, czasami ktoś ubywał, ale nie wiem, co się z nimi stało. Przybył tylko jeden nowy. Nazywano go Winter. Podobno zabójca Indian. Zabijał dla skalpów, żeby je sprzedawać. Najgorszy prócz Rudego morderca.

- Znamy go, panno Clay. Pracował tu jakiś czas u Ruttera, jako sprzedawca i tłumacz.

- Kto panią uwolnił?

- Mnie? Nikt! Sama uciekłam.

- Jak to się stało? Niech pani opowie.

- Bardzo prosto. Któregoś dnia, a właściwie nocy, długo przed świtem banda pośpiesznie wymaszerowała. Na straży groty, w której były ukryte towary Lane'a, pozostało tylko trzech czy czterech. Wymarsz bandy obudził mnie. Strażnicy zaraz potem usnęli ponownie. Skorzystałam z okazji i uciekłam. Uciekałam przed siebie boso. Tam jest kamienisty grunt. Nie zostają ślady. Rano zaszyłam się w jakimś parowie i przeczekałam cały dzień. Nocą znów uciekałam. Uciekałam wiele nocy. Myślałam, że spotkam jakichś Indian - handlowali przecież z tutejszymi kupcami. Mogli mi pomóc. Żywiłam się trawą i liśćmi. Wiem, że byłam słaba. Nie miałam sił i gdzieś nad wodą

zasnęłam. Obudziłam się w jakimś indiańskim wigwamie.

Chorowałam długo. Teraz mnie tu przywieźli. To dobrzy ludzie. Dbali o mnie. Gdyby nie oni...

- Przepraszam, panno Clay, jeszcze tylko jedno pytanie. Ja wiem jak pani ciężko. Rozumiemy to wszyscy. Proszę powiedzieć, ile nocy mogła pani uciekać z tej zbójeckiej jaskini?

- Nie wiem. Straciłam rachubę czasu, ale chyba kilkanaście.

- Dziękuję. Nie będę pani więcej męczył, może kiedyś trochę, ale dopiero, gdy pani wróci do sił. Czy może pani jeszcze zostać parę chwil, gdy będę pytał Czarnego Bizona?

- Tak, oczywiście.

Porucznik obrócił się w stronę czerwonoskórego i powiedział przyjaźnie:

- Czarny Bizon i jego czerwonoskórzy bracia i siostry oddali wielką przysługę swym białym braciom, zwracając im jedną z ich córek. Zasłużyli na podarki i wdzięczność białych. Nasi czerwoni bracia wiedzą, że biała dziewczyna uciekła od tych, którzy mordowali białych i Indian. Żołnierze chcą znaleźć kilku z tych morderców. Ale, aby ich znaleźć i ukarać, chcieliby wiedzieć, gdzie czerwonoskórzy bracia znaleźli córkę wielkiego białego kupca. Czy Czarny Bizon może nam to powiedzieć?

Indianin zastanawiał się przez chwilę.

- Tak. Trzej indiańscy myśliwi polowali dwadzieścia słońc stąd w kierunku wielkiej zimnej wody, nad którą żyją Maskageon. Jednego wieczoru znaleźli białą dziewczynę. Leżała nad rzeką i opuszczał ją duch. Przewieźli szybko do obozu Czarnego Bizona i tam czarownik wypędził złego ducha. Teraz przywieźli ją tu, by oddać ojcu.

Treściwą opowieść Indianina zrozumieli wszyscy, toteż jedynie dla formalności porucznik spytał jeszcze:

- Dokąd udają się teraz nasi bracia?

- Jada tam, gdzie zachodzi słońce. Będą polowali. Gdy znów przyjdzie ciepło, wrócą, by sprzedać futra.

- Czy długo zostaną tutaj?

- Tylko do jutra. Niedługo przyjdzie mróz. Muszą przedtem założyć zimowy obóz.

W kilka minut potem Indianin, Prescott i Clay z córką wychodzili przez bramę fortu.

Kilka kroków za bramą Prescott spytał przyciszonym głosem:

- Czy Czarny Bizon może przyjść do mnie koło północy, ale tak, aby nikt nie widział?

Indianin skinął głową i bez słowa poszedł w stronę modrzewiowego lasu, gdzie czerwonoskórzy rozbijali obóz. Clay zatrzymał się z córką.

- Chodź, Henry. Kathy czeka już pewnie z obiadem. Rzeczywiście, żona Claya już w progu z oburzeniem zwróciła się do męża.

- Czemu tak długo siedzieliście? O mało mi się nie przypaliło mięso.

Nikt jednak nie uwierzył temu oburzeniu. Clay objął żonę serdecznie.

- Nie musisz krzyczeć na nas, Kathy. Wiesz, że obowiązkiem Cynthii było złożyć zeznania. Władze wojskowe chciałyby ująć pozostałą część bandy. Im szybciej będą wiedzieć wszystko, tym lepiej.

Prescott widział, jak matce trzęsą się ręce i ciągle ręką fartucha ociera oczy. Jego samego coś ścisnęło za gardło. Rozumiał przecież, co musiała przeżywać. Zresztą oboje Clayowie zasypywali Górkę gradem pytań, na dziesiątki których dziewczyna nie miała nawet czasu odpowiedzieć.

W końcu Clay opowiedział żonie, jak Cynthia uciekała z obozu bandy.

Kathy słuchając tego rozplakała się w głos i kurczowo ścisnęła córkę. Dziewczyna spojrzała na Prescottta i widząc w jego oczach uśmiech i coś jakby przyzwolenie, powiedziała cicho:

- Nie płacz, mamusiu. To wcale nie było takie straszne. Prescott kiwnął głową z aprobatą i dalej się uśmiechał.

- Jak to, córeczko? Sama jedna w tej strasznej, dzikiej puszczy, bez obrony? Przecież gdyby nie znaleźli cię ci dobrzy ludzie i nie zaopiekowali... - tu rozplakała się jeszcze gwałtowniej. Clay ocierał łzy.

- Nie płaczcie. To wcale tak nie było. Tam w forcie nie powiedziałam prawdy.

Clayowie patrzyli na córkę w zdumieniu, ojciec uniósł brwi.

- Nie powiedziałaś prawdy porucznikowi?

Prescott, który do tej pory nie wtrącał się do rozmowy, wyręczył zakłopotaną dziewczynę.

- Słuchaj, Kathy, i ty, Andrew. Cynthia nie mogła powiedzieć tam całej prawdy. Wam może ją powiedzieć, jeśli przyrzekniecie, że przez pewien czas nie powiecie tego nikomu.

- Jak to?

- Przyrzeknijcie, że to co tu zostanie powiedziane, nie wyjdzie poza ściany tej izby.

Andrew patrząc w twarz mówiącego ujął rękę żony i powiedział:

- Przysięgamy, Henry!

- Dobrze! A więc słuchajcie. Wasza córka nie uciekła z jaskini, w której ją trzymała banda. Nie miała żadnych szans ucieczki. Gdyby jej nawet nie schwytano, nie przeżyłaby sama w puszczy nawet paru dni, ale schwytano by ją na pewno, i to w kilka godzin. Cynthia została porwana, porwana z jaskini przez tych Indian, którzy wam ją dzisiaj przywieźli. Indianie musieli porwać Cynthię i ukryć. Gdyby tego nie uczynili, banda by ją zabiła. Nie oddałaby jej wam, bo Cynthia знаła przecież ich wszystkich.

- Ale - Clay otworzył ze zdumienia usta - ale dlaczego nie powiedziała tego w forcie?

- Ech, Andrew. Znasz porucznika od prawie dwu lat. Jutro szczegóły przesłuchania będą znali wszyscy w forcie. A może tu być jeszcze jakiś szpieg bandy. Gdyby się o tym dowiedział, resztki

bandy z Rutterem na czele nie udałoby się już ująć. Przecież gdyby banda dowiedziała się, że Indianie znają drogę do jej kryjówki, uciekłyby natychmiast. Dlatego córce twej kazano, by skłamała. Dlatego też skłamał i Czarny Bizon. Czy tak, Cynthio?

Dziewczyna skinęła głową.

- Tak, Henry. Było właśnie tak, jak pan mówi. Czarny Bizon powiedział mi, że pan jeden wie wszystko.

Clay spojrzał dziwnie w twarz starego przyjaciela.

- A więc wiedziałeś już wcześniej, że Cynthia przyjedzie właśnie dziś?

- Uhm. Ale to już nieważne. Powiedz, dziecko, jak porwali cię Indianie. Nie wiem, jak to się odbyło.

Dziewczyna chwilę milczała, po czym opisała całą scenę, jaka miała wtedy miejsce, i drogę do obozu Indian.

Kupiec milczał. Kathy znów cicho popłakiwała, ale były to już łzy radości.

- Nie widziałaś więc wodza tych, co cię uprowadzili? - spytał Prescott.

- Nie. W chwilę potem, jak zabili tamtych dwu przed grotą, zarzucili mi worek na twarz i nie już nie widziałam. Słyszałam tylko jego głos, gdy wydawał rozkazy.

- No, a potem gdy byłaś w obozie Indian, nie mówili, kim był ten wojownik?

- Ach, masę razy. Peenay, ta Indianka, z którą mieszkalam, ciągle mi powtarzała: „Czarny Sokół mądry wielki wódz. Wie co robi. Jego wigwam pusty. Jak biała dziewczyna nie będzie jadła i schudnie, Czarny Sokół odeśle do rodziców albo wypędzi w las. Jest silny jak niedźwiedź i skalpuje wszystkich wrogów. Nie oszczędza nikogo. Biała dziewczyna będzie pilnowała jego ogniska” - i mnóstwo innych podobnych rzeczy. Musiałam mu nawet uszyć najpiękniejszy jaki widzieliście indiański strój... - tu widząc zagadkowy wyraz twarzy Prescottta i zdumienie ojca, przerwała.

- Co się stało, tatusiu?

- Mówisz córko, że kazał cię porwać Czarny Sokół?

- Ależ tak. Przynajmniej cały czas tak mówiła Peenay. Czy znasz go, ojczu?

- Nie, dziecko. Nie znam. Ale właśnie on przysłał mi pierwszą wiadomość, że żyjesz i wrócisz do nas. Mówiłeś prawdę, Henry. Ten Indianin dotrzymuje słowa i chociaż jest może prymitywny, nie może być zły. Niech go Bóg błogosławi.

- A więc pan go zna? Prescott potrząsnął głową.

- Nie, Cynthio. Nie znam go również. Chociaż, mówiąc ściśle, to znam. Nie widziałem go tylko nigdy. Poznasz go jednak. Poznamy wszyscy, jeśli Bóg pozwoli, i to niedługo - a widząc nagle zakłopotanie dziewczyny i naśladować styl mowy starej Indianki dodał żartobliwie: - Jego wigwam pusty. Biała dziewczyna będzie pilnowała jego ogniska.

Roześmieli się wszyscy. Oczy Kathy błyszczały radością, zgarbione od wielu miesięcy plecy

Claya prostowały się z minuty na minutę.

- No, to skoro tak sądzisz, Henry, wypada wypić zdrowie przyszłego zięcia - prawda Kathy?

Do późna w Trioc Cynthia opowiadała swe przeżycia. Śmiała się mówiąc o malowaniu co dwa tygodnie jej włosów na czarno i przyciemnianiu skóry.

Od Czarnego Bizona dowiedziała się dopiero przed paru dniami, że Indianie strzegli ją w ten sposób przed oczyma mogących się gdzieś pojawić szpiegów bandy. Szczęśliwa i pełna nieznanego od wielu miesięcy przepełniającego ją spokoju snuła opowieść za opowieścią, najdrobniejsze niemal wydarzenia dnia codziennego wśród Indian.

Około północy Prescott pożegnał szczęśliwą rodzinę. I jeszcze raz przypominając o konieczności milczenia wobec obcych udał się na spotkanie z Czarnym Bizonem.

Na niebie po wschodniej stronie zaczynało jaśnieć, gdy Indianin chyłkiem przemknął do swego obozowiska.

ROZDZIAŁ XII

W kilka dni po opuszczeniu kryjówki bandy wrócił Czarny Lis. Jego informacja była zwięzła.

- Przybył posłaniec od Prescottta. Czerwone kubraki wysłały zwiadowców na południe, ale ci też już wrócili. Nie znaleźli nic. W forcie, zamiast jednego, w nocy pilnuje dwu wartowników. Biali w faktorii chodzą ze strzelbami, ale nikt nie ruszył z fortu. Kupcy i żołnierze nie znają okolicy. Boją się. Nie pójdą szukać. Pewno poczekają na transport. Wtedy będzie dużo ludzi. Może wtedy zaczną szukać. Czarny Lis wrócił sam. Młody Orzeł ma poczekać jeszcze dwa dni i jeśli w forcie nic się nie będzie działo, też wróci.

Rutter i pozostali odetchnęli. Mogli nie spiesząc się, bez żadnej obawy, zacząć załadunek towarów leżących w jaskini. Łodzie zostały przygotowane i czekały w głębokim, oddalonym o około pół mili strumieniu.

- No, chłopcy. W takim razie od jutra rozpoczynamy załadunek. Myślę, że dwa dni wystarczy. Wróci akurat Młody Orzeł – powiedział Rutter wysłuchawszy Indianina. - Dzisiaj urządzamy przyzwoitą kolację.

Banda z pomrukiem zadowolenia przyjęła decyzję szefa. Prawdę mówiąc, nie czuli się tu zbyt pewnie. Dwieście mil dalej na wschód mogli spać rzeczywiście spokojnie.

Wkrótce przed pieczarą zapłonęło ognisko. Nie rozpalali ognia na zewnątrz od kilku dni, obawiając się jakichś niepotrzebnych, bystrych oczu. Ognisko palono tylko w pieczarze i jedynie nocą, by dymu nie dostrzegł jakiś wywiadowca z fortu. Obecnie nie musieli się już tym przejmować.

Upolowana rankiem przez Rudego młoda kłępa, odpowiednio poćwiartowana, rumieniła się nad płonącymi szczapami brzozy.

Nastroje poprawiły się wyraźnie. Parę butelek rumu poprawiło humory.

Rutter, którego apetyt odpowiadał pokaźnej tuszy kupca, klepnął Wintera po ramieniu.

- Billy mówił mi. Gdybyś nie udusił tego strażnika, diabeł wie, jak by się to wszystko skończyło. Podobno i tak zdążył narobić jeszcze trochę szumu.

- To właściwie nie moja zasługa. Czarny Lis miał ukryty nóż w rękawie. Dzicy są zawsze przezorni. Widziałem, jak uwalnia swego syna. Tamten z kolei uwolnił mnie. Nie odbyło się to zupełnie cicho. Ponieważ strażnik zaczął się budzić i mógł narobić hałasu, nie miałem wyjścia. Musiałem dać czas Orłowi, który miał nóż, na przecięcie więzów Rudego. Nie mogliśmy go przecież zostawić. Okazało się jednak, że strażnik to nie ułomek, a ja miałem jeszcze trochę, zdrętwiałe ręce. Związali nas solidnie. Przytrzymałem go na tyje, że dziki uwolnił Rudego, ale myślę, że poza strachem, tamtemu nic się nie stało. Gdy zobaczyłem, że Billy jest już w wodzie, musiałem brać i ja nogi za pas. Zresztą - dodał ogryzając sporą kość - gdyby Czarny Lis nie gonił tak całą drogę, myślę, że posłaniec Prescottta zdążyłby przed nami...

- Tak - kupiec roześmiał się. - Mogłoby to mieć nie najlepsze następstwa. Szkoda tylko tamtych chłopców. No i tego, że trzeba było zlikwidować interes. A szedł nieźle. Dobrze, że będziemy chociaż mieli czym handlować na wiosnę.

Winter wydawał się nad czymś zastanawiać:

- Słuchaj, John. Serio zamierzasz dostarczyć futra nad Zatokę Hudsona?

- Tak, Hudson Bay Company kupi je chętnie. Ponieważ nie kochają NorWestersów, nie będą dociekliwi. Zresztą, mam tam kogoś. Możesz się nie przejmować. Myślę - tu nachylił się do ucha Wintera - że już latem będzie można ponownie zorganizować trochę ludzi gotowych zaryzykować i „poprowadzić handel” po drugiej stronie granicy. Na południu słyszałem, że na preriach są miliony bizonów, a za skóry płacą teraz w Stanach nie gorzej niż kiedyś za skalpy.

- Hm! To może być rzeczywiście interesujące.

- I to nawet bardzo. Przekonasz się.

Banda ucztowała do północy. Rano zaczęła przenosić towary do oczekujących łodzi. Nie brał w tym udziału tylko Czarny Lis. Siedział pod skałą bez ruchu przez cały dzień.

Winter, który snadź poznał już Indianina podczas tych kilku miesięcy wspólnie spędzonych w bandzie, zwrócił na jego zachowanie uwagę Ruttera. ‘ - Myślisz, że coś jest nie w porządku, James?

- Nie wiem, ale jeżeli dziki nie przykłada ręki do naszej pracy i myśli tak długo, nie zaszkodziłoby wiedzieć, o czym.

- Dobra, chodź. Pogadamy z nim.

Gdy podeszli, Rutter, który jak się okazało nie lubił owijać niczego w bawełnę, spytał po prostu: - O czym mój czerwony brat myśli cały dzień?

Indianin chwilę jeszcze pozostawał w bezruchu, po czym nie odpowiadając sam zadał pytanie:

- Biali znoszą towary do łodzi. Dokąd chcą popłynąć i co zamierzają zrobić?

- Biali muszą stąd odejść - odparł Rutter. - Udadzą się daleko na wschód, do wielkiej zimnej wody. Tu jest niebezpiecznie. Ale dlaczego mój przyjaciel o to pyta?

- Czarny Lis rozmawiał z duchem swego zmarłego brata, który pytał, dlaczego u pasa Czarnego Lisa nie wisi ani jeden skalp jego wrogów. I Czarny Lis nie umiał odpowiedzieć duchowi na to pytanie. Teraz Czarny Lis widzi, że biali nie myślą o skalpach i o walce. A bez walki nie ma skalpu. Czy wielki biały kupiec rozumie duszę wojownika?

Rutter położył dłoń na ramieniu Indianina.

- Biali rozumieją Czarnego Lisa, ale teraz nie mogą mu pomóc. Są za słabi. Nie mogą walczyć. Będą walczyć znów, jak minie jedna zima. Wtedy znów będą silni, a Czarny Lis zdobędzie tyle skalpów, że ich nie udźwignie.

- Czarny Lis nie może tak długo czekać. Duch jego brata chce widzieć u pasa skalpy wrogów. Czarny Lis nie obawia się nieprzyjaciół. Nie odejdzie stąd z białymi. Znajdzie tu tchórzliwe Suszone Skóry i te żaby Cree. Zdejmie skórę z głów Tsattine i Slave, a gdy wróci z wojennej ścieżki, jego bracia pozwolą mu nosić wiele orlich piór. Wtedy duch zmarłego nie powie, że Czarny Lis był tchórzem - przy tych słowach oczy czerwonoskórego zabłyśły groźnie.

- Mój czerwony brat postąpi jak zechce - powiedział Rutter - ale ponieważ przez wiele księżyców pomagał swym białym braciom, niech powie, czego żąda za swą pomoc.

Indianin wyprężył pociętą bliznami szeroką pierś i odparł dumnie:

- Czarny Lis przybył tu ze swym synem po skalpy, a nie po podarki. Gdy wróci Młody Orzeł, odejdą. Nie potrzebują nic od białych.

Twarcz jego przybrała znów kamienny wyraz, wzrok znieruchomiał, postać zastygła jak martwa.

Winter trącił lekko kupca.

- Chodź, John. Nie ma go co przekonywać. On już zdecydował, i kto wie, czy nie lepiej dla nas. Nad Zatoką Hudsona mógłby być kłopotliwy.

Rutter skinął głową.

Towary przenoszono do łodzi cały dzień i większą część następnego. Przed wieczorem grotka została opróżniona. Wyładowane łodzie chwiały się lekko wzdłuż brzegu potoku.

Zgodnie z zapowiedzią Czarnego Lisa, tuż po zachodzie słońca powrócił Młody Orzeł. Potwierdził tylko słowa ojca, że w forcie nie działo się nic. Biali nie oddalali się nawet na polowania.

Gdy skończył, usiadł obok ojca i długo o czymś szeptali. Zapewne Czarny Lis wtajemniczał syna w swe przyszłe plany.

Nadciągnął deszcz; banda schroniła się do groty. Obaj Indianie owinięci w wilcze skóry ułożyli się do snu pod skalnym nawisem, chroniącym ich przed wzbierającą na sile nawałnicą, która

trwała prawie do północy. Po ustaniu deszczu podnieśli się, otrząsnęli krople wody z wilczej sierści i, niczym dwa duchy, zniknęli w ciemnościach.

Rankiem pierwszy obudził się Rudy. W grocie było jasno: przez skalne szczeliny sączyły się promienie słońca. Nie chciało mu się spać. Popatrzył na resztę bandy spoczywającą jeszcze nieruchomo i wyszedł przed jaskinię. Ziewnął potężnie i zmrużył oczy. Ostre promienie nisko jeszcze stojącego słońca raziły jego wzrok. Przysłonił na moment oczy i odruchowo, spod spuszczonej powiek, rzucił spojrzenie w miejsce, gdzie Indianie ułożyli się do snu. Miejsce to było puste. Widocznie już poszli - pomyślał prawie obojętnie. - Odsunął rękę od czoła i zamarł ze zdumienia.

O kilkanaście kroków, prawie w samym środku polany, na niskim, płaskim kamieniu” ćmiąc fajkę siedział wódz Sarsi - Pięć Niedźwiedzi i obojętnie wpatrywał się w białego.

Z jaskini wyszli Winter i Mathiew, i również dostrzegli wodza.

Rudy, który zdołał opanować się trochę, skinął na Wintera:

- Chodź tu i tłumacz!

- Skąd tu znalazł się mój brat? Myśleliśmy, że jest daleko.

- Biali mylili się - odparł spokojnie Indianin, wypuszczając jednocześnie duży kłęb dymu.

- Ale przecież schwytali cię przy Kanionie Sepów. Widziałem mego brata i jego wojowników, jak leżeli związani tam pod skałą.

- Białymy się - odparł siedzący dalej spokojnie wódz. - Nie mógł mnie tam widzieć, bo nie było mnie tam.

- Ale przecież ty jesteś Pięć Niedźwiedzi - wódz Sarsi?

- Białymy znów się myli. Bierze mnie za kogoś innego. Czerwonoskóry nigdy nie miał imienia, które wymawiasz, i nie był wodzem Sarsi. Jeżeli uważasz mnie za Sarsi, to jesteś ślepy. Nie potrafisz odróżnić naszego narodu.

- Niech Pięć Niedźwiedzi nie żartuje. Prawie trzy księżycy temu siedział na tym samym kamieniu i palił tę samą fajkę. Trzymał na kolanach tę samą strzelbę.

Dziki zainteresował się.

- Białymy mówi, że wódz Sarsi siedział na tym kamieniu i palił tę fajkę?

- Tak, tę samą. Dymem z tej fajki uświęcił między nami przyjaźń i walkę przeciwko wspólnym wrogom.

Indianin wstał. Lufa jego strzelby chwiała się na wysokości piersi stojącego o kilka kroków Rudego. Roześmiał się cicho i popatrzył pogardliwie na trójkę białych, ale zwrócił się do Rudego:

- Jesteś głupia blada twarz, która patrzy, ale nie widzi. Słucha, ale nie słyszy. Powtarzam ci. ja nie jestem Sarsi i nie noszę imienia Pięć Niedźwiedzi. Fajki pokoju ze świętej gliny z tobą nie paliłem, a ta, którą trzymam, to zwykła fajka. Jej dym nie zobowiązuje. Tak. Tę właśnie fajkę z tobą paliłem. Nie przyrzekałem ci walczyć ze wspólnymi wrogami. Mówiłem wtedy, że będę walczył z

wrogami. Jeśli, jak mówisz, Pięć Niedźwiedzi i Sarsi coś ci przyrzekali, to szukaj ich. Niech oni dotrzymają obietnicy. Ja walczę tylko z wrogami moich braci. Ty jesteś właśnie moim wrogiem i wrogiem Indian. Z tobą będę walczył. Ale Indianin jest chytrzejszy niż ty. Weźmie ci twój czerwony skalp. - Oparł palec na spuście strzelby i dodał groźnie: - Nie próbuj się zbliżyć. Mierzy w ciebie pięćdziesiąt karabinów. Jeśli uczynisz niepotrzebny ruch, zginiesz. Patrz! - Czerwonoskóry zatoczył ręką koło.

Biali spojrzeli wokół. Zza każdego nieomal pnia drzewa, zza skalnego załomu mierzyły błyszczące lufy.

Indianin znów spojrzął na Rudego i powiedział: - Idź teraz, czerwona żabo, z tymi dwoma do jaskini i powiedz wszystkim, że mają się poddać. Jeśli nie zechcą, zginą w jaskini i stracą swoje skalpy.

Trzej bandyci pod groźnym spojrzeniem wycofali się ostrożnie ku wejściu do groty. Wewnątrz Rudy otarł pot spływający mu z czoła.

- A to dzikie bydlę i zdrajca!

Rozbudzona banda chwyciła za broń. Rudy, którego palce kurczyły się drapieżnie, sapał z wściekłości. Zwrócił się w stronę Ruttera i syknął:

- To ty, durniu, przysłałeś mi tych pomocników. To właśnie oni wciągnęli mnie w zasadzkę pod Kanionem Sępów.

Rutter błyskawicznie sięgnął po pistolet.

- Jeżeli się nie uspokoisz, Billy, zabiję cię. Skąd mogłem wiedzieć, że to zdrajcy? Ty byłeś razem z nimi i inni. Przez trzy miesiące dałeś się, głupcze, wodzić za nos. Gadaj lepiej, jakie jest wyjście?

Rudy uspokoił się.

- Niech Winter powie im, że naradzamy się. Przed wieczorem damy im odpowiedź.

Winter bez słowa ułamał zieloną świerkową gałąź ze stosu leżącego pod ścianą groty, wystawił ją ostrożnie na zewnątrz i wysunął się do połowy. Na wszelki wypadek zawołał kilkakrotnie:

- Niech Indianie nie strzelają. Chcę z nimi mówić. Z zewnątrz padła odpowiedź:

- Wyjdź i mów!

Winter wyszedł trzy kroki przed grotę, ciągle trzymając wysoko wzniesioną zieloną gałąź.

- Moi biali bracia nie mogą teraz wyjść, bo obawiają się, że czerwonoskórzy by ich pozabijali. Muszą się naradzić: Przed wieczorem dadzą odpowiedź.

Czerwonoskóry, siedzący w dalszym ciągu na kamieniu, pokręcił przecząco głową i odpowiedział stanowczo:

- Zostawiam białym tylko tyle czasu, ile potrzeba na wypalenie jednej fajki. Potem spalimy jaskinię.

Winter roześmiał się.

- Indianie nie spalą jaskini. Białych jest tu dużo. Mają dużo prochu i kul. Nim twoi wojownicy zbliżą się do groty, połowa z nich zginie. Biali nie wpuszczą tu nikogo. Mogą się bronić długo, jeśli wódz wypali prawdziwą fajkę pokoju, która teraz wisi na jego szyi i przyrzeknie, że jego wojownicy nie będą strzelać i ścigać nas. wyjdziemy. Jeśli nie, to zabijemy wielu jego braci.

- Błada twarz kłamie. Wszystkie strzelby, proch i kule są w kanu nad potokiem. Indianie nie tracą nikogo, a blade twarze i tak zginą. Jeśli biali wyjdą w oznaczonym czasie, rozpatrzemy ich winy i dzicy wymierzą karę taką, na jaką każdy zasługuje. Jeśli ktoś z białych zabija! naszych ludzi - umrze. Jeśli nie zabijał, zastanowią się, jaką karę mu wymierzyć. Biali mają, tylko tyle czasu, ile wyznaczyłem. Powiedziałem.

Winter wycofał się do groty. Rozmowę jego słyszeli wszyscy. Któryś z ludzi Mathiewa zdążył ją już przetłumaczyć.

- Słyszeliście! Dzicy mają nasze łodzie. Co robimy? Rudy spojrzał ponuro.

- Jest tylko jeden sposób. Wydostać się z groty; zdobyć przynajmniej ze trzy z naszych łodzi - te z bronią. Myślę, że całe plemię jest tutaj. Przy łodziach najwyżej dwóch, trzech ludzi. Poradzimy sobie z nimi. Tutaj rzeczywiście nas dostaną, zwłaszcza że nie bardzo mamy czym strzelać. Te trochę prochu i kul starczy najwyżej do wieczora.

- Ale jak wydostać się z groty? - Rutter i inni nie byli przekonani.

Rudy popatrzył triumfująco:

- Jest stąd zapasowe wyjście. Godzina to aż nadto, co nam potrzeba. Dwóch niech pilnuje tu wejścia przez piętnaście minut. Reszta za mną.

W kilka minut potem banda cicho odsuwała luźno narzucone głązy, zasłaniające ukryte przemyślnie wyjście w parowie.

Gdzieś z tyłu huknęły dwa strzały, po czym nastąpił przytłumiony grzechot palnej broni.

Rudy krzyknął:

- Prędzej!

Z tyłu nadbiegli dwaj strażnicy.

- Indianie w grocie!

Ostatni kamień z łomotem poleciał na dno parowu. Banda wypadła na zewnątrz, zbijając się w ciasną gromadę.

O kilkanaście kroków stał kilkusobowy oddział białych i ze trzydziestu Indian. Wymierzona groźnie broń nie pozostawiała złudzeń.

Stojący prawie tuż przy wejściu biały powiedział drwiąco:

- No, chłopcy, złożyć broń i nie robić kawałów; to już nic nie da.

W trzy dni po cudownym nieomal powrocie Cynthii Clay i w dwa po odjeździe Indian, na

niewielkim placyku przed zabudowaniami fortu, Brent nadzorował musztrę żołnierzy. Prowadził ją, jak zwykle, sierżant Jackson. Żołnierze ćwiczyli dobrze i porucznik patrząc na nich, wydawał się być zadowolony.

Gdy już miał odejść do siebie, w bramie fortu spostrzegł Prescottta.

- A, witam sławnego przewodnika! - zażartował.

- Witam dowódcę sił zbrojnych! Czemu, poruczniku, męczy pan tak tych biednych żołnierzy?

- Ech. i tak nic nie robią. Czymś ich przecież muszę zająć.

- Serio chciałby ich pan zająć czymś pożytecznym, panie Brent?

- Oczywiście! Przecież poza polowaniem, zresztą nie zawsze z najlepszymi rezultatami, i łowieniem ryb. nie mają co robić.

- Mam dla pana propozycję.

- O... - ucieszył się porucznik. - Naprawdę?

- Naprawdę! - Prescott uśmiechał się zagadkowo. - Chciałbym pana prosić o przyjacielską przysługę.

- Ależ z największą przyjemnością.

- Spodziewam się dzisiaj kilku znakomitych gości i chciałem pana prosić o wzięcie udziału w ceremonii powitalnej: ma się rozumieć, w honorowej asyście - dodał z uśmiechem.

- Gości... W honorowej asyście? - Porucznik był wyraźnie zdumiony.

- Tak. i to znakomitych. Nie będzie pan żałował.

- Ale... Co to za goście?

- Pozna ich pan przy powitaniu. Bardzo proszę.

- No dobrze, tylko nie rozumiem?

- Nie szkodzi. To mała niespodzianka, specjalnie dla pana.

- Zgoda. Nie chce pan powiedzieć, to nie. I tak właściwie nie mam nic do roboty. O której, gdzie i jak liczną asystę mam zabrać?

- Przynajmniej kilku żołnierzy. Na przystani o drugiej, jeśli pan pozwoli.

- Dobrze, będę. Domyślam się, że wracają pańscy ludzie, ci, których pozostawił pan w górze rzeki. Prawda?

- Zgadł pan prawie, poruczniku. A więc o drugiej.

Brent zamyślonym wzrokiem odprowadzał postać przewodnika. Domyślał się, że chodziło o jakąś niespodziankę. Może tylko żart. a może nie. Co prawda Prescott miewał czasami różne dziwaczne pomysły. Może zaprosił tu jakichś wodzów indiańskich i chciał nadać temu odpowiednio uroczystą oprawę? Chociaż mina jego, gdy prosił, by porucznik wziął z sobą honorową asystę, wydawała się nieco podejrzana. Ano, trudno. Wolnym krokiem poszedł do siebie.

Kiedy słońce zaczęło schodzić niżej, wyszedł przed bramę fortu. Towarzyszył mu sierżant i

czterech żołnierzy.

Nad brzegiem stał Clay ze swą córką, Perry, Rossignol i Prescott.

Zostawiając żołnierzy nieco z tyłu, pod opieką sierżanta, porucznik podszedł do grupki oczekujących i przywitał się:

- Widzę, Prescott, że prócz wojskowej, zaprosił pan również cywilną asystę i w dodatku jeszcze bardziej honorową - tu rzucił wymowne spojrzenie w stronę Cynthii Clay. Nie widział jej od czasu przyjazdu, toteż był zaskoczony zmianą. Szarobrunatne, proste włosy, starannie wymyte w gorącej wodzie z dobrym mydłem, jaśniały w blaskach popołudniowego słońca. Dwa grube warkocze, ciężko spływające do pasa, nie kryły ich naturalnej miękkości i puszystości. Spod ciemnych, długich rzęs strzeliła na moment jasnym błękitem oczu. - Powiedziałbym uroczej asysty - dodał z wytwornym ukłonem.

- Cóż, panie Brent, gdy goście godni, asysta również musi być odpowiednia. Sądzę, że będą czuli się zaszczytzeni. Ale oto i oni.

Oczekujący spojrzeli we wskazanym kierunku.

Z jednego z dopływów rzecznych wynurzyło się wolno kilkanaście kanu i skierowało ku przystani. Łodzie były oddalone o ćwierć mili. Grupka osób skupiona na brzegu zamilkła wpatrując się pilnie w wolno płynący konwój.

- No i co, poruczniku? Nie spóźnili się nawet o minutę. To się nazywa punktualność, co? - A widząc, że twarz Brenta ogarnia coraz większe zdumienie, dodał swobodnie: - Widzę, że poznaje pan dobrych, starych znajomych.

Łodzie zbliżały się coraz bardziej. Stojący na nabrzeżu coraz usilniej wpatrywali się w poszczególne postacie. W końcu Clay nie wytrzymał:

- Na Boga! Toż to Rutter i Mathiew, i Locke. Są też ich ludzie. O, Winter w ostatniej łodzi. Wszyscy powiązani. Cała banda. A ten drab z czerwoną czupryną, nie znam go?

Cynthia oddychała szybko. Policzki jej pokrył rumieniec, falowała pierś. Oczy ciskały błyskawice. Ona знаła tych dwóch. Usłyszawszy więc pytanie ojca-odpowiedziała, wydobywając ledwie głos ze ściśniętej krtani:

- To Rudy, ojczu. Obok Wintera najgorszy ze wszystkich. On był właśnie hersztem bandy. To on własnoręcznie tomahawkiem dobił Bena Lane. To właśnie on mnie porwał i więził w tej jaskini.

Brent, który stał obok, spojrział na dziewczynę.

- A więc jest i herszt. Czy prócz Rudego zna pani jeszcze któregoś z nich?

- Tak. Wintera. Dołączył do bandy jeszcze wtedy, gdy ja tam byłam. Reszty nie znam.

- Nie szkodzi, Cynthio - wtrącił spokojnie Prescott. - Pan porucznik zna resztę. A i inni też ich znają. No co, panie Brent? Niespodzianka chyba miła? A asysta, jak pan widzi - ludzi odzianych w mundury - niezbędna. Mam więc nadzieję, że nie przesadziłem?

Oczy młodego oficera, wpatzonego w twarze powiązanych, były zimne.

- Nie, panie Prescott. Nie przesadził pan. Będę pamiętał o tej niespodziance. Szkoda tylko, że tak długo utrzymywał pan przede mną tajemnicę. Byłbym przecież pomógł, a i żołnierze mieliby godziwe zajęcie. Kto schwytał bandę?

Mój wspólnik i zastępca. Oto właśnie on. Czterdziestoparoletni mężczyzna o smagłej, pociągłej twarzy i bystrym spojrzeniu wyskoczył z pierwszego czoła i przywitał się serdecznie z Prescottem, który zwrócił się następnie do porucznika.

- Pozwoli pan, że przedstawię panu mojego przyjaciela i wspólnika - pana Herberta, kupca z Montrealu. Poznaj-, Herbercie, to porucznik Brent. dowódca tutejszego garnizonu. Właśnie oczekuje na przejęcie „żywego” transportu, który zechciałeś uprzejmie przywieźć. Rozumiem - mówił z lekką kpiącym tonem - że pan porucznik zechce teraz zabrać resztki tej nieszczęsnej bandy i odpowiednio ją „zakwaterować”. Wpadniemy do pana za trzy kwadranse. - I nie czekając na odpowiedź pociągnął przybyłego do oczekującego grona.

- Poznajcie państwo - to pan Herbert, mój wspólnik, który bandę zda! już porucznikowi, a teraz tobie, Andrew - tu zwrócił się do Claya - chce przekazać te wszystkie towary, które pozostały z transportu Lane'a. Niestety, część uległa już zniszczeniu.

Dłonie przybyłych serdecznie i gorąco ścisnęły rękę nowo przybyłego. Clay trzymając rękę Herberta potrząsnął nią silnie.

- Naprawdę chce mi pan zwrócić te towary?

- Tak, przecież należą do pana, panie Clay. Zabrałem je przy okazji razem z bandą.

- Ale - Cynthia wpiła się palcami w ramię mówiącego - jak...

- Cynthia - Prescott dotknął lekko ramienia dziewczyny - to są męskie sprawy. Pan Herbert w stosownym czasie sam nam o wszystkim opowie. Teraz trzeba zająć się jego ludźmi, no i waszymi towarami. Pogawędzimy sobie jutro. Teraz wracaj do domu. Panowie Clay, Perry, Rossignol i oczywiście ty. Herbercie, złożą za pół godziny wizytę panu Brentowi. Trzeba mu złożyć oficjalne oświadczenie o okolicznościach ujęcia bandy, gdyż stanie ona przed wojskowym sądem, a porucznik musi mieć dowody i świadków.

Dziewczyna pojęła, że jeszcze nie czas na pytania i wyjaśnienia, skinęła tylko głową. Mężczyźni zostali sami.

Zgodnie z rozkazami Brenta powiązanych bandytów uszeregowano na brzegu i odprowadzono do fortu, gdzie umieszczono w głębokiej piwnicy pod głównym blokhauzem.

Prescott wyciągnął fajkę i zapalił przy pomocy krzesiwa.

- Wszystko poszło dobrze, Herbercie?

- Tak. Oczywiście.

- Nikt z naszych nie został ranny?

- Nie. Zgarnęliśmy ryby do sieci bez żadnej awarii. Bez wystrzału. Perry, który zdążył policzyć załogę Herberta, spytał ze zdziwieniem:

- Przy pomocy tej garści ludzi? Nowo przybyły uśmiechnął się.

- Ach, nie. Pomogli nam Indianie.

- Tych paru wioślarzy?

- Nie, panie Perry. Inni. Nie zabierałem ich z sobą. Do przypilnowania i przewiezienia bandy tutaj moi ludzie wystarczali w zupełności. Tamci nie byli już potrzebni. Ale widzę, że porucznik daje nam znaki. Chodźmy!

W dwie godziny później w kancelarii garnizonu. Brent, wściekły, miotał się jak tygrys.

- A więc, nie tylko, panie Prescott, przysłał mi pan fałszywe informacje o przebiegu napadu w Kanionie Sępów, ale zataił pan przed władzami ważne wiadomości o miejscu pobytu groźnej bandy. Nakłonił pan Cynthię Clay do złożenia fałszywych zeznań. Zmusił pan Czarnego Bizona, by kłamał. Pan sam oszukał mnie dziesiątki razy. Wie pan, co by się stało, gdyby pańskiemu współnikowi nie udało się wyprawa do kryjówki bandy i gdyby ktoś z jego ludzi dodatkowo zginął?

- No? Ciekaw jestem?

- Postawiłbym pana pod sąd wojenny.

Prescott wstał i powiedział cichym, ale strasznym głosem:

- Dość tego, panie Brent. Nie mam zamiaru dłużej słuchać pańskich bzdur. Poprosiłem tutaj paru ludzi, by byli świadkami tego, co ja mam panu do powiedzenia. I niech pan słucha uważnie do końca, a potem proszę to sobie dobrze przemyśleć. Jest pan na tym terenie prawie dwa lata. O pięćdziesiąt kroków za murami fortu działa od tego czasu herszt bandy, a pan niczego nie widzi. Może pan zaprzeczy? W ciągu pańskiej tu bytności zdarzyło się ponad pięćdziesiąt rabunkowych napadów, w których ginęli biali kupcy i Indianie. Zginęło wielu ludzi, a pan nie wpadł na żaden ślad. Może się mylę, co? A transport Lane'a. Od kogo banda dowiedziała się o nim? Przecież wiadomość o tym transporcie dostał tylko pan, i to drogą służbową, wprost od pułkownika Carringtona. Ilu osobom pan o tym powiedział? Wiedzieli wszyscy żołnierze, ich pomocnicy, a nawet Indianie. To przecież pan powiedział o tym wszystkim, a więc również szpiegom bandy, a nawet bandytom. Chlapał pan ozorem na prawo i lewo. To pan jest winien śmierci Lane'a i porwania Cynthii Clay.

A skąd banda wiedziała o moim transporcie, skoro tenże sam pułkownik Carrington - pański przełożony - nakazał panu ścisłą tajemnicę? Skąd o tym dowiedzieli się znów wszyscy? Od pana, panie Brent. Znowu pan nie wytrzymał i opowiedział wszystkim. Komu miałem przekazywać takie wiadomości jak miejsce, w którym ukrywała się prawdopodobnie resztką bandy na czele z hersztem? Może takiemu jak pan gówniarzowi, z którego kwalifikacji wojskowych śmieją się nawet pańscy żołnierze, a dzicy nazywają „Długim Językiem”? Miałem pana informować o tak poważnej sprawie po to, by już na drugi dzień szpiegów bandy wszystko wiedzieli?

Jest pan głupi, poruczniku, i naiwny. Po wszystkich doświadczeniach jakie pan tu miał, trzyma pan mojego posłańca, posłańca z dalekiego transportu, a więc posłańca ważnego, całą noc pod bramą. On przebywa setki mil, by przynieść panu ważną wiadomość, a pan pijany jak bydlę śpi prawie do południa. Zakazuje się pan budzić żołnierzom. Czy gdy rozmawiał pan z tym gońcem zauważył pan coś? Nie. Nie zauważył pan niczego. Bo jest pan ślepy.

Otóż, informuję pana, że ten goniec nie przybył po odjeździe bandy. Przybył o dwie doby wcześniej, i to nie sam. Wyprzedził z moim współnikiem i kilkoma ludźmi, których pan dzisiaj poznał, Rudego i Wintera, i poczekali. Wie pan na co czekali? Na to, by Rudy lub Winter zdążyli uprzedzić resztę bandy. Właśnie tylko ci dwaj mogli ujawnić pozostałych współników i pokazać drogę do kryjówki. I zrobili to.

Oskarża mnie pan, poruczniku, że nie dość pilnie strzegłem Rudego i Wintera. Ja ich nie strzegłem w ogóle. Ja im umożliwiłem ucieczkę, właśnie po to, by się dowiedzieć, jakich mają tu współników. Jest pan śmieszny. Goniec, który doręczył panu list, mój współnik i jego ludzie wyruszyli jeszcze przed ucieczką Rudego z Kanionu Sępów i śpieszyli się. Dlatego byli tu pierwsi. Zdążyli odpocząć i poszli za bandą. I zdążyli przygotować zasadzkę. A pan niczego nie zauważył. Zamiast dowodzenia tą placówką, powinien się pan znaleźć w szkółce misjonarskiej, i to jako uczeń.

Grozi mi pan sądem wojennym? Nie wiem, kto przed nim stanie, gdy wracając złożę raport odpowiednim władzom o pańskich tutejszych rządach i wypełnianiu powierzonych mi obowiązków.

Na razie to wszystko, co chciałem panu powiedzieć. Myślę, że regulamin służby pan zna. Na kiedy wyznacza pan sąd nad bandą?

- Na... Na jutro w południe. - Porucznik był blady i drżał mu głos. Dobrze! Będziemy. Tylko niech pan uważa, żeby znów czegoś nie poszkapić. Może dać panu ludzi do pilnowania?

- Nie trzeba, panie Prescott. Ima pan rację. Nie nadaję się na dowódcę tej placówki. Przesłano mnie świeżo po szkole. Byłem głupi. Ale regulamin znam. Nie popełnię błędu i przypilnuję wszystkiego.

Odrobina współczucia zabrzmiała w głosie przewodnika, gdy powiedział:

- A więc do zobaczenia - jutro. I niech pan przemyśli to, co powiedziałem.

Po wyjściu z kancelarii przewodnik powiedział:

- Chodźcie do mnie. Jest parę spraw do obgadania.

Gdy tylko rozsiedli się w ciepłej izbie, gospodarz zaparzył herbatę, nalał po szklaneczce whisky i jeszcze raz popatrzył uważnie na swych gości. Był pewien, że tym razem nie myli się. Podniósł pełną szklanekę, wstał i powiedział nieco ceremonialnie:

- Chciałem panów przeprosić za drobny nietakt, który popełniłem na przystani. - Tu zawiesił na chwilę głos i dodał: - Chciałbym go naprawić. Przedstawiam panom kapitana Herberta Sharpa, zastępcę dowódcy Fortu Garry. Nie uczyniłem tego wcześniej z pewnych względów, które za chwilę

wyjaśnię.

Clay i Perry spojrzeli ze zdumieniem na rzekomego współnika Prescottta. Rossignol roześmiał się serdecznie i wyciągnął rękę do Sharpa.

- No, Herbercie, myślę, że nie musimy dalej udawać. Sharp uśmiechnął się również.

- Chyba nie. - Uścisnęli się ciepło. Prescott uniósł brwi.

- Więc wy się znacie? Francuz przymrużył chytrze oczy.

- A ty myślałeś. Henry, że w pewnych sprawach masz monopol?

- Nie mam zresztą - dodał już poważnie - ci tego za złe.

- Dawno widzieliście się ostatnio?

Sharp i Rossignol popatrzyli na siebie niepewnie. Widząc ich miny Prescott pokiwał głową:

- A więc tak! No dobrze. Mam nadzieję, że trzy tygodnie temu nikt was tu razem nie widział.

- Henry, o co ty posądzasz starego Jeana? - Francuz zrobił skruszoną minę. - Ludzie ze szlaku nie zapominają o ostrożności. Możesz być spokojny.

- Niech was... Rozumiem więc, że nie muszę dalej mówić o tej sprawie - Natomiast jest inna. - Po chwilowym milczeniu, ciągnął dalej. - Dzisiejsza awantura, jaką urządziłem Brentowi, jak się zapewne domyślacie, miała swój cel. Porucznik przestraszył się nie na żarty i jestem przekonany, że porozmawia ze swymi żołnierzami - tym razem po męsku. Nie omieszka przy tym, jak to jest w jego zwyczaju, powiedzieć im trochę. Dojdzie to do szpiega, którego banda posiada w samym forcie.

Clay i Perry o mało nie spadli z krzesel.

- Tak, Andrew. Banda ma szpiega, i to wśród żołnierzy. Przeanalizowaliśmy z Herbertem sprawę dokładnie. Szpieg jeszcze dzisiaj dowie się więc od porucznika, że jutro jest sąd. Wszyscy znamy z góry wyrok. On też wie, jaki będzie. Jeśli do sądu dopuści, to banda z zemsty, że nic dla niej nie uczynił, wyda go. I on to wie. Ma więc tylko dwie możliwości: Albo natychmiast uciekać, sam. Ale na tę ewentualność zabezpieczyliśmy się już. Albo spróbuje nocą uwolnić bandę i uciec z nią razem. Czy zgadzacie się z tym?

Milczące kiwnięcie wszystkich głów stanowiło jasną odpowiedź.

- Cóż więc nam pozostaje?... Przygotować się na tę drugą możliwość. W tej właśnie sprawie poprosiłem was. Nie wiem, kim jest szpieg lub może szpiedzy. Jakich mogą mieć pomocników i ilu? Jednak za wszelką cenę musimy doprowadzić do ujawnienia się ich. I jest tylko jedna droga. Pozwolić im na zorganizowanie ucieczki całej bandy - tu zawiesił na chwilę głos - i schwytać ponownie w trakcie tej ucieczki. Wtedy będziemy mieli gwarancję, że dostaliśmy wszystkich. Co sądzisz o tym. Herbercie?

Sharp skinął głową.

- To jedyne wyjście. Henry. Bez tego nie oczyścimy podwórka. Ale do wykonania tego planu potrzeba sporo ludzi.

- Tak. - Prescott popatrzył na swych gości. Pierwszy odezwał się Clay:

- U mnie jest siedmiu. Za wszystkich ręczę. Ze mną razem, ośmiu.

- Ja mam pięciu - powiedział Perry - i Jean siedmiu. To razem dwunastu, a z nami dwoma czternastu.

- U mnie - Prescott policzył szybko - jest dwudziestu białych i prawie trzydziestu Indian. Herbert zna ich wszystkich. Daje to łącznie ponad siedemdziesięciu ludzi. Wystarczy, ale nie jest za dużo. Banda wie, co ją czeka, toteż nie będzie przebierała w środkach. Nie wiemy czy będzie uzbrojona, czy nie. I pod tym względem jesteśmy w gorszej sytuacji.

- A jaka to różnica? - Francuz skrzywił się pogardliwie. - Będziemy i tak co najmniej pięć, siedem razy silniejsi.

- Nie, Jean. Nie masz racji - odparł Prescott. - Kapitan Sharp i ja wiemy, że przy tym spotkaniu lub może nawet starciu nie wolno nam użyć broni.

Obaj kupcy i Rossignol byli wyraźnie zaskoczeni.

- Co ty mówisz? Mają do nas strzelać jak do kaczek, a my nic. - Francuz zdenerwował się.

Sharp pokiwał głową.

- Niestety, Henry ma rację. Nam nie wolno użyć broni palnej, nawet gdyby tamci byli uzbrojeni, jeżeli w ostateczności, to jedynie na wyraźny mój rozkaz. Bandę musimy dostać w całości, żywcem. I mówię to w oparciu o ściśle instrukcje pułkownika Carringtona. Istnieją ważne ku temu powody. Powtarzam: cała banda musi być ujęta żywcem. Do odwołania, to znaczy chyba do jutra, poza tu obecnymi jestem dla wszystkich innych tylko panem Herbertem. Dla wszystkich innych.

Po tych słowach zapanowało dłuższe milczenie. W końcu ponownie zabrał głos Prescott. Mówił jasno, zwięźle, wyraźnie rysował plan całej akcji. Pozostali mężczyźni uzupełniali go. Szczególnie obaj kupcy i Rossignol, którzy wszelkie zakamarki terenu i fortu znali jak własną kieszeń, mogli służyć potrzebnymi szczegółowymi informacjami. Narada trwała jeszcze półtorej godziny.

Brent po burzliwej rozmowie z Prescottem pozostał sam. Był wściekły, a jednocześnie doszczętnie zdruzgotany. Słowa twardego, zimnego oskarżenia, i to oskarżenia rzuconego mu w twarz, przy świadkach, paliły jak ogień.

Zdawał sobie sprawę z ich wagi i, co gorsza, słuszności. Zrozumiał, że przez cały czas swego tu pobytu zachowywał się jak dureń. A miał przecież czas.

Prawie dwa lata przesiedział beczynnienie. A mógł urobić wiele. Z setek Indian, którzy przewijali się przez fort, mógł wybrać kilku, nawet kilkunastu. Właściwie od wielu miesięcy mógł mieć oddział ludzi, na których można byłoby polegać. Wiedziałby wszystko. Wtedy pobyt takiego Herberta, kupczyka - jak go określił w myślach - nie uszedłby jego uwagi. Dzisiejsza rozmowa z Prescottem nie miałaby miejsca. On, a nie tamten, byłby panem sytuacji. A Prescott groził. Groził

wyraźnie. Ten niby stateczny, poważny przewodnik pokazał pazury jaguara i chytrość lisa. I tam, przy Kanionie Sępów, i teraz, załatwiając bandę Rudego. Wszystko przemyślane. Wszystko zapięte na ostatni guzik. Nie darmo cieszył się sławą najlepszego przewodnika.

Porucznik nalał sobie szklankę rumu i wypił duszkiem.

Stary lis. Siedział tu przeszło dwa tygodnie i nic nie dał poznać po sobie. Przyjacielski, serdeczny. Zwykły wąż. I w dodatku tak go ośmieszył.

Całe szczęście, że przy rozmowie nie było sierżanta. Ale nie zmieniało to i tak postaci rzeczy. Byli kupcy i Rossignol, i ten Herbert. Też chyba lepszy numer, skoro Prescott nie bał się powierzyć mu tak odpowiedzialnego zadania, jak zwinięcie w zupełnie obcym terenie silnej przeciw bandy.

Porucznik zamyślił się głęboko. Tak!... jego sytuacja była paskudna. Na moment przywołał z pamięci twarz przewodnika. Żałował teraz, że nie zaprzyjaźnił się z nim wtedy, kiedy był na to czas. Teraz tamten i pozostali uważają go za zwykłego durnia, a może za coś gorszego. Uśmiechnął się gorzko. Ładnie się spisał! Nie ma co.

Druga szklanka poprawiła trochę jego samopoczucie.

Stanął w oknie i przez dłuższą chwilę patrzył na teren przed fortem. Mimo iż ludzie na pewno wiedzieli już wszystko o ujęciu bandy, nie odnotował jakiegoś specjalnego ożywienia.

Byli oswojeni i zahartowani tu na północy. Widocznie na jutrzejszy skazujący wyrok oczekiwali ze spokojem cechującym tych, co przeszli niejedno, musieli swoją wojenną ścieżkę przejść ze strzelbą lub toporem w rękę i widzieli niejedną śmierć. Powieszenia bandy oczekiwali zapewne jak pojawienia się jelenia czy karibu przed lufą strzelby - obojętnie, beznamietnie, bez niecierpliwości. Wydarzenie takie mogli oglądać jako dodatkową rozrywkę.

Zamknął okno i rzucił się na wąską długą pryczę, stojącą w głębi izby. Podłożył ręce pod głowę i popadł w głęboką zadumę. Musiał wszystko przemyśleć od początku. Czekало go niełatwe zadanie.

Gdy ponownie wstał, twarz jego miała twardy, zdecydowany wyraz. Nie, tym razem nie popełni błędu. Przywołał sierżanta urzędującego w przyległym pokoju i spytał:

- Jak z więźniami?
- Tak jak pan porucznik kazał. Leżą powiązani jak barany.
- Kto ich pilnuje?
- Od sześciu godzin Lightfoot i Poley.
- O której zmienia się nocna straż?
- O siódmej, panie poruczniku.
- A poranna?
- Też o siódmej rano.
- Dobra.

- Kogo wyznaczysz! pan na zmianę nocną?

- Mallesona i Pickeringa. - Sierżant był z siebie zadowolony. Nie zapomniał dzisiaj o tym obowiązku.

- A kto ma nocną wartę przy bramie?

- Holden!

- W porządku. O wpół do siódmej zameldujecie się tu osobiście z Mallesonem, Pickeringiem i Holdenem. Wydaję na noc specjalne rozkazy.

- Rozkaz, panie poruczniku.

- Może pan odejść.

Za oknami zapadał zmrok; niebo pokryły gęste chmury, co jakiś czas słychać było porywisty jęk wichru. Nadciągała burza.

Po raz pierwszy tego dnia porucznik uśmiechnął się w myśli.

Podszedł do stojącej w rogu pokoju szafki. Pogrzebał chwilę i wyjął buteleczkę wypełnioną brunatnym płynem. Obejrzał ją w ostatnich okrucinach światła i wstrząsnął kilkakrotnie. Błogosławił teraz za nią ojca. Krople nasenne. Nie używał ich dotąd. Dzisiaj miał ich użyć po raz pierwszy. Do napoczętej butelki rumu wlał przynajmniej połowę flaszki. Zakorkował rum i potrząsał nim przez chwilę. Gdy ponownie wyciągnął korek, rum pachniał jak zwykle. Ukrył na dawnym miejscu flaszeczkę, wyciągnął z szuflady jakieś papiery i zagłębił się w pracy.

Zastał go nad nią sierżant, który zgodnie z otrzymanym rozkazem przyprowadził nocną zmianę. Porucznik odebrał meldunek, odsunął na bok papiery i stanął przed czwórką żołnierzy. Mówił stanowczo i surowo.

- Pełnicie dzisiaj ważną służbę. Banda, której macie pilnować, to niebezpieczni mordercy. Uważać więc dobrze. Mieć na wszystko oczy otwarte. Z blokhauzu są dwa wyjścia. Malleson pilnuje jednego, Pickering drugiego. Niech pan, sierżancie, zapowie pozostałym żołnierzom, żeby dzisiaj nikt w nocy nie zbliżał się do blokhauzu. Obu wartownikom polecam strzelać bez ostrzeżenia do każdego, kogo zobaczą w pobliżu. Ten sam rozkaz obowiązuje Holdena przy bramie. Nikomu z zewnątrz nie otwierać. A jeśli zobaczycie, Holden, że kręci się ktoś wewnątrz fortu, strzelać również. Najlepiej, sierżancie, jak dopilnujecie osobiście, by od siódmej żaden z żołnierzy nie opuszczał baraku. Ja jeszcze trochę popracuję i prześpię się tu w biurze. Czy wszystko jasne?

- Tak jest, panie poruczniku.

- No, to dobrze - tu głos Brenta nieco złagodniał. - Macie dzisiaj psią służbę. - Podszedł do szafki, wyjął pękata butelkę i szklanki. Nalał cztery. Swoją napelnił z drugiej butelki.

- Jest zimno jak wszyscy diabli. Żebyście zbyt nie pomarзли. Ale tylko po jednej.

Żołnierskie oczy z wdzięcznością spojrzały na dowódcę. Prawda, że nie miał wielkiego doświadczenia, ale był przynajmniej ludzki.

- Za zdrowie pana porucznika.

Zawartość szklanek zniknęła w żołnierskich gardzielach.

- No, to odmaszerować i wypełnić rozkazy!

Dochodziła siódma. Środek nasenny powinien zacząć działać za pół godziny, najwyżej trzy kwadransy.

Trudno. Musiał poczekać. Minuty wlokły się nieznośnie długo. O ósmej zszedł na dół i cicho otworzył drzwi wejściowe. Wartownik spał. Porucznik dotknął jego ramienia, potrząsnął kilkakrotnie. W odpowiedzi rozległo się tylko głośniejsze chrapanie. Przy drugich drzwiach powtórzył podobną operację z tym samym skutkiem. Podeszedł spokojnie do bramy. Tu żołnierz owinięty kocem chrapał, aż dudniło.

Porucznik odsunął rygle i uchylił nieco bramę. Wolał nie mieć z tym później kłopotu.

Gdyby przypadkowe, mimo zakazu, jakiś żołnierz znalazł się na zewnątrz w nieodpowiednim momencie, taki drobiazg jak zamknięta brama mógł narobić sporo kłopotu.

Chwilę jeszcze stał nasłuchując, ale prócz gęstego szumu deszczu i narastającej wichury, nie wyłowił najmniejszego szmeru. Zresztą w taką pogodę i psa nie wypędziłby z budy. Tym lepiej.

Nie zważając na przemoczone ubranie wrócił szybko do blokhauzu, zrzucił mundur i po ciemku wciągnął na siebie skórzane spodnie, kurtkę i bluzę. Mundur nie nadawał się do lasu. Do pasa umocował długi nóż i zatknął dwa pistolety. Następnie wziął dużą świecę, zszedł po ciemku na dół i zapalił ją w korytarzu. Nie zachowując nikomu już niepotrzebnej ostrożności odsunął klapę w podłodze i zszedł po drabinie do dusznej piwnicy, w której zamknięta była banda.

Uniósł świecę do góry i oświetlił swoją twarz. Z kąta rozległ się przyciszony szept:

- Nareszcie. Myślałem, że się tu podusimy.

- Nie mogłem wcześniej. Musiałem wszystko przygotować, no i uporać się z wartą. - Szybkimi ruchami przecinał więzy leżących. - Chodźcie. Trzeba wziąć broń.

Wychodzili po drabinie jeden za drugim. Teraz Brent poprowadził ich do obszernej komory, gdzie leżały równo poukładane muszkiety, rogi z prochem, worki pełne kul, noże, topory.

Banda uzbroiła się błyskawicznie, a po kilku minutach z następnej komory zabrali parę worków suszonego mięsa.

Stwierdziwszy, że są gotowi, porucznik skinął, by się zbliżyli i powiedział:

- Dwieście kroków na prawo od przystani stoi kilka indiańskich kanu. Zabieramy je i w nogi. Do rana mamy czas. - Warta zmienia się o siódmej i wtedy dopiero odkryją naszą ucieczkę. Za mną!

Skulone postacie wymykały się z blokhauzu i tuż za porucznikiem sunęły w stronę bramy. Już w połowie drogi usłyszeli chrapanie strażnika. Porucznik przyłożył ucho do ciężkich bali i nasłuchiwał dłuższą chwilę, po czym odsunął jedną część szerokiego wejścia.

- Chodźmy!

- A dokąd to. poruczniku? Wyprowadza pan bandę przy takim deszczu na wycieczkę?

O trzy kroki stał Prescott. a tuż za nim co najmniej kilkanaście ciemnych postaci.

Porucznik wyrwał zza pasa pistolet, błyskawicznie skierował go w pierś przewodnika i przycisnął spust. W momencie strzału ktoś podbił mu rękę; prawie jednocześnie huknął drugi wystrzał.

Zabrzmiał ostry głos Prescottta:

- Nie strzelać! Brać żywcem.

Na bandę z wszystkich stron runęła lawina miotających się ciał. W minutę było po wszystkim. Przewodnik podszedł do bramy, odsunął ją bardziej i polecił:

- Jean, zaprowadź ich do piwnicy. I każ mocno związać. Niech na straży staną twoi chłopcy. Śpiących wartowników odnieść do baraku. Niech niepotrzebnie nie mokną. Przy bramie niech stanie ze dwóch żołnie... - W tym momencie widząc leżącą nieruchomo na ziemi postać zamilkł. Pochylił się nisko i obrócił leżącego twarzą do góry. - O. k...!

Z otaczającego tłumu wysunął się owinięty długą derką Indianin i również pochylił nad leżącym. Ujął jego rękę. a następnie przyłożył ucho do piersi. Otaczający mężczyźni stali w milczeniu.

W końcu Indianin uniósł głowę i skinął na najbliższych swych dwu towarzyszy:

- Wziąć go ostrożnie i zanieść tam - wskazał majaczącą w ciemnościach dawną chatkę Wintera.

Wokół rozległ się pomruk niechęci. Ktoś powiedział głośno:

- Niech zdycha bandzior. Jeśli nie zdechnie dziś, powiesimy go jutro. Co za różnica?

Prescott odwrócił się błyskawicznie.

- Słuchaj, Dock! Zdaje się, że nie ty jesteś tu dowódcą. Tu, w obrębie garnizonu, nie będzie żadnych samosądów. Jutro zbierze się sąd. Osądzimy sprawiedliwie, a jeśli ktoś spróbuje czegoś na własną rękę, będzie miał do czynienia ze mną. Widziałem już niejednego pięciominutowego bohatera. Za dzisiejszą pomoc dziękuję. Możecie się rozejść.

Mężczyźni odchodzili w milczeniu. Z doświadczonym, lubianym i szanowanym przewodnikiem nikt nie miał odwagi dyskutować. Został jedynie Sharp. Wziął Prescottta pod ramię i spytał cicho:

- Winter?

- Tak! W momencie strzału podbił rękę Brentowi. Inaczej i ja też bym leżał.

- Ciekaw jestem, który?

- To nieważne na razie. Herbercie. Ważne jest co innego. Ale to zależy, gdzie dostał. Chodź, zobaczymy jak zabezpieczył tamtych Rossignol.

Po półgodzinie upewniwszy się, że Francuz wykonał wszystko co trzeba, zostawili go i poszli

do chatki nad jeziorem.

Schylając się w progu weszli do wnętrza. Na posłaniu ze skór, obnażony do pasa, leżał Winter. W lewej piersi widniała czerwona, krwawa dziura, którą w tej chwili przemywał ostrożnie stary Indianin. Obok stali w milczeniu dwaj inni.

Przewodnik nachylił się do starszego i spytał:

- Co z nim?
- Kula przeszła dwa palce nad sercem. Czarownik nic nie mówi.
- Czy może ten stary Indianin potrzebuje jakiejś pomocy?
- Jest mądry, zna się na ranach. Wilk i Miody Bóbr posłali już po pomoc. Nic więcej nie potrzebują.

Twarz leżącego białała jak płótno. Jego piersi podnosił krótki przerywany oddech. Był nieprzytomny.

Obydwaj biali wyszli cicho z izby. W forcie nie było lekarza. Nie mogli nic pomóc.

ROZDZIAŁ XIII

Następnego dnia odbył się sąd nad bandą. Przewodniczył Sharp. Ludzie Prescottta poznali go już w Forcie Garry, więc się nie dziwili zobaczywszy w wojskowym mundurze z oficerskimi dystynkcjami; innym szybko wytłumaczono jego faktyczną rolę. Przed sądem nie stanął Winter - był nadal nieprzytomny. Jego sprawę odłożono zatem do czasu, aż umrze albo wyzdrowieje. Nikt nie protestował. Mimo surowych praw w tym dzikim odludnym kraju, każdy miał prawo do obrony własnego życia przed najsurowszym sędzią, a Winter bronić się nie mógł.

Posiedzenie sądu, w którym uczestniczyli wszyscy znajdujący się w forcie mężczyźni, trwało krótko. W przeciągu kilku godzin udowodniono bandzie kilkadziesiąt napadów rabunkowych i zamordowanie ponad dwustu Indian i białych.

Wobec zeznań Cynthii Clay dotyczących wymordowania transportu Lane'a, wobec dokumentów dowódcy Fortu Garry, które odczytał Sharp, o przemycie na teren Stanów Zjednoczonych futer przez Birda i Stone'a" wobec faktów, jakie przedstawili ludzie Prescottta o napadzie na jego transport w Kanionie Sępów, oskarżeni przyznawali się po kolei do winy. Na rozprawie wyjaśnienia złożyli Szary Niedźwiedź, Wilk i Miody Bóbr. Gdy trzech Indianie oraz kapitan wyjaśnili dodatkowo, że wszyscy trzej za zgodą i wiedzą władz wojskowych zostali wprowadzeni do bandy przez Czarnego Sokola; Szary Niedźwiedź jako wódz rzekomych Indian Sarsi, a Wilk i Młody Bóbr jako Czarny Lis i Młody Orzeł, gdy Prescottt wyjaśnił, jak dzięki ich poświęceniu i codziennemu narażaniu życia nie tylko banda, ale i jej pomocnicy oraz porucznik Brent mogli zostać całkowicie zdemaskowani i ujęci, w koszarowym baraku gdzie odbywał się sąd, zawrzało.

Prawdziwa burza wybuchła, gdy okazało się, że to właśnie Indianie Szarego Niedźwiedzia oraz Czarny Sokół porwali dziewczynę ze zbójckiej jaskini, ukryli ją pod opieką swego plemienia i wreszcie, już po ujęciu bandy, oddali rodzicom.

Trzech bohaterskich Indian na oczach bandy ściskano i całowano, Clay płakał, a Cynthię musiano odprowadzić do domu.

Ludzie domagali się od Sharpa i Prescottta, by ujawnili, kto się kryje pod imieniem Czarnego Sokoła, ale tu kapitan był twardy. Odmówił stanowczo wyjaśniając, że Czarny Sokół ani pułkownik Carrington nie upoważnili go, by zdradzi! tę tajemnicę. Indianie odmówili także, tłumacząc, że gdyby złe duchy dowiedziały się, kim jest noszący to imię, mogłyby sprowadzić na niego nieszczęście, a może i śmierć.

- Dokąd złe duchy i windigos nie będą wiedziały, nie pożą go - wyjaśniał z całym przekonaniem Szary Niedźwiedź. - A moi biali bracia nie chcą chyba, by windigos pożarły Czarnego Sokoła.

Wobec takiej argumentacji oraz ogromnego uznania i sympatii, jakie w oczach białych zdobył Szary Niedźwiedź i jego ludzie, przestano nalegać.

Po raz drugi burza wybuchła w czasie przesłuchiwania Brenta. jego udział w zbrodniach bandy był niejasny. Fakt, że zorganizował jej ucieczkę, że sam zamierzał uciec również, że w momencie zatrzymania usiłował zastrzelić Prescottta, nie ulegał żadnej wątpliwości, ale też nie wyjaśniał motywów, jakimi, w chwili swego desperackiego czynu, kierował się porucznik.

Sharp jednak nie zamierzał ustąpić. Brent był oficerem, co więcej, do wczoraj komendantem placówki. Kapitan wiedział, że pułkownik Carrington był bardzo czuły na punkcie oficcerskiego kodeksu honorowego i jakiegokolwiek uchybienie wojskowego sądu poczytywałby za duży błąd. Wołał nie ryzykować, toteż patrząc w błąd, ale zaciętą twarz porucznika powtórzył pytanie:

- Pytam ponownie oskarżonego o motywy, jakimi kierował się podejmując decyzję o uwolnieniu bandy i o ucieczce?

Brent przełknął ślinę. Od wczorajszego wieczoru czuł dziwną suchość w gardle.

- Powiedziałem już i powtarzam. Prescottt wczoraj nastraszył mnie sądem wojennym za zaniedbania, których tu się dopuściłem, za nierozważne - przyznaję - ujawnianie niektórych poufnych wiadomości. Złękłem się, że dotrzyma swej groźby i postanowiłem uciec. Przyznaję, że to był niewybaczalny błąd z mej strony, ale proszę wziąć pod uwagę, że jestem jeszcze młody i nie chciałem stawać przed sądem wojennym.

- No, dobrze! To dlaczego w takim razie nie próbował pan uciec sam, poruczniku? Dlaczego zabierał pan z sobą bandę? Czy chciał pan do niej przystąpić?

- Nie chciałem przystępować do żadnej bandy. Ale wie pan. panie kapitanie, i wiedzą wszyscy tu obecni, że za kilka, najdalej kilkanaście dni przyjdą śniegi i mrozy. Jeden człowiek, taki jak ja, nie

mający waszego doświadczenia, musi zginąć. Nie przeżyje zimy. Szansę przeżycia daje obecność kilku, innych ludzi. Nie mogłem zabierać żołnierzy i ogołacać fortu z załogi. Zresztą pewno nie chcieliby uciec ze mną. Miałem tylko jedną możliwość. Zabrać z sobą bandę. Razem mieliśmy możliwość przetrzymania zimy.

- Zgoda, przetrzymalibyście zimę i co dalej?

- Oddałbym ich w ręce żołnierzy jakiegoś najbliższego fortu. Sharp roześmiał się ironicznie.

- Wątpię/poruczniku. Skoro, jak pan twierdzi, nie wiedział pan do tej pory nic o samej bandzie i jej współnikach, którzy żyli pod pańskim okiem bezpiecznie jak w kościele, to znaczy, że jest pan znacznie głupszy od nich, a jeżeli tak, to nie pan ich, a oni pana by przechytzyli. Twierdzi pan, że Prescott zagroził panu sądem wojennym. To prawda. Tak można było rozumieć jego słowa. Sam je słyszałem. Ale Prescott nie groził panu sądem natychmiastowym. Mówił przecież, że meldunek na pana złoży dopiero po powrocie stąd do Fortu Garry, a więc gdzieś jesienią przyszłego roku. Miał pan dużo czasu, by naprawić błędy. Poza tym, za gadulstwo i brak umiejętności sąd nie wymierzyłby panu zbyt surowej kary. No, może degradację o jeden stopień lub zwolnienie ze służby, natomiast za dezercję z posterunku i zorganizowanie ucieczki bandy, groził panu stryczek. Nie jest pan aż tak głupi, by o tym nie wiedzieć. Decyzję o natychmiastowej ucieczce stąd oraz o uwolnieniu bandy podjął pan z zupełnie innych powodów, powodów o wiele poważniejszych.

- Pan się myli, panie kapitanie. Powtarzam, że działałem pod wpływem strachu przed groźbami Prescottta.

- Nie, poruczniku. Wprawdzie był to odruch strachu, ale nie przed raportem Prescottta do władz. Był to strach przed czym innym.

- W takim razie przed czym? Nie rozumiem tego. co pan mówi.

- Strach przed pozostaniem tutaj i strach przed skazaniem bandy.

- Tak, pan nie chciał, poruczniku, skazać bandy.

- A dlaczego to miałbym się bać pozostania tutaj lub skazania tej szajki?

Sharp patrzył na niego ironicznie.

- Powiem to panu. Wiedział pan, panie Brent, że wczoraj Prescott nie powiedział wszystkiego i domyślił się pan, czego nie powiedział. Bał się pan tego.

- No, czego? - Brent skrzywił twarz w drwiącym uśmiechu.

- Tego, że nie jest pan tym. za kogo się podaje. Porucznik zbladł gwałtownie.

- Pan oszalał! Proszę to udowodnić.

- Zaraz panu udowodnię, poruczniku. Sala zamarła w milczącym oczekiwaniu.

- Kiedy pan wyruszył z Montrealu, by objąć tutejszą placówkę?

- W zeszłym roku wiosną!

- Czy wyruszył pan sam? Brent zawahał się przez chwilę.

- Nie, w towarzystwie przewodnika.
- Gdzie jest w takim razie ten przewodnik? Na czoło porucznika wystąpiły kropelki potu.
- Rozstałem się z nim po drodze. Okazało się, że nie zna szlaku i nie nadaje się do niczego.
- Gdzie się pan z nim rozstał?
- Nie pamiętam dokładnie, ale chyba gdzieś za Grand Portage. Tam się właśnie okazało, że nie zna drogi do jeziora Winnipeg.
- A jak się rozstaliście?
- Normalnie. Przepędziłem go po prostu.
- Czy może był ktoś z wami? Może to ktoś poświadczyć?
- Jakichś paru przygodnych kupców. Nie pamiętam ich dobrze, ale wiem, że udawali się nad rzekę Peace. Łatwo to będzie sprawdzić.
- A może tu na miejscu jest ktoś, kto był tam wtedy? Porucznik rozejrzał się po sali.
- Nie przypominam sobie tu nikogo.
- A jednak jest, poruczniku, i zaraz pan go zobaczy. Poproszę jednak pana Rossignola, który zna język Odżybuejów, by tłumaczył teraz moje pytania i odpowiedzi, tak by je rozumieli również obecni tu Indianie.

Rossignol wstał i skierował wzrok na kapitana. Ten również powstał ze swego krzesła i zwrócił się ku grupce Indian skupionych w końcu sali.

- Czy wśród naszych czerwonoskórych braci jest ktoś, kto widział tego człowieka - tu wskazał na Brenta - latem ubiegłego roku?

Do przodu wysunął się posłaniec, który przyniósł Brentowi pierwszą wiadomość od Prescottta znad Kanionu Sępów.

- A więc Piżmoszczur widział tego człowieka już w ubiegłym roku? Czy się nie myli? Czy na pewno widział właśnie jego?

Indianin podszedł do Brenta i długo mu się przyglądał, po czym stwierdził stanowczo:

- Piżmoszczur się nie myli, widział właśnie tego człowieka.
- Niech Piżmoszczur opowie, gdzie spotkał tego białego i co zapamiętał z tego spotkania.

Indianin snadź przypomniał sobie to spotkanie, bo milczał parę chwil, w końcu zaczął:

- Piżmoszczur wędrował wtedy ścieżką pokoju do miejsca, skąd Indianie biorą glinę na swoje święte fajki. Pościł przedtem, więc był słaby. Nie miał żadnej broni. Koło południa, idąc lasem, poczuł dym z ogniska. Nie obawiał się nikogo, bo na jego ścieżce nawet nieprzyjaciel nie miał prawa wyrządzić mu żadnej krzywdy. Chciał jednak, nim ukaże się obcym, zobaczyć, kto na tej ścieżce rozpałił duży ogień? Skrył się więc za drzewami i ostrożnie podchodził do ogniska, już z daleka domyślił się, że to biali. Mówili bardzo głośno, w języku, którego Piżmoszczur nie rozumiał, w tym samym, którym teraz posługują się tu wszystkie blade twarze.

Piżmoszczur domyślił się, że się kłóć. Podczołgał się blisko i zobaczył. Obcych było tylko dwóch, jeden w takim ubraniu, jakie noszą wodzowie czerwonych kurtek, drugi był w ubraniu ze skóry. Piżmoszczur leżał o pięć kroków od nich i widział ich tak, jak widzi teraz tego, który jeszcze wczoraj był dowódcą fortu. Obaj biali kłócili się bardzo mocno, toteż Piżmoszczur nie pokazał się im. Zobaczył tylko, jak ten, który był ubrany w skórę łosia i jelenia szybko pchnął nożem, a potem jeszcze dwa razy. Czerwony kubrak został zabity. Wtedy ten, który zabił, powymował wszystko z kieszeni zabitego, ukrył to w swoim woreczku, a nabitego wrzucił w krzaki. Sam odjechał szybkim kanu.

W baraku panowała tak przerażająca cisza, że można byłoby usłyszeć przelot muchy. Sharp odczekawszy kilka chwil zadał jeszcze jedno pytanie:

- Czy Piżmoszczur jest pewien, że ten, który zabił, stoi teraz przed nim?

- Piżmoszczur jest tego pewien. Widział go dobrze.

- Dziękuję mojemu czerwonoskóremu bratu. - Odwrócił wzrok w kierunku złanej potem twarzy oskarżonego i patrzył na niego zimno.

- A więc wiemy już, że jest pań mordercą, może wielokrotnym. Nie wiemy tylko jeszcze kim pan jest w rzeczywistości, bo nie porucznikiem Brentem, którego zamordował pan nad Grand Portage, ale i tego dowiemy się zaraz. Mam tutaj krótkie pismo z Montrealu, jakie otrzymał pułkownik Carrington. Pozwolą wszyscy, że je odczytam.

Na sali znów zapadła cisza. Sharp wyjął z podłużnej, leżącej przed nim koperty żółty, trochę zniszczony papier i przeczytał go wolno, akcentując wyraźnie każde słowo: „Do Pułkownika Carringtona Dowódcy Fortu Garry.

Informuję pana pułkownika, że W najbliższych dniach wyjeżdża do Fortu Chipewyan nad Athabaską mianowany przeze mnie nowy dowódca tej placówki, porucznik Harry Brent. Jest to młody, lecz zdolny oficer. Jako przewodnik towarzyszy mu syn tamtejszego właściciela faktorii, Arnold Rutter. Gdy przybędą do Fortu Garry lub Maurepas, proszę im udzielić niezbędnej pomocy w odbyciu dalszej podróży.

Gubernator”

Skończywszy, Sharp złożył papier w czworo. Schował go starannie do koperty i nie patrząc na oskarżonego zwrócił się wprost do zebranych na sali:

- Wiemy więc, kogo mamy przed sobą. Stoi tu przed wami, panowie, nie Harry Brent, porucznik kanadyjskiej armii. Stoi jego morderca Arnold Rutter, syn Johna Ruttera, tutejszego kupca i faktycznego organizatora i herszta bandy - najbardziej okrutnej i bestialskiej, jaka istniała kiedykolwiek w Kanadzie. Nie mógł pan, Arnoldzie Rutter, uciec sam. Serce synowskie nie pozwoliłoby panu na to. Postanowił pan uwolnić ojca i jego kompanię, żeby razem dalej prowadzić zbrodnicze życie. Nie splamił pan munduru kanadyjskiego oficera. Nikt go panu nie dał.

Przywłaszczył go pan sobie.

Wściekłość malująca się na twarzy oskarżonego, dziki szal w oczach powiedziały, resztę. Zdemaskowany morderca nie wyrzekł już ani słowa.

Tego samego dnia został powieszony wraz z pozostałymi członkami bandy. W trakcie egzekucji najmniejszy ślad współczucia nie malował się na twarzy żadnego z widzów, a mimo zimno zacinającego deszczu i świszczącego wichru, w ponurym widowisku uczestniczyli wszyscy.

Wieczorem nowy dowódca fortu wraz z Prescottem przyszli do Clayów. Mimo iż kupiec i jego żona, a nawet Cynthia prosili, by pozostali na kolacji, obaj mężczyźni odmówili.

Sharp poinformował tylko kupca, że futra, które Clay w postaci okupu za odzyskanie córki przekazał do transportu Stone'a, zostały przejęte przez załogę Fortu Garry. wraz z tamtą częścią bandy i że pułkownik Carrington porozumiał się z agentem z North West Company w Forcie William koło Grand Portage co do odbioru tych futer przez tamtejszą placówkę. Jako dowód przekazał sporządzone specjalnie dla Claya urzędowe pokwitowanie stwierdzające, że do czasu odbioru futra pozostają jako depozyt w magazynach Fortu Garry.

Kupiec nie wiedział jak dziękować oficerowi. Sharp tylko machnął ręką.

- Gdyby nie informacje Czarnego Sokoła, dostarczone w porę przez indiańskich posłańców. Bird i Stone dawno już sprzedaliby je bezpiecznie w Stanach. Nie moja więc, panie Clay, zasługa. Może kiedyś będzie pan miał okazję wyrazić wdzięczność tamtemu.

- Ale kto to jest? Jak go odszukać, panie Sharp? Zawdzięczam mu przecież wszystko. I nie tylko ja. On przecież przywrócił nam naszą ukochaną córkę. On dopomógł w schwytaniu bandy i uratowaniu transportu Perry'ego. Jemu zawdzięczam to, że nie stałem się nędzarzem. Wszyscy mu przecież coś zawdzięczają. Dlaczego nie chce pan powiedzieć, kto to jest i gdzie przebywa?

- Panie Clay, Czarny Sokół nie upoważnił nikogo do zdradzenia jego tajemnic. A ja mam również powody, by tego nie czynić. Może kiedyś!

- Czyżby mu groziło jakieś niebezpieczeństwo? Wie pan, że weźmiemy broń i pójdziemy wszyscy.

Sharp potrząsnął głową.

- Nie, panie Clay - z tymi słowy obaj mężczyźni opuścili izbę. Osada, gdyż doświadczeni backwoodsmeni Prescottta i Rossignola zbudowali na zimę kilka ciepłych drewnianych baraków, wrzała gorączkowym życiem.

Sharp nie próżnował. Z jego polecenia, bez względu na pogodę, codziennie prawie wszyscy mężczyźni umiejący strzelać zapuszczali się w okoliczne bory na polowania. Ich łupem padał najczęściej karibu - jak nazywano tutaj leśnego rena, łoś, od którego roily się okoliczne lasy i piękny jeleni wapiti - największy okaz tej rodziny żyjący na amerykańskim kontynencie. Każdego dnia znoszono całe masy kaczek i dzikich gęsi, które zgromadzone już w stada liczące setki tysięcy sztuk,

gotowały się do odlotu przed nadciągającą zimą.

Mięso wędzono, solono, mielono przygotowując zapasy na zimę.

Wraz z Indianami Szarego Niedźwiedzia i Wilka na zimowe łowy odeszli Odźbyueje, którzy przybyli jako przewoźnicy i zwiadowcy wraz z transportem Prescottta, a nie mogli już wracać na swe własne tereny łowieckie leżące na południu. W forcie pozostał tylko jeden stary Indianin - czarownik zamieszkujący chatkę Wintera i zajmujący się nim.

Parę dni po powieszeniu bandy, późną nocą, do chatki weszły jeszcze dwie indiańskie kobiety. Ryła to widocznie pomoc, o której powiedział Prescottowi Wilk.

Ale nikt więcej do chaty nie zachodził. Sharp zakazał wszystkim. Przed chatą postawił wartę, która pilnowała wejścia dzień i noc. Na próby zbliżania się kogokolwiek reagowała stanowczo i jednoznacznie.

Widocznie rozkazy wydawane przez dowódcę i respekt, jaki czuli wszyscy przed jego doświadczeniem i siłą, podziałały nie tylko na żołnierzy. Nowy dowódca fortu umiał wymusić posłuch dla swych decyzji.

Nie szemrano więc nawet, gdy część upolowanej zwierzyny i ptactwa kazał codziennie zanosić do chaty. Wszystko, co przynoszono, przed progiem odbierał czarownik. Indianki prawie nie pokazywały się, a jeżeli, to po zmroku. Nikt nie widział nawet, jak wyglądają. Wiadomo było jedynie, że jedna jest zupełnie stara, a druga młoda.

Gdy okazało się w dodatku, że za Sharpem stoi także Prescott i ujrzano jak kiedyś stalową pięścią przywołał do porządku jednego ze swych własnych, zbyt ciekawych ludzi, pozostali przezornie z daleka omijali chatę i jej otoczenie.

Zachodzili tam jedynie Sharp i Prescott. Czasem przebywali krótko, czasem nieco dłużej. Żaden jednak nic nie mówił. Po wyrazie twarzy, zachowaniu obydwu domyślano się, że z rannym nie jest dobrze.

Rozumiano Sharpa. Rzutki, energiczny, zdyscyplinowany i obowiązkowy oficer, widząc zapewne beznadziejny, jak chyba słusznie przypuszczano, stan zdrowia Wintera, ciężko i boleśnie musiał przeżywać świadomość, że nie powiesi zgodnie z prawem również tego bandyty, jak to uczynił z pozostałymi. Współczuto mu nawet z tego powodu, zwłaszcza że z każdym dniem, a właściwie po każdej kolejnej wizycie w samotnej chatce, stawał się coraz bardziej pochmurny i milczący.

Wyraźnie spochmurniał Prescott. Przestał bywać u Clayów. Zamyka! się u siebie, rzadko odzywał się do kogokolwiek.

Kupiec i jego żona cieszyli się obecnością córki, która zresztą w ciepłe rodzinne domowe ogniska wyraźnie rozkwitała. Na twarz wróciły dawne dziewczęce rumieńce. Gdy patrzyła na krzątającą się czasem po izbie matkę, ciepłe błyski czułości pojawiały się w oczach. Pomagała chętnie. Pracować nauczono ją od dzieciństwa. Prawdziwą pracę poznała obserwując indiańskie

kobiety. Sprzątała więc, gotowała, pomagała robić zimowe zapasy. Wprawdzie Prescott w swym transporcie przywiózł znaczne ilości mąki, kaszy, fasoli i grochu, cukier, sól i pieprz, to jednak wiedziała, że podstawą wyżywienia tu na północy było mięso. Obie z matką przygotowywały niemal każdy kawałek oddzielnie. Mężczyźni potrzebowali dużo mięsa. Przestronna spiżarnia w końcu wypełniła się po brzegi.

Zima nadeszła nagle. W ciągu jednej nocy z północy nadciągnęły ciężkie chmury, powiał lodowaty wiatr. Temperatura spadła poniżej 70 stopni Fahrenheita. Nocą spadł ciężki śnieg, który pokrył całą ziemię warstwą kilkustopowej grubości. Pośpiesznie Wracały grupki zapóźnionych myśliwych. Uszczelniano wszelkie szpary w drewnianych barakach i kilku kupieckich domach.

Clay osobiście obchodził pomieszczenia swego domu składającego się z trzech izb mieszkalnych, kuchni i spiżarni. Sprawdzał wszystkie kominki zbudowane z wypalonych tu na miejscu cegieł. Szczególnie pieczołowicie uszczelniał i zabezpieczał przed zimnem pokój córki. Nie chciał, by marzła, gdy przyjdzie wielki mróz.

Pewnego razu, siedząc z żoną w pokoju Cynthii, wskazał na stojącą, w rogu pokaźną, dobrze zawiniętą w skórę paczkę. Wiedział, że Cynthia dostała ją od jakiejś starej Indianki w dniu przybycia do faktorii,

- Cóż za tajemnicę tam przechowujesz tak skrzętnie? Dziewczyna zarumieniła się lekko i roześmiała.

- To nie tajemnica. Pamiętacie? Mówiłam już pierwszego dnia. Jest to właśnie strój, który uszyłam dla Czarnego Sokoła - pokraśniała jeszcze bardziej i naśladując głos starej Peenay, powiedziała przeciągle: - Strój ładny. Będzie się podobał Czarnemu Sokolowi. Białą dziewczynę polubi i posadzi obok swego ogniska.

Rodzice roześmieli się, a Clay pół żartem - pół serio dodał: - Ten Indianin wart jest najpiękniejszego stroju i nie tylko stroju. Pokaż dziecko. Trzeba go rozpakować i powiesić. Obwiązany jest tak mocno, że pewnie nasiąkł wilgocią. Trzeba go rozwiesić.

Dziewczyna z zażenowaniem sięgnęła po tobolek i zaczęła rozwiązywać rzemienie. Clayowie uśmiechali się lekko.

Wreszcie skóra została odwinięta. Cynthia wyjęła bluzę i uniosła ją do góry.

- Jak wam się podoba praca córki?

Clay milczał. Jego żona z zachwytem patrzyła na miękką delikatną skórę, misterny haft, ozdoby tkwiące w szwach. W pewnym momencie zmrużyła oczy i wpatrzyła w barwny wzór na lewej kieszeni.

- Cynthia Clay - odczytała głośno.- Wyhaftowałaś tu imię i nazwisko. Dlaczego?

Dziewczyna spoważniała.

- Kiedy szłam tę bluzę, nie znałam przecież jeszcze zamiarów Indian. Wiedziałam, że nie

znając pisma, nie zauważą tych liter. Potraktują je jak zwykłe ozdoby. Miałam nadzieję, że kiedyś wojownik noszący ten strój natknie się na białych, że oni odczytają pismo i dadzą wam znać. Była to moja ostatnia deska ratunku. Okazała się niepotrzebna. Spruję ją zaraz.

Clay pokręcił przecząco głową.

- Nie, dziecko. Nie rób tego. Szkoda psuć bluzy, a ten szlachetny Indianin wart jest tego, by jawnie nosił twoje imię na sercu. Nie masz się czego wstydzić. I on też nie musi. - Pani Clay była tego samego zdania. Cały strój łącznie z dodatkami obejrzeli starannie i zgodnie orzekli, że jest piękny. Pani Clay przyniosła kilka wieszaków, wygładziła starannie każdą zmarszczkę, powiesiła strój i zamyśliła się.

- A wiesz co, córeczko?

- Słucham, mamusi!

- Ja na twoim miejscu wyhaftowałabym tu jeszcze dwa słowa. Ojciec z córką spojrzeli na nią z zaciekawieniem.

- Patrz, u góry jest jeszcze dosyć miejsca. Wyszyłabym, o tu - jeszcze się zmieści - słowa: „Czarnemu Sokołowi”. Wtedy, cały napis brzmiałby: „Czarnemu Sokołowi - Cynthia Clay”. Nikt wtedy nie posądzi tego Indianina o nic złego, a on będzie wiedział, że biała dziewczyna, chociaż go nie zna, jest mu wdzięczna za to, co dla niej uczynił.

Clay objął żonę ramieniem i powiedział serdecznie:

- Jak zwykle masz rację, Kathy. Cynthia powinna tak uczynić. Dziewczyna przytuliła się do rodziców.

- Oboje macie rację. Jestem zła i chyba głupia, że sama o tym nie pomyślałam wcześniej.

Clay pokiwał głową.

- Nie mówiłaś nam nigdy, córeczko, kiedy właściwie dowiedziałaś się lub może domyśliłaś, że Indianie nie mają względem ciebie złych zamiarów?

- Chyba w połowie pobytu u nich. Łowiliśmy w kilka pstrągi w potoku. Została wtedy przy mnie młoda dziewczyna Shesheeb - Dzika Kaczka. Ona powiedziała mi w tajemnicy, że wrócę do was i że Indianie nie zamierzają uczynić mi żadnej krzywdy. To właśnie ta dziewczyna, od której dostałam zajęcze futerka na zimowy strój. Potem, gdy wyjechaliśmy już na Athabaskę, powiedział mi o tym Czarny Bizon. On właśnie nauczył mnie, co mam mówić w forcie. Twierdził, że jeśli nie powiem tego, co mi każe, kłopoty mogą mieć i Czarny Sokół, i Indianie. Miał zresztą rację. Podający się za Brenta porucznik mógłby domyśleć się wielu rzeczy i kto wie, co by się stało. Boję się o tym pomyśleć.

Clay poklepał ją serdecznie po ramieniu.

- No, ale skończyło się wszystko dobrze. Teraz będzie tu spokój. Jak zjawi się może kiedyś Czarny Sokół, dasz mu piękny strój, a ojciec na pewno nie poskapi innych rzeczy.

Tym razem zażartowała matka Cynthii:

- Ja nie byłabym taka pewna. Czarny Sokół był na ścieżce wojennej, gdy porwał Cynthie. A co będzie, gdy teraz udał się na polowanie, a wiosną położy na naszym progu kilka wiązek bobrowych futer i nie będzie chciał za nie towaru?

Zapadło kłopotliwe milczenie. Cynthia jednak powiedziała stanowczo:

- Futer ojciec nie przyjmie, a strój Czarny Sokół i tak dostanie ode mnie. Porozmawiam wtedy z nim sama. A ty, ojczu, dasz mu wszystko inne.

Długo w noc nie mogła jednak zasnąć. Była uczciwą dziewczyną: nie miała jednak pewności czy to, co mógł ofiarować ojciec, nie było zbyt małą ceną wobec tego, na co zasłużył i czego miał prawo żądać Indianin.

Skołatane wątpliwościami myśli zmorzył w końcu sen.

Mijały tygodnie i miesiące. Śnieg leżał grubą warstwą, ucichły skute lodem potoki i jeziora. Drzewa okryła śnieżna czasza. Nocami z daleka niosło się przeciągłe wycie wilków.

Między bramą fortu a zabudowaniami kupieckich faktorii i barakami przewoźników mężczyźni wykopali w śniegu głębokie tunele, którymi przechodzili ludzie, pragnący spotkać się w długie zimowe wieczory.

Jedna tylko chata nie miała z nikim żadnego połączenia - chata, w której przebywał Winter.

Z nadejściem zimy wobec wyraźnego braku zainteresowania ze strony mieszkańców faktorii jego losem, dowódca fortu zdjął posterunki sprzed chaty. Nie dziwiła nikogo obecność trójki Indian w tej chacie. Wszyscy wiedzieli, że zajmują się rannym i ciężko chorym bandytą. Gdy poznano bliżej czarownika, przestano obawiać się o ucieczkę Wintera. Indianin, mimo swego wieku, trzymał się nadspodziewanie krzepko. Jego żylaste mocne ręce znamionowały siłę, która dawała pewność, że w razie czego poradzi sobie z rannym i na pewno słabym, białym.

Ludzie, którzy musieli pozostać w obrębie fortu na zimę, byli nawet zadowoleni z obecności Indianina. Raz z tego względu, że pilnował pojmanego; dwa, że okazał się bardzo użyteczny w odciętej od świata osadzie.

W liczącym kilkudziesięciu białych zbiorowisku zima wyzwoliła szereg dolegliwości. U wielu odezwały się różne kłopoty w postaci bolących stawów, dolegliwości żołądkowe, trapiące tu wszystkich choroby dziąseł i zębów, liczne, zdarzające się coraz częściej odmrożenia.

Grzmiący Róg nie odmawiał pomocy nikomu. Początkowo pytano go o radę albo korzystano z pomocy sporadycznie. W miarę jednak jak rozchodziły się wieści o skutecznym działaniu leków stosowanych przez starca, coraz częściej korzystano z jego wiedzy.

Wielu mężczyzn mających kłopoty z dziąsłami piło gorzki czarny napój, przygotowywany przez czerwonoskórego lekarza. Wielu, bez słowa sprzeciwu, wcierało w bolące stawy ohydne mazidło piekące skórę; na odmrożone miejsca kładziono żółtą maść przyrządzoną przez starego. I. o

„dziwo, zwykle po paru dniach ustępowały dolegliwości, dokuczliwy ból. Cierpiący odczuwał wyraźną ulgę.

Szkorbut, którego zawsze się tu obawiano zimą, nie pojawił się poza pierwszymi, szybko wyleczonymi przypadkami w ogóle. W niewielkim zbiorowisku sława indiańskiego lekarza rosła szybko i bezustannie.

Czarownik przychodził, wysłuchiwał, dotykał bolących miejsc, ugniatał brzuch i piersi. Przynosił jakiś sporządzony przez siebie lek, tłumaczył, jak należy go używać i odchodził.

Niekiedy badając chorego mamrotał jakieś dziwnie brzmiące słowa, czynił tajemnicze gesty i ruchy, zastygał na długie minuty w milczącej, nieruchomej pozycji. Wtedy usuwali się wszyscy. Nie przeszkadzano mu. Nikt nie ośmielał się nawet na najmniejszy gest niewiary.

Większość, podobnie jak Indianie, wierzyła tu w duchy, czary i zaklęcia, a niejeden wcześniej już stykał się z dziwną mocą i tajemniczą wiedzą indiańskich znachorów.

Wiara w umiejętności starego rosła, zwłaszcza że widziano jak skuteczna była jego pomoc. Jedni sądzili, że to leki, inni, że ulgę chorym i cierpiącym przynoszą czary. Szanowano więc go, ale i obawiano się po trochu.

Wiedziano, że skoro może pomóc, to może również zaszkodzić. Omijano go więc niekiedy, by nie narażać się przypadkiem na złe spojrzenie, ale też pomoc wynagradzano.

Do chaty nad jeziorem płynęły więc dary, dary różne. Starzec nie odmawiał. Wręcz przeciwnie; szczególnie rad był wtedy, gdy wdzięczny pacjent przynosił kawał świeżo upolowanego karibu lub jelenia. Znal bardzo dobrze lecznicze właściwości świeżego mięsa. I nie zawsze pozwalał obu indiańskim kobietom na psucie go gotowaniem lub pieczeniem. Cięły wtedy mięso na drobne kawałki i spożywały na ‘ surowo. On czynił to samo.

Jednym z ostatnich, który zdecydował się zgłosić po pomoc, był Clay. Od kilku lat, mimo iż nie narzekał coraz bardziej dokuczały mu stawy w kolanach i biodrach. Na początku tej zimy przenikliwy ból stał się tak nieznośny, że Kathy, brnąc któregoś dnia prawie po pas w głębokim śniegu, zapukała do chaty nad wodą. Drzwi otworzyła młoda indiańska dziewczyna, ale nie wpuściła białej. Wypowiedziała po angielsku tylko jedno słowo, które zapewne znała:

- Wait - poczekaj - i zniknęła w głębi chaty.

Po kilku chwilach wyszedł czarownik, ubrany w ciężki gruby kozuch i nie pytając o nic podążył do domu Claya. Nie musiał pytać. Wiedział, że przyjście białej kobiety oznacza prośbę o pomoc.

Wszedłszy do mieszkania zdjął kozuch i powiesił na kołku.

- Kto chory?

Pani Clay, która znała kilka indiańskich słów, wskazała pokój męża.

Grzmiący Róg wszedł do izby i zbliżył się do łoża, na którym leżał biały. Przyglądał mu się

przez chwilę po czym spytał:

- W którym miejscu zły duch siedzi w ciele mojego białego brata?

Clay dotknął bioder i kolan. Grzmiący Róg pomyślał: daweguna - i zabrał się do badania. Obmacywał najpierw bolące miejsca, uciskał je, kazał zginać, rozprostowywać, przekręcać nogi, tak że z bólu kurczyła się twarz kupca. Wreszcie ukończył badanie i zwrócił się do leżącego:

- Duchy mokrej ziemi, deszczu i chłodu weszły wiele zim temu w kości mego brata i siedzą tam. Grzmiący Róg pójdzie teraz do siebie i będzie się modlił. Potem przyniesie lek. Biały brat będzie nacierał tym lekiem bolące miejsca - dokładnie pokazał, które - i ból za parę dni ustąpi. Złe duchy nie lubią tego leku i uspokoją się. Mój biały brat będzie chodził jeszcze wiele zim.

Przed wieczorem, zgodnie z zapowiedzią, przyniósł swoją maść i bizoni róg zielonkawego płynu i powiedział, jak go używać.

W kilka dni później zajrzał do Clayów i widząc gospodarza krzątającego się żwawo przy domowych porządkach uśmiechnął się:

- Widzę, że złe duchy opuściły już kości mojego brata? Clay uściskał rękę starego Indianina.

- Mój wielki czerwony brat wypędził je chyba na zawsze. Szaman zaprzeczył.

- Nie, nie wypędził ich. Przestraszył tylko. Będą cicho przez kilka zim. Potem przestaną się bać i znów zaczną dokuczać mojemu białemu bratu.

Ale teraz, chociaż złe duchy uciekły, niech mój brat jeszcze przez pół księżyca naciera miejsca, w których były duchy, lekiem sporządzonym przez Grzmiącego Rogą. Resztę leku niech dobrze przechowa. Przyda mu się, gdy duchy znów przebudzą się.

Kupiec, który od kilku miesięcy wreszcie znów czuł się dobrze, dziękował gorąco, starcowi.

- Może mojemu czerwonemu bratu czegoś potrzeba? Mięsa, mąki, kawy, tytoniu albo innej rzeczy? Dam mu chętnie.

Indianin myślał kilka chwil, w końcu pokręcił przecząco głową.

- Nie. Grzmiący Róg nie potrzebuje żadnej z tych rzeczy. Ma wszystko. Potrzebuje jedynie cienkiego białego materiału, takiego, jakie noszą kobiety białych ludzi.

Kupiec zafrasował się widocznie, jednakże zawołał głośno:

- Kathy, Cynthio! Chodźcie tutaj.

Gdy obie niewiasty zjawiły się, wyłuszczył im prośbę szamana, dodając:

- Ja nie mam takiego cienkiego materiału, ale może ty, Kathy? Żona uśmiechnęła się.

- Poczekaj, Andrew. Domyślam się, o co staremu chodzi. Jest tam młoda dziewczyna. Pewnie potrzebuje tego dla niej. Poczekajcie trochę. - Zniknęła w swojej izbie i za kilka minut przyniosła długą białą suknię uszytą jeszcze w Montrealu, z bardzo cienkiej tkaniny. Suknia ozdobiona była ślicznymi koronkami i kolorowymi wstążeczkami.

- Czy naszemu bratu potrzebne jest właśnie coś takiego?

Indianin suchą ręką dotknął materiału, a wyczuwszy jego miękkość, skinał głowę. Następnie bez chwili zastanowienia pozrywał wszystkie koronki, wstążeczki i inne ozdoby, i tak ogołoconą suknię zwinął w kłębek i schował pod kozuch.

- Grzmiący Róg dziękuje swym białym braciom, właśnie to było mu potrzebne. - Bez dalszych słów opuścił izbę.

Clayowie, widząc leżące na podłodze koronki, popatrzyli na siebie zdziwieni. Indianin, który wszak powinien kochać wszelkie ozdoby, tutaj odrzucił je jako niepotrzebne. To nie mieściło się w głowie żadnego, z nich.

W końcu Kathy spojrzała poważnie na męża:

- Słuchaj, Andrew! On nie potrzebował sukni dla dziewczyny. Prosił cię wszak o cienki materiał. I chyba zgaduję, do czego jest mu - potrzebny.

Cynthia i Clay spojrzeli na nią z zaciekawieniem.

- Do czego, mamusiu, jeśli sądzisz, że to nie dla tej dziewczyny?

- Jemu był potrzebny materiał na bandaże. Widzieliście jak sprawdzał, czy materiał nie jest szorstki?

- Sądzisz, Kathy, że dla Wintera?

- Jestem pewna, że to na bandaże.

- W takim razie czarownik sądzi, że bandyta nie umrze - stwierdził stanowczo Clay.

- Ale - tu zaciął się trochę - o ile znam Cree i Odźbuejów, nie troszczą się tak bardzo o chorych czy rannych i, jak wiem, nawet najbliższym często pozwalają umrzeć na szlaku. Dlaczego tak gorliwie zajmują się Winterem? Przecież wiedzą, że to morderca Indian. Nie dość, że zostawili tu tego starca, co jest chyba czymś niespotykanym, to - tu zaciął się ponownie - przecież oni kazali mu tu zostać i zająć się rannym. Co więcej, przysłali do pomocy dwie kobiety. Sam słyszałem, jak Wilk wydawał polecenia. Nie rozumiem nic z tego.

Matka z córką patrzyły na niego w zdumieniu.

- Andrew! Co masz na myśli?

- Nie wiem, ale przypomnijcie sobie. Gdy sądzono bandę, prawie ani razu nie padło nazwisko Wintera. Nie wymienił go żaden z Indian. Sharp ograniczył się na początku do paru słów, że rannego, który nie może sam stanąć przed sądem i bronić się, nie będzie sądził. Powiedział coś o regulaminie, i to wszystko. Potem postawił wartę przed chatą. Dziwne. Chodzą tam tylko obaj z Prescottem. Czasami przesiadują godzinami. Po co? I czemu Grzmiący Róg nikogo prócz tych dwu nie wpuszcza do środka?

Jeszcze raz popatrzył na rozrzucone koronki i wstążki, i zabrał się za przerwana pracę. Nie mówił nic więcej, ale na czole zarysowała mu się głęboka bruzda.

Nazajutrz wyciął w lesie piękne modrzewiowe drzewko. Zbliżało się Boże Narodzenie i

zgodnie z tradycją oboje z żoną w dużym pokoju ustawili choinkę. Tym razem Kathy przygotowywała święta szczególnie uroczyste. Po raz pierwszy od wielu lat mieli je spędzić z córką. Toteż ostatnie dni przed Wigilią prawie nie opuszczała kuchni. Z przepastnych zakamarków wielkiej spiżarni raz po raz wyciągała mąkę, cukier, miód, rodzyнки, orzechy, szafran, różne powidła i pachnące korzenie, które w ostatnim transporcie przywiózł Prescott, a które do tej pory przechowywała skrzętnie. Pomagała jej z zapalem Cynthia. Claya nie wpuszczały prawie w ogóle do kuchni.

Na kilku wydzielonych półkach spiżarni rosły góry różnego rodzaju ciast z rodzyнками, makiem, bakaliarni, kopiaście babki oblane rumem i rozpuszczonym cukrem. Z głębi solidnego, glinianego pieca rozchodził się zapach pieczonej dziczyzny mile łechcący powonienie.

Na dwa dni przed Wigilią kilkunastu mężczyzn i paru żołnierzy Sharpa zabrało sieci i wyruszyło na jezioro. Gdy wrócili przed wieczorem, w kuchni państwa Clay zabłyśły lśniące łuską duże pasiaste okonie, długie cielska szczupaków i srebrzyste sandacze, ciemne, nakrapiane czerwonymi cętkami, dorodne pstrągi. Na stole leżał kilkudziesięciu kilogramowy jesiotr. W dużej cynowej wannie wypełnionej gęstą solanką moczyły się różowe płaty łososa, w którego obfitowały wody jeziora i okolicznych rzek.

Łososie wędził Clay osobiście, używając w tym celu mokrego drzewa olchy, dającej dużo gęstego dymu. Wiedział, że żadna z ryb nie wymagała właśnie tak jak łosoś drzewa olchy. Od czasu do czasu dorzucał do paleniska kilka gałązek jałowca wraz z czarnymi jagodami. Dym jałowcowych szpilek przenikał przez płaty łososa, przydając rybie specyficznego leśnego zapachu. Ogień utrzymywał nie za duży, by płomienie nie wytopiły smakowitego tłuszczu i nie wysuszyły ryby. Wysuszony łosoś nie był dobry. Jego mięso było wtedy zbyt kruche, rozsypywało się. Dobrze uwędzony zachował swoją miękkość i soczystość.

Siedząc w wędzarni myślał intensywnie. Od pewnego czasu coraz bardziej. Przypominał sobie różne fakty, zdarzenia, nieistotne na pozór szczegóły, bardziej lub mniej odległe; zachowanie się Prescottta i Sharpa, dziwną jak gdyby znowę milczenia, która otaczała pewien fragment sprawy bandy Rudego.

Wieloletni pobyt na północy, życie wśród ciągłych niebezpieczeństw wyostrzyły jego spostrzegawczość, nauczyły kojarzyć nieomal okruchy śladów.

Teraz, gdy analizował wszystko ponownie, od początku, bruzda na czole pogłębiła się jeszcze bardziej, na sercu legł ciężar niepokoju. Jeżeli w rozumowaniu nie popełnił błędu?... Nie, nie darowałby sobie tego przez całe życie. Ale może się mylił? Może sprawa nie wyglądała tak, jak ją widział? Musiał to jeszcze raz rozważyć, ale przede wszystkim musiał porozmawiać z Prescotttem. a właściwie powiedzieć mu, powiedzieć coś, czego prawdopodobnie nikt nie wiedział.

Zdjął z haka ostatni płat łososa i powlókł się do domu. Uwędzone ryby przyniósł w wielkiej

wannie.

Kathy i Cynthia kończyły ubierać choinkę. Właściwie już tylko układały pod nią prezenty opatrzone małymi karteczkami. Obie wyglądały już odświętnie. Cynthia po raz pierwszy włożyła na siebie uszytą jeszcze w czasie pobytu wśród Indian prostą, skromną sukienkę z cienkiej, miękkiej skórki jelenia. Jediną ozdobę stanowił wąski, delikatnie haftowany, skórzany pasek. Na nogach, wzorem indiańskich dziewcząt, nosiła mokasyny.

Matka widząc ją w tym stroju wykrzyknęła:

- Ależ, Cynthia! Czemu nie ubierzesz się w swoje normalne suknie?

Dziewczyna przytuliła się do matki.

- Widzisz, mamusiu. Oni nie mają Wigilii i Bożego Narodzenia. Może są teraz głodni i jest im zimno. Są bardzo biedni. Wiesz, ile im zawdzięczam. Dzisiaj chcę się czuć trochę tak jak oni. Może jeszcze nie zapomnieli białej dziewczyny, tak jak ona ich nie zapomniała. Od nich dostałam te skórki.

Matka czule przygarnęła jedynaczkę.

- To dobrze, dziecko, że pomyślałaś o nich, a właściwie, że o nich mi przypomniałaś. Są przecież i tutaj. Grzmiący Róg i te dwie kobiety.

Należą do tego samego plemienia, które było tak dobre dla ciebie i dla nas. Nie możemy być gorsi od nich.

Ponieważ w tym właśnie momencie wszedł Clay, żona zwróciła się do niego:

- Nie przebieraj się jeszcze, Andrew. Chcę żebyś zaniósł coś do chaty nad jeziorem.

Clay uniósł lekko brwi.

- Dzisiaj jest Wigilia - powiedziała miękko - wszystkie stworzenia i ludzie winni odczuwać dobroć Najwyższego. - Z tymi słowami wyciągnęła ze spiżarni duży kosz i zaczęła go szybko napełniać: mięsiwa, ryby, ciasta - chwilę się zastanawiała, w końcu włożyła jeszcze butelkę rumu. - I powiedz czarownikowi, że Wielki Duch białych ludzi każe im w tym dniu dzielić się tym, co mają najlepszego.

Clay dźwignął kosz bez słowa i pobrnął przez głęboki śnieg. Gdy wrócił, umył się i założył czyste ubranie. Kobiety nakrywały do stołu.

Wraz z pierwszą gwiazdką zaczęli się schodzić mężczyźni. Przyszedł Sharp i Prescott. Perry i Rossignol. sierżant Jackson i kilkunastu innych, w tym kilku żołnierzy.

Katherina Clay zapaliła na choince świece. Clay złożył przybyłym życzenia świąteczne i odmówił krótką modlitwę.

Wszyscy zasiedli za stołem. Miejsca starczyło dla wszystkich, jedno, wraz z nakryciem, zgodnie z tradycją, zostało wolne dla kogoś, kto mógł jeszcze nadejść.

Postny pokarm, składający się głównie z ryb, spożywano w skupieniu.

Tego uroczystego wieczoru każdy myślał o swych najbliższych, oddalonych nierzadko o tysiące mil, żyjących najczęściej daleko na wschodzie w dużych osiedlach i miastach, a nawet po

drugiej stronie oceanu, na starym kontynencie, w dawnej zamorskiej ojczyźnie. W niejednej zahartowanej piersi żywej zabiło serce. Niejedną krtań ścisnął krótki skurcz wzruszenia... może żalu.

Stopniowo jednak nastrój ożywał się. Gospodarz dbał o wszystkich. Pilnował, by goście nie czuli się źle.

Gdy matka z córką wniosły góry ciasta i napełniły szklanki z gorącą herbatą, atmosfera poprawiła się, stała się bardziej ciepła, radosna. Zachęteni przykładem gospodarza, mężczyźni zaczęli opowiadać różne swoje przygody, wydarzenia, których byli świadkami, dzielić się wspomnieniami z lat młodości, myśliwskich i wojennych wypraw. Żartowano. Trzaskający na kominku wesoły, jasny ogień, alkohol, którym częstował gościnny gospodarz, wlewały w żyły przyjemne ciepło, wywoływały na twarzach rumieńce. W obszernej izbie stawało się coraz weselej i gwarniej.

Wreszcie pani Clay zaprosiła wszystkich pod choinkę. Z radością stwierdzono, że nie zabrakło prezentu dla nikogo. Rozwijanie paczek i oglądanie podarunków trwało dobrą chwilę.

Gospodarze zadbali o wszystkich. W paczkach znalazły się noże, pistolety, skórzane mocne pasy, tytoń, fajki, grube wełniane skarpety, miękkie ciepłe rękawice z króliczych futerek i mnóstwo innych drobiazgów, potrzebnych tu do życia każdemu mężczyźnie.

Prescott i Rossignol otrzymali nowe strzelby o długich lufach, sprowadzone prosto z Anglii.

Sharp, w imieniu wszystkich zaproszonych, podziękował gospodarzom i złożył im świąteczne życzenia. Gospodarz dorzucił do ognia suchych żywicznych szczap. Wszyscy zajęli miejsca wokół kominka.

Pani Clay zaintonowała kolędę; dołączyli inni. W izbie stało się gorąco. Otwarto okno. W mroźną, księżycową noc popłynęła piękna stara religijna pieśń.

W chatce nad jeziorem biały mężczyzna drgnął i powiedział słabo:

- Otwórz drzwi.

Stary Indianin, zapatrzony dotąd w migotliwe płomienie ognia, podniósł się ociężale i spełnił prośbę chorego. Wraz z mroźnym powietrzem wtargnął do izby głos kolędy.

Z drugiego pomieszczenia wysunęły się obie Indianki i stanęły na progu.

Pieśń niosła się poprzez śnieżną pustynię, cichła, wzbierała na sile, potężniała, rozlewała szeroko.

Na bladej, wychudłej twarzy leżącego wykwitły gorączkowe rumieńce, piersią wstrząsnął suchy kaszel. W kącikach ust pojawiła się krwawa piana.

Czarownik zamknął drzwi i białą czystą szmatką wytarł tę pianę.

- Na dworze zimno. Powietrze ostre. Trzeba leżeć w ciepłe. Ogień zdrowy.

Winter uśmiechnął się blade.

- Grzmiący Róg nie powinien mnie pocieszać. Ciepło niewiele pomoże jego bratu, ale cieszy się, że mógł usłyszeć pieśń radości, jaką dla Wielkiego Ducha śpiewają jego bracia. Niestety nie

doczeka już drugiej.

Indianin pochylił się nad leżącym.

- Mój brat myli się. Kula przeszła prosto na drugą stronę. Nie uszkodziła niczego ważnego. Siły mojemu bratu zabrała zła gorączka. Z rany nie wypływa już żółty płyn, tylko krew. To dobry znak. Mój brat nie umrze. Gdy wrócą gęsi, znów odzyska siły. Musi tylko leżeć spokojnie i nie wstawać. Teraz wypije lek i zaśnie. - Przysunął kubek z ciepłym płynem i ostrożnie wlał parę łyżek do ust leżącego. Musiał to być wywar z jakichś nasennych ziół, bo w kilka minut potem pierś białego wypełnił równy, głęboki oddech.

Indianin zdjął wtedy opatrunek z rany - otworzył ją delikatnie końcem noża i zaczął ostrożnie uciskać wokół. Stara Indianka przysunęła dużą świecę.

Czarownik wprawnymi palcami ugniatał ranę tak długo, aż na skórze pokazała się krew. Przyglądał się jej przez dłuższy czas, zgarnął ostrzem noża i rozsmarował na swym języku. Mlaskał kilka chwil, jakby próbował, po czym zwrócił się do starej z krótkim poleceniem. Gdy podała mu żądany przedmiot, jeszcze raz rozszerzył ranę i wpuścił kilka kropel złocistego płynu do środka. Wytarł dokoła ranę, obłożył ją ziołami i ponownie założył opatrunek.

Gdy obrócił twarz ku obserwującym go w milczeniu Indiankom, uśmiechnął się.

Starsza zmarszczyła się dziwnie: młodsza objęła starca za szyję:

- Będzie żył. prawda?

Szaman wytarł ręce. nalał sobie okazały kubek płynu z przyniesionej przez Claya butelki, powąchał go z widoczną przyjemnością i kiwnął głową:

- Będzie!

Dziewczyna cichutko wysunęła się do drugiej izby. Jej oczy i twarz były mokre. Cóż mogłaby powiedzieć Uhmikowi, gdyby biały umarł?

Tymczasem w domu Claya dalej śpiewano kolędy.

Po północy na stole ponownie pojawiły się różne potrawy, tym razem półmiski mięsa, kukurydziane placki, różne pikantne sosy. Powitano je okrzykami radości. Pojawiły się nowe butelki i gąsiorki. Z męskich czupryn kurzyło się wyraźnie. Rozochoci! się nawet powściągliwy dotąd Sharp.

Jedynie Prescott, mimo iż udawał dobry humor, raz po raz uciekał gdzieś daleko myślami. W końcu zauważyła to siedząca obok żona gospodarza i dotknęła jego ramienia.

- Widzę, Henry, że coś cię trapi?

- Nie. Kathy. Tak się trochę zamyśliłem.

- Nie kłam. Znam cię przecież dobrze. Przede mną nie musisz udawać.

Przewodnik uśmiechnął się z przymusem.

- Naprawdę mylisz się, Nic mi nie jest. Może to nastrój tego wieczoru?

- Oj, Henry. Kręcisz coś. Zmieniłeś się ostatnio. Wiem nawet, od kiedy.

- Ależ, Kathy...

- Tak. Zmieniłeś się od tego wieczoru, w którym ujęliście bandę. Zresztą Sharp również. Czy stało się wtedy coś złego?

Prescott patrzył na nią długo, poważnie, z coraz wyraźniejszym zmieszaniem na twarzy. Nie odpowiedział jednak. Zamiast tego spytał:

- Spodziewaliście się dzisiaj jeszcze kogoś. Prawda? I nie chodzi mi o miejsce przy stole. Pod choinką została jeszcze jedna paczka. Dla kogo?

Kathy uśmiechnęła się.

- Sądziłam, że się domyślisz, ale skoro nie, to zobacz. Jest tam przyczepiona karteczka z napisem.

Prescott podniósł się trochę niepewnie, podszedł do choinki i wziął paczkę w ręce. Odczytał karteczkę i wrócił do stołu. Twarz jego była pełna powagi.

Cynthia, która zwróciła także uwagę na dziwne zachowanie się przewodnika, nie spuszczała teraz z niego wzroku.

Prescott usiadł na swym miejscu, położył szeroką dłoń na rękę gospodyni i spytał cicho:

- Kathy, czy jesteś pewna, że ten prezent powinien otrzymać Czarny Sokół?

- Ależ tak. Nie tylko ja, Andrew jest o tym przekonany także, a i Cynthia również. Ona sama zrobiła go dla niego.

- Ale wy przecież go nie znacie. Nie wiecie, kim jest. Kobieta delikatnie uwolniła swą dłoń.

- Henry, nie znamy go, to prawda, ale kimkolwiek by nie był, będziemy błogosławić go do końca życia za to, co dla nas uczynił.

- Rozumiem, Kathy i... dziękuję ci. Pozwolisz, że wezmę ten gwiazdkowy prezent i przekażę mu przy okazji.

- Przekażesz ten prezent Czarnemu Sokolowi? Więc on tu jest, tu, gdzieś w pobliżu? - oczy kobiety rozszerzył wyraz bezgranicznego zdumienia.

- Tak!

- Ale dlaczego nie przyprowadziłeś go do nas? Dlaczego sam nie przyszedł?

- Bo nie mógł, i może nie przyjdzie nigdy.

ROZDZIAŁ XIV

Pod koniec lutego - Księżycy Głodu, do fortu przybyli trzej Indianie - myśliwi z plemienia Szarego Niedźwiedzia i przyprowadzili z sobą psa.

Kilku białych, którzy widzieli ich w chwili przybycia, mówili zgodnie, że okryci od stóp do głów w ciepłe futra dzicy skierowali się wprost do chatki nad jeziorem i zabawili tam przynajmniej

trzy godziny.

Jeden z nich przed południem przyszedł do faktorii Claya i poprosił o sprzedaż prochu, kul i soli. Wziął także kamień do ostrzenia noży i grotów.

Nie chciał brać na kredyt. W zamian zostawił parę wiązek futer lisów, wilków i rysi oraz futerka gronostai, skunksów, czerwonych i czarnych wiewiórek, amerykańskich soboli, kilka skór karibu i niedźwiedzi, upolowanych widocznie jeszcze jesienią oraz jeleni.

Prosił białego kupca, by w swej księdze zapisał futra i skóry oraz wydane towary, a rozliczył się z Szarym Niedźwiedziem wiosną, gdy Indianie będą wracać na swe letnie tereny łowieckie.

Clay nie protestował. Niezależnie od powodów wdzięczności dla Szarego Niedźwiedzia, jako kupiec cieszył się, że tylko z tego jednego plemienia ponad stu kilkudziesięciu myśliwych w kwietniu i maju dostarczy mu stopy futer.

Wczesnym popołudniem, ciągnąc wyładowany tobogan, trójka Indian ruszyła w powrotną drogę. Psa zostawili, ale towarzyszyła im jeszcze jedna osoba. Po wdzięcznych, swobodnych ruchach łatwo domyślano się, że młodsza z kobiet przebywających tu od jesieni opuszczała chatę Wintera.

Cynthia, która właśnie szła do magazynu, by w razie potrzeby pomóc ojcu, widząc oddalającą się postać przystanęła i pogoniła za nimi wzrokiem. W ruchach oddalającej się dziewczyny było coś znajomego, coś co przebywając wśród Indian przez kilka miesięcy spotykała co dzień.

Pod wpływem jakiegoś wewnętrznego, nagłego odruchu krzyknęła z całych sił:

- Shesheeb... Shesheeb...!

Sunąca w śnieżnych raketach dziewczyna przystanęła na parę chwil i odwróciła się w stronę wołającej. Uniosła rękę, pomachała. Stała tak przez moment, po czym bez słowa pomknęła za oddalającą się trójką mężczyzn.

Cynthia stała długo z głośno bijącym sercem. Nie miała najmniejszej wątpliwości. To była Shesheeb, dziewczyna, którą pokochała jak własną siostrę.

Indianka była tu więc cały czas. Ukrywała się jedynie przed oczyma białych i przed oczyma Cynthii. Dlaczego? Dlaczego właśnie ona wraz z tą drugą znajdowały się w chacie, którą okupował czarownik? Musiały mu pomagać, pomagać w opiece nad Winterem... Nie potrafiła tego zrozumieć. Szła wolno w stronę magazynu ojca. Shesheeb opiekująca się przez wiele miesięcy zabójcą Indian? Nie chciało jej się to pomieścić w głowie. A może to nie była Shesheeb? Może jakaś inna indiańska dziewczyna? Dlaczego w takim razie stanęła? Dlaczego pomachała ręką? To musiała być ona.

Gdy weszła, Clay zapisywał ostatnią rubrykę przyjętych futer. Skończywszy zamknął księgę i spojrzał na córkę, a widząc jej poruszoną twarz spytał:

- Zdaje się, że wołałaś kogoś? Słyszałem twój głos.

- Tak, ojcze. Odjechali Indianie. Razem z nimi odjechała również ta dziewczyna, o której wam opowiadałam tyle razy.

- Shesheeb? - ojciec spojrział na córkę ze zdumieniem. - Przecież dziś rano przybyli tylko ci trzej myśliwi?

- Tak. Sama ich widziałam. Ale odjechali wraz z dziewczyną i była to właśnie ona. Zabrali ją z chaty nad jeziorem.

- Może się mylisz, dziecko? Skąd się tam mogła wziąć?

- Była tam od jesieni, ojciec, tylko nie pokazywała się.

- Chcesz powiedzieć, że córka Wilka opiekowała się Winterem?

- Tak to musiało być, tatusiu. Poznałam ją na pewno i ona mnie również.

- Córka wodza Indian pielęgniarką tego, który ich skalpował? Dziewczyno! To przecież niemożliwe!

- To prawdziwe, tatusiu. Spytaj zresztą Prescottta.

Ale ani tego, ani następnego dnia Clay nie mógł wykonać tej prośby. Przewodnik wraz z Sharpem i kilkoma myśliwymi wczesnym rankiem wybrali się na kilkudniowe wilcze łowy.

Za to następnego dnia przed wieczorem, wracając ze spaceru, Cynthia niespodziewanie natknęła się na drugą Indiankę. Stara, przygarbiona kobieta wracała z dużą wiązką sosnowych gałęzi na plecach. Wąska ścieżka, którą wydeptała w głębokim śniegu, nie pozwalała na miniecie się dwu kobiet.

Cynthia zdecydowanie zastąpiła jej drogę.

- Kim jesteś?

Indianka podniosła głowę i patrzyła zimno w oczy białej dziewczyny, po czym skrzywiła się pogardliwie:

- Zejdź z drogi Peenay. Nie masz serca i jesteś głupia. Gdyby Peenay wiedziała, że nie odróżniasz przyjaciela od wroga, wiązałaby cię do kija codziennie i sama by cię zagłodziła na śmierć. Odejdź. - Wolną ręką odepchnęła gwałtownie oniemiałą dziewczynę i nie oglądając się przekroczyła próg chaty.

Dziewczyna wróciła do domu. Rodzice czekali już z kolacją.

- Jak udał się spacer? - spytała matka, lecz widząc zmienioną twarz córki, nachyliła się ku niej:
- Czy spotkała cię jakaś przykrość?

Dziewczyna opowiedziała o spotkaniu z Peenay oraz o wczorajszym, o czym jeszcze nie wspomniała matce, z Shesheeb.

Pani Clay ważyła w myśli coś długo, wreszcie zdecydowała się:

- Pamiętasz, Andrew, wieczór wigilijny?

- Pamiętam. Było tak dobrze i wesoło, jak nie bywało tu nigdy przedtem.

- To prawda. Weselili się prawie wszyscy - z naciskiem wymówiła słowo „prawie”.

- Ależ. Kathy, co ty mówisz?

- Nie gniewaj się, Andrew. Wy mężczyźni pewnych rzeczy nie potraficie zauważyć. Kobiety mają intuicję, więc widzą lepiej. Wesoło i dobrze było tu prawie wszystkim, prawie, to znaczy za wyjątkiem Prescottta i Sharpa. Oni tylko udawali. Nie chcieli zapewne psuć nastroju innym. Siedziałam obok Henry'ego i rozmawiałam z nim trochę. Wiem, że był przygnębiony. Pamiętacie, że pod choinką była również paczka dla Czarnego Sokoła i wiecie, że Henry wziął ją z sobą, obiecując doręczyć temu, dla kogo była przeznaczona. Czy wiecie, co mi wtedy powiedział? Nie mówiłam o tym nikomu.

Cynthia i Clay zawiśli wprost spojrzeniem na jej ustach.

- Henry powiedział mi wtedy, że Czarny Sokół przebywa tu, tu, to znaczy gdzieś w naszym otoczeniu.

- Niemożliwe! - wykrzyknęli obydwójce słuchający.

- Ja też tak pomyślałam w pierwszej chwili. Spytałam Henry'ego, dlaczego nie chce się dać poznać? Dlaczego nie przyszedł na Wigilię? Wiecie co odpowiedział Henry? Że tamten nie może. Długo nad tym myślałam, Andrew. Ci, co zostali w forcie, wszyscy, których znam, to przecież nasi przyjaciele. Lubią nas. My ich lubimy. Stanowimy tu jedną, liczną rodzinę. A więc przyjść mógł każdy. Każdy wiedział, że zostanie serdecznie przyjęty. O naszych uczuciach dla niego i ogromnym długu wdzięczności, jaki mamy, musiał wiedzieć też i Czarny Sokół. Prescott nie mówił, że Czarny Sokół nie chciał przyjść. Powiedział mi, że Czarny Sokół nie mógł, chociaż był gdzieś w pobliżu. Andrew i Cynthia! Znam tu wszystkich. Przyjść mogli wszyscy, poza jednym. Poza tym, który był ciężko chory i pewno nie wstawał nawet z posłania. Przyjść nie mógł tylko Winter!

Clay jęknął głucho i zbladł straszliwie.

- Kathy, nie mylisz się?

- Nie myślę się. To mógł być tylko Winter.

- Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!

- Andrew, na Boga, co ci jest!

Kupiec pochylił nisko głowę i szepnął trzęsącym się głosem:

- To ja do niego strzeliłem, gdy banda uciekała z fortu. Kathy przerażona patrzyła na męża.

- Andrew, to nieprawda! To nie mogłeś być ty!

Mężczyzna opanował się i mimo kropelek potu na czole i drżących rąk stwierdził poważnie:

- To ja, Kathy. Widziałem jak Brent mierzy w Prescottta i widziałem jak do przodu skoczył Winter. Byłem pewien, że chce uciec. Strzeliłem z kilku kroków prosto w jego piersi. Widziałem jeszcze tylko, że uderzył w rękę Brenta i tamta kula poszła gdzieś wysoko. Więcej strzałów nie było. Teraz wiem, dlaczego przed akcją Prescott zakazał używać broni, nawet wtedy, gdyby tamci byli uzbrojeni. Pamiętam jak po moim strzale krzyknął: „Nie strzelać! Brać żywcem”. Prescott wiedział, że strzelałem ja. Nie był pewien, czy tamten przeżyje. Nie mówił więc nic. Na barki starego

przyjaciela i jego rodziny wolał nie wkładać brzemienia zbrodni. Dlatego milczał.

Kobiety cicho płakały.

Kupiec stanowczym ruchem wstał od stołu i sięgnął po futrzaną kurtkę. Kathy i Cynthia, bez jednego słowa, uczyniły to samo.

Parę chwil później cała trójka brnęła przez zasy, ku samotnej chatce.

W progu powitało ich groźne warknięcie. Z głębi izby rozległ się słaby głos:

- Spokój, Ness!

W drzwiach stanął Grzmiący Róg. Patrzył uważnie, ale bez zdziwienia w twarze przybyłych, po czym bez słowa usunął się z przejścia.

W izbie było jasno. Na posłaniu z niedźwiedzich skór leżał Winter. Twarz jego była chuda; pokrywała ją sucha skóra. Głęboko zapadnięte, gorączkowym blaskiem jarzyły się szaroniebieskie oczy. Gęstwa czarnych, od wielu miesięcy nie przycinanych włosów spadała na szyję i wychudłe ramiona. Do pasa był odkryty. W okolicy serca, na lewej piersi, widniała poszarpana szrama - ślad od kuli. Przeraziłwie chude palce gładziły bury łeb psa.

Trójka przybyłych stanęła w milczeniu nad leżącym. Patrzyli na niego, jego bladość, wychudłe ciało, żółtą, pergaminową skórę.

Claya dławił ból ściskający mu krtań. Pochylił nisko głowę i powiedział stłumionym głosem:

- Przebac - ramiona jego skurczyły się, potężną pierś wstrząsnął szloch.,

Winter uniósł z trudem głowę.

- Nie martw się, Clay. Mogło to spotkać każdego. Rozbierzcie się, siadajcie. Prescott powiedział czy Sharp?.

Kupiec zaprzeczył.

- Oni nie powiedzieli nic. Odgadła to Kathy.

Leżący przeniósł wzrok na żonę Claya i uśmiechnął się.

- Kobiety mają intuicję, prawda, pani Clay?

Skinęła głową.

- Domyślałam się od Wigilii, gdy Henry powiedział, że Czarny Sokół nie może przyjść. Domyśliłabym się szybciej, gdyby nie to, że imię wskazywało raczej Indianina. Dopiero dzisiaj, gdy Cynthia powiedziała nam, że spotkała córkę Wilka i Peenay, zrozumiałam.

Wzrok Wintera zatrzymał się przez moment na wiszącej nad posłaniem indiańskiej bluzie i po raz tysięczny w myśli odczytał ozdobny haft: „Czarnemu Sokołowi - Cynthia Clay”.

Przymknął na moment powieki. Przed oczyma zamajaczył mu obraz dziewczyny, tam daleko przed jaskinią bandy, gdy ujrzał ją po raz pierwszy.

Otworzył oczy i skierował na nią wzrok. Była jeszcze piękniejsza.

- Dziękuję za wspaniały prezent gwiazdkowy.

Dziewczyna ukryła twarz w dłoniach. Jakże krzywdziła go w myślach, ł to miał być ten, który skalpował dzikich? Jaka była głupia i ślepa. Spomiędzy palców popłynęły Izy.

Przed południem następnego dnia wrócił Prescott. Prawie jak co dzień, swe pierwsze kroki skierował ku samotnej chatce, po czym przyszedł wprost do Clayów.

Obie kobiety miały zaczerwienione oczy. Clay siedział milcząco przed kominkiem.

- Wiecie więc już?

- Wiemy. Henry - kupiec był blady. - Nie posłuchałem cię wtedy. To był jedyny w moim życiu fatalny strzał.

Prescott przysunął się do ognia i przez chwilę grzał ręce.

- Mogłoby być gorzej. Wylize się jakoś.

- Ale dlaczego nie uprzedziłeś wyraźnie?

- Kilkudziesięciu ludzi? Wtedy jeszcze nie było wiadomo, czy ktoś za tym stoi prócz Brenta. Uprzedzić wtedy, znaczyło skazać go na pewną śmierć z rąk bandy. Nie można było ryzykować pozostawienia choćby jednego ich szpiega. Wyobrażam sobie, co działałoby się w tym skupisku ludzkim, gdybyśmy nie mieli pewności, że to już wszyscy. Wtedy podejrzewałby jeden drugiego. Każdy obawiałby się noża, kuli czy strzału z zasadzki. Nie można było nikogo uprzedzić.

- Ale dlaczego w takim razie nie powiedziałeś potem? Przewodnik rozważał coś w skupieniu.

- Potem nie miało to już znaczenia. Na miejscu był tylko Grzmiący Róg i te dwie Indianki. Nic więcej nikt nie był w stanie dla niego zrobić,

- Ale przecież ja i Cynthia - Kathy była wyraźnie poruszona.

- Nie jesteś. Kathy, lekarzem. Cynthia też nie! To by nic nie dało. Najlepszy był szaman. Zna się na ranach, a poza tym leczył go już raz. Wiedział więc jak chłopak reaguje na różne leki.

- Grzmiący Róg leczył go już kiedyś? - Clay spojrzał niedowierzająco.

- Tak. zeszłej wiosny. Wtedy właśnie Winter dostał od Rudego pierwszą kulę - trochę wyżej niż twoja. Rudy go wtedy nie widział, toteż James mógł dostać się później do bandy, bez obawy, że ktoś go rozpozna.

- Henry - Kathy położyła mu miękko rękę na ramieniu - musisz nam opowiedzieć wszystko. Ale wszystko od początku.

Prescott przysunął się bliżej kominka i zmrużył oczy.

- Nie wiem. czy bez paru szklanek gorącej herbaty nie zaschnie mi w gardle, bo historia jest dosyć długa.

Żona Claya знаła słabostkę przewodnika - dobrą herbatę z rumem. Nastawiła więc imbryk. Gdy parujący napój pojawił się na stole, Prescott z przyjemnością pociągnął nosem.

- Pamiętacie zapewne dobrze, co działo się na wschodzie około dwudziestu lat temu...

Wojnę, co prawda, przegrali Francuzi, ale najbardziej poszkodowaną stroną zostali Indianie.

Po powstaniu Pontiaka stracili wszystko; nie tylko siłę, ale i ziemię. Wyrzucono ich z nad Wielkich jezior i doliny Ohio. Wiele plemion zaszło się w zachodnie puszcze i pociągnęło na prerie. Niektóre oddaliły się na północ. Część rozproszyła się. Zginęło bardzo wielu. W wigwamach Ottawów, Potawatomich i Sauków, Delawarów i Szawanezów był wielki płacz. Zginęło wielu wojowników. Rosło poczucie krzywdy i chęć zemsty. Oczywiście, żadne z plemion nie mogło liczyć na drugą wielką wojnę, ale wiele, zgodnie z tradycją, poszukiwało sposobności do zemsty.

Mimo pozornego spokoju, pograniczne tereny żyły w ciągłym zagrożeniu. Żaden biały osadnik nie był pewny życia.

Napady na niewielkie osiedla i domy białych mnożyły się coraz bardziej. Setki położyły wtedy głowy pod ciosami tomahawków.

W odwet zniszczono wioski i obozy indiańskie, porywano kobiety i dzieci. Za głowy Indian biorących udział w napadach wyznaczano nagrody. Nie tylko w Stanach: u nas także.

Rozpoczęły się, a właściwie nigdy nie ustały, łowy na skalpy. Z tą różnicą, że za skalpy Indian płacono, i to dosyć dobrze; za skalpy białych nie.

Polowanie takie przynosiło, a niektórym przynosi jeszcze do dzisiaj pokaźne zyski. Organizowały się i nadal organizują różne, bandy łowców skalpów - niestety, białych łowców. Jedna z takich band grasowała wokół jeziora Caribou.

Na północ od jeziora, w wiosce Odzybuejów osiedlił się angielski kupiec z żoną, dwoma córkami i synem. Kupiec nazywał się George Brandon. Wśród Indian mieszkał wiele lat. Mimo iż był Anglikiem, zyskał ich przyjaźń i szacunek.

Pewnej nocy, gdy większość mężczyzn przebywała na polowaniu, do wioski wtargnęła banda i dokonała rzezi. Zamordowano kilkadziesiąt kobiet, dzieci i starców. Mordercy nie chcieli mieć świadków. Zabili także kupca, jego żonę i obie córki. Jedna miała osiem, druga trzynaście lat. Zwłoki spalili. Chłopak, który wraz z Indianami był na polowaniu, cudem uniknął śmierci.

Gdy wrócili następnego dnia i znaleźli zmasakrowaną wioskę, poszli za bandą. Poszedł i syn kupca.

Wieść o masakrze rozeszła się szeroko. Władze uznały to za zwykłą zbrodnię. Banda rozproszyła się i zniknęła z tamtych terenów, ale syn zamordowanego nie zaniechał pościgu. W ciągu blisko ośmiu lat ujął i oddał w ręce władz prawie wszystkich morderców. Dwu umknęło, jak ustalili, gdzieś w rejony północno-zachodnie. Postanowił ich tam poszukać. Nie mógł jednakże przybyć jako Brandon. Nazwisko zresztą zmieniał wiele razy. Tu podążył jako James Winter.

Odzybueje, wśród których żył wraz z rodzicami, a których i później odwiedzał wielokrotnie, dla jego czynów wybrali go wodzem i nadali mu imię Czarny Sokół.

Pod tym imieniem znał go dobrze pułkownik Carrington z Fortu Garry, który jako młody jeszcze żołnierz służył wraz z ojcem Jamesa w słynnym do dzisiaj pułku Cjuin Rangers.

James lub, jeśli wolicie, Winter, nie przybył tu szlakiem z południa przez Athabaskę. Szedł szlakiem zachodnim przez rzekę Churchill, jeziora Południowoindiańskie i Reniferowe. Po drodze od różnych białych kupców i indiańskich myśliwych dowiadywał się o tym, co dzieje się wokół tutejszego fortu.

Domyślił się z łatwością, że w okolicach tych działa dobrze zorganizowana banda. Postanowił jej poszukać, spodziewając się, że w jej gronie znajdują się także ostatni dwaj mordercy znad Caribou.

Na pierwszy ślad bandy natknął się około sto pięćdziesiąt mil stąd na zachód. Trzech białych wymordowało kilkusobową rodzinę Chipewyan i skradło futra. Odkrył, że biali uprowadzili dwójkę Indian, chłopaka i dziewczynę.

Wyruszył w pościg i dogonił ich w momencie, gdy biali zamierzali zamordować swych jeńców. Wśród trójki morderców rozpoznał jednego. Był to właśnie Rudy, który rozprawił się z jednym ze swych kompanów. James z ukrycia zabił drugiego.

Z łatwością mógł zabić Rudego, ale wiedział, że Rudy to jedyny ślad prowadzący do bandy. Pozwolił mu więc uciec - na razie.

Ale Rudy widząc skąd wybiegła strzała, która ugodziła jego kompana, strzelił i trafił, chociaż nie wiedział o tym. James zdołał jednak uwolnić indiańskiego chłopaka i dziewczynę.

Odzybueje nigdy nie opuszczają przyjaciół. Indianie zabrali go więc do swej wioski. Był solidnie poharatany. Wtedy właśnie po raz pierwszy leczył go Grzmiący Róg.

Uratowany indiański chłopak to Młody Bóbr, syn Szarego Niedźwiedzia, a dziewczyna to Shesheeb, córka Wilka.

Gdy wyzdrowiał, przekonał Indian, że powinni mu pomóc w rozprawie z bandą. Domyślał się, że banda musi być związana silnie z fortem i tutejszymi faktoriami. Stąd też tu postanowił rozpocząć poszukiwania.

Jednocześnie, za jego namową, Szary Niedźwiedź porozumiał się z kilkoma sąsiednimi plemionami i gęsta sieć indiańskich zwiadowców ruszyła na początku ubiegłego lata w najbardziej dzikie i niedostępne rejony wokół fortu.

Jeszcze przed przybyciem tutaj uratowany przez niego chłopak z plemienia Suszonych Skór wychwalał Ruttera, który nie tylko płacił najwyższe ceny za futra, ale dawał Indianom najwięcej rumu. Wiecie sami, jak alkohol działa na dzikich. Ten, kto go rozdaje w dużych ilościach, nie może być uczciwym człowiekiem. Dlatego Winter przyjął pracę właśnie u Ruttera.

Indiańska sieć działała sprawnie; Winter znakował wydawane Indianom towary. Szybko ustalił, że wracają one z powrotem do magazynu kupca. Indianie ustalili kryjówkę bandy i jej stale kontakty z Rutterem.

W tym właśnie czasie przybył Rossignol i potwierdził zaginięcie transportu Lane'a oraz Cynthii. Dzięki Indianom James wiedział, że Cynthia żyje, ale znając Rudego wiedział, że grozi jej

śmiertelne niebezpieczeństwo.

Dlatego błyskawicznie zdecydował się na wstąpienie do bandy. Poszło mu to łatwo. Rutter nie krył się specjalnie przed nim, a ponieważ James bąknął raz i drugi o skalpach, do bandy dostał się szybko. Tam też parę razy mimochodem napomknął o tym, że zajmował się trochę skalpami i że to wcale nie najgorszy interes. Właśnie to tak przerażało Cynthię - „tu spojrzal na słuchającą z wypiekami na twarzy dziewczynę i uśmiechnął się. - Musiał tak mówić, by pozyskać zaufanie bandy. - Prescott pociągnął spory łyk z kolejnej filiżanki i mrugnął porozumiewawczo na Kathy. Herbata była coraz mocniejsza. - Rudemu - mówił dalej - przypadł wyraźnie do gustu. Poprzez Indian, z którymi spotykał się potajemnie, wyprowadził bandę na upozorowany wcześniej napad i porwał Cynthię.

- A więc on wtedy był - dziewczynie błyszczały oczy.

- Tak, był. Ale nie mógł się pokazać. Jedno twoje nieostrożne słowo - a prawdziwa gra zaczynała się dopiero - mogło spowodować nieobliczalne następstwa. Nie musiał ujawniać się przed tobą. Wiedział, że jesteś pod dobrą opieką.

Oczywiście, poszły raporty do Carringtona, toteż pułkownik zdołał przechwycić cały ładunek futer Birda, a następnie, już wspólnie z Sharpem, złapaliśmy Stones.

Winter wprowadził do bandy Wilka i Młodego Bobra. Rzecz jasna, że to niosło z sobą pewne ryzyko, ale ponieważ czerwonoskórzy są mistrzami charakteryzacji, szczególnie plemiona Odzybuejów, niebezpieczeństwo nie było tak wielkie, za to korzyści ogromne.

James miał na miejscu dwu pomocników, którzy spełniali bardziej rolę kurierów niż tropicielei. I wtedy namówił Rudego na zagarnięcie mojego transportu. Do bandy doszedł Szary Niedźwiedź, jako rzekomy wódz Sarsi.

Wiadomości o ruchach bandy otrzymywaliśmy regularnie przez wysyłanych szybkich indiańskich posłańców. Toteż banda wpadła w zastawioną przez siebie zasadzkę.

Wiedzieliśmy jednak my, wiedział i Winter, że to tylko część bandy. Dlatego wypuściliśmy go z Rudym, Wilkiem i Młodym Bobrem, ale już przed nimi ruszyli w drogę Sharp z paroma ludźmi i Szary Niedźwiedź ze swoimi. Gdy Rudy przybył do faktorii, wszystkie jego kroki były dokładnie kontrolowane. Tego właśnie” wieczoru, prócz Mathiewa i Locke’a, odwiedził jeszcze kogoś w forcie.

Niestety, nie udało się wtedy ustalić, kogo. Uciekli tylko kupcy i ich pomocnicy. Nie uciekł żaden żołnierz. Na miejscu pozostał więc szpieg, i to szpieg nie ujawniony.

Sharp już w Fortcie Garry wiedział od Piżmoszczura, że Brent jest prawdopodobnie synem Ruttera, ale nie wiedział, czy tylko Brent należy do bandy, czy jeszcze może ktoś. Pozwolił więc Rutterowi na czasową ucieczkę. Wiedział, że banda nie zostawi ogromnej ilości towarów w jaskini. A musiał mieć dowody ich udziału w napadzie na transport Lane’a.

I poszedł za nimi. a właściwie przed nimi. Ujął ich tam wraz z dowodami. Przeprowadził tutaj,

by zdemaskować Brenta, a może i innych. Resztę znacie.

Prescott dopił piątą filiżankę herbaty i zapatrzył się w ogień. To co opowiadał, brzmiało wręcz nieprawdopodobnie - nie mogło pomieścić się w umysłach.

Pierwszy ocknął się Clay.

- A więc Winter, a właściwie Brandon, dosięgną) mordercę swych najbliższych - Rudego. Czy ujęto także drugiego? Czy dowiedział się, kto to jest?

- Tak. Lang, zastępca Rudego. Ten, który zginął w czasie uprowadzenia przez Indian Cynthii. Kiedyś po pijanemu opowiedział Jamesowi, jak wspólnie z Rudym załatwili wieś Odżybuejów na północ od jeziora Cacibou. Pochwalił się, co zrobili z białym kupcem i jego rodziną.

Clay pokiwał głową. Wolał nie pytać, kto zabił Langa. Chociaż nie miał większych wątpliwości. Cynthia ani Kathy nie pytały również.

Poci koniec marca śnieg począł szybko topnieć, w górze rzek ruszyły lody. Wezbrały potoki i strumienie.

W połowie kwietnia - Księżycy Dzikiej Gęsi - nad fortem przeciągały, dążąc w kierunku Wielkiego Jeziora Niewolniczego i Niedźwiedziego, potężne klucze tych ptaków. Okolice Athabaski zaroily się stadami dzikich kaczek, pardwy nawołujące się w krzakach nabrały ciemniejszego ubarwienia. Przez gęstą zasłonę chmur przedarło się słońce.

Po raz pierwszy od prawie pół roku mieszkaniec samotnej chaty wyszedł na zewnątrz.

W osadzie zawrzało. Wprawdzie od pewnego czasu do uszu różnych osób docierały jakieś dziwaczne o nim pogłoski. Widziano też niejednokrotnie jak Clay, jego żona i córka odwiedzają chatę, nie reagowano jednak. Mogło istnieć wiele przyczyn takiego zachowania kupca i jego rodziny. Skoro Sharp na to pozwalał, mogli przymknąć oczy, udając, że niczego nie spostrzegają. Ale gdy się okazało, że bandyta, którego śmierci oczekiwano z dnia na dzień, nie tylko nie umarł, a wręcz przeciwnie, wraca do zdrowia - mężczyźni zaczęli szeptać między sobą.

Skoro dowódca fortu nie wykazywał zamiaru zakończenia sprawy, paru młodszych i bardziej niecierpliwych postanowiło wziąć ją w swoje ręce.

Wkrótce do uszu Sharpa zaczęły docierać niepokojące pogłoski. Zorientował się szybko, że nie ma co odkładać sprawy.

Pewnego dnia rozległ się głos dzwonu zawieszzonego obok drzwi fortowego blokhauzu. Dowódca wzywał wszystkich mieszkańców do fortu. Schodzili się szybko odkładając wszystkie zajęcia. Głęboki metaliczny dźwięk przypomniiał, że dzieje się coś niezwykłego. Może groźba jakiegoś niebezpieczeństwa? Niektórzy przybiegli więc z bronią.

Gdy niewielki plac wypełnił się milczącym tłumem mężczyzn, w drzwiach pojawił się Sharp z sierżantem i Prescottem. Kapitan patrzył spokojnie na tłum. Byli wszyscy mężczyźni.

- Zwołałem was tutaj w jednej tylko sprawie, ale niepokojącej. Dotychczas myślałem, że

kanadyjscy mężczyźni - ludzie północno-zachodniego szlaku - są ludźmi uczciwymi, godnymi zaufania. Od pewnego czasu widzę, że się pomyliłem. Jest wśród was kilku, którzy mają zadatki, a może nawet skłonności zawodowych morderców, którzy w głowie zamiast oleju mają zgniłe liście i zeszlóroczną suchą trawę. Pod osłoną i w obrębie praw wojskowego garnizonu zachciewa im się samosądów.

Przez tłum przeleciał pomruk. Nie zrażony tym Sharp uciszył zebranych. - Zachciało się im wieszać Wintera. Niech wystąpią: Batson, Cleaver, Howison i Scott.

Gdy wezwani wysunęli się do przodu, Sharp zwrócił się do sierżanta:

- Każcie ich rozbroić i związać.

Kilku żołnierzy migiem wykonało polecenie.

- Dobrze, bohaterzy. Najpierw dostaniecie publiczną nauczkę, która może i innych nauczy rozumu, a potem porozmawiamy.

Jackson, wymierzycie każdemu po pięćdziesiąt batów na goły tyłek.

Tłum zafalował, podniosły się okrzyki protestu.

Prescott uniósł rękę i kilkunastu jego ludzi stanęło błyskawicznie przed zebranymi. Jak spod ziemi wysunął się uzbrojony oddział żołnierzy Sharpa.

- Sierzancie, na co czekacie? Powiedziałem - po pięćdziesiąt batów na gołą skórę.

Wymienionych położono równo na ziemi i czterech żołnierzy wymierzyło im na oczach widzów wyznaczoną karę. Nie podniósł się jeden głos protestu.

- Następnym razem - powiedział Sharp - za próbę samosądu każdy dostanie kulę w łeb. Tu będzie rządziło prawo. Rozwiążcie ich i oddajcie broń.

Ukarani, powłócząc ledwo nogami, zaszyli się w tłum. Ludzie Prescottta opuścili broń. Kapitan zwrócił się znów do zebranych.

- Pół roku temu, w tym samym miejscu, odbył się sąd nad bandą Rudego. Brałście w nim udział wszyscy, czy tak?

- Brałiśmy - odezwało się kilka głosów.

- Słyszeliście zeznania oskarżonych i świadków. Prawda?

- Prawda!

- Pytam więc: Kto wpadł na ślad bandy i ujawnił ją? Pamiętacie chyba przedłożone przez pannę Clay, Indian, przeze mnie, Prescottta i jego ludzi dowody?

- Pamiętamy!

- Powtarzam pytanie: Kto wpadł na ślad bandy i ujawnił ją?

- Czarny Sokół - odpowiedzieli wszyscy.

- Kto uwolnił Cynthię Clay?. - Czarny Sokół!

- Kto umożliwił schwytanie Birda i Stone'a?

- Czarny Sokół.
- Kto umożliwił Prescottowi i mnie ujęcie części bandy w Kanionie Sępów?
- Czarny Sokół - odpowiedzi tłumu były coraz głośniejsze i wyraźniejsze.
- Kto wreszcie doprowadził do tego, że mogliście wydać sprawiedliwy wyrok na morderców?
- Czarny Sokół!
- Tak, macie rację. Właśnie on. Uratował życie przynajmniej połowie z was. Uratował

Prescotta przed kulą Brenta. I za to wszystko, - za wszystko co dla was uczynił z narażeniem własnego życia, chcecie go dzisiaj powiesić? Tak?

- To nieprawda - krzyknął Batson, pierwszy z ukaranych - chcieliśmy powiesić Wintera!

Sharp poczekał chwilę, aż umilkną rozgorączkowane głosy, po czym patrząc na Batsona powiedział dobitnie:

- Wintera? Winter to właśnie Czarny Sokół!

Na placu przed blokhauzem zapadła śmiertelna cisza. - Tak. To co powiedziałem, jest prawdą. Nie mówiłem tego wcześniej. Powiedziałbym, gdyby nie ten fatalny strzał tamtej nocy. Strzelił człowiek uczciwy - w dobrej wierze, ale od tego strzału Winter mógł umrzeć. Nie chciałem, by uczciwy czuł się przez całe życie mordercą. Dlatego milczeliśmy obaj z Prescottem. Mogłem to powiedzieć dziś. Wiecie wszystko. A jeśli komuś jeszcze kiedykolwiek przyjdzie ochota na wymierzanie sprawiedliwości na własną rękę, komukolwiek, niech najpierw dobrze pomyśli. To wszystko co chciałem powiedzieć. Możecie się rozejść. I nie zamęczajcie Czarnego Sokoła. Ma jeszcze niewiele sił.

Mężczyźni rozchodzili się, rozprawiając z ożywieniem o słowach Skarpa, ciekawe spojrzenia biegły ku samotnej chacie. Na progu siedział Winter.

Któregoś dnia, po dłuższej nieobecności, wpadł do niego Prescott. Gawędzili godzinę, gdy wreszcie przewodnik zagadnął:

- Słuchaj, James. Niedługo zaczną ściągać Indianie. Przywiozłem ci od współnika z Montrealu sporo towarów. Otworzysz faktorię?

Winter milczał chwilę.

- Nie, ale towary trzeba sprzedać. Pogadaj z Clayem. Może weźmie. Konkurencja zmniejszyła się. Tego co on ma, nie starczy na długo. Powinno mu to być na rękę.

- Sam nie chcesz porozmawiać?

Gospodarz zmieszał się lekko.

- Wolałbym, żebyś załatwił to ty. Prescott miał niewinną minę:

- Widzę, że nie czujesz się najlepiej. Czyżby przyplątała się jakaś nowa choroba?

Twarz Wintera pociemniała trochę.

- Ależ skąd. Nie czuję się jeszcze na siłach. Może to zresztą tylko lenistwo - uśmiechnął się

niewyraźnie.

- Uhm - przewodnik uśmiechnął się również. - No, dobrze. Załatwię to z Clayem. A ty uważaj jednak na siebie. Myślę, że to nie lenistwo. I zdaje się, że coś całkiem poważnego. Trzymaj się.

Towary przetrzucono do magazynu Claya jeszcze tego samego dnia.

Aby nie robić sobie - wzajem konkurencji Clay i Perry po naradzie z Sharpem ustalili wspólne, jednakowe ceny na wszystkie towary i futra. Ponadto, za namową tego ostatniego, postanowili prowadzić wspólny interes.

Na początku maja zaczęli ściągać pierwsi Indianie.

Wszyscy mówili, że zima była dobra. Potwierdzały to zresztą stopy futer, wypełniające stopniowo kupieckie magazyny.

W połowie miesiąca ściągnął Szary Niedźwiedź z kilkunastoma myśliwymi; za kilka dni w długich, wyładowanych futrami i skórami kanu przybyła reszta plemienia.

W chacie Wintera nie zamykały się drzwi.

Przybył Wilk z Młodym Bobrem i Czarny Bizon. Przybyła Shesheeb. Urosła jeszcze od czasu, gdy przed paroma miesiącami opuszczała chatę. Przybladłą poprzednio twarz barwiły żywe rumieńce. Śliczną, wymizerowaną w czasie bezsennych nocy przy posłaniu chorego skórę przyciemniło wiosenne słońce i wiatr. Dziewczyna nabrała dawnej swobody i wdzięku. Cynthia, która odszukała ją zaraz pierwszego dnia, zaciągnęła do swego domu.

Pani Clay ścisnęła dziewczynę serdecznie. Z opowiadań córki znała ją bardzo dobrze. Teraz, poznawszy osobiście, polubiła od pierwszego wejrzenia. Zapowiedziała też, że na czas pobytu Indian Shesheeb pozostanie u nich. Wilk nie sprzeciwił się temu, toteż obie dziewczyny nie rozstawały się prawie.

Matka Cynthii wiedziała, jak wiele zawdzięczają młodej dziewczynie, postanowiła więc zrobić jej niespodziankę. Wiedziała, co jest potrzebne młodej, indiańskiej dziewczynie, która zamierzała postawić własny wigwam.

Dziewczęta zaś, zamknięte wieczorami w pokoju córki: wiodły nie kończące się rozmowy.

Shesheeb była dumna z Uhmika. W ciągu zimy upolował tyle różnych zwierząt i powiesił tyle futer przed wigwamem Wilka, że ojciec Dzikiej Kaczki zgodził się, by po powrocie na letnie obozowisko zapalili własny ogień. Opowiadając o tym dziewczyna rumieniła się, a jej wielkie czarne oczy płonęły radością.

Pewnego wieczoru, słuchając kolejnej opowieści, w której, zresztą jak zwykle, co drugie zdanie związane było z Młodym Bobrem. Cynthia spytała:

- Powiedz mi, Shesheeb. Jeżeli tak bardzo kochasz Uhmika, dlaczego zostałeś tu prawie przez całą zimę, by pielęgnować Czarnego Sokola? Przecież tęskniłeś za Młodym Bobrem? Mogła tu zostać z Peenay inna dziewczyna.

Indianka myślała przez chwilę..

- Shesheeb tęskniła. Nawet bardzo, ale musiała tu być ona, albo Uhmik. Uhmik nie mógł. musiał z myśliwymi polować. Gdyby nie polował, on i Shesheeb nie mogliby mieć teraz wspólnego domu. Inna dziewczyna też nie mogła zostać. Czarny Sokół dał życie przecież właśnie Młodemu Bobrowi i Dzikiej Kaczce. Nikt jej nie mógł zastąpić, a Uhmik i inni bracia pomyśleliby, że Shesheeb nie jest wdzięczna. Została więc z Peenay i Grzmiącym Rogiem, i już go się nie boi.

- A nie boisz się usiąść przy ognisku Młodego Bobra? - Cynthia zawstydziała się sama tym pytaniem.

- Shesheeb nie wstydzi się: Wszyscy widzieli, że Miody Bóbr zapłacił Wilkowi najlepszymi futrami. Dał dobrą cenę. Kocha Shesheeb. Dzika Kaczka kocha jego. Nie ma się czego wstydzić. Cieszy się. A ty? Kiedy usiądziesz przy ognisku Czarnego Sokoła?

Biała dziewczyna nisko spuściła głowę.

- Nie wiem - twarz jej spłonęła rumieńcem.

Wieczorem tego samego dnia, jak zresztą co dzień, do chaty Wintera przybyli Szary Niedźwiedź i Wilk oraz Uhmik i Shesheeb. Uhmik przydźwigał dwa ciężkie dosyć worki uszyte z grubej, nie wyprawionej skóry i ściśle zawiązane mocnym rzemieniem.

Gdy gospodarz, a właściwie Peenay i pomagająca jej Shesheeb nakarmiły gości, gdy na stole pojawiły się kubki z mocną herbatą i cukier, wstał Szary Niedźwiedź i zwrócił się do gospodarza:

- Nasz biały brat wie, że jutro Indianie opuszczają fort i wracają na swe letnie tereny łowieckie nad Potokiem Pstrągów. Przybywając tu mieli nadzieję, że Czarny Sokół będzie miał dość sił. by im towarzyszyć, i że zechce spędzić z nimi kilka ciepłych księżyców. Serca ich były pełne radości, że wraz z nim zapolują na leśnego jelenia i niedźwiedzia, że będą widzieli na twarzy Czarnego Sokoła uśmiech. Dzisiaj widzą, że ich brat nie pojedzie z nimi. Smucą się z tego powodu. Serca ich pełne są żalu, gdyż wiedzą, że chociaż upłynęło wiele księżyców od czasu, gdy kula przyjaciela przeszła przez pierś Czarnego Sokoła, słabość, która weszła w jego ciało, trwa nadal. Złe duchy chcą się zemścić za to, co Czarny Sokół uczynił dobrego dla swych białych braci nad wielką wodą, i dla braci czerwonoskórych.

Grzmiący Róg powiedział nam, że słabość minie, że Czarny Sokół nim miną dwa księżyce wróci do sił, toteż wierzymy, że wtedy znajdzie drogę do swych braci. Będą go oczekiwali.

Jutro, jak powiedział Szary Niedźwiedź, odjadą. Są bogaci. Mają wszystko, czego im potrzeba. Nie obawiają się więc głodu i zimna. Szary Niedźwiedź i Wilk wiedzą, że biały brat kazał wypełnić ich łodzie wielką ilością różnych pożytecznych i potrzebnych jego czerwonym braciom rzeczy. Wiedzą też, że towary, które otrzymali i broń mają znacznie większą wartość niż skóry i futra upolowane tej zimy i zostawione białemu kupcowi przez wszystkich myśliwych plemienia. Wiedzą, że biały kupiec i jego córka oraz Czarny Sokół podarowali im wiele rzeczy, chociaż mówią, że

zapłacili tylko za futra.

Bracia Szarego Niedźwiedzia i Wilka rozumieją to. Potrafią odróżnić dobrych od złych i kłamstwo od prawdy. Czarny Sokół nie musi zaprzeczać. Poznał dzikich, gdy walczył z nimi przeciwko wspólnym wrogom. Dzicy poznali jego. Czarny Sokół nie chce przyznać się, że swoje towary darował czerwonym braciom. Nie chce powiedzieć, że pragnie odwdziaczyć się im za pomoc. Ale oni pomagali przecież nie tylko jemu. Pomagali sobie i swym czerwonoskórym braciom z innych plemion. Gdyby tego nie czynili, ich myśliwi, kobiety i dzieci zostaliby zabici przez białych morderców Ognistobrodego, tak samo jak wielu innych. A więc to, że wojownicy Szarego Niedźwiedzia wstąpili na ścieżkę wojenną, nie było ich zasługą. To był ich obowiązek. Czarny Sokół pokazał jedynie swym czerwonym braciom, jak należy się bronić. To naród Szarego Niedźwiedzia powinien być mu wdzięczny.

Tu Szary Niedźwiedź przerwał na chwilę, po czym ciągnął dalej:

- Czarny Sokół, gdy nadeszły towary przywiezione przez Wielkiego Przewodnika, był bogaty. Były to jego towary. Teraz znów jest biedny, ponieważ towary te dał swym czerwonoskórym braciom. Ale oni wiedzą, że nie z tego powodu jest smutny. Nie chcą jednakże, by był biedny. Myśleli o nim całą zimę i niepokoiли się o jego zdrowie. Ale myśleli również o tym, jak odwdziczą mu się za to wszystko, Co dla nich uczynił. Nasz biały brat pamięta, że gdy po raz pierwszy uratował życie syna Szarego Niedźwiedzia i córki Wilka, mieli oni z sobą żółty metal. Czarny Sokół nie pytał nigdy, skąd go mają. Był dyskretny i chociaż mógł, nie zażądał dla siebie tego metalu wtedy, gdy całą swą zdobycz zostawił w wiosce Szarego Niedźwiedzia, i nie sprzedał jej, lecz podarował swym czerwonoskórym braciom. Oni też nic nie mówili. Wiedzieli od dawna, że za żółty metal biali gotowi są oddać wszystko, gotowi są pozabijać tych, co go posiadają. Naszym ludziom żółty metal jest niepotrzebny. Im może przynieść tylko nieszczęście, ale wiedzą, że jest on potrzebny białym. Dowiedzieli się o tym wtedy, gdy jeszcze mieszkali daleko na południu. Dowiedzieli się, kiedy Czerwonobrody chciał zabić Uhmika i Shesheeb.

Gdy teraz polowali podczas miesiący śniegu i mrozu, myśleli i radzili. I postanowili, że żółty metal powinni podarować Czarnemu Sokołowi. Ich brat jest mądry. Będzie wiedział, co uczynić z tym metalem, tak by dobrze służył mu i nie naraził jego braci na kłopoty. Indianie znają miejsce, gdzie jest dużo żółtych grudek. Gdy śnieg i lód spłynęły, a woda w strumieniach stała się czysta. Wilk i Uhmik udali się do takiego właśnie miejsca i nzebierali dla Czarnego Sokoła trochę tych grudek. Niech więc nasz brat je przyjmie i uczyni z nimi, co zechce. Odjedziemy do siebie spokojni, wiedząc, że Czarny Sokół znów nie jest biedny.

Uhmik podniósł z podłogi oba przyniesione worki i postawił na stole. Następnie wprawnie rozwiązał rzemienie.

Przed oczyma Czarnego Sokoła zamigotały miliony iskierek. Patrzył na złoto w milczeniu. O

tamtym zdarzeniu z minionej wiosny zapomniał już. Pamiętali jednak Indianie. Dwa kilkudziesięciofuntowe worki były tego widowym dowodem. Nie przybył tu przecież po złoto ani po bogactwo. Złoto przyszło samo. Przynieśli je Indianie. Nazywają ich dzikimi... Nie. Nie byli dzikimi. Byli tylko prości, ale uczciwi, sprawiedliwi i szlachetni. O wiele bardziej szlachetni od rasy, do której sam należał. Poczul wzruszenie ściskające mu piersi. Przeniósł wzrok ze złota na wpatrzone w niego w niemym oczekiwaniu twarze. Powiedział cicho:

- Moi bracia przynieśli mi wielkie bogactwo. Dla białych ludzi te żółte kamienie warte są więcej niż wszystkie towary, jakie biali kupcy mają w swych magazynach wokół fortu. Czarny Sokół nie może przyjąć takiego daru. Jego czerwonoskórzy bracia za złoto, które tu przynieśli, mogą brać dużo różnych towarów od białego kupca przez wiele zim, a w ich wigwamach nie zabrzmi płacz głodnego dziecka. Biały kupiec, któremu moi bracia zwrócili córkę, nie powie nikomu. Czarny Sokół poprosi go o to.

Indianie pokręcili przecząco głowami, a Wilk patrząc na gospodarza spytał poważnie:

- Niech mój biały brat odpowie tak, jak mu każe jego serce. *Co jest więcej warte, życie czy złoto?*

- Życie - Winter odpowiedział bez namysłu. Indianin przytaknął:

- Wilk i jego bracia też tak myślą. Czy wtedy, gdy Czarny Sokół pokonał wrogów i walczył z niedźwiedziem, mając tylko nóż w ręku, walczył o złoto, czy o życie czerwonych ludzi?

Czarny Sokół pod uważnym spojrzeniem wodza zmieszał się z lekka, odpowiedział jednak uczciwie:

- Brat Wilka nie musiał wtedy wybierać. Miał przed sobą białych zabójców i groźnego niedźwiedzia. Musiał bronić życia Shesheeb i Uhmika. Musiał bronić dobrych przeciwko złym. Jego brat Wilk i Szary Niedźwiedź, i Dzika Kaczka, i Młody Bóbr też tak postępują. Czarny Sokół nie widzi w tym żadnej swojej zasługi.

Indianin uśmiechnął się:

- Nasz biały brat Jest sprawiedliwy. Niech to sam rozważy. Gdyby wtedy zginęli Shesheeb i Uhmik, nie miałyby wartości ani życie Wilka, ani życie Szarego Niedźwiedzia. Ich serca pozostałyby smutne do śmierci. Dzięki Czarnemu Sokołowi serca ich nie są smutne. Uhmik i Shesheeb, nim minie pół księżyca, zbudują własny wigwam, a potem Wilk i Szary Niedźwiedź będą z radością słuchali śmiechu ich dzieci. Biały brat podarował więcej niż życie. Niech pozwoli, że oni podarują mu ten żółty metal. Im, jak powiedział Szary Niedźwiedź, jest on niepotrzebny. Białemu bratu przyda się. Może kiedyś, dzięki niemu, będzie mógł pomóc innym - i swym białym braciom, i innym naszym braciom. Czarny Sokół będzie wiedział, jak to uczynić, wierzymy mu.

Winter raz jeszcze uczul dziwny skurecz krtani. Wiedział, że im nie wytłumaczy.

- Przyjmuję dar moich braci!

Indianie odetchnęli. Dalsza rozmowa potoczyła się bardziej swobodnie. Ożywiła się Shesheeb i Uhmik. Grzmiący Róg, czujący się w chacie białego jak w swym własnym wigwamie, wyciągnął butelkę rumu i nalał sobie trochę do herbaty, dojrawszy jednak złe, uporczywe spojrzenie Peenay, dołał do jej kubka również tego pokrzepiającego napoju.

Rankiem następnego dnia Indianie ponownie załadowali czółna, tym razem towarami. Połowa białych wyszła pożegnać odjeżdżające plemię.

Dwu silnych mężczyzn pod nadzorem pani Clay przyniosło ciężko wyładowany, ogromny kufer i wstawiło do łodzi Shesheeb. Była to niespodzianka dla niej.

Po brzegi wypełniono łodzi Szarego Niedźwiedzia, Wilka i Młodego Bobra oraz wielu innych. Zadbali o to Winter i obaj kupcy.

Przy nabrzeżu Cynthia serdecznie ścisnęła starą Indiankę. Obok stał Clay z żoną. Peenay była pochmurna. Wysłuchawszy słów pożegnania, wskazującym palcem dotknęła piersi dziewczyny i powiedziała zaczepnie:

- Biała dziewczyna głupia. Wigwam Czarnego Sokola wciąż pusty. Nikt nie będzie pilnował jego ogniska. Peenay powinna zostać. - Odwróciła się i wsiadła do łodzi.

Słowa jej słyszał Clay i wiernie przetłumaczył żonie. Patrząc na zmieszaną twarz córki oboje odwrócili się dyskretnie.

Długi wąż łodzi drgnął - Indianie wznieśli w górę strzelby - huknęła salwa. Z brzegu odpowiedział im podobnie oddział pod komendą Sharpa.

Kanu nabierały szybkości, oddalały się coraz bardziej, wreszcie łodzie znikły w oddali. Powiał chłodny wiatr.

Clay wstrząsnął się lekko, ujął żonę pod ramię i powiedział:

- Zawołaj Cynthię. Jest zimno. Łatwo się przeziębic. Pani Clay przycisnęła ramię męża i wskazała córkę. Dziewczyna z podniesioną głową szła prosto w kierunku domu Wintera. Kupiec zamierzał coś powiedzieć, ale Kathy położyła mu dłoń na usta.

- Nie mów nic. Andrew. Chodź do domu - uśmiechnęła się.

Mieszkaniec samotnej chaty, którą opuścił nawet Grzmiący Róg uznając, że jego obecność jest już niepotrzebna, pożegnawszy Indian wrócił do siebie i usiadł przed dopalającym się kominkiem. Biegł myślami za oddalającym się sznurem łodzi. Żałował, że nie pojechał z nimi. Miał tam tylko przyjaciół. A tu? Za parę, najwyżej za kilkanaście dni na czele transportu futer wyruszy Rossignol i Prescott. Będą się najpierw pieli w górę Athabaski. a później, już znacznie łatwiej, w dół Saskatchewan. Późną jesienią znajdą się daleko na południu. Mógłby ruszyć z nimi.

Przed oczyma zamajaczyły mu wielkie, lekko skośne oczy. wyraźnie zarysowane łuki czarnych brwi, długie złociste warkocze, wdzięczna dziewczęca sylwetka. Zacisnął szczęki. Wiedział, że nie zdobędzie się na wyjazd, że nie odjedzie.

Skrzypnęły drzwi. Pewnie Prescott - pomyślał.

Cichy szelest mokasynów. Wysmukłe białe dłonie zgarnęły kilka szczap i wrzuciły na kominek. Dziewczyna usiadła obok. Nie mówiła nic.

Patrzył na nią z coraz większym zaniepokojeniem.

- Cynthio, czy coś się stało? Co ci jest?

- Nic. Czarny Sokół mądry i dzielny wódz. Zabije i oskalpuje wszystkich wrogów. Nie oszczędzi nikogo, ni mężczyzn, ni kobiet, ni dzieci. Ale wigwam jego wciąż pusty, a przy ognisku nie siedzi żadna dziewczyna. Biała dziewczyna głupia, niedobra i nie ma serca. Ale... ale przecież to nieprawda. Wcale nie jest taka.

Otoczyło ją silne ramię. W uszy sączył się cichy szept:

- Peenay nie ma racji. To Czarny Sokół był głupi i niedobry. Bał się, że biała dziewczyna go wyśmieje i nawet chciał już uciekać. Uciec tam, gdzie nie zobaczyłby nigdy błękitnych gwiazd.

Obrócił ku sobie twarz dziewczyny. Z oczu jej płynęły łzy. Miękkie ciepłe ramiona otoczyły mocno jego szyję.

- Och. James!

- Kocham cię, Cynthio. Pokochałem od pierwszej chwili, tam na polanie przed jaskinią zbójców.

Dziewczyna ukryła twarz na ramieniu mężczyzny. Pies zamknął ślepia i zapadł w spokojną, leniwą drzemkę. Wysoko w górze sunął klucz dzikich gęsi.

KONIEC